

Price Nancy

Noce Mary Eliot

1

Mary Eliot stała obok Randala Eliota. Reflektory były skierowane na nich oboje, ale kamery telewizyjne śledziły wyłącznie Randala. W niego też wpatrywał się tłum ludzi ubranych w stroje wieczorowe, napędzających gwarem hotel Plaża.

Kamery rejestrowały Randala Eliota w rozmowie z prezydentem Nowego Jorku... Randala Eliota w towarzystwie laureata Nagrody Nobla... Randala Eliota z gwiazdką filmową. Prowadziły go obiektywami aż do stołu honorowego, pokazując w zbliżeniu krój wypożyczonego smokingu oraz kropelki potu na jego łysinie.

Kamery zupełnie nie interesowały się żoną Randala Eliota, której pozostała jedynie przyjemność delectowania się zapachem róży wpiętej w dekollet. Piła szampana i czuła na skórze delikatny dotyk swojej najlepszej, jedwabnej bielizny. Słynny pisarz, siedzący po lewej stronie, w ogóle się do niej nie odezwał. Mary była mu wdzięczna, że skrył ją w cieniu, pochylając się nad stołem, aby uścisnąć dłoń Randala.

- A więc to pan jest tym człowiekiem, który pisze będąc w transie - powiedział do Randala.

Przez cały obiad podawano wysmienite potrawy; niewielkie porcje, za to na ogromnych ilościach porcelany. Mary ledwo zdążyła zjeść mus czekoladowy, gdy odezwały się zainstalowane w sali głośniki i ze ścian zaczęły płynąć pochwały kunsztu Randala Eliota, wyobraźni Randala Eliota, geniuszu Randala Eliota.

1

Mary, pochyliwszy głowę przyozdobioną ciemnymi warkoczami, popijała kawę. Kamery skupiły się na mężczyźnie po jej prawej stronie, następnie - po lewej. Pomyślała, że to dobrze, iż nikt nie fotografuje jej czterdziestosiedmioletniej twarzy i nie mówi o jej kunszcie, wyobraźni, geniuszu.

Randal wstał, aby odebrać nagrodę.

- Dwadzieścia lat temu byłem młodym nauczycielem uniwersyteckim. - Uśmiechnął się w stronę skupionych twarzy w ogromnej sali. - Miałem żonę i czworo dzieci, a szef mojego wydziału powiedział, że stracę pracę, jeśli czegoś nie napiszę, czegoś nie opublikuję. Więc... - Randal zawiesił głos - ...po raz trzeci znalazłem się w szpitalu psychiatrycznym.

Mary przyglądała się Randalowi. Wierzył w to, co mówił. Słyszała tę jego mowę z tuzin razy, ale nie w takim miejscu, nie przed nowojorskimi recenzentami, wydawcami, krytykami.

Randal drżał lekko zaciskając palce na brzegu obrusa.

- A gdy wróciłem ze szpitala, pewien, że stracę pracę, że nie przyjmie mnie żadna uczelnia, żaden uniwersytet, sądząc, że nigdy dotąd niczego nie napisałem... - Randal przerwał i słychać było jedynie ruch uliczny - ...żona powiedziała mi, że zanim poszedłem do szpitala, skończyłem swoją pierwszą powieść, *Dzielnice*. - Randal rozpostarł ręce nad lnianym obrusem, jakby leżał tam rękopis. - Nie pamiętałem, abym dyktował jej choć jedno słowo, ale faktycznie ta książka istniała; książka, którą miałem w głowie. Moje następne powieści też powstawały w ten sam sposób. - Randal ponownie się uśmiechnął. - Kuracja elektrowstrząsowa. Polecam ją jako skuteczny lek na niemoc twórczą.

Słuchacze zaśmiali się.

- Ale - głos Randal stał się sztucznie poważny - muszę też podziękować Muzie, tej płochliwej kobiecie, która nocą potajemnie odwiedza pisarzy. Nie wolno obrażać Muzy.

Publiczność zaczęła bić brawo Randalowi Eliotowi. Mary również się przyłączyła do aplauzu. „Pisarz lat siedemdziesiątych - rozległo się z innego głośnika. - Głos pokolenia. Przyszły laureat Nagrody Pulitzera.”

Mary niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w setki klaskających dłoni.

- Nagroda Pulitzera? - wyszeptała do Randal.

- Dowiedziałem się w zeszłym miesiącu, że są szanse. Ale wydałem tylko cztery książki - mruknął Randal uśmiechając się i machając ręką w stronę sali.

Nagle Mary usłyszała dźwięczący doniośle, wzmocniony głos:

- A teraz chciałbym przedstawić Mary Eliot, żonę Randala Eliota, kobietę stojącą zawsze u boku człowieka, któremu oddajemy dziś cześć!

Mary wstała. Pulitzer! Ledwie widziała setki twarzy, setki czarnych smokingów i wspaniałych wieczorowych sukni. Kamery telewizyjne rejestrowały drzenie jej rąk i gniew w oczach.

- Brawa dla kobiety, która pracuje u boku Randala Eliota, zapisując każde słowo jego wspaniałych powieści, nie pozwalając im przepaść bezpowrotnie!

Mary Eliot skłoniła się w stronę setek sumiennie klaskających dłoni. Poruszała wargami, pewnie dziękując za takie przyjęcie. Ale nikt nie przyglądał się jej zbyt dokładnie.

Kamery zwróciły się znów w stronę Randala Eliota. Mary Eliot usiadła, wciąż jeszcze drżąc.

Dziesięć lat później reporter *New York Timesa* odnalazł materiał filmowy, zarejestrowany tego wieczoru, odczytał słowa z ruchu warg Mary i napisał słynny artykuł o tym, co powiedziała Mary Eliot w hotelu Plaža 5 sierpnia 1977 roku.

Randal był ozdobą wieczoru w hotelu Plaža. Po obiedzie tłum otoczył go śmiejąc się i żartując. Randal Eliot, pisarz lat siedemdziesiątych, wspaniale sobie radził przy takich okazjach; na tym polu był geniuszem.

Mary przyglądała mu się, jak kończył drugiego drinka. Udało jej się szepnąć mu, że jutro wczesnym rankiem mają samolot.

Randal był zmęczony. Z wdziękiem przedarł się przez tłum w kierunku drzwi. Nie odzywał się w windzie ani w pokoju, gdzie, ziewając, powiesili swoje stroje wieczorowe.

Mary nie skomentowała obiadu, przemowy ani Pulitzera. Wśliznęła się do wielkiego łóżka i zamknęła oczy, szczęśliwa, że wreszcie ma ciszę i spokój.

Randal również się położył, ale za kilka minut znów był na nogach. Mary obserwowała go spod wpół przymkniętych powiek; nauczyła się nie spać, gdy on nie spał.

Nocna poświata Nowego Jorku rozjaśniała sufit i błyszczała na łysinie Randal, gdy chodził od ściany do ściany. Mary udawała, że śpi, ciągle rozmyślając o obiedzie w Plaża: Randal, na którym skupił się wzrok klaskającego tłumu, reflektory, kamery telewizyjne i ona, o jedno krzesło od centrum zainteresowania... o jeden krok od Pulitzera. Mary, niemal już zasypiając, wyobrażała sobie, jak mówi chłodno i spokojnie, patrząc po ludziach w zatłoczonej sali hotelu Plaża: - „Słyszeliście, jak Randal Eliot powiedział, że nie pamięta, kiedy napisał te cztery powieści. Nie pamięta dlatego, że to są moje powieści. Napisałam je od początku do końca; ja, Mary Quinn, przyszła laureatka Nagrody Pulitzera, pisarka lat siedemdziesiątych, głos pokolenia”.

Mary ocknęła się z półsnu; Randal przerwał swój spacer na bosaka, aby zapalić fajkę. Cichy szczeł i płomyk zapalniczki rozwiął senne marzenie Mary o zdziwionych twarzach tłumu w Plaża. Staliby tam przed nią, zaszokowani, a kamery telewizyjne ruszyłyby na nią jak jednookie rekiny.

A potem byłby śmiech, poruszenie, usiłowano by usunąć nieszczęsną Mary Quinn Eliot z widoku publicznego. Nie powiedziała jednak nic na tyle głośno, żeby ktoś mógł usłyszeć. Mary zacisnęła zimne, wilgotne dłonie na kołdrze. Tłum i kamery już dawno opuściły hotel Plaża. Nad łóżkiem unosił się dym z fajki Randal.

Nagle Randal złapał Mary i potrząsnął nią.

- Obudź się! - Puścił ją, zapalił światło i przekopywał biurko w poszukiwaniu hotelowej papeterii i długopisu. Zaspana Mary usiadła na skraju łóżka.

- Notuj! - krzyknął Randal, wciskając jej plik kartek i długopis. - Mam pomysł na następną książkę!

Mary zaczęła zapisywać akcję wymyśloną przez Randal i charakterystykę postaci. Randal nalegał, aby mu w kółko odczytywała „temat”, i gdzieś tam zmieniał jakieś słowa.

Mary, na wpół śpiąc, zapisywała kolejne strony wyraźnym charakterem pisma. Zaśmiała się w duchu, aby zapomnieć o rozgoryczeniu. Akcja! Postacie! Temat! Randal chciał je mieć na piśmie, jakby w jakiś sposób mogły przeistoczyć się w powieść, jakby można było stworzyć tak książkę. Biedny Randal. Nigdy nie napisał żadnej książki.

4

Randal w milczeniu chodził po pokoju. Mary odczekała chwilę, zgasła światło i położyła się. Randal chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Gdy zaczęło świtać, usiadł na łóżku zgarbiony, z wygasłą fajką. Mary nie mogła go pocałować, przytulić, ukoić. Nie pozwolił się dotknąć.

W końcu się położył. Oddychał teraz wolniej i głębiej. Mary zamknęła oczy i zasnęła.

2

Paryż! Londyn! Rzym! - Randal rozparł się wygodnie w pokrytym folią, odchylanym fotelu i uśmiechnął się do Mary, która myła okno w jego pracowni. - Wszyscy jedziemy! Cała piątka! Od września do Bożego Narodzenia! Mary przestała wycierać szybę.

- Co?

- Wszystko zaplanowałem.

- Nie będziesz miał wykładów?

- Poprosiłem o bezpłatny urlop na semestr jesienny, aż do stycznia. Jedziemy!

Mary odwróciła się do okna. Stary dom w Nebrasce miał duże szyby i odbijało się w nich oświetlone słońcem biurko Randała, wielobarwne okładki jego książek nad wytartym dywanem i Mary, mrużąca oczy przed światłem.

- Jak nie dostaniesz pensji, to z czego będziemy żyli?

- Nie widziałaś listu? - odparł Randal, wciąż się uśmiechając.

- Jakiego listu?

Randal usiadł głębiej w sfatygowanym fotelu.

- Mój *Czysty zysk* ukaze się w wydaniu masowym.

- W wydaniu masowym? - powtórzyła, nic nie rozumiejąc.

- Spójrz. - Randal wyciągnął w jej stronę kawałek papieru. Był to czek na wiele tysięcy dolarów, wystawiony na Randała Eliota.

Spojrzała głęboko w szaroniebieskie, błyszczące oczy Randal. Odwrócił się od niej w stronę rzędu książek na półce pracowni; książek z jego imieniem i nazwiskiem na obwolutach.

- Kiedy to przyszło? - spytała, oddając czek. Randal roześmiał się.

- Tego samego dnia, gdy przylecieliśmy z Nowego Jorku. Ale wiedziałem o tym już od kilku miesięcy.

Mary przysiadła na poręczy fotela. Twarz jej poczerwieniała pod koroną upiętych na głowie warkoczy przeplatanych pasemkami siwizny. Niewidzącym wzrokiem rozejrzała się po starym domu. Nagle zaśmiała się i przycisnęła dłonie do policzków.

- Tysiące dolarów! - powiedział Randal. - Chciałabyś dostać takie pieniądze.

Mary wydawała się go nie słyszeć.

- Wydanie masowe - powiedziała. - Pomyśl, ilu ludzi przeczyta teraz tę książkę!

- Sukces! Nie tylko dobre recenzje moich powieści, ale sukces! - krzyknął Randal.

Mary otworzyła oczy, aby jeszcze raz spojrzeć na czek. Wyciągnęła rękę, aby go dotknąć...

Randal cofnął go spoza jej zasięgu.

- Zabierzemy dzieci i pojedziemy!

- Dzieci? Już wszyscy mamy ponad dwadzieścia lat! - Beth wyszła z kuchni. W to gorące lato jej jasnobrązowe oczy stały się jeszcze jaśniejsze. - Dokąd mamy jechać?

Pomachał do niej czekiem.

- Mój *Czysty zysk* pojawi się w wydaniu masowym. Pieniądze, pieniądze, pieniądze! Pojedziemy wszyscy za granicę! Paryż! Londyn! Rzym! Ateny!

Beth nie patrzyła na matkę. Na pewno nigdy dotąd nie widziała czeku na taką sumę.

- To wspaniale...

- Co tu takiego wspaniałego? - zapytał wchodząc Jay, a zaraz za nim pojawił się Don. Byli to jasnowłosi chłopcy bez koszul, w luźnych dżinsach z kieszeniami wypchanymi kluczami, scyzorykami i dłutami.

- Spójrzcie na to - powiedziała Beth. Mary dostrzegła niepokój w oczach Jaya.

- Coś się stało?
- Wasz niedoceniany ojciec! - wykrzyknął Randal. - W końcu dostaję pieniądze za książki; mój *Czysty zysk* ukaże się w wydaniu masowym. Jak wam się to podoba? - wyciągnął czek w stronę Jaya i Dona.
- Pieniądze - powiedział Don.
- Nie, głuptasie! - wrzasnął Randal. - To Londyn! Paryż! Rzym! Ateny! Dla nas wszystkich! Spędzimy tam cały semestr jesienny! Mieszkamy w tej zatechłej dziurze, ale, na Boga, możemy podróżować!
- Wszyscy, oprócz Mary, zaczęli mówić naraz. Mary poszła do kuchni i zaczęła obierać ziemniaki na kolację. Z pracowni dochodziły triumfujące, radosne głosy.
- Ale zamieszanie - powiedział Don kilka minut później, wyjmując jej nóż z ręki, aby dokończyć obieranie ziemniaków. Od maja zapuścił gęstą brodę. Ten przystojny chłopak był już teraz mężczyzną, ale prosty nos i zielone oczy pozostały wciąż takie same.
- Mary patrzyła, jak spadają wąskie paski obierków.
- Tata dostał tyle pieniędzy - wyszeptał Don.
- Zdobył wielką popularność - odpowiedziała Mary ledwie słyszalnie.
- Weszła Beth.
- Jedziemy? - zwróciła się szeptem do Mary. Mary drgnęła.
- Wszedł Jay i zapytał cichym głosem:
- No i co wy na to?
- Nie wiemy - wyszeptała Beth.
- Mary westchnęła i podeszła do kuchenki, żeby pomóc Beth podsmażać kotlety schabowe.
- A co byście powiedzieli na młodą brukselkę? - powiedział Jay i zaczął przebierać warzywa nad zlewem.
- Nagle w drzwiach kuchennych pojawił się Randal.
- Jedziemy za granicę, idiotko! - wykrzyknął do Mary. - Albo jedziesz, albo jadę sam; chyba że dzieci zechcą się do mnie przyłączyć. Ty możesz zostać w domu.
- To nie dlatego, że nie chcę jechać - powiedziała Mary, nie patrząc w iskrzące się gniewem oczy Randal.

- Dzięki mnie mamy pieniądze!- wrzeszczał Randal. - Sądziysz, że zaprzepaszczę szansę pracy w tamtejszych bibliotekach? Róbcie, co chcecie, ale ja jadę!

Wyszedł trzaskając drzwiami. Pewnie przejedzie się teraz na rowerze ze dwa lub trzy kilometry; jeździł na rowerze gdy tylko mógł, chodził też na kręgle, ale i tak tył coraz bardziej.

- Co zrobimy? - spytała Beth.

- Póki Randal nie ma w domu, zadzwonię do doktora Parker a. - Mary zamknęła drzwi kuchni i przez chwilę stała obok telefonu, słysząc głosy rodziny, patrząc na swojski nieład, czując zapach przyrządzanej kolacji.

Musiała poczekać, zanim połączono ją z doktorem.

- Przepraszam, że pana niepokoję - powiedziała - ale martwię się o Randal. Będzie jutro z panem rozmawiał. Uparł się na wyjazd za granicę od września do Bożego Narodzenia i grozi, że polecą tam sam, jeśli się z nim nie wybierzemy.

Głos doktora Parkera przez telefon brzmiał jeszcze spokojniej niż zwykle.

- Może pani pojechać?

- Mogłabym... I dzieci też by mogły...

- Sądzę, że powinna pani wziąć to pod rozwagę - odrzekł doktor.

- Zabrać go o tysiące kilometrów stąd? - zapytała Mary.

- Podróż dobrze by mu zrobiła - odparł doktor chłodnym, beznamiętnym głosem.

- A jeśli mu się tam pogorszy? Czy wytrzyma pobyt na oddziale psychiatrycznym po raz siódmy? Może stracić pracę...

- Wydaje mi się, że ma dość mocną pozycję na uniwersytecie -powiedział doktor Parker. - Z taką opinią... Niech mu pani pozwoli postąpić tak, jak zechce. Dam pani nazwisko dobrego lekarza w Anglii.

- Ale co będzie, jeśli Randal...

- Nie może być pani psychiatrą swojego męża - odparł doktor Parker suchym tonem.

Mary przygryzła wargę.

- Nie mogę? - zawołała. - A czy pan pojedzie za granicę, aby go pilnować i w razie czego odstawić do szpitala psychiatrycznego?

- Czasami trzeba podjąć ryzyko - spokojny głos doktora był bardziej obojętny niż zazwyczaj.

Mary drżącą ręką odłożyła słuchawkę. Kolacja przypalała się na kuchence. Dzieci czekały w jej małym gabinecie na piętrze, gdzie wentylator porozrzucił papiery na biurku.

- Jedziemy? - spytał Jay, gdy Mary weszła do pokoju. Przygładził ręką mocno kręcone blond włosy. Był wysoki, szczupły i silny.

- Tak twierdzi Randal. To jego pieniądze - odparła Mary. - Ale co będzie z czesnym za szkołę za ciebie i Beth i z kapitałem dla Dona, na rozkręcenie interesu?

- Zobaczylibyśmy Londyn i Włochy, i Grecję - rzekła Beth.

- Ale ja chcę otworzyć sklep... - powiedział Don. - I musiałbym pojechać bez Carli...

- Miłość, miłość, miłość - Beth drażniła się z Donem.

- Jedź, zanim się ożenisz - powiedział Jay do Dona.

- Carla mogłaby przypilnować domu - stwierdził Jay. - Gdyby Mike nie dostał tego stypendium, też mógłby z nami pojechać.

Mary pomyślała o Michaelu, najstarszym swoim dziecku. Mike jest antropologiem, ma trzy lata spędzić w Afryce, co jest dla niego życiową szansą, i nie zamieniłby tego na eskapadę proponowaną przez Randalą.

- Rozmawiałaś z doktorem? - spytała Beth.

- Przed chwilą. Nie sądzi, aby to było niebezpieczne - odpowiedziała Mary. - Randal jutro się do niego wybiera.

- Gdyby tata przestał przesiadywać w tym swoim fotelu, zerwał z rutyną, może by mu to pomogło - stwierdził Jay. - Tyje coraz bardziej i nic go nie interesuje.

- Nawet nie pojawia się w ogrodzie. Kiedyś chodził tam i dopytywał się, co też z Jayem sadzimy - powiedziała Beth.

- Nigdy nie potrafił zapamiętać nazw roślin - dodał Jay.

- Pisze - powiedziała Mary.

- Gryzmoli na odwrotach zużytych kopert - odrzekł Jay. Dzieci spojrzały po sobie. Mary zeszła na dół, by dokończyć przygotowywanie kolacji. Po chwili usłyszała, że Randal wrócił.

- Chodź jeść! - krzyknęła w stronę jego pokoju. Gdy Randal z rozmachem otworzył drzwi, siedziała wraz z dziećmi przy stole.

- W moim portfelu brakuje pięciu dolarów - krzyknął. Twarze siedzących przy stole nie wyrażały żadnych emocji.

- Powiedziałeś, że mogę wziąć pieniądze na kupno nowego pędzla - rzekł Don.

- I nawet jeszcze nie zaczęłaś malować ganku. Nikt się nie odezwał. Czekali spokojnie.

- Nie chcę kolacji. Wyrzucić ją - powiedział Randal i poszedł z powrotem do swojej pracowni, trzaskając drzwiami. Don i Jay zjedli kolację, swoją i Randalą, i zeszli do piwnicy, tupiąc nogami. Mary sprzątała ze stołu, kiedy Randal otworzył drzwi i podszedł do niej.

- Nauczyłaś swoje dzieci niedotrzymywania obietnic. Don obiecał, że pomaluje ganek. Maluje? Nie! - Przysunął się tak blisko, że Mary czuła zapach wina. Opluł jej twarz; był tak pijany, że z trudem mówił. - Spryciula! Dziwka, której się wydaje, że jest taka sprytna! Gównu! - Z hukiem zamknął za sobą drzwi pracowni.

Mary poszła do kuchni. Beth wytrząsała resztki jedzenia z sitka zlewozmywaka do wiadra na śmieci. Spojrzała na Mary i przeniosła wzrok na sufit.

Mary roześmiała się, wyładowując w ten sposób nagromadzoną złość. Przeszła przez podręczną rupieciarnię w garażu, usiadła na ławce i wyprostowała zmęczone nogi.

Wysoko ponad nią, na tle rozgwieżdżonego nieba Nebraski, wznosił się stary, wysoki dom z rozświetlonymi oknami. Don i Jay pracowali przy motocyklu Jaya; stukanie młotkami zlewało się z brzęczeniem owadów w letnią noc. W parku, po drugiej stronie ulicy, krzyczały dzieci.

Coś się poruszyło w winorośli bocznej werandy - to układał się na spoczynek wróbel, który miał tam gniazdo. Nagle w głębi garażu trzasnęły drzwi kuchenne i zajaśniała biała bluzka Beth. Podeszła do Mary.

- Co tam masz? - spytała Mary.

- Rozochoczonego kota - odrzekła Beth, stawiając starego kocura, Waldo, na trawie. Usiadła obok Mary w słabym świetle padającym z parku.

- Cudownie jest tutaj - powiedziała Beth, podnosząc Waldo. Westchnęła. - Co z wyjazdem za granicę?

Mary spojrzała na Randalą, widocznego zza okna pracowni. Łysina lśniła mu w świetle lampy.

- Myślę o wydatkach na szkołę dla ciebie i Jaya i o pieniądzach na sklep Dona... i czy Randal będzie się dobrze czuł za granicą.

- Gdyby tylko Mike mógł pojechać... - westchnęła Beth. - Był od nas daleko, gdy uczył w Yale, ale teraz nawet nie możemy do niego zadzwonić. Listy idą tygodniami.

- Nie będzie wiedział, że wyjechaliśmy.

- To taka wioska w środku Afryki, którą trudno znaleźć na mapie. Nie mogę sobie wyobrazić, że Mike tam jest.

Wciąż piszę i nawet nie wiem, czy otrzymuje moje listy.

Siedziały cichutko w ciemnościach, myśląc o Michaelu. W końcu Mary odezwała się:

- Przeraża mnie myśl o powrocie Randa a tam, gdzie spędziliśmy wspaniały miesiąc miodowy; gdzie byliśmy zupełnie innymi ludźmi.

- Może przypomni to i będzie szczęśliwy - powiedziała Beth. - Uświadomi sobie, jak daleko zaszedł od tamtych czasów. Że napisał te wszystkie powieści i jest sławny, obsypywany nagrodami. A teraz to masowe wydanie!

- Tak. - Głos Mary zabrzmiał sucho. - Osiągnął wszystko. Kiedy Beth i Mary wróciły do domu, wciąż pachniało kolacją.

Poszły na piętro, do sypialni, pokonując wąskie schody w przyćmionym świetle padającym z pracowni Randa. Don już zasypiał.

- Dobranoc - powiedziała Mary, głaszcząc go przez kołdrę. Wymamrotał coś, a ona skierowała się w stronę drzwi, omijając sterty czasopism, planów architektonicznych sklepu i zdjęć. Kiedyś dzielił pokój ze starszym bratem, ale łóżko Michaela zostało usunięte i Don pozwolił Jayowi zbudować pod ścianą stojaki na orchidee.

Beth siedziała w gorącym świetle lampy w pokoju obok, wypisując na maszynie kartki katalogowe swojego największego skarbu - książek. Obok maszyny leżała lektura wymagana na studiach w semestrze zimowym.

Pokój Jaya cały wibrował od ogromnego wentylatora ustawionego na podłodze.

- Dobranoc - powiedział, widząc ją w drzwiach.

- Dobranoc - odpowiedziała Mary, zostawiając Jaya w jego zoologicznej rupieciarni pełnej kleszczy, foliowych kopert, butele-

czek, nalepek, zasuszonych owadów i kwiatów, torebek z nasionami, noży wyniesionych z kuchni i lepiących się łyżek.

Brzęczały ogromne wentylatory. Mary rozebrała się w łazience i stanęła pod kaskadą chłodnej wody z prysznica; następnie wytarła się do sucha ręcznikiem, włożyła koszulę nocną i wyszła do korytarza.

Poczuła przypominający zepsute rodzynki zapach wina i potu; Randal pewnie jest już w łóżku. We wszystkich pokojach było ciemno, ożywiały je tylko szum wentylatorów za otwartymi drzwiami sypialni; odgłos czasów, kiedy to Randal niecierpliwie czekał na nią w łóżku, kładł dłonie na jej nagim ciele, zanim jeszcze zdążyła wśliznąć się w jego ramiona, śmiejąc się, całując. Drzwi od ich sypialni nie miały zamka, więc ustawiali przy nich stół, żeby dzieci nie mogły wejść do środka.

Mary zeszła na dół. Szerokie schody skrzypiały gdzieś, ale nikt nie mógł jej usłyszeć poprzez odgłos wentylatorów.

Księżyc rzucał ukośną poświatę na dywany w dużych pokojach na dole, a przez otwarte drzwi słychać było szum drzew i bzyk nocnych owadów. Światło z parku po drugiej stronie ulicy rzucało cienie huśtawek, wyglądające jak nogi pająka.

Promień księżyca, drżący w liściach klonu, oświetlał pracownię Randala. Randała nie było w fotelu; Mary mogła zdjąć z półki książki podpisane jego imieniem i potrzymać ich twarde, ciężkie kształty w rękach. Na niższej półce stały albumy z wycinkami prasowymi. Od czasu do czasu Randal mówił: „Masz, wklej to do albumu” - i wręczał Mary garść wycinków. Wtedy dowiadywała się, że jej książki zdobyły nagrody... że je krytykowano, analizowano, chwalono.

Z jednej ze stron w albumie uśmiechała się do niej twarz Randala. W jasnym świetle księżyca Mary mogła odczytać podpis: „Randal Eliot umie uchwycić lepiej niż jakikolwiek inny pisarz współczesny to, co człowiek dwudziestego wieku często odczuwa, choć nie potrafi wyrazić. Wielu współczesnych powieściopisarzy przyznaje, że Eliot to prawdziwy geniusz. Nikt poza nim nie potrafił tego osiągnąć.”

Mary odłożyła album z powrotem na oświetloną światłem księżyca półkę.

Czek na tysiące dolarów leżał na biurku Randala. „Chciałabyś zgarnąć takie pieniądze.”

Mary podniosła czek. Jej własny czek. Teraz każde słowo, które napisała w swojej ostatniej książce, przynosi pieniądze; każda litera.

Odłożyła czek, nasłuchując jakichś odgłosów z domu, ale nie usłyszała nic poza owadami, szelestem liści i warkotem przejeżdżającego samochodu.

Weszła na krzesło stojące przy ścianie z szafkami kuchennymi. Nikt nigdy nie otwierał górnych drzwiczek w rogu; nie było gałki. Podważyła brzeg drzwiczek paznokciem i wyjęła notes.

Gdyby ktoś ją przyłapał, powiedziałaaby: „Piszę pamiętnik.”

Kilka minut później, zgarbiona przy lampie w saloniku, zatopiła się w swą niemal już skończoną książkę. Ostatnie rozdziały nowej powieści Randal Eliota rozdziły się pod jej lekko skrzypiącym piórem.

Na trawnikach pojawiły się już żółte liście. Dzieci szły do szkół w gorącym porannym słońcu. Mary pomagała pakować walizki, znalazła sąsiada, który obiecał karmić kota Waldo, zawiesiła dostarczanie prasy i wstrzymała całą powszednią egzystencję. Na biurku Randal leżało pięć biletów lotniczych.

- Boję się - powiedziała Norze Gilden. Od lat raz w miesiącu chodziła do Nory na lunch; rozmawiały nad sałatką i winem jak dwie stare przyjaciółki. Nora była ubogą dziewczyną z Północnej Karoliny, „która wyszła za męża dla pieniędzy, a trafiła do piekła”, jak zawsze mówiła. Więc rozwiodła się ze swoim „piekłem” i pobrała się z pieniędzmi. Teraz Nora była bogatą wdową, właścicielką domu z czerwonej cegły, pełnego antyków. „Dla zabawy” uczyła na uniwersytecie.

- Boisz się, że Randal się tam rozchoruje? - spytała Nora. -Szkoda, że Michael jest w Afryce, ale pozostała trójka też jest bardzo pomocna, odpowiedzialna...

- Randal zagroził, że pojedzie sam, jeśli nie zechcemy mu towarzyszyć - Mary przerwała na chwilę. - Gdyby był mi powiedział, co się dzieje! Nagrody... listy od sławnych ludzi... te plotki o Nagrodzie Pulitzera... Poprosił o bezpłatny urlop już w czerwcu, ale nic mi nie powiedział!

Nora wzruszyła ramionami.

- Jest znaną postacią. - Spojrzały po sobie i Mary uśmiechnęła się do Nory, kobiety o obfitych kształtach i nieprzeciętnym umyśle; była istną skarbnicą wiedzy o ludziach.

- Tacy byliśmy szczęśliwi, gdy ojciec Randal wysłał nas tam w podróż poślubną. - Nagle oczy Mary napełniły się łzami.

Ojciec Randal siedział w kuchni w domu swojej siostry, na skraju miasta. Patrzył na Mary i Beth jak na obce osoby.

- Całą piątką wyjeżdżamy jutro do Europy - powiedziała Mary do D.L.'a. W kuchni panował chłód, choć za oknami domu ciotki Violi był gorący, piękny dzień.

- To Mary, twoja synowa - powiedziała Viola drżącym głosem, pochylając się nad D.L.'em w sposób, jak to zwykle czyniła, poprawiając mu koszulę i resztki włosów na głowie, jakby mogło to przywrócić mu pamięć. - Pamiętasz ją?

- A ja jestem twoją wnuczką - odezwała się Beth.

D.L. nie odpowiedział. Na klapie jego sportowej marynarki widniała ciemna plama w kształcie brązowego serca.

Mary i Beth siedziały po obu jego stronach, ale wodniste, dziewięćdziesięcioletnie oczy D.L'a unikały ich i błędziły po kuchni.

- Twój syn, Randal - powiedziała Mary - to mój mąż. Doktor uważa, że podróż za granicę może być dla Randal wskazana. Właśnie dlatego wszyscy jedziemy. Jest twoim synem, pamiętasz? Pamiętasz Randal? Pamiętasz, jak zafundowałeś Randalowi i mnie wspaniałą podróż poślubną do Europy?

- Tata ciągle choruje - powiedziała Beth. - Musimy wyciągnąć go z tej nudy codziennego życia. To właśnie on chce, żebyśmy wszyscy pojechali za granicę.

Oczy D.L.'a wpatrywały się w światła szkoły po drugiej stronie ogrodu ciotki Violi.

- Legislatura pracuje do późna - powiedział D.L. Wydawało mu się, że mieszka obok budynku Kapitolu.

- Randal niemógł przyjsć odwiedzić; matylerzeczydozrobienia

przed wyjazdem. - Mary kłamała wiedząc, że D.L. nie pamięta, iż Randal nigdy go nie odwiedza. Nie widział swojego ojca od lat.

Wzrok D.L.'a przesunął się powoli z rozświetlonych okien szkoły na jego spoczywającą na stole dłoń.

- Ciocia Viola tak się o ciebie troszczy, że nie musimy się o nic martwić - powiedziała Mary. - Wie, jak się z nami skontaktować, gdybyś nas potrzebował. - Uśmiechnęła się do Violi, a ta, dygocząc, odwzajemniła uśmiech.
- Chcielibyśmy, żebyś też mógł z nami pojechać, dziadku - powiedziała Beth.
- Musimy już iść, bo zaraz będziesz jadł kolację, ale przyjdziemy znowu, natychmiast po powrocie z podróży. - Mary pocałowała łysinę D.L.'a.
- Do widzenia, dziadku - pożegnała się Beth. Wzrok D.L.'a znów był skierowany na szkołę.
- Legislatura pracuje do późna - powiedział.

3

Czarterowy DC-8 uniósł się z pasa startowego, zakręcił nad Chicago i skierował się na wschód.

- Polecimy nad oceanem. Przeraza mnie to - wyszeptała Mary do Randala.

Randal się nie odezwał. Siedział obok niej z zamkniętymi oczami. Mary wstrzymała oddech, dopóki chmury nie zakryły ziemi widocznej poniżej. Stewardesa zaczęła podawać im czasopisma, gazety i zimne napoje.

- Tak się to robi - odezwała się Beth, rozkładając stolik przed fotelem Randala.

- A to jest przycisk lampki nocnej - powiedział Jay.

- A ten od nawiewu - dodał Don. - Ale dmucha.

O zachodzie słońca niebo przypominało piekło Dantego: pejzaże z chmur, przetykane strzępami mgły, ciągnęły się w nieskończoność. Niebo ciemniało coraz bardziej, jak znikająca nadzieja, a krwawe słońce zapadło w szkarłatną rozpadlinę. Patrzyli, jak piekło zamieniło się w czerwoną smugę i znikło.

Teraz samolot był jak muszelka wypełniona światełkami w miejscach, gdzie ludzie czytali, spali albo popijali przy pozasłanianych iluminatorach. Rodzina Eliotów leciała poprzez noc nad niewidocznym oceanem, jedząc obiad z małych plastikowych miseczek. Spacerowali po samolocie, czytali, rozmawiali; rodzina bez dobytku, poza okryciami i pięcioma podręcznymi torbami, które spoczy-

wały u ich stóp. Dzieci nie mogły spać, były zbyt oczarowane tą przygodą. Randal spał. Potem nastał świt.

- Dlaczego słońce wstaje w środku nocy? - spytała Beth zdziwionym, zaspanym głosem. Głowę opartą miała o ramię Mary. Słońce wpadało wąskimi smugami do wnętrza samolotu, oświetlając rzędy skulonych w fotelach, drzemiących ludzi.

Samolot schodził w dół, ku wyglądającej jak brązowa skorupka Islandii.

- Wygląda jak przypalone ciastko - powiedział Jay. Eliotowie, mrużąc zaspane oczy i ziewając, pochodzili trochę pomiędzy półkami bezcłowego sklepu na lotnisku i z powrotem zajęli swoje miejsca w samolocie.

- Gdzie się podziała noc? - spytał Don, spoglądając przez okna na słoneczne popołudnie, gdy w końcu znaleźli się już na lotnisku w Luksemburgu.

Dla Beth, Jaya i Dona był to pierwszy obcy kraj i przyglądali mu się z ciekawością.

- Wyglądają jak Amerykanie - stwierdziła Beth, gdy czekali w kolejce do odprawy.

- Ale mówią inaczej niż my - zauważył Jay.

Randal poszedł wraz z rodziną wymienić pieniądze w banku na lotnisku.

- To mają być pieniądze? - zdziwił się Jay, przypatrując się plikowi kolorowych banknotów.

Starannie opisana trasa autobusu, do którego wsiedli, nic im nie mówiła.

Teraz, w drodze do hotelu, w końcu zaczęło do nich docierać, że są tysiące kilometrów od domu.

- Patrz! Widziałeś to? Do czego to jest? Co tu jest napisane? Buty Randała o grubych podeszwach sprawiały wrażenie, jakby

były na niego za duże; szurał nimi, próbując dotrzymać kroku innym. Mary przyglądała mu się, gdy szli tak ulicami Luksemburga. „Ależ on zgarbiony i gruby” - pomyślała.

Pokoje hotelowe były chłodne i czyste. Zdjęli z ramion torby podróżne.

- Teraz zakupy na kolaq'ę i na podróż pociągiem do Paryża! -wykrzyknęła Beth.

- No to już! - powiedział Don. - Chodźmy poszukać czegoś do jedzenia.

Poszli, a Mary, myjąc twarz w łazience, pomyślała, ileż to niespożytej energii mają młodzi ludzie; sprawiali wrażenie, jakby unosili się cały czas na jakiejś poduszce powietrznej. Randal usiadł przy oknie i nabił fajkę. Mary odsunęła na bok kotary zasłaniające okno. Przyzwyczaiła się, że rozmowa z Randalem była raczej jej monologiem.

- Jutro jedziemy do Paryża. Nie widzieliśmy Paryża od czasu, gdy spędzaliśmy tam nasz miesiąc miodowy.

Pamiętasz, jak strasznie wtedy lało?

Randal się nie odezwał.

- Pamiętasz? - powtórzyła Mary, jakby oczekiwała, że zaraz odwróci się do niej z uśmiechem i powie: „Pamiętasz, jak padało za oknami tej małej *patisserie*, gdzie jedliśmy ciastka? Pamiętasz, jak kochaliśmy się w Paryżu przez prawie całą noc?”

- Ten hotel będzie nas kosztował ponad sześćdziesiąt dolarów za noc - powiedział Randal. - Nie możemy sobie na to pozwolić. Cała ta podróż będzie kosztowała dwa razy więcej, niż przypuszczałem. Będziemy musieli wrócić najpóźniej w listopadzie. Jak dzieci trafią z powrotem do hotelu? Pomyślałaś o tym?

- Dzieci znają nazwę hotelu i mają dobrą orientację w terenie; nie tak jak ja. Pamiętasz, jak Don oprowadzał nas po Denver? - odparła Mary, znowu mówiąc do siebie. - Spójrz na te łóżka; nie zmienili ich od czasu, gdy tu byliśmy. Mamy do wyboru: albo spać tylko pod prześcieradłem i zamarznąć, albo spać pod tą krótką pierzynką i ugotować się. Jeśli wybierzemy pierzynkę, nadal pozostaje wybór: czy mają nam zamarznąć ramiona, czy stopy.

- To był twój pomysł - powiedział Randal. - To wszystko był twój pomysł. Chyba oszalałaś. Sześćdziesiąt dolarów za noc i to bez posiłków, jedynie ze śniadaniem.

Mary przypomniała sobie, że gdy spędzała z Randalem ostatnią noc w Europie, gdzieś przez cały czas płakało dziecko. Odsunęła firankę. Okno było otwarte. Usłyszała jedynie odgłosy samochodów i nawoływania dzieci bawiących się pod wciąż zielonymi drzewami.

Gdy wsiadali do pociągu do Paryża, Don i Jay dźwigali pojemniki z lunchem. Eliotom wydawało się, że są bardzo sprytni, ponieważ udało im się znaleźć w zatłoczonym pociągu miejsca siedzące. Skąd mieli wiedzieć, że znaleźli się w przedziale pierwszej klasy? Randal musiał zapłacić konduktorowi równowartość trzydziestu dolarów we frankach.

- Przynajmniej możemy zjeść lunch na siedząco - powiedziała Beth. - Wagony drugiej klasy są zapchane ludźmi.

Randal patrzył ponuro przez zabrudzone okno pociągu.

Paryż! Mary i Don studiowali mapkę metra.

- Skąd wiadomo, jakiego koloru ma być linia, którą pojechać? - spytała Beth, zaglądając im przez ramię.

- Na końcu linii jest jej nazwa - odpowiedział Don. - Chodźmy. - Randal szedł za nimi po schodach w górę i w dół, aż wsiadli do metra, które dowiozło ich do Luwru.

Na ulicy Rivoli wrzało od ruchu ulicznego. Znaleźli hotel St. Ignace i pokoje zarezerwowane wcześniej przez Mary.

- Pamiętasz, jak z sufitu kapą nam prosto na łóżko, a recepcjonista nie rozumiał, o co nam chodzi? My przyprowadziliśmy go na górę, spojrzał i krzyknął: „*Mon Dieu!*” - przypomniała Mary Randalowi.

Dzieci ze śmiechem pchnęły szklane drzwi i podeszły do recepcji, a Mary rozmyślała o tym, jak Randal kochał się z nią w tym hotelu przed prawie trzydziestu laty. Wiatr wydymał zasłony nad oknem przy balkonie. Rano pokojówka weszła do pokoju, niosąc śniadanie na tacy, i zastała ich wciąż objętych, śpiących w łóżku.

Tym razem pokój dzieci był ogromny i przewiewny. Zasłony poruszały się, odsłaniając widok na Paryż. Pokój Randała i Mary w ogóle nie miał okna. Był ciemny jak wnętrze szafy i miał nie większą od szafy łazienkę.

- Okropny! - powiedziała Mary. - Ciemna nora! - Nagle zobaczyła podwójne drzwi w jednej ze ścian. Otworzyła je.

Kraty z kutego żelaza odgradzały małe podwórko w kształcie studni, gdzie rosło parę roślin. Perlista jasność z niewidocznego nieba padła na poduszki i koce, na ich torby i na łysinę Randała.

Gdy wyszli na ulicę, ostatnie promienie słońca muskały Paryż jak pędzel malarza impresjonisty, pokrywając złotą poświatą spadające liście, włosy przechodzącego dziecka, kamienną wieżę.

- Paryż! - westchnęła Mary, gdy weszli do ogrodów Tuileries. Randal zatrzymał się. Miał Luwr po lewej stronie, a Łuk

Triumfalny po prawej.

- Dzieci się zgubią. Mówiłem im, żeby się nas trzymały - powiedział. W tym samym momencie Don, Jay i Beth dogonili ich i cała rodzina stała razem w jednolicie ciemnych spodniach i kurtkach, jak ponura plama w sercu biało-zielonej panoramy, ciągnącej się od Luwru, przez ogrody, przecinającej Plac Zgody, biegnącej dalej, wzdłuż Pól Elizejskich, aż do odległego, zamglonego Łuku Triumfalnego.

- To właśnie chciałam wam pokazać! - wykrzyknęła Mary. - Voie Triomphale! - Nikogo nie było w pobliżu.

Wszystko należało tylko do nich. Lekki wiatr rozwiewał włosy Beth na tle Traktu Triumfalnego.

Poszli wzdłuż Sekwany do Notre Dame.

- Myślałaś, że już nigdy nie ujrysz Notre Dame - powiedział Don do Mary.

- Co zrobimy jutro z posiłkami? - spytał Randal. - Nie możemy sobie pozwolić na...

- Wyjdziemy po śniadaniu i kupimy żywność; wokół hotelu jest pełno sklepów - powiedział Don.

- Przywiozłam kawę rozpuszczalną, cukier, śmietankę i czekoladę w proszku - dodała Mary.

Niebieskawe światło padało teraz na Sekwanę, na spacerujących ludzi, na fasadę katedry.

Randal oświadczył, że jest zmęczony. Gdy wrócili do hotelu, położył się do łóżka, a Beth, Don i Jay przyszli z ręcznikami, aby skorzystać z prysznic; siedzieli na łóżku Mary i czekali na swoją kolejkę. W ich oczach widać było podekscytowanie tym wszystkim, tak dla nich nowym i obcym.

Gdy poszli, Mary wzięła prysznic i wytarła się ręcznikiem. Z podwórka-studni dobiegało przez otwarte okno pobrękiwanie talerzy i sztućców.

Wchodząc do łóżka, Mary pomyślała, że standard hotelu St. Ignace znacznie się pogorszył. Prawdopodobnie pokój, który za-

jmowała kiedyś wspólnie z Randalem, podzielono na dwa albo trzy mniejsze. Gdy już zasypiała, przed oczami stanął jej ich dawny pokój, z porozrzucanymi ubraniami zdejmowanymi w pośpiechu.

- Tata nie pił dzisiaj wina - szeptały dzieci co wieczór. Randal poszedł z nimi na spektakl „światło i dźwięk” do katedry Notre Dame. Zwiedzili Luwr, ogród botaniczny, byli na koncercie muzyki renesansowej w Sainte-Chapelle, pływali statkiem po Sekwanie, byli w Jeu de Paume. - Tata nie jest alkoholikiem - stwierdził Jay w muzeum Cluny. - Nie pił od dziewięciu dni.

I w pewien pochmurny poranek oczywiście pojechali do Chartres. Za zakrętem drogi pojawiły się witraże katedry.

- Och! Patrzcie, patrzcie! - krzyknęła Mary. Gdy się zbliżali, przypatrywały im się wspaniałe kamienne postacie na fasadzie.

Weszli do wnętrza. Witraże górowały nad nimi, z każdym krokiem zmieniając ogniste barwy. Katedra wyciszyła ich głosy.

- Gdzie jest nasz witraż bożonarodzeniowy - *La Belle Verriere*? spytała szeptem Beth. Posuwali się wolno szukając Madonny z Dzieciątkiem, które Mary skopiowała przezroczystymi farbami na plastiku. W każde święta Bożego Narodzenia wieszala tę reprodukcję w oknie przy drzwiach frontowych.

- Jest tam! - powiedział Jay. - Wygląda zupełnie tak jak na twojej kopii! Tam w górze! Patrzcie!

Stali wyciągając szyje w smudze światła rozproszonej na kamiennej posadzce, z uroczyście poważnym wyrazem twarzy. Znali jedynie twarze Madonny i Dzieciątka. Teraz mieli przed sobą wizerunek całej, wspaniałej sylwetki Madonny, w odcieniach topa-zu, szmaragdu, szafiru i rubinu, błyszczącej szlachetniej niż najwspanialsze klejnoty.

- Nasze okno - powiedziała Beth. Dwunastowieczne oblicza Madonny i Dzieciątka, zwieńczone koronami, spoglądały bacznie na Eliotów i były tylko ich. Gdy wychodzili, Mary odwróciła się, żeby jeszcze raz popatrzeć na nieprawdopodobną ognistość barw, i zauważyła, że dzieci zrobiły to samo.

Gdy w końcu, mrużąc oczy, opuścili mroczne wnętrza, stwierdzili, że są zmęczeni i głodni. W małym ogródku ustawione były

stoliki. Usiedli pod szarym niebem, żeby zjeść przywieziony przez siebie lunch, a Jay wykorzystał skraj kosza na śmieci do zdjęcia kapsli z butelek z napojami.

Zaczęło padać. Mary umyła ręce w damskiej toalecie po drugiej stronie ulicy i po drodze zmokła na deszczu.

Zeszli do ciemnej, zimnej krypty katedralnej, gdzie mężczyzna z niemieckim akcentem przekrzykiwał francuskiego przewodnika, domagając się wyjaśnień.

- Klęczące anioły! - krzyczał. - Gdzie są klęczące anioły? - Wyciągnął książkę. - Tutaj są, widzicie? - pytał wszystkich, trzymając książkę przed sobą, jak martwe dziecko. - Tak wyglądały! Zdrapali je, dlatego że pod spodem były stare malowidła! Ale starsze wcale nie są piękne! Nie ma na nich aniołów! - usiadł z książką na kolanach.

Zimny deszcz rozmył ostatni widok Notre Dame. Schronili się w ciepłe bufetu dworcowego, pijąc gorącą czekoladę i wyliczając, ile ciekawych rzeczy ostatnio widzieli. Tylko Randal, kręcąc głową, liczył resztę pieniędzy.

- Za drogo - powiedział Randal. - Wszystko kosztowało za drogo.

Ostatni wieczór w Paryżu pieścił ich swoim ciepłem. Poszli na spacer Polami Elizejskimi, aż do Łuku Triumfalnego. Randal trzymał się jakieś dwa, trzy metry za nimi, szurając ciężkimi butami. Jay i Don szli obok Mary; dwóch młodych mężczyzn zamiast tego jednego, który był przy jej boku dwadzieścia dziewięć lat temu.

Beth odwróciła się uśmiechnięta do matki. Barwne neony migały ponad nimi. Jutro będą w Londynie. Daleko przed nimi reflektory oświetlały ogromny prześwit Łuku Triumfalnego, za którym była już tylko noc.

Tam, pod Łukiem, pochowany był nieznany żołnierz. Górowali nad nim jego przełożeni: ściany pokryte były nazwiskami oficerów. Szczyt Łuku ozdobiono nazwami miejscowości, w których stoczone zostały słynne bitwy.

Przeglądając się gwiazdom nad Łukiem Triumfalnym, Mary objęła Beth.

- Kiedy wreszcie zobaczymy Łuk Triumfalny poświęcony kobiecie? - spytała Beth. - Może powinien być okrągły lub w kształcie jajka, z wypisanymi nazwiskami kobiet i z ich szlachetnymi czynami, które nie polegały na zabijaniu, z nazwiskami ich sławnych dzieci?

Odeszli od Łuku Triumfalnego w blasku wspaniałego miasta; dwóch przystojnych, młodych mężczyzn, piękna, młoda dziewczyna i Mary. Mary odwróciła się w stronę Łuku, świadoma, że ktoś idzie za nimi, szurając butami; mężczyzna, którego z trudem rozpoznawała. Uparty kształt na tle poświaty Paryża.

4

Hotel Montroy Private w Londynie był dokładnie taki, jakim go Mary zapamiętała: gorące natryski i śniadania składające się z odrobiny soku pomarańczowego z puszki, sadzonych jajek, smażonych pomidorów, płatków kukurydzianych i zimnych tostów.

- Zamarznięte masło na zimnym toście! - skomentowała Beth pierwszego ranka. - Chyba nie robią tego na złość?

- Kto ma jakieś brudne ubrania? - spytał Jay, gdy wrócili do swoich pokoi. - Przejdę się do pralni. - Wrócił w porze kolacji i powiedział: - Tak sobie pomyślałem, że może, zanim wynajmiemy tu mieszkanie, powinniśmy pojechać do Szkocji.

- W ten sposób nie musielibyśmy płacić jednocześnie za hotele w Szkocji i za wynajęte mieszkanie w Londynie - poparła Beth.

- Możemy pojechać z Londynu do Edynburga pociągiem; jest ekspres - powiedziała Mary. Spojrzała na Randalą. - Co ty na to?

- Jesteśmy szkockiego pochodzenia - rzekł Jay. - Powinniśmy pojechać.

- Zanim zrobi się zimno - dodał Don.

- Pojedziemy? - spytała Mary Randalą. Nie odpowiedział. Palił fajkę i przyglądał się, jak pakują swoje torby podróżne.

Wyjechali następnego ranka.

W pociągu pospiesznym do Szkocji Mary przyglądała się Randalowi. Patrzył przez okno pustym spojrzeniem, nic przejawiając większego zainteresowania krajobrazami czy też współtowarzyszami podróży, niż zasłonką trzepoczącą mu nad głową.

Randal poszedł z nimi do biura turystycznego w Edynburgu i czekał, gdy usiłowali *znaleźć* jak najtańszą kwatere. Jechali autobusem ulicą, która ośmiokrotnie zmieniała nazwę. W końcu dotarli do celu.

- Ale stodoła! - powiedziała Beth, gdy wyszła gospodyni. W pomieszczeniu, które kiedyś było ogromnym salonem, znajdowało się sześć łóżek. W jednym rogu był zlew, a w drugim prysznic. Ściany, dywan i zasłony kłuły w oczy nie dopasowanymi do siebie fioletowymi, czerwonymi i zielonymi wzorkami, tak że sufit z gipsowym stiukiem i żyrandolem przyozdobionym przy-macikami wydawał się zupełnie skromny.

Wszyscy się wykapali, a potem położyli się zmęczeni.

- Jak jesteśmy tak razem, przypominają mi się nasze wycieczki, gdy wszyscy spaliśmy w jednym namiocie - odezwała się Beth, a jej głos ledwie było słychać w ogromnym pokoju.

- Ale tu nie ma skunksów i przyczepa kempingowa rodziców nie psuje się o nieoczekiwanych porach - powiedział Jay.

Mary, zasypiając już, zobaczyła, jak Randal rozbija namioty, przynosi wodę, pomaga nadmuchać materace. Najbardziej lubił rozpalać ogień. Ale kuracje elektrowstrząsowe i leki zażywane przez całe lata położyły kres wakacjom. Mary nawet nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz mieszkali w namiocie.

Beth roześmiała się.

- Pamiętacie, jak wszyscy próbowaliśmy spać w samochodzie, bo padał deszcz i wiatr zrywał nam namioty?

- Albo jak okopywaliśmy namiot po kolana w śniegu, w lipcu, w górach Teton? - odezwał się Jay sennym głosem.

- Randal, pamiętasz, jak musieliśmy się napracować, żeby postawić namioty, gdy dzieci były jeszcze małe? - spytała Mary.

Nie było odpowiedzi.

Mary podciągnęła koc pod brodę i otuliła się nim. Cała piątka była razem, skryta bezpiecznie w otaczającej ich ciemności. Zasypiali jedno po drugim, tym razem w Szkocji.

Zrobiło się zimno. Nadchodziła zima.

- Randal?

Czasami Mary wymawiała jego imię, pragnąc, by sprawiło mu to przyjemność, żeby to zauważył. Może dlatego, że kiedyś ktoś

o tym imieniu był z nią w Edynburgu i kochał się z nią, śmiał się, snuł plany na przyszłość, a kiedy się przeziębził, ich gościnną, szkocką gospodyni zrobiła im gorącą owsiankę.

- Spójrz na te zdjęcia z lotu ptaka! - zawołała w zakurzonej muzeum w Edynburgu, ciągnąc Randalą za rękę. Podszedł, aby obejrzeć zarys fortyfikacji rzymskich, znajdujących się pod angielskimi polami i pastwiskami. - Nikt nawet nie przypuszczał, że tam były jakieś fortyfikacje; z ziemi nic nie widać - powiedziała Mary, wpatrując się w ponurą twarz Randalą. Był „słynnym pisarzem”. Czy potrafił docenić tajemnice ziemi, tak ubitej przez rzymskie legiony, że jeszcze osiemnaście wieków później, w miejscach, gdzie chodzili żołnierze, trawa rosła mniej zielona? Randal odszedł. Mary znowu została sama, przypatrując się bliźniom, które nigdy do końca się nie zagoiły. Cień Rzymu przezierał jak duch przez angielską trawę.

Doszli do wniosku, że Randal z całą pewnością zechce ponownie odwiedzić Stratford-on-Avon i obejrzeć przedstawienie sztuki szekspirowskiej. Czyżby zaczynało ich ogarniać zniechęcenie? Chyba tak.

Wsiadli do autobusu do Stratfordu.

- Mamo - szepnął Jay w autobusie - słyszysz, co się dzieje? Mary przestała rozmawiać z Beth i zaczęła nasłuchiwać.

- Nie! Nie! - zawołał jakiś pasażer do kierowcy. - Trzeba skrócić tutaj... za rogiem... o, właśnie!

Autobus zgodnie ze wskazówkami skręcił za rogiem.

- Teraz trzeba wjechać w tę uliczkę, a potem główną drogą na lewo - odezwał się ktoś inny

- Kierowca nie wie, gdzie jechać - szepnęła Beth.

Mary spojrzała na śliczny brytyjski pejzaż, przesuwany się za oknem. Oznaczenia w autobusie były logiczne, przemyślane: „Apteczka pierwszej pomocy”, „Zużyte bilety”, „Proszę nie stać na pomoście”, „Nie przeszkadzać kierowcy, gdy pojazd znajduje się w ruchu”. Jednak ten świetnie zorganizowany świat nagle zaczął przypominać naszyjnik, w którym zerwała się nitka.

- W lewo! - zawołał jakiś pasażer. - Tutaj, w lewo! Kilometr za kilometrem posuwali się wzdłuż zielonych pól, oświetlonych światłem zachodzącego słońca. Pasażerowie mówili

kierowcy, gdzie ma się zatrzymać, i wysiadali w wioskach ze starymi kamiennymi domami.

- To był mój pierwszy kurs - zupełnie niepotrzebnie powiedział kierowca, gdy ostatni pasażerowie wysiadali w Stratfordzie. Randal wysiadał ostrożnie jak starzec.

Randal obejrzał Stratford. Zapłacił siedem funtów za stojące miejsca dla całej piątki na przedstawienie *Jak wam się podoba*. Mary stanęła w miejscu, gdzie mogła się oprzeć o barierkę. Głosy aktorów, odgrywających poszczególne sceny, wznosiły się i opadały, jakby śpiewali pieśń.

Zamknawszy oczy, Mary czuła wokół siebie wspaniały teatr i rodzinne miasto Szekspira, przyciągające rzesze turystów. Przy czym nikt nie był pewien, czy to on napisał sonety, jak również komedie i tragedie, które bez przerwy przedstawiane były gdzieś na świecie...

Gdy wrócili do Londynu, Mary i Randal poszli poszukać mieszkania. Pierwsze, które obejrzel, było położone w podmiejskiej dzielnicy Maida Vale; mieszkanie w suterenie. Randal palił fajkę i w ogóle się nie odzywał. Mary wypytała właściciela i podziękowała, powiedziała, że szukają jednak czegoś innego. Czuła się niczym małżonka z kreskówek, która gada jak katarynka, nie dopuszczając męża do głosu.

Drugie mieszkanie było na parterze, na rogu Kensington Church i zacisznego Haverford Gardens. Z przodu było małe podwórko, a za domem jeszcze mniejsze patio. Mary podeszła do niewielkiej szklarni sąsiada i odkryła, że tuż za płotem z hukiem pędzą samochody i piętrowe autobusy.

Ciemnoczerwona wykładzina, białe ściany, pomarańczowo--turkusowe zasłony - wszystko to sprawiało wesołe wrażenie. W holu, we wnęce, stało pojedyncze łóżko; była też sypialnia z dwoma łóżkami, salon z małą kuchenką i łazienka. Łóżka dla chłopców montowało się z półek w salonie. Beth mogła zająć hol.

- Weźmiemy je? - spytała Mary. - Możemy się dzisiaj wprowadzić.

Randal nie odpowiedział. Mary i gospodyni czekały. W końcu Mary odezwała się:

- Cóż, chyba może być.

Randal nic nie powiedział, ale wyszedł za nią, gdy ustalała, że zapłacą pierwszą ratę i żegnała się z gospodynią. Mary pomyślała, że równie dobrze mógłby być duchem, gdyby nie to, że gdy wzięła go pod ramię, wyraźnie czuła przy sobie człowieka z krwi i kości, z fajką w ustach.

- Mieszkanie! - ucieszyły się dzieci, a Randal powiedział, że będzie strasznie drogo kosztowało.

Beth i Randal udali się do American Express, żeby wypłacić ponad pięćset funtów - czynsz za sześć tygodni. Dzieci pojechały do hotelu Montroy Private, spakować rzeczy i zwolnić pokoje. Przed kolacją bagaże stały już na środku salonu, a na bufecie, w kuchence, piętrzyły się kartony z zakupami spożywczymi.

- Meble w stylu wczesnie podniszczonym - skomentowała Beth - ale naprawdę całkiem niezłe.

- W późno obdrapanym - stwierdził Jay.

- Wydamy majątek, żeby gdziekolwiek dojechać czy wrócić metrem - powiedział Randal.

Siedział w kącie i palił fajkę, podczas gdy inni myszkowali po mieszkaniu, odkrywając płatny telefon we wnęce z bojlerem i podgrzewany wieszak na ręczniki w łazience, który podłączało się do prądu.

- Będziemy mieli ciepłe ręczniki i zimną łazienkę. W ogóle nie ma w niej ogrzewania - oświadczył Don.

Dzieci jęknęły, ale po tylu dniach włóczęgi rozpakowywały się zadowolone, rozłożyły wiktuały w szufladach i na półkach i dokonywały dalszych odkryć.

- Przy Notting Hill Gate jest supermarket, a jeszcze bliżej mamy niewielki sklepik - powiedział Don.

- Kawałek dalej jest poczta - dodał Jay. -1 stacja metra.

- I kino - zauważyła Beth. - Pełno sklepów i księgarni.

Nikt nie wspomniał o sklepie monopolowym, widocznym z okna po drugiej stronie ulicy. Gdy jedli kolację, Randal wyszedł i wrócił z butelkami.

- Będziesz musiał przestać tu palić - powiedział Jay, przyglądając się Randalowi, który wpatrywał się w butelki. - Jeść się odehciewa w tych oparach dymu. I będziemy musieli tu spać.

- Nie pal też w moim holu - powiedziała Beth do Randala, robiąc nachmurzoną minę.
 - Ani w sypialni - dodała Mary. Nie skomentowali wina, które Randal nalewał sobie do szklanki po soku.
- W patio za salonem zapadał zmrok. Mary i Beth wyszły na dwór i stanęły obok szklarni, która stanowiła jedną ze ścian patio.
- Jesteśmy tacy niedobrzy dla Randala - rzekła Mary.
 - To dlatego, że nie potrafimy go powstrzymać - odparła Beth. - Będzie pił i skończy w szpitalu. Nie potrafimy go powstrzymać i jesteśmy wściekli na niego.
 - Żeby chociaż spróbował przestać. Ale nawet tego nie może zrobić.
- Samochody, taksówki i czerwone autobusy przejeżdżały obok ich domu. Gdzieś za tym zgiełkiem błyszcząły neonami sklepy z antykami przy Kensington Church Street. Jak wypolerowane kredensy, w których za szybami zamknięto skarby.
- Mary i Beth weszły z powrotem do mieszkania, gdzie lampa rzucała żółte światło na ceratowy obrus. W pokoju unosił się zapach gulaszu wołowego z puszki. Jakże przyjemnie było układać sztucce, nalewać mleko, łamać listki sałaty. Jay i Don postawili parujący gulasz na jasnym stole. Żółte światło lampy poruszyło nawet Randala, który przyszedł, żeby zjeść wraz z innymi.
- Jesteśmy wreszcie we własnym domu - powiedziała Mary.
 - Wolno opierać łokcie na stole - stwierdził Don.
 - Tylko nie wstawajcie w nocy; nie zapominajcie, że śpię w holu - dodała Beth. - Drzwi od łazienki skrzypią. A obok mojego łóżka jest małe okno, zauważyliście? Całe szczęście, że ma zasuwane żaluzje, bo widać z niego ludzi na Kensington Church Street, autobusy, samochody.
 - Możesz nie spać całą noc i pisać do Pete'a - powiedziała Mary. - Nikomu nie będziesz przeszkadzała.
 - A właściciel hotelu nie zgasi ci światła, jak zdarzyło się to w Paryżu, gdy siedziałś w korytarzu i coś tam skrobałaś - dodał Don.
 - To mój dziennik - wyjaśniła Beth. - Wysyłam go Pete'owi. Mama też pisze dziennik. Cała podróż traci sens, jeśli od razu, codziennie, nie zapisuje się wszystkiego, co się wydarzyło.
 - Mój dziennik to zdjęcia - odpowiedział Don.
 - A co byście powiedzieli na kilka zdjęć w naszym nowym mieszkaniu? - spytała Mary.

- On robi zdjęcia abstrakcyjne - rzekł Jay. - Podarta tapeta. Skórki pomarańczy na ulicy.
- Czasami takie obrazki są fascynujące - odparła Mary.
- W każdym razie nas na nich nie ma - powiedział Jay. -Chcecie się założyć, że nie będziemy mieli ani jednego zdjęcia? Czy ktoś chce jeszcze gulaszu?
- Na spółkę z tobą - odpowiedział Don.
- Jak już wstałaś, to pokrój ciasto, dobrze? - Mary zwróciła się do Beth.
- Jutro muszę pochodzić po bibliotekach - odezwał się Randal.
- Mam dla ciebie mapkę metra - powiedział Don. - Ja będę całymi dniami oglądał filmy.
- Wzięliśmy tyle mapek, że wystarczy dla wszystkich - dodał

Jay.

- Możemy wypożyczyć telewizor, żeby zobaczyć, jakie programy oglądają Brytyjczycy - powiedziała Beth.
- Tak, powinniśmy to zrobić - zgodziła się Mary. - Obejrzymy wiadomości, i jakąś sztukę.
- O rany! Nie ma zmywarki - zmartwił się Jay. - Kto dziś pozmywa?
- My robiliśmy zakupy - zaoponowała Beth.
- Ja pozmywam. I tak chcę te naczynia dobrze doszorować -stwierdziła Mary.

Stęskniła się za pracami domowymi. Kuchnia była wyposażona w ściereczki, zmywaki i gąbki. Przyjemnie było myć dziwne, nowe talerze, szklanki, kubki, salaterki i garnki. Wyszorowała mydłem blat kuchenny, piecyk i barek oddzielający kuchenkę od salonu. Nad barkiem wisiały żaluzje, które ściągało się, żeby zupełnie oddzielić kuchnię. Tuż za ścianą przewalał się z hukiem, piskiem opon i zgrzytaniem biegów potok samochodów. Mary rozpakowała się i powiesiła rzeczy w garderobie obok sypialni. W mieszkaniu były garderoby, szafy, szafki, ale oni mieli tak niewiele rzeczy, które można by było w nich umieścić.

Wchodziła do łazienki, holu, salonu i sypialni, napawając się spokojem tych pomieszczeń, czytając, pisząc, przeglądając mapy. Jay majstrował przy bojlerze, próbując dowiedzieć się, jak działa.

- Gdy go nie używamy, musimy wyciągnąć wtyczkę z kontaktu - oświadczył po chwili. - A kaloryfery nagrzewają się w nocy, gdy są niższe opłaty.

Mary usiadła przy oknie sypialni i rozplotła gruby warkocz.

- Czuję, że wszyscy tęsknimy za Michaelem - powiedziała. Nagle obok przejechał piętrowy autobus. Pasażerowie przyglądali się, jak Mary rozplata włosy.

- Wszystko widzą! - wykrzyknęła Mary. Przejechał następny piętrowy i jeszcze jeden. Zerwała się, żeby zaciągnąć zasłony na oknie.

Jay klęczał, przyglądając się kaloryferom. Dzieci zawsze były ciekawe, jak działają różne urządzenia. Mary bardziej interesowało, co się odczuwa, gdy jakieś urządzenie działa lub nie.

- Ludzie przejeżdżają obok i oglądają fragmenty naszego życia - powiedziała. - Czy próbują zgadnąć, kim jesteśmy? Świętoszkami? Mordercami? Znużoną rodziną, która zjadła kolację?

- Kto się wybiera spać? - spytał Don, opierając się o framugę drzwi. - Przykro mi to mówić, ale znowu mamy nylonową pościel.

- Nie! - z holu doszedł jęk Beth.

- Nasze ukochane, krótkie, oślizgłe, przypominające w dotyku purchawkę prześcieradła i poszewki; żadnych kołder ani poduszek - powiedziała Mary. - Nie mówiłam wam o tym wcześniej, żeby nie psuć kolacji.

- No cóż, ja w każdym razie idę do łóżka - powiedział Jay i poszedł zastukać do drzwi od łazienki. Randal siedział na zamkniętej klapie sedesowej i palił fajkę. Na brzegu wanny stała szklanka po winie. - Czas spać, tato. Będziesz teraz musiał się na jakiś czas przenieść z tym kopceniem do salonu.

- Nie wydmuchuj dymu w holu - powiedziała Beth.

Jay zamknął za sobą drzwi od łazienki, a Randal poszedł do salonu i usiadł na krześle z nie zapaloną fajką w jednej ręce i ze szklaneczką wina w drugiej.

Mary obmyła twarz nad zlewem kuchennym i wsunęła się do łóżka. Otaczała ją rodzina. Uśmiechnęła się i pomyślała o wróbelku, który skrywa pod skrzydłami swoje potomstwo.

Znowu zobaczy Włochy. A potem słońce i Grecja!

Randal wszedł do sypialni i usiadł na krześle w ciemności.

Mary poczuła dym i wino. Tlił się ognek fajki.

- Jak ci się tu podoba teraz, gdy już się wprowadziliśmy? - spytała po chwili cichym głosem.

- Może być - odpowiedział Randal.

- W listopadzie zobaczymy Włochy. I Greg'ę. Tylko pomyśl! Usłyszała, jak Randal pije wino.
 - Chyba Beth najbardziej tęskni za Michaelem, ale słyszałam też dzisiaj, jak chłopcy o nim rozmawiali. Nie chciałbyś, żeby był tu z nami, zamiast gdzieś w Afryce?
 - Mhm - odpowiedział Randal.
 - No cóż - westchnęła Mary. - Ma stypendium, pracę; jest szczęśliwy. Reszta rodziny też rozejdzie się we wszystkie strony. Co ich czeka? Muzea, ogrody zoologiczne. Filmy. Koncerty.
- Randal nie odpowiedział. Za oknem słychać było przytłumiony pomruk Londynu, który rozciągał się całymi kilometrami we wszystkie strony, kipiąc ruchem, hałasując, oddychając, otaczając tę niewielką komórkę, gdzie spały dzieci, gdzie leżała Mary, obserwując tłący się żar i zarys sylwetki siedzącej w mroku.

5

Mary zadzwoniła do Nowego Jorku, do agenta Randała, na jego rachunek.

- Osiedliliśmy się w Londynie - oznajmiła mu.

- Jak on się czuje? - spytał George Blumberg. Wiedział, że Mary dzwoni, gdy Randała nie ma w pobliżu. Ileż to już takich rozmów odbyli przez te lata?

- Pracujemy nad nową książką - powiedziała Mary. - Czy słyhać coś nowego w sprawie *Czystego zysku*?

- Niedługo ukaże się masowe wydanie - odpowiedział George. - Jaki będzie tytuł następnej książki?

- Jeszcze się nie zdecydował. Może *Gospodarz*.

- W porządku. Popracuję nad tym. Może już teraz uda się ją sprzedać. Przyślij mi pierwszą część.

- On tego nie lubi.

- Przekonaj go - odparł George. - Powiedz mu, że jest naprawdę dobry. Zachęć go.

Słowa te były jak róże przeznaczone dla niej, ale George rzucał je do stóp Randała. Westchnęła. Odpowiedzialność też ją omijała: niepoehlebne recenzje, wścibskie pytania, zazdrość niedoszłych pisarzy.

- I sama rozerwij się trochę - poradził George żonie pisarza, jego sekretarce z ołówkiem w ręce i z maszyną do pisania. Mary wyobraziła sobie George'a w wieżowcu agencji w Nowym Jorku. Jej słowa przelatowały nad biurkiem, były pomiędzy okładkami

książek, które stały na półkach bibliotek, starannie opatrzone literką „E”, oznaczającą „Eliot”, leżały na stolikach, były wetknięte do torebek, kieszeni płaszczy i do walizek, czekały w księgarniach, aż ktoś je kupi i przeczyta; książki, które pomogły Randalowi utrzymać posadę, dzięki którym można było wyżywić i ubrać rodzinę, dać im dom, opłacić szkołę Beth i Jaya i rozkręcić interes Dona. Książki Randal Eliota.

Randal od czasu do czasu chodził do bibliotek i do sklepu monopolowego, gdy jednak pozostali wracali do domu, zmęczeni i głodni, na ogół zastawali go w salonie, z fajką, szklanką wina i z notatnikiem w ręce. Mówił, że pracuje. Jay i Beth dwa razy w ciągu jednego tygodnia pojechali do Kew Gardens. Jay przewędrował pieszo do Westminster Abbey i z powrotem.

- Czym jest dzieło malarskie? - spytała Beth, gdy pewnego wieczoru szykowali się do snu. - Takie pytanie zadał dzisiaj wykładowca w galerii Tate. Czy jest oknem na świat, czy tylko płótnem pomalowanym farbami?

Randal stwierdził, że jego praca posuwa się naprzód. To nie są dla niego wakacje i po powrocie będzie musiał pokazać, co zrobił.

- Nie musisz niczego robić, skoro jesteś na bezpłatnym urlopie. Uniwersytet nie płaci za twój pobyt tutaj - powiedziała Mary, spoglądając na zabazgrane strony w jego notesie; bezcelowe gryzmoły dziecka, które były jedynie wyrazem chęci pisania, chęci bycia pisarzem.

Randal nie odpowiedział. Popatrzył przez okno na lipę przed domem, która powoli traciła liście. Londyński wrześniey wiatr stawał się coraz zimniejszy. Oglądali wiadomości telewizyjne, które donosiły, że nieznani sprawcy wykopali szczątki słynnego kumbryjskiego myśliwego, i wrzucili je do dołu kloacznego. Rozkopali grób i umieścili na nim głowę lisa z notatką w formie wiersza, obwieszczającą, iż jest to akt zemsty w imieniu wszystkich lisów, które zabił... Randal wyłączył telewizor. Zawsze wyłączał telewizor, gdy oglądali jakiś program. Czasami stawał przed ekranem. Choćby nie

wiadomo jak go błagali, nie pozwalał im dokończyć oglądania sztuki, koncertu czy wykładu. Nie wiadomo dlaczego. Po prostu lubił tak robić.

Don znalazł w Londynie sklep, spe'alizujący się w sprzedaży dzinsów, roboczych butów skórzanych i kapeluszy w stylu Dzikiego Zachodu. Dzień później oświadczył podczas obiadu, że właśnie taki sklep zamierza otworzyć.

- Chciałbym wrócić do domu.

- Tęsknisz za Carłą? - spytała Mary. - Marzysz o tym, żeby z nią zamieszkać, zanim wrócimy?

- Oszalałeś - stwierdziła Beth.

- Nie chcesz zobaczyć Włoch ani Greg'i? - spytał Jay.

- Miłość, miłość, miłość - powiedziała Beth. Mary ogarnął wielki smutek.

- Skoro chcesz otworzyć interes i być z Carłą, powinieneś wracać do domu. Wszyscy to rozumiemy - powiedziała czując się tak jak wtedy, gdy Michael wyjeżdżał do Afryki. Miała wrażenie, że rodzina pękła jak talerz z chińskiej porcelany. Randal wydawał się nie słyszeć rozmowy.

Don wyjechał tydzień później. Mary, Jay i Beth spotkali go o zmierzchu wracając do domu z przedstawienia, na splukanej deszczem Kensington Church Street; szedł do pociągu, żeby przepłynąć potem przez kanał La Manche i wsiąść do samolotu w Luksemburgu.

- Czy Randal dał ci dosyć pieniędzy? - spytała Mary.

- Tak, ale chyba nie zdaje sobie sprawy, że wyjeżdżam - odpowiedział Don.

- Uważaj na siebie. Ucałuj od nas Carłę.

- Nic mi się nie stanie. Przygotujemy wam Boże Narodzenie... z Madonną z Chartres w oknie drzwi frontowych... ze wszystkim - powiedział Don. Pocałował ją na deszczu, uściskał Beth, poklepał Jaya po plecach i poszedł.

Szli gęsiego do domu po wąskich, śliskich chodnikach... Jeszcze niedawno było ich czworo, a teraz już jest tylko troje.

Nikt się nie odzywał. Wiatr rozwiewał mgłę przed nimi. Czekać na przejściu dla pieszych, Mary podniosła głowę i zobaczyła tuzin czarnych oczu z guziczków spoglądających na nią z szarych twarzy.

Widziała je już wcześniej, tę zbieraninę starych zabawek, wetkniętych pomiędzy zewnętrzne i wewnętrzne okna domu przy Kensington Church Street. Bezbarwne pluszowe misie, kaczki i pieski leżały za szybą zupełnie zapomniane. Jakie dziecko je zostawiło i dlaczego wciąż tam leżały, wepchnięte między okna, wpadając w oko każdemu przechodniowi? Nikt ich nie ruszał od czasu, gdy Mary z dziećmi ujrzała je po raz pierwszy; były wyblakłe, jakby wybielały od lat przebywania na słońcu.

Mary odwróciła się jeszcze raz, przechodząc przez ulicę. Deszcz na szybach lśnił jak łzy z nieruchomych oczu zabawek.

Czy Randal zauważył, że Don wyjechał? Całymi dniami siedział w mieszkaniu, paląc fajkę w łazience i patrząc w ścianę.

- Musisz trochę wyjść, tato - powiedział Jay.

Namówili Randała na wycieczkę do Greenwich. Sprawiał wrażenie, jakby był w letargu. Czy zauważył całe kilometry doków londyńskich i czarownicę na dziobie „Cutty Sark”, przyglądającą mu się z góry?

Randal został daleko z tyłu, gdy schodzili do ładowni „Cutty Sark”, trącej stęchłym odorem starości i morza.

- Tata nie czuje się najlepiej - stwierdził Jay. - Chyba byłoby lepiej, gdyby trochę wychodził, zamiast spędzać całe dnie w fotelu przy winie.

Mary milczała, zajęta oglądaniem figur dziobowych ze statków, których już dawno nie było. Stały rzędem pod ścianą; szpaler twarzy ponadnaturalnej wielkości, lśniących jaskrawą farbą. Schyliła się, aby odczytać podpis pod podobizną Abrahama Lincolna: „Figura pochodzi z nieznanego statku i została znaleziona w Black Gang Chine na wyspie Wight.”

- Tata całymi dniami przesiaduje w łazience. Nawet już nie chodzi do biblioteki - powiedziała Beth.

- A przecież mieszkamy w sercu Londynu! - zawołał Jay. - Od tygodni chodzimy do Tate, do Galerii Narodowej, na koncerty do

Albert Hall, na przedstawienia do Covent Garden i na piesze wycieczki, zwiedziliśmy Westminster Abbey... a on tylko siedzi i bazgrze.

- Prawie skończył swoją nową książkę - powiedziała Mary. - Jak wrócimy do domu, będę musiała przepisać ją na maszynie.

- To dobrze - ucieszyła się Beth.

- To już coś - powiedział Jay.

„«Diana» - przeczytała Mary. - Figura dziobowa ze statku zbudowanego w 1799 roku. Popłynął do Arktyki w poszukiwaniu ekspedycji Sir Johna Franklina, mającej zbadać Przejście Północno-Wschodnie i zatonął..."

- Dzisiaj udało nam się go wyciągnąć - powiedziała Beth i spojrzała na Randal, który szedł wzdłuż rzeźb z zatopionych statków.

„«Maude» - przeczytała Mary. - Statek o wyporności 1108 ton, zbudowany w 1878 roku, służył w Plymouth za izolatkę, w której odbywano kwarantanny".

Randal szedł wzdłuż rzędów wspaniałych, drewnianych posągów nie czytając podpisów, patrząc na coś gdzieś poza nimi.

„«Żałobny Posłaniec». Pochodzi ze stutrzydziestotonowego szkunera, zbudowanego w 1867 roku w Salcombe. Początkowo nazywał się «Wiosna» i był jednym z szybkich, zgrabnych „statków owocowych", które zbudowano dla potrzeb handlu owocami z Indiami Zachodnimi. Dwukrotnie zmieniał właściciela i nadano mu później nazwę «Żałobny Posłaniec»."

6

Tata chyba zapuszcza brodę - powiedziała Beth przy obiedzie pewnego sobotniego popołudnia. Ostatnio nie oczekiwali już od Randal, że zauważy, co się o nim mówi. Teraz też nie zwrócił na to uwagi. Beth poszła do łazienki umyć ręce, a on siedział naprzeciwko Mary i grzebał w sałatce.

- Tak, tato? - Jay dotknął ręki Randal.

- Oczywiście, że tak - odparł Randal, ku zaskoczeniu wszystkich. Spojrzał na Jaya. - Nie czytasz gazet?

- Gazet? - zdziwił się Jay.

- Wojna atomowa, głuptasie - powiedział Randal. - Nie czytasz gazet.

Beth spiesznie wróciła do stołu.

- Szyba w łazience jest stłuczona - oznajmiła.

- Co też się mogło stać? - zdziwiła się Mary, wstając.

Poszli w trójkę, żeby zobaczyć. Randal został na miejscu. Przez potłuczoną szybę w dole okna wdierało się zimne powietrze. Jay wyszedł na patio.

- Mamo - powiedział, wracając z maszynką do golenia Randała i z paczką żyletek. - Wyrzucił to przez okno.

Poszli we trójkę do sypialni i zamknęli drzwi.

- On jest chory - oznajmiła Mary. - Nie możemy pojutrze jechać do Grecji.

- Mamy już bilety! - powiedział Jay. - Tyle pieniędzy... czy można je zwrócić?

36

Randal otworzył drzwi. W ustach miał pełno sałatki.

- Wojna atomowa, a wy myślicie tylko o jedzeniu! - wrzasnął. Z ust wypadały mu kawałki jedzenia. Wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Muszę go zaprowadzić do lekarza - zdecydowała Mary. - A wy jedźcie do Włoch i Grecji. Dacie sobie razem radę i na pewno wam się tam spodoba.

- Bez ciebie? - spytała Beth.

- To żadna przyjemność! - Jay usiadł na łóżku obok Mary.

- Żadna przyjemność? Nie będzie starych, którzy ciągle depczą wam po piętach.

- Może nie jest z nim aż tak źle. Może jutro mu się polepszy - wyraziła nadzieję Beth.

- Dziś nie spał prawie całą noc, obserwował ruch uliczny - powiedziała Mary. - Jeśli przejechał samochód o jasnym kolorze, to znaczy, że nie spadnie bomba atomowa. Jak przejechał samochód w ciemnych barwach, to znaczy, że świat wyleci w powietrze w ciągu dwudziestu minut.

- Och, mamó! - westchnęła Beth.

- Mam zapisane nazwisko psychiatry, którego polecił doktor Parker - ciągnęła Mary drżącym głosem. Od tygodni próbowała nie zauważać tego, na co się zanosilo, ale teraz już się stało; pojawiły się znane symptomy: dławienie w gardle i pocące się dłonie.

- Więc zadzwoń do niego - powiedziała Beth. - Może przepisze tacie jakieś lekarstwa i wszyscy będziemy mogli pojechać.

- Nie sądzę, żeby lekarz zechciał go przyjąć w niedzielę - odparła Mary.

- Nie zwlekaj, zadzwoń. Zamknę drzwi i porozmawiam z tatą, żeby nie słyszał - powiedział Jay.

Mary trzęsły się ręce, gdy wykręcała numer w automacie we wnęce ściennej. Beth stała obok i wrzucała monety do aparatu.

Mary, wpatrując się w kamienny profil królowej na monetach, powiedziała, że są Amerykanami z Nebraski i spędzają wakacje w Anglii.

- Mój mąż leczył się w szpitalach psychiatrycznych w Stanach - rzekła, zdając sobie sprawę z tego, że drży jej głos. - Chyba znowu jest chory. Jego psychiatra, doktor Edward Parker, polecił mi doktora Boone'a.

Głos w słuchawce był obojętny na to, że Mary trzęsą się ręce, że zaschło jej w gardle i że Randal spędził całą noc, obserwując ruch uliczny dla potrzeb swojej wyliczanki. Poinformowano ją, że doktor Boone może przyjąć Randala najwcześniej w poniedziałek o jedenastej. Nie, nie przyjmuje nowych pacjentów w niedziele. Nie, nie zna żadnych lekarzy, którzy przyjmują.

Jay wrócił z łazienki, gdzie zajmował Randala rozmową.

- Idziemy do lekarza w poniedziałek o jedenastej - poinformowała go Mary. - Sporządzę listę informacji, które mogą wam się przydać w podróży: gdzie się zatrzymać, co zwiedzać, jak odbierać pocztę i przekazywać nam wiadomości. Inaczej stracimy setki dolarów wydanych na bilety lotnicze. Przynajmniej wy dwoje możecie pojechać...

- Och, mamó! - jęknęła Beth.

- Bez ciebie to nie będzie to samo! - stwierdził Jay.

- Innym razem - odpowiedziała Mary. - Pojadę innym razem. Muszę teraz zadzwonić do gospodarza i zapytać go, czy mogę zostać tutaj z Randalem do połowy grudnia.

Ten telefon jeszcze bardziej oddzielił ją od Beth i Jaya. Tak, gospodarz zgodził się, żeby zostali w mieszkaniu do piętnastego grudnia.

Mary potarła czoło.

- Mieliśmy szczęście! Inaczej gdzie byśmy się podzieli? Wszyscy troje usiedli zgarbieni na łózkach, przyglądając się sobie.

- Pieniądze! - odezwała się Mary. - Wszystkie pieniądze mamy w czekach podróжных. Mam kilka czeków, które mogę podpisać sama, ale te muszę zostawić. Pozostałe trzeba dać do podpisania Randalowi i zamienić je na dolary.

- Mamy jechać z taką masą gotówki?

- To jest jedyne rozwiązanie - odrzekła Mary. - Trzeba będzie zabrać Randala na Heathrow. Jest tam bank dla pasażerów, czynny w niedzielę. W Atenach możecie kupić czeki American Express.

Randal pojechał z nimi metrem na lotnisko. Jeden po drugim podpisywał czeki podróжные. Mary zastanawiała się, czy zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Dzieci przyglądały mu się. Dostały dwa tysiące czterysta dolarów w gotówce.

Zarówno Jay jak i Beth schowali po tysiąc dwieście dolarów do ukrytych kieszeni w kurt-

kach. Gdy wracali do domu, Randal przyglądał się podwórkom podmiejskich domów szeregowych; każde oddzielone murem od sąsiada, słońce świeciło tu tylko w południe. W nocy z okna sypialni obserwował samochody, zapisując, ile jest czarnych, a ile białych. Przerzucał stosy papieru, które miały być jego najnowszą powieścią; sterta gryzmołów. Powiedział, że Mary będzie musiała zacząć przepisywać je na maszynie.

Mary chyba zasnęła, gdyż Randal zbudził ją, wołając: - Wózek z dwoma światłami! Wózek z dwoma światłami! - Objął ją ramionami, sprawiając ból.

- To tylko zwykły ruch uliczny - powiedziała, głaszcząc go po łysinie i rozcierając kark.

- Przesuwał się tutaj!

- To jest londyńska ulica - wyszeptała Mary mając nadzieję, że dzieci się nie pobudziły. Jakież to dziwne uczucie obejmować Randalą i czuć jego uścisk. - To nic takiego, zwykły ruch uliczny. Jest cały czas taki sam, odkąd tu zamieszkaliśmy.

- I dwa światła samolotu. - Randal drżał rozpalony jak w gorączce.

- Posłuchaj - powiedziała szeptem Mary, robiąc mu miejsce obok siebie na wąskim łóżku. - Pamiętasz, jak ustaliliśmy, że jeśli coś będzie się działo w twojej głowie i będziesz się bał, to do czasu, aż znowu poczujesz się lepiej, będziesz używał mojej głowy? Pamiętasz?

- Świat zginie! - Stopy Randalą zaplątały się w pościel. Nie chciał jej puścić, żeby mogła mu pomóc.

- Pamiętasz? - wyszeptała Mary, przytulając go mocno i walcząc z kocem. W końcu przykryła go i leżała w uścisku jego ramion, jakby byli kochankami.

- Tak - powiedział Randal.

- Więc uwierz mi: to są zwykłe światła. Nic nie znaczą. To tylko światła samochodów i samolotów; ludzie jadą do pracy, albo wylatują z Londynu.

Stopniowo uścisk Randalą zelżał.

- Jak idzie praca nad powieścią? - wymamrotał. Odpowiedziała, że nieźle... już prawie skończona... będzie najlepsza ze wszystkich. Wiedziała, co mówić. Jego słodkawy od wina oddech stał się bardziej miarowy. Siedziała obejmując go, dopóki nie zasnął.

A potem przeniosła się do jego łóżka i próbowała się rozgrzać. Nie była w stanie zamknąć oczu. Wsłuchiwała się w odgłos przejeżdżających samochodów i ciężarówek, wprawiający pokój w lekkie drzenie.

Gdy odezwały się dwa budziki, Randal przewrócił się na drugi bok, ale się nie obudził. Podczas gdy Beth i Jay ubierali się, Mary przygotowała śniadanie. Zasunęli suwaki toreb podróżnych; najpierw jednej, potem drugiej; odgłosy ostatnich chwil przed pożegnaniem. Te dźwięki sprawiły, że gdy Mary popatrzyła na błyszczące w świetle lampy długie włosy Beth i poskręcaną czuprynę Jaya, ogarnęła ją samotność. Zjedli we trójkę śniadanie, nie rozmawiając wiele, wsłuchując się w ciszę dochodzącą z sypialni.

- Do widzenia - wyszeptała Beth w drzwiach. - Nie możesz przyjechać później?

- Nie możemy się gdzieś umówić? - spytał Jay.

Mary nie płakała. Potrząsnęła głową, ucałowała oboje i wyszła za nimi w ciemność bardzo wczesnego poranka. Kensington Church Street, oświetlona latarniami, była zupełnie spokojna. Z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk. Patrzyła, jak z torbami na ramionach przeszli przez furtkę i minęli sklep monopolowy. Stawali się coraz mniejsi, pomachali jej i zniknęli za zakrętem ulicy.

Mary zamknęła drzwi i stała w cichym holu, ale jej myśli były ciągle przy dzieciach. Oczyma duszy widziała, jak szli Kensington Church Street. Jeszcze nie było za późno, żeby ich dogonić. Wskazówki zegarka przesuwały się tak wolno, że nie było widać ich ruchu. Beth i Jay byli teraz na Kensington High Street... Mogła zgarnąć rzeczy z szafy, wrzucić je do torby wraz z biletem lotniczym do Aten, z biletem na pociąg przez Włochy i z biletem na samolot do Luksemburga i do domu. Wciąż jeszcze mogła pojechać. Aż dygotała od tego pragnienia.

Wskazówki zegarka przesuwały się i po chwili wiedziała już, że dzieci pojechały na lotnisko. Ale mogła złapać taksówkę i zdążyć na samolot, by obejrzeć Partenon, Akropol, Rzym, Florencję. Nie minęło wiele czasu. Na brzegu szklanki Jaya wciąż jeszcze wisały krople mleka.

Tuż za ścianą, po Kensington Church Street, z hukiem przejechała ciężarówka.

Wskazówki zegarka pelzły dalej. Mary usiadła na krześle. Wzdrygnęła się wyobrażając sobie, jak biega od szafy do komódki, do łazienki, ubierając się pospiesznie. Jak zostawia śpiącego mężczyznę i gna pustą ulicą. Beth. Jay. Rzym. Florencja. Ateny.

Mary nie spuszczała oczu z zegarka.

Po bardzo długiej chwili nikłe światło rozjaśniło starannie pościelone łóżka chłopców. Salon wyglądał niemal tak jak pierwszego dnia, z wyjątkiem naczyń pozostawionych na stole, gdzie jedli Beth i Jay. Łóżko Beth w holu też było gładko posłane. Na półce nad nim leżała jedynie sterta map Londynu i czasopism.

Mary nie potrzebowała zapalać światła w łazience. Skuliła się na taborecie i patrzyła na okno ze stłuczoną szybą, w które wetknięta była gazeta. „Szybko! - mówiło jej coś w duchu. -Możesz się spakować, możesz pojechać.”

Wśliznęła się do łóżka Randalą i przytuliła się do podglówka. Randal chrapał w jej łóżku. Przewrócił się na drugi bok i zaczął znowu chrapać.

W końcu promień słońca nadał komódce karmelowy kolor i zawisł smugą na ścianie.

Zegar informował, że samolot Beth i Jaya już wystartował.

Mary wyciągnęła najpierw jedną zdrtwiałą rękę spod podglówka, potem drugą. Kensington Church Street, gdzie ściany trzęsły się od przejeżdżających ciężarówek, skrywała ją w swoim cieniu.

Dzieci wspinały się do nieba, lecąc na wschód, do światła.

7

Randal, jak w letargu, zjadł niewielkie śniadanie i ubrał się. Chyba zdawał sobie sprawę, że idą do lekarza, który ma znaleźć dla niego jakieś antidotum na bezsenność. Nowo zapuszczona broda pokrywała mu twarz cienką warstwą siwizny.

- Pojedziemy do lekarza taksówką - powiedziała Mary. - Daj mi trochę z naszych pieniędzy, żebyśmy mogła zapłacić.

Randal wyjął portfel. Był pusty.

- Gdzie się podziały pieniądze, które miałeś wczoraj? - zdziwiła się Mary.

- Wysłałem je do domu - odparł Randal.

- Kiedy? - krzyknęła Mary. - Dokąd?

- Nie pamiętam - Randal popatrzył na nią spode łba. - Na lotnisku. ,

- Więc nie wystarczy nam pieniędzy na taksówkę! - krzyknęła

Mary. - To, co mam, ledwie wystarczy na metro.

- Wrzuciłem je do czerwonej skrzynki pocztowej - przypomniał sobie Randal.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała Mary. Wyszli z mieszkania i znaleźli się wśród ludzi robiących zakupy na trasie do Notting Hill Gate.

Randal nie odzywał się, gdy czekali na właściwy pociąg, gdy się przesiadali, gdy szli w górę i w dół po schodach.

W podziemnym korytarzu przy Oxford Circus usłyszeli dźwięki gitary i piosenkę *Mrs. Robinson*. Kiedy mijali futerał gitarzysty,

wyłożony czerwonym materiałem, Randal wrzucił do niego swój bilet metra. Tłum popchnął ich dalej.

- Hej! Pana bilet! - krzyknął gitarzysta.

Mary złapała Randal pod rękę i zaczęła przedzierać się do tyłu, przepychając się przez tłum wzdłuż ściany wyłożonej białymi kafelkami i reklamami. Posuwała się z Randalem wzdłuż ogromnego plakatu, na którym ojciec patrzył z niedowierzaniem na pielęgniarkę trzymającą nowo narodzone bliźniaki. Na plakacie widniał napis ułożony z piętnastocentymetrowych liter: ZUPEŁNIE NIEOCZEKIWANIE COŚ CI SIĘ MOŻE PRZYTRAFIĆ.

Gitarzysta śpiewał właśnie, że „niebo kocha panią Robinson bardziej, niż jej się wydaje”, gdy dotarli w końcu do jego zaśmieconego zakątka. Gitarzysta, młody mężczyzna z długą kozią bródką, siedział w kucki obok otwartego futerału.

- Nie miałem drobnych! - powiedział Randal. Z jednej strony napierał na niego tłum, z drugiej Mary trzymała go mocno pod ramię. Szukając biletu pośród monet, Mary pomyślała, że się spóźni.

Tłum poniósł ich do pociągu metra.

Mary znalazła wolne miejsce w wagonie, usiadła obok Randal i wreszcie odetchnęła spokojniej. Tunel, przez który pędzili, zamienił szyby w lustra. Ujrzała siebie u boku Randal na tle śmigających ścian tunelu - wyglądali jak wszyscy, zwykła para siedząca w metrze.

Przesiedli się na inną linię. Zeszli po schodach i przeszli przez korytarz. Czekali, a minuty na zegarze nad ich głowami biegły jedna za drugą. Matka Randal rzuciła się kiedyś pod pociąg. Ktoś skoczył i wyciągnął ją w porę. Mary stanęła pomiędzy Randalem i torami.

Po schodach zeszła jakaś kobieta. Zaczęła podchodzić do osób stojących na peronie, mamrocząc coś o brytyjskich weteranach. Trzymała bukiet papierowych maków, nad którymi widniała dobrotliwa, pomarszczona twarz. Mary próbowała zasłonić ją przed Randalem, żeby nie poczytał jej paplaniny za jakiś omen, przepowiednię czy znak z biblijnego Armageddonu.

Randal usłyszał, że kobieta wspomniała coś o wojnie. Łokciem odepchnął Mary na bok i przysłuchiwał się wywodom staruszki o weteranach. Twarz pobladła mu nad siwym zarostem na podbródku. Wziął od Mary szylinga i kupił maka.

- Niech cię Bóg błogosławi! - podziękowała kobieta.

- Cały nasz świat wyleci w powietrze - powiedział Randal do mężczyzny czytającego obok gazetę. Mężczyzna przytaknął i odsunął się.

- Jesteśmy wszyscy skazani na wojnę atomową - powiedział Randal do kobiety, która oparła sobie o nogi dwie duże torby z zakupami.

W tunelu, jak potężny grzmot, narastał łoskot nadjeżdżającego pociągu. Podmuch powietrza szarpał gazety, włosy, wzbijał kurz i rozwiewał po peronie opakowania po papierosach.

Mary zapała się, trzymając Randala kurczowo za ramię. On jednak nie próbował się uwolnić i skoczyć na tory. Wepchnęli się do wagonu.

Mary miała teraz wokół siebie spokojne twarze ludzi dojeżdżających do pracy. Randal stał po drugiej stronie przejścia i udawała, że pierwszy raz widzi tego otyłego, łysego, bladego mężczyznę z kilkudniowym zarostem. Miała chwilę wytchnienia. Trzymała się poręczy tam, gdzie trzymały się jej także inne dłonie, czuła delikatny dotyk innych, zwyczajnych ludzi. Kołysała się rytmicznie wraz z nimi, pilnując jednocześnie, żeby Randal nie wysiadł z wagonu.

Mary przyglądała się zatopionym w codzienności pasażerom, czytającym gazety z wielkimi nagłówkami, którzy zupełnie nic o nich nie wiedzieli. Bo bo i skąd mieli wiedzieć, że dla mężczyzny o bladej twarzy wszystko jest złym omenem, a los świata zależy od tego, jakie znaki przekażą mu nagłówki, reklamy w metrze, strzępy starych gazet, zanim będzie za późno?

- Hiroszima była osią i punktem zwrotnym historii powszechnej -

powiedział mężczyzna o bladej twarzy do przyszczatego nastolatka otulonego długim szalikiem. Mary przyglądała im się ze spokojnym wyrazem twarzy, jakby tylko przypadkiem była świadkiem tej sceny.

- Wszyscy na całym świecie zaczynają rozumieć tę prawdę historii - oznajmił Randal podniesionym głosem. Ludzie przyglądali mu się ukradkiem. - Czy ktoś ma szpilkę?

Pasażerowie metra byli mieszkańcami wielkiego miasta; ich dyskretne spojrzenia świadczyły, że nieraz byli już świadkami podobnych zajęć. Ależ miał bladą twarz.

Jakaś kobieta znalazła szpilkę w torebce. Przyglądali się, jak mężczyzna o bladej twarzy przypiął sobie szpilką papierowego maka do zewnętrznej strony lewej dłoni.

Zdziwił się, gdy ręka zaczęła krwawić. Ludzie unikali jego wzroku.

Wtem mężczyzna z zakrwawioną ręką dostrzegł nieobecność Mary. Rozejrzał się za nią, przecisnął się przez tłum rozpychając się łokciami i zarzucił jej ręce na szyję. Nigdy dotąd nie robił tego w obecności innych.

Czy ją napastował? Mary odczytywała to pytanie w spojrzeniach ludzi. Objęła Randalą. Spojrzenia powędrowały w inną stronę, ale Mary nie mogła już udawać, że jest taka sama jak inni.

Randal trząsał się. Nie spuszczała wzroku z jego ciemnego płaszcza i próbowała zachowywać się tak, jakby nic ją nie dziwiło, jakby ludzie często przypinali sobie papierowe kwiaty do ciała.

- Musimy tu wysiąść - poinformowała go na następnym przystanku. Randal nie chciał jej puścić, więc, objęci, niezdarnie wydostali się z wagonu.

Mary przeszła z Randalem na inny peron, gdzie też był zegar i wirujące śmieci. W oczekiwaniu na pociąg stanęła pomiędzy Randalem i torami i ujrzała plakat z ojcem i nowo narodzonymi bliźniakami. Oniemiała twarz ojca mrugała do niej pomiędzy wagonami metra. Czasami widziała jedynie ZUPEŁNIE NIEOCZEKIWANIE, czasami COŚ CI SIĘ MOŻE PRZYTRAFIĆ.

Czekali na pociąg piętnaście minut. Dwadzieścia. Dwadzieścia pięć. Dłoń Randalą przestała krwawić. Wyciągnął rękę z przypiętym do niej makiem w stronę stojącego obok Murzyna.

- Zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł - powiedział do niego. Murzyn popatrzył na Randalą, później na mak.

Zbliżający się

pociąg rozwiął mu poły płaszcza, hałas pozwolił uniknąć dalszej dyskusji.

Randalowi zeszywniały ręce i nogi; Mary czuła ich dotyk, gdy stali obok siebie w zatłoczonym wagonie. Za każdym razem, gdy pociąg zatrzymywał się i ruszał, odliczała stacje w obawie, że zapomni wysiąść i zgubią się gdzieś w ciemnym tunelu, w obcym mieście, w obcym kraju.

Na jakiejś stacji Randal bez ostrzeżenia wyskoczył z wagonu.

- Znajdź wagon dla palących! - wykrzyknął do Mary. - Nie możemy jechać dalej w wagonie dla niepalących! - Jego dziki wzrok świadczył, że palenie powoduje u niego poczucie winy, ponieważ matka błagała go, by przestał palić.

Mary, przepychając się, wysiadła za nim z pociągu. Kiedyś zginął jej w Nebrasce i wraz z policją jeździła samochodem przeczesującym ulicę po ulicy.

- Zaczekaj - krzyknęła, jakby Randal mógł ją usłyszeć. Nawet gdyby usłyszał, nie odwróciłby się i nie poczekał na nią. Napierał na nią Hum pchający w przeciwną stronę.

Zobaczyła, jak wsiada do jakiegoś wagonu. Rozpychając się i przeciskając się jak szalona pośród zdyscyplinowanych Brytyjczyków, zdołała dopaść wagonu Randal'a chwilę przedtem, zanim zatrzasnęły się drzwi o gumowych krawędziach.

A gdyby go zgubiła? Dokąd by poszedł? Mary, dysząc ciężko, złapała się uchwyty nad głową i poczuła znaną od dawna, przemożną złość, że musi wdychać dym jak palacze w wagonie. Gniewnie wpatrywała się w Randal'a, w tego człowieka o bladej twarzy, którego nie obchodził nikt i nic oprócz jego własnych złudzeń.

Mary tak kurczowo ścisnęła uchwyt w wagonie, że rozboleła ją ręka. Randal mógł znów spróbować wyskoczyć z pociągu. Ich cel, stacja Dollis Green, zdawała się coraz bardziej odległa. Dollis Green; Mary przyszło do głowy, że brzmi to niemal jak Doll's Green - Łąka Lalek. Nie spuszczała wzroku z pobladłego Randal'a, ale oczyma wyobraźni widziała dwie lalki idące przez łąkę; lalka-dziewczynka prowadziła lalkę-chłopczyka, z makiem przypiętym do dłoni.

W końcu dojechali do stacji Dollis Green. Wraz z tłumem przeszli peronem i w górę, po schodach. Mary odetchnęła głęboko: dotarła do miejsca, gdzie Randal będzie bezpieczny.

Musieli przejść pojedynczo przez obrotową bramkę. Randal puścił ją pierwszą. Przeszła, odwróciła się i zamiast Randal'a ujrzała za sobą kogoś obcego.

Randal stał po tamtej stronie barierki, nie chciał przejść. Mary czekała w podmuchach powietrza z holu stacji. Drogę do Randal'a przegradzała obrotowa bramka i wysoki płot. Mógł zniknąć gdzieś w korytarzach, wsiąść do pociągu, zgubić się.

- Przejdź tędy! - zawołała do niego Mary jak najbardziej spokojnym głosem.

Za plecami Randal'a turkotały ruchome schody. Prowadziły do lśniących torowisk poniżej peronów. Jakiś desperat mógłby skoczyć wprost pod nadjeżdżający pociąg.

- Spóźnimy się, jeśli zaraz nie przejdiesz - zawołała Mary. Ludzie przechodzili obok Randal, poszturchiwali go. Miała

nadzieję, że po prostu czeka, aż wszyscy przejdą. Słysząc było szcęk obrotowej bramki, turkotanie i poskrzypywanie ruchomych schodów. Z dołu docierało wilgotne, zimne powietrze.

Randal nie patrzył na nią. Nie chciał przed nikim przejść.

- Randal! - zawołała Mary.

Randal zachęcał wszystkich do przechodzenia przez bramkę ruchem zakrwawionej ręki z przypiętym do niej makiem.

Ostatni przechodził Murzyn w długim płaszczu. Randal ruchem ręki wskazał mu bramkę.

- Nie chciał przejść przede mną! - powiedział Murzyn do Mary, gdy ją mijał. Jego zdziwione oczy świeciły białkami.

Nieoczekiwanie Randal przeszedł przez bramkę. Mary schwyciła go pod ramię, słysząc w uszach bicie własnego serca. Ojciec bliźniaków na plakacie przyglądał im się, gdy wychodzili z metra. Oczy miał szeroko otwarte ze zdziwienia; za nim stała pielęgniarka uśmiechając się nad dwiema małymi, różowymi twarzyczkami lalek.

8

Musimy zanieść doktorowi jajko - Randal spojrział na Mary chmurnym wzrokiem, gdy wyszli ze stacji Dollis Green.

- Z całą pewnością ma jajka - odparła Mary.

- Jajka to zera - powiedział Randal

- Może kupimy z pół tuzina - zgodziła się Mary. - Musimy złapać taksówkę, żeby pojechać do lekarza. Spóźnimy się.

- Jedno jajko - powiedział Randal. - Musimy kupić tylko jedno. - Zatrzymywał się przy każdym sklepie, na ulicy obok stacji metra. Z trupioblada twarzą wszedł do zakładu szewskiego i spytał:

- Czy sprzeda mi pan jedno jajko?

Człowiek za ladą ubrany był w skórzany fartuch i trzymał jedną rękę we wnętrzu buta.

- Spożywczy jest na końcu ulicy - wycedził ustami, w których miał papierosa.

Ekspedientka w drogerii spytała mężczyznę o bladej twarzy i jego żonę w średnim wieku, czym może im służyć.

- Czy sprzeda nam pani jedno jajko? - spytał ją Randal. Wymawiał każde słowo dobitnie i powoli, jakby miały wielką wagę.

Ekspedientka uśmiechnęła się na widok Amerykanów, którzy tak niewiele wiedzieli o Londynie.

- Znajdą państwo sklep spożywczy na końcu High Street - poinformowała ich. Mary podziękowała jej.

„Może powstanie o nas anegdota, którą miejscowi handlowcy będą opowiadać bez końca - pomyślała Mary, wchodząc za Ran

dalem do sklepu żelaznego. - Staniemy się «tym amerykańskim małżeństwem, co to chciało kupić jedno jajko»."

- Tutaj nie sprzedaje się żywności - powiedział staruszek za ladą i odwrócił się tyłem do Randała.

- Sprzedajemy tylko po sześć - powiedział ekspedient w sklepie spożywczym.

Randał patrzył na niego uporczywie.

- Chcemy kupić jedno jajko.

„Co za bezsensowne poszukiwania" - pomyślała Mary, patrząc, jak Randał pyta sprzedawcę w kiosku z gazetami:

- Czy sprzeda nam pan jedno jajko? - Słowo „jajko" wymawiał tak, jakby było święte. Mary najspokojniej w świecie spojrzała na sprzedawcę w oczy, udając, że pytanie Randała naprawdę ma sens. Najważniejsze, żeby dostać się do lekarza.

Randał, w swoich ciężkich butach, dreptał od sklepu do sklepu. Weszli do sklepu z porcelaną, nawet do pralni.

- Czy sprzeda nam pani jedno jajko? - pytał Randał, blady i przejęty, z kilkudniowym zarostem na brodzie.

Hinduska, handlująca z wózka ulicznego, w końcu sprzedała im jedno jajko. W ogóle na nich nie spojrzała i nie chciała zatrzymać reszty, którą Randał jej zaofiarował.

Randał trzymał jajko w dłoni, wewnątrz kieszeni płaszcza. Stali na krawężniku, w podmuchach zimnego wiatru.

Mary dojrzała, że przecznicę dalej zatrzymała się taksówka. Pasażer płacił za kurs. Mary zostawiła Randała i pobiegła, żeby złapać taksówkę, zanim odjedzie. Wsiadła i wrócili po Randała, który przez ten czas nie ruszył się ani o krok.

Taksówkarz skręcał kilkakrotnie, objeżdżał kwartały uliczne. Mary starała się zapamiętać drogę. Wysadził ich na ulicy z niskimi domami. Mary zapłaciła mu i zadzwoniła do drzwi domu numer 101 przy Golder's Court.

Był to jeden z nowych, podmiejskich domków „wolno stojących", z malutkim podwórkiem z przodu i z tyłu, odgrodzonym murem. Drzwi otworzyła młoda kobieta.

- Czy to Fairlawn? Nazywamy się Eliot - powiedziała Mary. Młoda kobieta uśmiechnęła się.

- Tak, oczywiście - odparła z obcym akcentem i wprowadziła ich do małego salonu. Usiedli na wytartych, wyściełanych krzes-

łach, jakby byli po prostu gośćmi; jakby jedno z nich nie miało przypiętego do dłoni papierowego maka.

Weszła mała dziewczynka z dużym rudym seterem irlandzkim.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Peggy. Randal się nie odezwał.

- Jak się masz? - odpowiedziała dziewczynce Mary. - My jesteśmy Mary i Randal Eliotowie. - Dziewczynka oparła policzek na grzbiecie setera i jasne włosy opadły jej na twarz.

W towarzystwie młodego mężczyzny weszła kobieta, która otworzyła im drzwi. Powiedzieli, że nazywają się Jeanne i Rob. Są psychologami i prowadzą ten dom. Zaproponowali Mary i Randalowi kawę. Randal nie odpowiadał, mimo że zwracali się do niego kilka razy.

- Tak, z przyjemnością napilibyśmy się kawy - rzekła w końcu Mary. Dodała jeszcze, że oboje słodzą i używają śmietanki.

Gdy już nie wiedziała, co mówić, z ulgą udała się do wskazanej jej toalety na piętrze. Była to typowa angielska toaleta, tak ciasna, że gdy się siedziało, kolana niemal dotykały drzwi. Mary chętnie siedziałaby tam całymi godzinami, przyglądając się przyjaznej czarnej klamce, ale Randal czekał w holu, następny w kolejce, nie odrywając wzroku od swoich ciężkich butów.

Gdy Mary zeszła z Randalem na dół, już tam był doktor Boone - mężczyzna w średnim wieku, z fajką wystającą z postrzępionej brody. Zachowywał się tak, jakby w tym wilgotnym, zimnym domu, w tym salonie, wszystko było w należyтым porządku. Randal podszedł do doktora na czworakach, uklęknął przed nim i uniósł dłoń z przypiętym do niej makiem, trzymającą jajko.

W małym salonie było sześć osób i pies. Randal klękał przed każdym po kolei.

- W leczeniu chorób psychicznych nie stosujemy lekarstw ani środków hamujących - wyjaśnił doktor Boone Mary, która go słuchała, i Randalowi, który klęczał obok psa. Pozostałe osoby w pokoju zachowywały się tak, jakby to było zupełnie normalne, że jedno z małżonków klęczy na środku pokoju z opuszczoną głową i z makiem przypiętym do dłoni. Mary utkwiała wzrok w papierku po gumie do żucia, który przykleił się do podeszwy Randala.

- Randal zamieszka tutaj z Robem, Jeanne i Peggy i będzie pomagał przyrządzać posiłki i prowadzić gospodarstwo.

Może

upłynąć miesiąc, zanim Randal znowu poczuje się lepiej. Odbywamy tu sesje grupowe, a Jeanne będzie pani psychologiem podczas wyznaczonych wizyt - powiedział doktor Boone.

Randal się nie odzywał. Seter irlandzki przyjrzał mu się i z brzękiem obroży zwinął się na dywanie.

- Pewnie chciałaby pani teraz pojechać do domu i spakować rzeczy Randala - powiedział doktor Boone do Mary. -
Może je pani przywieźć jutro. Jeanne znajdzie Randalowi pidżamę i przybory toaletowe, dopóki nie ma własnych. -
Odwrócił się do Jeanne. -Czy możesz odbyć jutro sesję z Mary o godzinie pierwszej?

- Tak - odpowiedziała Jeanne.

Doktor Boone wstał. Był to sygnał, że Mary może już iść. Mogła się odwrócić do Randala plecami. Mogła zostawić go klęczącego na jakimś dywanie, bezpiecznego w jakimś salonie w Londynie.

Pożegnała się ze wszystkimi, ale Randal w ogóle na to nie zareagował. Przez otwarte drzwi kuchni dojrzała stół zastawiony brudnymi naczyniami. W przedpokoju zawadziła spódnicą o torby ze starymi gazetami. Drzwi Fairlawn zamknęły się za nią.

Idąc ścieżką Mary była w stanie myśleć jedynie o tym, że w Fairlawn nie ma trawnika. Na kafelkach ścieżki przed domem stały puste, półlitrowe butelki po mleku. Przeszła dwie przecznice i zatrzymała się, gdy straciła już dom z oczu. Była sama. Zostawiła Randala. Ze wszystkich stron rozciągały się bezkresne przedmieścia Londynu, a ona nie mogła sobie przypomnieć, którą dotarła do Fairlawn. Wtedy ważny był tylko adres domu, do którego musiała przywieźć Randala.

Ręce jej się trzęsły. Wyjęła z kieszeni płaszcz notes i długopis. Pytając przechodniów o drogę do stacji metra, zanotowała każdą przecnicę, wszystkie skrzyżowania, wszystkie punkty orientacyjne. Przeszła przez ruchliwą szosę, minawszy jakieś magazyny i kościół dotarła do ulicy ze sklepami i do stacji metra. Schowała mapkę, która była teraz dla niej prawdziwym talizmanem.

- Jeśli pani chce, może pani pojechać metrem - powiedział mężczyzna za kratkami okienka kasy biletowej. - Ale może też pani dojechać do Kensington Church Street autobusem pięćdziesiąt dwa.

Powiedział jej, gdzie zatrzymuje się autobus i Mary stała tam teraz w kolejce wraz z ubranymi na biało-czarno londyńczykami,

na przystanku w Dollis Green. Na głowie, tak jak wiele innych kobiet, miała chustkę, która miała chronić ją od wiatru.

Nagle odetchnęła głęboko świeżym, zimnym powietrzem. Była sama. Bezpieczna, wśród zwyczajnych ludzi. Stała w rzędzie ubranych w czarno-białe stroje londyńczyków, tak jak ona spokojnych i nie zwracających na siebie uwagi. Przyjechał autobus pięćdziesiąt dwa. Mary jechała z ludźmi takimi samymi jak ona, czytającymi książki i gazety, wyglądającymi przez okna, rozmawiającymi ze sobą, płacącymi kierowcy za bilety. Randal był pod dobrą opieką. Londyńskie nazwy wydawały jej się teraz takie piękne: Kensal Rise brzmiało jak śpiew słowika u bram niebios, a w Ladbroke Grove słychać było echa Housmanowskich skrzatów, które spały nad strumieniami zbyt szerokimi, by je przeskoczyć. Przestała czuć ucisk w żołądku. Miała suche dłonie. Siedziała i patrzyła na ten zwykły świat i czuła, jak rozluźniają jej się mięśnie.

W końcu ostatnia nieznana ulica doprowadziła ją wreszcie do znajomego Notting Hill Gate i przypomniało jej się, że ta nazwa powinna brzmieć „Nutting Hill” - „Orzechowe Wzgórze”, ponieważ dawno temu rosły tutaj drzewa orzechowe. Poznała sklep, w którym Jay i Beth dzień wcześniej robili zakupy. Kensington Church Street. Wsiadła na swoim przystanku.

Prawie dwa tygodnie temu na tej właśnie ulicy pożegnała się z Donem. Beth i Jay odeszli nią dzisiaj rano. Teraz już tylko ona, Mary, będzie przechodziła tędy obok sklepu monopolowego. Mieszkanie będzie teraz niemal tak puste, jak wtedy, gdy ujrzała je po raz pierwszy. Będzie słuchała odgłosów pustki tam, gdzie, jak sądziła, zawsze miały rozbrzmiewać jasne głosy jej dzieci.

Jednakże gdy przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi, pokoje nie były puste; wypełniał je spokój i popołudniowe słońce. Lodówka mruczała cicho.

Mary chodziła z pokoju do pokoju.

Ten spokój leżał na gładko pościelonych łóżkach; unosił się nad nią w rozświetlonym słońcem powietrzu.

Mary wsłuchiwała się w ciszę i czuła na karku ciepło słońca. Nikt nie będzie z nią rozmawiał. Nikogo nie będzie musiała karmić. Nie było Randala i jego bladej twarzy, lepkich szklanek po winie i zakrwawionej dłoni. Nie będzie mógł wrócić do domu za pomocą jej mapki ani przyjechać autobusem, którym ona przyjechała.

Przebiegła z kuchenki, pełnej dobrego jedzenia, do okna w sypialni, za którym w to późne, słoneczne popołudnie przejeżdżały autobusy. Jej sypialnia! Jej Londyn!

Jej mieszkanie w Londynie!

Tygodnie w Londynie, całe tygodnie w mieście, gdzie zawsze brakowało jej czasu dla siebie! Sama! Z pieniędzmi! Wyszła znowu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Wzięła z banku pieniądze, powłóczyła się z siatką na ramieniu po supersamie przy Notting Hill Gate; uśmiechnęła się widząc zaledwie sześć rodzajów płatków zbożowych i dwa rodzaje mydła do prania, ale za to całe półki z herbatą i cukierkami.

Cudowne, zwyczajne rzeczy... Przyjrzała się burakom w pojemniku ze świeżymi warzywami. Były już ugotowane i obrane. Nigdy dotąd nie widziała mleka w pojemnikach większych niż półlitrowe. Mrożonki były sprzedawane w małych opakowaniach. Kupiła stek. Kupiła też mrożone ziemniaki z serem, ciasto czekoladowe i butelkę likieru wiśniowego.

Zrobiła stek na grillu. Ziemniaki napełniły mieszkanie aromatem cebuli i sera. Nalała sobie kieliszek wiśniówki. Przyrządziła sałatkę. Nakryła stół dla jednej osoby.

Salon zalało żółte światło lampy. Wieczorny ruch przetaczał się za ścianą. Siedziała nad smaczną kolacją w ciszy zakłócaną jedynie dźwiękiem noża i widelca na talerzu. Kiedy ostatnio jadła w samotności?

Stek był wyśmienity. Roześmiała się, rozkoszując się spokojem tego miejsca.

Jutro wypożyczy maszynę do pisania. Jej nowa powieść, *Gospodarz*, powinna być gotowa, gdy Randal znowu dojdzie do siebie. Przywiozła ją w swoim „dzienniku”. Gdy wrócą do domu, nikogo na uniwersytecie nie będzie obchodziło, że Randal chorował za granicą - o ile się w ogóle o tym dowiedzą. Jego *Czysty zysk* będzie już na półkach księgarń w wydaniu masowym i będzie przygotowana nowa książka, lepsza niż te, jakie dotąd napisał.

- Ty gnoju - powiedziała do Randala, zapamiętanego z dzisiejszego popołudnia, klęczącego na dywanie z papierkiem po gumie przyklejonym do buta.

Pod naciskiem noża, ze steku wypłynęła odrobina czerwonego soku.

- Ty niszczycielu wszelkiej przyjemności! - wykrzyknęła.

Z grzejników docierało ciepło. Mogła oglądać telewizję, kiedy tylko chciała, nikt nie będzie jej zasłaniał ekranu ani wyłączał w połowie programu.

- Do diabła z tobą - powiedziała Mary. Ziemniaki złociły się serem cheddar i jaśniały małymi plamkami masła. - Ty sukinsynu!

Znalazła swoje „dzienniki” i rozłożyła je na stole. Na końcu jednego z nich znajdowały się kopie recenzji książek, słowa pochwały dla pisarza, którego wszyscy znali; tak im się przynajmniej zdawało.

„Randal Eliot - mistrz fabuły”, „Zdolność obserwacji i potęga Randal’a Eliota”, „Pisarz, który zna kobiety”. Czytając ten ostatni nagłówek, nigdy nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

„Eliot potrafi subtelnymi aluzjami, najdrobniejszymi detalami zasugerować czytelnikowi coś, czego pisarz nigdy nie wypowiada.”

- A to - powiedziała Mary na głos - nie jest takie łatwe. „Naszym pisarzom wystarcza na ogół, że mówią nam, iż ich postacie są smutne, szczęśliwe, namiętne, że mają myśli samobójcze. Jakież to proste. A Randal Eliot opisuje deszcz przesiąkający przez ściany starej stodoły i przemawia z tego obrazu nieokreślony smutek. Opisuje kobietę obserwującą jasny taniec pszczół w świetle słońca i już wiemy, że jest ona szczęśliwa. Jeśli ściera z talerza plamę sosu lub unosi ręce, aby wirować w tańcu o północy, czujemy jej namiętność; po prostu to wszystko tam jest. A gdy mężczyzna przesuwając dłonie po blacie biurka i zaciska je na jego krawędzi tak, że bieleją mu kostki, nikt nam nie musi mówić, iż myśli o samobójstwie.”

Mary skoczyła na równe nogi z zaciśniętymi pięściami.

- Randal Eliot? Kto to jest Randal Eliot? Ktoś, kto nazywa mnie „idiotką” i „gówniarą”!

Usiadła z powrotem i ukryła twarz w dłoniach. Nie wszystkie recenzje były tak przychylne. Gdy czytała gorzką krytykę, czuła się jak chytry lis, ukryty w norze, podczas gdy krytycy, jak okrutne psy, biegają, nie mogąc wyczuć zwierzyny, a myśliwi - dziennikarze idą złym tropem.

Wyprostowała się i westchnęła. Jej nowa książka zostanie opatrzona imieniem Randal’a. Pozostanie popularnym powieściopi-

sarzem. Gdy jego wykłady uniwersyteckie nie będą miały sensu, będzie się mówiło, że są „donkiszotowskie”, „błyskotliwe”, „odrobinę szalone”. Powieściopisarzom przysługiwało prawo do takich rzeczy, niezależnie od tego, jakim terminem określano ich przypadłość - „schizofrenia”, „depresja maniakalna”. Wciąż będzie miał swoją pracę, dzieci będą miały pieniądze na ukończenie studiów, Don może rozkręcić interes.

Mary podeszła do okna i przez długą chwilę wpatrywała się w pogrążoną w ciemności Kensington Church Street.

- Ale jesteś w Londynie! - powiedziała głośno, odwracając się w stronę jasnego pokoju. - Pomyszkuj w antykwariatach! Po muzeach! Bilety za pół ceny na spektakle przy Leicester Square! Wyśmienite kolacje! - Usiadła z powrotem przy stole i zjadła dwa kawałki ciasta czekoladowego.

Na komódce leżał stos kartek z notesu Randalu. Jego gryzmoły w niektórych miejscach przebijały papier na wylot. Wiercił ołówkiem tak długo, aż złamał się grafit. Dzieci twierdziły, że nie są w stanie odczytać jego pisma. Jak ona dawała sobie z tym radę?

- Potrafię odczytać wszystko, co napisze - mówiła im. - Dyktuje, gdy jest w tym swoim „transie”...

Mary pozmywała naczynia i zamarzyła o gorącej kąpieli. Nic prostsze, skoro była sama. Najpierw stanęła na linoleum w ciepłej kuchni i namydliła się od stóp do głów. Następnie pobiegła do wanny w lodowatej łazience i zanurzyła się aż po brodę w gorącej wodzie. Było wspaniale... Mary zamknęła oczy i pomyślała o Randalu i o tygodniach kuracji elektrowstrząso-wych, gdy przypinano go do łóżka, aż zupełnie zapomniał o tym, że uciekał przed lekarzami ciemnymi ulicami, że Mary jeździła z policją, żeby znaleźć go skulonego w jakimś zaułku, kryjącego się przed lekarzami i oddziałami szpitalnymi. I wierzył, że pisze książki. Z jaką dumą mówił: „Moja książka... mój agent... mój wydawca...”

Mary uśmiechnęła się na tę myśl. Był taki szczęśliwy. W pracy miał mocną pozycję.

Wyciągnęła się w wannie. Zbitą szybę w oknie zakleiła wcześniej tekturą.

Czyste ręczniki na rozgrzanym wieszaku były teraz wszystkie jej. Z radia sączyły się dźwięki muzyki Brahmsa.

- Ach! - westchnęła z rozkoszą Mary. Moczyła się w gorącej wodzie i zaczęło jej się wydawać, że być może z czasem będzie mogła zapomnieć o jednym jajku, o zdumionym ojcu bliźniaków, nawet o czerwonym maku.

Gdy woda wystygła, wytarła się rozgrzanym ręcznikiem i pobiegła z powrotem do kuchni. Mimo wszystko jakoś przeżyła ten dzień. Randal został ulokowany w bezpiecznym miejscu, a ona była sama, wolna! W stroju Ewy wykonała taniec wokół stołu kuchennego, do rytmów *Szerezydady* Rimskiego-Korsakowa.

Londyńska noc. Ruch wielkiego miasta odbijał się echem w pokojach. Wyłączyła się lodówka. Przejeżdżająca ciężarówka wstrząsnęła ścianami.

Nie było dzieci. Przykleiły na lodówce godziny otwarcia muzeów i zostawiły wazon stokrotek. Gdy myła i odstawiła naczynia, widziała na obrzeżach szklanek ślady ich ust.

Była bardzo zmęczona, chciało jej się spać. Wyrzała przez szparę między zasłonami na sklepy z opuszczonymi żaluzjami na ciemnej Kensington Church Street. Z lipy opadały liście.

Było pięć łóżek. Chodziła od jednego do drugiego. Nie chciała spać w łóżku Randała ani w swoim własnym. Dzieci posłały swoje tak starannie, jakby nie chciały przysparzać jej żadnej pracy, żadnego bólu. Pomyślała o Michaelu i zateśniła do niego; jej najstarsze dziecko, wysoki, ciemnowosy, jak ona, uśmiechnięty... i taki odległy.

Na poduszce pozostał zapach włosów Beth.

Mary wsunęła się do łóżka Beth i leżała w nim, zmarznięta i sztywna, wsłuchując się w odgłosy Londynu za ścianą. Kensington Church Street była zaledwie o trzy metry od niej. Drzwi zamknęła na klucz. Miała latarkę. Miała telefon. W końcu łóżko rozgrzało się. Unosił się nad nim zapach Beth. Gdzie spały dzisiaj jej dzieci, porozrzucane po całym świecie?

Wtuliła twarz w poduszkę Beth i rozplakała się na myśl o bladej twarzy Randała i papierowym maku przypiętym do jego dłoni.

Zbudził ją londyński ruch i promienie słońca. Usiadła i spostrzegła, że spała w łóżku Beth. W holu pootwierane były drzwi. Cisza mówiła jej, że jest sama w domu. - Randal! - zawołała.

Jednak gdy wszyscy odeszli, znajome przedmioty pozostały jej wierne i przypomniały jej, co się stało. Wykonała codziennie powtarzane czynności: umyła twarz, przygotowała śniadanie, umyła zęby, posłała łóżko, pozmywała naczynia.

Randal był w bezpiecznym miejscu. Wiedziała, jak do niego dotrzeć. Wsiadła do autobusu i pojechała wypożyczyć maszynę do pisania.

Wypożyczalnia mieściła się w niewielkim, zaniedbanym pomieszczeniu. Mary cierpliwie czekała w kolejce i przyglądała się, jak buldożery niszczą budynek po drugiej stronie ulicy. Stare pokoje stały teraz obnażone, z tapetami w pastelowe kwiaty i owoce, były jak bielizna lub intymna rozmowa, usłyszana nagle przez kogoś obcego.

Mary przywiozła walizkową maszynę do domu, spakowała torbę Randal'a i z pomocą swojej mapki, ulica za ulicą, dotarła do Fairlawn.

Randal był bezpieczny, w tym domu ona zaś mogła spokojnie spać tej nocy.

Puste butelki po mleku wciąż stały przed domem. Jeanne otworzyła drzwi.

- Przyniosła pani rzeczy Randalu? - Jej długie proste włosy zawijały się na końcach; nie miała makijażu. - Porozmawiamy trochę - powiedziała z francuskim akcentem i poprowadziła ją do salonu, w stronę ogromnej kanapy, która była niczym oddzielne pomieszczenie. Usiadły w przeciwległych rogach kanapy, ze stopami podwiniętymi pod siebie.
- Dobrze pani spała? - spytała Jeanne.
- Tak - odrzekła Mary. - Wiedziałam, że Randal jest bezpieczny. Czy dobrze spał?
- Nie za bardzo. Dziś po południu, o drugiej, spotkamy się wszyscy z Randallem i z doktorem Boone. Randal jest znanym pisarzem w Stanach Zjednoczonych, prawda?
- Sławnym, to za dużo powiedziane. Miał dobre recenzje i dostał kilka nagród. Czy mogę się z nim zobaczyć?
- Nie ma go teraz - odparła Jeanne. - Wyszedł w pidżamie, żeby znaleźć kościół. Napije się pani kawy?
- Poszedł sam? - zdziwiła się Mary.
- Staramy się tutaj dawać ludziom swobodę, żeby zrozumieli samych siebie poprzez własne postępowanie. Z ich czynów wynika, jakie mają problemy. Na przykład Peggy ma skłonności samobójcze i musimy na nią uważać, ale również jej dajemy swobodę. Może próbować odnaleźć własną tożsamość.
- Czy Randal ma skłonności samobójcze?
- W pewnym stopniu chyba tak - odpowiedziała Jeanne. - Tak nam się wydaje. Zechce pani kawy? A może herbaty?
- Poproszę o kawę - odpowiedziała Mary i usłyszała, że otworzyły się i zamknęły drzwi wejściowe; w holu stał Randal i patrzył na nią. Podeszedł do niej w pidżamie, która była na niego za mała, i podał jej okulary. Ciężkie, czarne oprawki były zupełnie połamane.
- Znalazłeś kościół St. Davis? - spytała go Jeanne, wracając z filiżankami i z kawą. Randal nie odpowiedział. Mary wzięła okulary.
- Trzeba je będzie naprawić - stwierdziła. Bose stopy Randalu były sine, zmarznięte.
- Rob pożyczył Randalowi okulary do czytania, zanim te zostaną naprawione - rzekła Jeanne, podając Mary filiżankę.
- Zostawiłem okulary Roba na podłodze przed ołtarzem - powiedział Randal.

Do salonu Wszedł Rob.

- Randal zostawił twoje okulary na podłodze przed ołtarzem w kościele St. Davis - poinformowała go Jeanne.

- Zadzwoń do kancelarii kościoła - powiedział Rob, wychodząc.

- Nie jest ci zimno? - spytała Mary Randal. Zwróciła się do Jeanne: - Przyniosłam mu pidżamę, szlafrok i pantofle... czy powinnam pójść z nim na górę i pomóc mu się przebrać?

- Chyba tak, prawda, Randal? - powiedziała Jeanne. Randal wszedł z Mary na piętro. Położyła torbę na jego łóżku. Przez otwarte okno, którego Randal nie pozwolił jej zamknąć, wiał silny wiatr. Zgodził się, żeby zdjęła z niego pożyczoną pidżamę. Pozwolił, żeby ubierała go jak drżące dziecko. Na stopy nałożyła mu pantofle, podała szlafrok i zawiązała pasek. Dłoń, do której przypiął sobie papierowego maka, miał teraz obandażowaną.

- Zejdiesz ze mną na dół? - spytała Mary.

Randal nie odpowiedział, ale nie chciał wstać z łóżka, gdy wzięła go za rękę. Zostawiła go w tym zimnym pokoju i zeszła po wąskich schodach do holu, w którym czuć było dym papierosowy i psa.

Jeanne czekała na nią z kawą na kanapie. Mary usiadła. Dłonie, w których trzymała filiżankę, miała zimne i wilgotne. Czowała ucisk w żołądku. To dlatego, że Randal wcale nie był tutaj bezpieczny, a ona nie troszczyła o niego, chciała go tak zostawić i nigdy nie wrócić. Pokój śmierdział uryną. Na poręczy kanapy leżały okruchy chleba, a pośrodku dywanu stos wilgotnych czasopism i zeszytów.

- Proszę mi opowiedzieć o sobie - poprosiła Jeanne. - Skoro mamy zrozumieć Randala, pani rola jest bardzo istotna.

- Niech mi najpierw pani opowie o sobie - rzekła Mary. - Mówi pani z akcentem. Czy od dawna jest pani w Anglii? - Mówiła beznamiętnym, zimnym głosem. Ten dom był jej obcy.

- Jestem z Paryża - wyjaśniła Jeanne, akcentując ostatnie słowo skinieniem głowy tak, że jej długie włosy opadły na twarz. - Studiowałam we Francji, a potem przeniosłam się tutaj, żeby zrobić dyplom.

- A ja jestem z Nebraski - powiedziała Mary, naśladując jej ruch głową i uśmiechając się, jakby to było zwykłe spotkanie towarzyskie.

- Byłam zamężna, rozwiodłam się i nie mam dzieci - rzekła Jeanne. - Pani, zdaje się, ma czwórkę?

- Tak. Wszystkie mają ponad dwadzieścia lat. - Randal siedział na łóżku, w zimmym pokoju, a jego żona gawędziła sobie milutko.

- Jest tutaj ze mną moja matka - powiedziała Jeanne. - We Francji czuje się bardzo osamotniona.

- Moi rodzice nie żyją. Brak mi ich. - Mary ujrzała ich twarze i poczuła się jak dziecko oddalone od nich o tysiące kilometrów i lat, które ktoś obarczył odpowiedzialnością za chore psychicznie dziecko innych rodziców.

- Proszę mi o nich opowiedzieć - zachęciła ją Jeanne. Mary oparła głowę o kanapę, zamknęła oczy. Oczywiście, że będzie musiała opowiadać. Choroba Randała zawsze zmuszała ją do otwierania się przed obcymi.

- Miałam szczęśliwe dzieciństwo - zaczęła Mary. Otoczyła ją przeszłość składająca się z tysięcy zapachów, dźwięków i smaków, widoków i odczuć; długie rajstopy wciągane na ciepłe reformy w mroźne zimowe poranki... pudding z tapioki... łyżki mleczy, pękające, gdy się je ścisnęło językiem... - Mój ojciec uczył angielskiego w liceum - powiedziała Mary i przypomniała sobie kota

O futerku pachnącym śniegiem, jak wchodził przez okno, i dzwonek wędrownego sprzedawcy lodów w upalne popołudnie... dźwięk trąbki szmaciarza w zaułku. Ojciec podarował jej mały, czarny zeszyt, do którego wpisywała swoje wiersze. Z czasem mogła napisać u dołu każdej strony: „wiersz ten wydrukowano w...” -Moja mama też przez jakiś czas uczyła w liceum - ciągnęła Mary -więc wychowałam się w rodzinie nauczycielskiej. Byłam jedynaczką. - Przypomniała sobie szorstki dotyk różowego materiału swojej pierwszej wizytowej sukienki. Gdy po raz pierwszy włożyła jedwabne pończochy, wydawało jej się, że ma gołe nogi. - Dobrze nam się żyło... grywaliśmy w karty i jedliśmy niedzielne kolacje podawane na tacy, słuchając audycji radiowej *Amos'riAndy*. Chodziliśmy do kina i do restauracji. Mój ojciec uwielbiał uprawiać ogród. - Tępo zakończone palce ojca, które rozgniatały grudki ziemi i wyrównywały grządki. Mała dziewczynka, która spryskiwała wodą sadzonki w drewnianych skrzynkach. Nie potrafiła sobie wyobrazić rodzin, gdzie ludzie krzyczeli, kłócili się i walczyli ze sobą. - Moja

matka uwielbiała towarzystwo i rozrywki - wspominała Mary. - Nie potrafiła zrozumieć córki, która wolała siedzieć w domu, czytać i pisać wiersze i opowiadania. - Książki z biblioteki czekały na nią, gdy smarowała masłem kromki białego chleba, posypywała cukrem i cynamonem i siadała z piętami na brzegu wyściełanego krzesła. Czytała godzinami, z książką opartą na podciągniętych pod brodę kolanach. - Byli dobrymi rodzicami - stwierdziła Mary. - Brakuje ich pani - powiedziała Jeanne. Głosy dwóch kobiet otoczonych wysokimi ścianami kanapy były równie zwyczajne jak popołudniowe światło padające im na twarze, na włosy, na filiżanki. - Młodo wyszła pani za męża? - Miałam dziewiętnaście lat. W czasie drugiej wojny światowej Randal służył w wojsku. Pobraliśmy się w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. - W małym kościółku rozwieszono były białe płachty materiału. Pożyczony welon ślubny Mary falował wokół niej jak mgła. - Randal walczył we Włoszech. - Mary popatrzyła na Jeanne i wstrząsnął ją dreszcz. - Przeszedł bardzo wiele.

Jeanne nie odezwała się. Mary czuła odór uryny. Kominiek obok pełen był kawałków papieru i tektury. Ktoś puścił wodę w kuchni.

Pieniądze Randała za jej *Czysty zysk* zostaną wydane na opłacenie czasu, który Jeanne jej poświęca. Na opłacenie Fairlawn i bandaża na ręce Randała.

- I po wojnie przyjechali państwo tutaj? - spytała Jeanne.

- Żeby spędzić miesiąc miodowy i zebrać materiały do pracy doktorskiej. - Mary przypomniała sobie londyńską zimę; w zimnych kątach mieszkania w Hampstead unosiła się para z ich oddechów, ale piecyk elektryczny podgrzewał im czekoladę i dywan, na którym się kochali.

- Zrobił doktorat? - spytała Jeanne.

- Tak. Dostał pracę i kupiliśmy duży, stary dom w naszym miasteczku rodzinnym. - W którym miejscu na trawniku wystawiony był znak „Na sprzedaż”? Spróbowała to sobie przypomnieć i ujrzała werandę z filarami, które sama zaszpachlowała i pomalowała.

Teraz jednak była w salonie na przedmieściach Londynu, w Dollis Green. Na drugim końcu kanapy młoda kobieta o imieniu

61

Jeanne popijała kawę, a do salonu wchodził właśnie doktor Boone. Za nim szła Peggy ze swoim rudym seterem. Rob przyprowadził Randała w szlafroku i w pantoflach. Mary nie mogła patrzeć na Randała; była tu przez niego, siedziała trzymając filiżankę tak pustą jak ona sama.

10

Oczym porozmawiamy, Randal? - spytał doktor Boone. Mary pomyślała, że może Randalowi sprawia przyjemność znajdowanie się w centrum uwagi. Może właśnie dlatego przypiął sobie szpilką maka do dłoni.

- O gwałcie - zdecydował Randal.

- Randal wysikał się tutaj na książki i czasopisma - doktor Boone poinformował Mary tak radosnym tonem, jakby Randal zrobił coś pożytecznego, na przykład podlał kwiatki. - Chce, żeby kupiła pani nowe zeszyty i kredki dla Peggy. Stare się zamoczyły.

- Zapisz to wszystko - krzyknął Randal, rzucając się gwałtownie po zeszyt do stosu leżącego na podłodze. - Czy ktoś ma coś do pisania?

Zeszyt, który Mary dostała do ręki, był mokry i śmierdział.

- Proszę - powiedział Rob, wręczając Randalowi długopis. Gdy Randal podawał długopis Mary, ręce mu drżały.

Peggy powiedziała Mary, jakiego potrzebuje papieru i jakich kredek. Mary zrobiła listę zakupów.

- Zapisz godzinę - rozkazał Randal. - Dokładnie, co do minuty i sekundy. - Podał jej swój zegarek. - Jest siedemnaście minut i dwadzieścia dziewięć sekund po drugiej. Zapisz to.

Mary trzymała mokry zeszyt na lewej dłoni, by nie dotykał jej spodni. Widocznie w czasie dyskusji o gwałcie miała pełnić rolę sekretarki. A mogła być teraz w Grecji, spacerować w słońcu z Jayem i z Beth.

- Zapisz wszystko - powiedział Randal. Doktor zapytał, co to był za rodzaj przemocy, gdy wysikał się na książki. Mary co chwilę patrzyła na zegarek i zapisywała, co kto powiedział; nigdy już nie zobaczy Grecji, ponieważ Randal Eliot, wykładowca języka angielskiego, wołał posusiać sobie w salonie.

Randal pochylił się nad Mary i patrzył, jak pisze ona na mokrym papierze. Pilnował każdego zapisywanego słowa, jakby to nie on dawał jej przedtem pudełko pobazgranych kopert i kazał pisać na maszynie swoją nową powieść.

Doktor Boone, Jeanne i Randal rozmawiali o gwałcie. Randal chciał rozmawiać o wojnie atomowej. Powiedział, że niedługo wszyscy umrą. „Jak chcesz, to sobie umieraj - powiedziała w duchu Mary. - Ja jadę do Grecji.” Randal co chwilę podrywał się z miejsca, żeby sprawdzić, czy dokładnie zapisuje czas w mokrym zeszytce. Kazał jej zmienić słowa w jakimś zdaniu. Jakies inne kazał przepisać jeszcze raz.

Zeszyt cuchnął na kolanach, a długopis ślizgał się po mokrych, żółtych plamach. Randal miał tytuł doktora i zwykł był szydzić z niej: „Masz tylko maturę. Nawet nie wiesz, co to jest prawdziwa praca naukowa. Nigdy nic nie stworzysz - jesteś zbyt leniwa.”

W końcu Randal wyrwał dla Mary listę zakupów, zabrał swój zegarek i z cennymi, cuchnącymi notatkami poszedł na górę.

Mary przeszła z doktorem Boone do małego pokoju wypełnionego książkami. Zamknęła drzwi.

- Czy to nie jest niebezpieczne dla Randala, że wychodzi bez opieki?

- A czy mamy jakąś alternatywę? Czy powinniśmy szprycować go lekarami i zamykać w pokoju? Jak leczono go wcześniej?

- Dawano mu lekarstwa i zamykano - odparła Mary.

- My stosujemy inne metody - oświadczył doktor Boone. - Przyznaję, że istnieje pewne niebezpieczeństwo, ale gdyby nie wracał zbyt długo, odnajdziemy go; poza tym, jak do tej pory, stosuje się do zasad i mówi nam, dokąd idzie.

Mary odwróciła się, usiadła na krześle, przypominając sobie, ileż to już razy podpisywała zobowiązania i zgody na terapię wstrząsowe. † .

- Zawsze uważałam, że należy stosować się do zaleceń jego lekarzy - odpowiedziała. - Cóż innego mogę zrobić?

Doktor Boone pokrótce wyjaśnił jej, jakie ma przygotowanie zawodowe, stopnie naukowe i doświadczenie, jakby mogło to zapewnić Randalowi bezpieczeństwo na ulicach Londynu. Mary prawie go nie słuchała; wyobraziła sobie, jak zabiera Randała z Fairlawn, jak pokonuje z nim długą drogę do domu, wyobraziła sobie mieszkanie, w którym nie może go zostawić, telefony do innych lekarzy, jeszcze jedną podróż z Randalem, do innego „Fairlawn”...

- Będziemy starali się chodzić za pani mężem, jeśli to panią uspokoi - oświadczył doktor Boone.

- Byłabym znacznie spokojniejsza.

- Twierdzi, że jest pisarzem.

- Wydał cztery powieści - powiedziała Mary.

- Aha - mruknął doktor Boone i zaraz zadał następne pytanie, jakby miało ono logiczne powiązanie z tym faktem: - Jak będziemy się rozliczać?

- W Stanach mamy ubezpieczenie - powiedziała Mary. - Może powinnam zadzwonić na uniwersytet. - Spojrzała na zegarek. - Jest tam po dziewiątej rano.

- Może pani zadzwonić stąd - rzekł doktor Boone, podsuwając jej telefon. Mary wyciągnęła notes z adresami, wykreśliła numer i usłyszała przyjaźnie brzmiący głos z Nebraski. Mówiła w sposób zdecydowany, jak przystało kobiecie, która, będąc za granicą, trzyma sprawy w swoich rękach. Co prawda robiła zapiski w zeszytce przesiąkniętym uryną, ale za to z godnością załatwiła teraz sprawy finansowe. Doktor Boone stwierdził w duchu, że niesłusznie obawiał się o jej wypłacalność. Zapytał jednak, czy mogłaby już teraz dać mu kilkaset dolarów. Dała mu czeki podróżne, umyła ręce nad zlewem kuchennym i znów zostawiła Randała samego w Fairlawn.

Nie wiedziała, dokąd pójść. W domu nikt na nią nie czekał, nikogo nie obchodziło, czy w ogóle pójdzie spać.

Nigdy wcześniej nie była w takiej sytuacji. Siedząc w autobusie, przylądała się reklamom, wystawom sklepowym i londyńczykom, stojącym cierpliwie w ogonkach na przystankach autobusowych. Nigdy nie była w takiej sytuacji, ani razu przez czterdzieści siedem lat życia.

Wyjęła z kieszeni mapkę autobusową, rozłożyła ją tylko w połowie, żeby nie zasłaniać widoku pasażerowi siedzącemu obok. Not-

ting Hill Gate... Knightsbridge... Hyde Park Corner... Przypomniało jej się, że rodzice zawsze wymagali, żeby ich informowała, gdzie jest o każdej porze dnia, nawet gdy już skończyła szkołę i pracowała. Później Randal zawsze chciał wiedzieć, dokąd się wybiera, kiedy wróci...

Pojechała metrem do Leicester Square i wyszła na światło dzienne na Charing Cross Road. Szła wraz z tłumem ludzi, mijając agencje sprzedaży biletów, sklepy z pamiątkami i kina rozbrzmiewające nowoczesną muzyką. Pod pachą, w sekretnej kieszonce płaszcza, miała schowane pieniądze; nie nosiła torebki, żeby nie korcić złodzieja. Stała w kolejce po bilety, czytając wypisane kredą nazwy spektakli, które można było zobaczyć dzisiejszego wieczora. *Opowieści Hoffmanna*. Muzyka i taniec. Włożyła bilet do kieszeni i przedarła się przez tłum do sklepu Athena, od podłogi do sufitu wypełnionego reprodukcjami słynnych artystów. Miała masę czasu. Kupiła śliczne drzewo nad wodą Moneta i obrazek Renoira, na którym była para tańcząca w niezwykłym świetle, w niezwykłych kolorach, chociaż u stóp mieli niedopałki papierosów i więdnący bukiet fiołków.

W Swiss Centre wywieszane były w świetle lamp listy serwowanych dań. Wsadziła zwinięte, zapakowane reprodukcje pod pachę i czytała nazwy smakowitych potraw; następnie zeszła do toalety przy trzech restauracjach. W damskiej toalecie nie było nikogo oprócz pilnującej jej kobiety przy stole. Czytała książkę, ale na widok Mary poderwała się natychmiast.

- Co pani czyta? - spytała Mary. Gdy zobaczyła, że to poezje Nerudy, uśmiechnęła się. - Nerudę? Po hiszpańsku?
- Nie znam jeszcze dobrze angielskiego - odparła kobieta, wycierając deskę sedesu i przytrzymując drzwi od kabiny. Mary zamknęła się w kabinie. Gdy wyszła, długo szukała kurków przy kranie.
- Naciska się nogą, o tak - powiedziała kobieta i nacisnęła przycisk w podłodze. Z kranu popłynęła woda.
- Dziękuję - powiedziała Mary.

Kobieta patrzyła, jak Mary suszy ręce. Mary miała w kieszeni płaszcza małą plastikową szczotkę, puderniczkę i pomadkę; stanęła przed lustrem i poprawiła sobie makijaż.

- Czy przyjechała pani z Hiszpanii? - zapytała Mary.
- Nie ma tu okien - stwierdziła kobieta. - To źle. Tęsknię za słońcem Hiszpanii.
- Tak - powiedziała Mary. - A ja jestem teraz daleko od Ameryki, od moich dzieci.
- Dzieci? - Twarz kobiety rozjaśniła się. - Ma pani dzieci? Ja też mam dzieci!
- Niedługo znowu będziemy mogli zobaczyć nasze dzieci.
- Tak - powiedziała kobieta, wciąż jaśniejąca szczęściem, gdy Mary położyła jej na talerzyku pięćdziesiąt pensów. Mary usiadła przy małym, dyskretnie oświetlonym stoliku, żeby napić się lampkę wina. Niedaleko, a zarazem jak bardzo daleko od kobiety pracującej w toalecie. Czują tę odległość w smaku wina; podkreślał ją kelner swoim ukłonem, gdy przyjmował od Mary zamówienie. Ale obie kobiety wypełniało szczęście, gdy mówiły o swoich dzieciach. Mary piła wino, a oczy błyszczały jej w świetle świec jak oczy tamtej Hiszpanki.

11

Następnego ranka Mary mogła wstać, kiedy chciała. Łóżko Randała stało obok niej, gładko pościelone. Rozprostowała nogi i ramiona, ziewnęła, rozejrzała się po sypialni i przypomniała sobie *Opowieści Hoffmanna*; kostiumy, muzykę, rzędy widzów siedzących w ciemnościach wokół niej. Nikogo nie obchodziło, czy późno wróci do domu, czy w ogóle wróci. Zaśmiała się głośno.

Całkowity spokój panował w czystej łazience, kuchni i salonie, oświetlonych światłem pochmurnego nieba. Ktoś inny musiał nakarmić Randała. Ona mogła się ubrać, zjeść smaczne śniadanie przy muzyce płynącej z radia i poczuć się artystką w londyńskim mieszkaniu.

Zmyła nieliczne, zabrudzone przez siebie naczynia i pochodziła po pomieszczeniach, w których po raz pierwszy nikt niczego nie przestawiał, jeśli ona sama tego nie zrobiła. Mary zatrzymała się w drzwiach od sypialni. Pomyślała, że nie jest już taka młoda.

Nagle roześmiała się. Kupi sobie kwiaty - doniczkowe i cięte. Kupi na targu przy Portobello Road piękny, stary kieliszek do wina... nie... coś innego... może talerz z chińskiej porcelany i filiżankę ze spodkiem.

Przypomniała sobie o reprodukcjach. Rozpakowała je i rozwinęła na skąpanym słońcem, jasnym stole w salonie; *Taniec w Bougival* Renoira i *Antibes* Moneta.

Renoir był jak eksplozja fioletoów i krwistej czerwieni, przesiąknięty seksem i smutkiem, ognisty. Gdy położyła dłoń na stole,

barwy obrazu nadały jej różowy odcień. Przykleiła go taśmą klejącą na ścianie w sypialni.

Drzewo nad rzeką, Moneta, było zupełnie inne. Była z Randal'em w Antibes. Przymocowała reprodukcję w salonie nad stołem, na którym leżał jej otwarty dziennik w oczekiwaniu, aż napisze w nim ostatni rozdział nowej powieści. Spojrzała na swoją książkę.

Teraz mogła pisać od rana, gdy była wypoczęta i pełna energii. Nikt jej nie podejrzy. Nikt nie będzie jej przeszkadzał. Mogła rozkładać kartki na dywanie, przyklejać na ścianie uwagi dla siebie samej, odczytywać na głos napisane przez siebie słowa, żeby poczuć ich rytm, ich ładunek emocjonalny... dla samej przyjemności ich dźwięków.

Mary usiadła i spojrzała na swoje, rozmieszczone co drugą linijkę, schludne pismo; pomiędzy wierszami wpisywała poprawki. Każde z tych słów zrodziło się w jej głowie.

Podniosła wysoko dziennik, trzymając go kurczowo. Gdy rodziła dzieci, wiedziała, co ma się z niej wydostać na świat. To zależało od macicy. Ale umysł nie był zaprogramowany tak jednostronnie. Po miesiącach pracy mogło się okazać, że zrodziła coś na wpół uformowanego, jakieś zlepki słów. A ona głupia, opatrzy je imieniem Randal'a i będzie je kochała jak matka.

Jeśli opatrzy je tym imieniem.

Oczy Mary zrobiły się okrągłe, gdy przypomniała sobie wczorajszy antrakt w London Coliseum. Wokół panował ożywiony gwar. Ludzie jedli lody na patyczkach i plotkowali w korytarzach. Siedziała w tym wspaniałym teatrze, w powietrzu rozbrzmiewało jeszcze echo muzyki, i nagle pomyślała: „Rozwód. Mogłabym być wolna.”

Mary kartkowała stronicę swojej nowej książki. Swojej najlepszej książki. Na okładce mógł widnieć napis: „*Gospodarz* - powieść Mary Quinn”. Gdyby była wolna.

Randal miał teraz zabezpieczoną przyszłość. Nawet gdyby co chwilę zabierano go do szpitala psychiatrycznego, i tak utrzymałby się na uniwersytecie. Był słynnym pisarzem. Gdyby nawet nie napisał już więcej żadnej książki, mógł uczyć aż do emerytury. Dzieci były już dorosłe.

Ale ona nie miała stopnia doktora, nie miała pracy. Czy przyznano by jej alimenty? Pieniądze z pisania to zawsze kwestia

szczęścia; czasami wystarczałyby na wielką ucztę, czasami przymierałyby głodem.

Westchnęła i usłyszała ludzi rozmawiających na chodniku za ścianą. Popatrzyła na drzewo w Antibes. Było powyginane od wiatru, rosło prawie w morzu - jednak było zielone, a morze niebieszczyło się wspaniale.

Ktoś zastukał do drzwi i na progu znalazła list od Beth.

„17 października

Kochana Mamo!

Jak się czuje tata? A jak Twoje samopoczucie? Mamy nadzieję, że wszystko jest w porządku. Dolecieliśmy z Jayem do Grecji (dwie godziny różnicy czasu). Samolot wylądował o 15:15 czasu greckiego. Trudno nie tracić tu dobrego humoru. Wszystkie schody są tu zrobione z białego marmuru, a podłogi z czarnego. To naprawdę Grecja!

Widzieliśmy drzewka oliwkowe, a potem Partenon pływający się w słońcu..."

Partenon... to tak niedaleko stąd... Mary bawiła się okruchami na talerzu.

Zostawiła resztę listu na później, posłała łóżko i zadzwoniła do Fairlawn. Powiedziała Robowi, że dzisiaj nie będzie mogła przyjechać. Spytała, jak Randal się czuje.

- Ostatniej nocy pospał kilka godzin - rzekł Rob.

- To dobrze - stwierdziła Mary. - Dzisiaj nie jestem umówiona z Jeanne. Proszę mu powiedzieć, że dzwoniłam, że zaniosę jego okulary do naprawy. Przyjdę jutro i przyniosę nowy zeszyt i kredki.

Rob obiecał, że wszystko przekaże. Podziękowała mu i odwiesiła słuchawkę. Przez cały dzień i wieczór nie będzie musiała robić nic takiego, na co nie miałyby ochoty, a Randal niech sobie siedzi w Fairlawn i sika, gdzie mu się podoba. Zamknęła drzwi mieszkania na klucz i z mapą i pieniędzmi w kieszeni wyszła na Kensington Church Street. Dookoła był Londyn.

Przypomniała sobie, że przy Notting Hill Gate jest sklep z okularami. Gdy pchnęła drzwi, rozległ się dźwięk dzwonek.

- Potrzebuję nowych opravek do okularów męża - zwróciła się do wysokiego, chudego mężczyzny za ladą.

Optyk wziął okulary Randała i przyjrzał się im.

69

- Co pani mąż z nimi zrobił?
- Chyba nie miał już ochoty więcej patrzeć na świat -odparła Mary.
- Aha - mruknął optyk.
- Na kiedy może pan to zrobić?
- Proszę przyjść po nie za dwa tygodnie - odpowiedział optyk. Mary zeszła do automatów biletowych, na stacji metra. Kupiła

bilet do Tottenham Court Road i pomyślała o Partenonie pławiącym się w greckim słońcu dzisiejszego poranka. Londyńczycy jechali do pracy. Mary siedziała wśród szeleszczących gazet i rozmyślała o tym, jaka jest szczęśliwa, że może przechadzać się po Great Russel Street i wędrować wzdłuż szarej fasady Muzeum Brytyjskiego.

Ten dzień należał do niej. Spacerowała na świeżym porannym powietrzu w swych wygodnych, czarnych butach. Nikt nie wiedział, gdzie jest.

I mogłaby być taka wolna na zawsze.

„Nie wygłupiaj się - powiedziała Mary do siebie, wałęsając się po salach muzeum. - Randal nie płaciłby alimentów. Masz tylko świadectwo maturalne. Musiałabyś pracować jako kelnerka lub urzędniczka. Czy znalazłabyś wtedy czas na pisanie?”

Ludzie nachylali się nad szklanymi gablotami. Czemu przyglądają się z takim skupieniem?

Pod szkłem leżały listy; listy pisane setki lat temu. Czarny atrament na delikatnym papierze; w ludzkim uniesieniu zapisane zostały nawet brzegi. Mary chodziła od gablotki do gablotki, wczytując się w stare, pożółkłe wyznania. Król Jakub I błagał w 1623 roku swego syna, aby porzucił kochankę i wrócił do domu. Małgorzata Tudor, trzynastoletnia narzeczona, rozpacziała w 1503 roku, że chce wrócić do ojca. W sali było bardzo cicho, skrzypiała jedynie podłoga, dobiegał stłumiony odgłos ulicy i czasami ktoś zakaszłał. Spokojnymi pociągnięciami pióra na starym papierze opisano, jak po ścięciu Marii Stuart, królowej Szkocji, jej piesek stróżował przy zwłokach.

W innej gablotce leżała pojedyncza, niebieska kartka z wierszem Swinburne'a; początkowa wersja, kreślona wielokrotnie, tak że ledwo można było ją odszyfrować: „Gdyż kres już zimowych deszczów i zniszczeń /1 pory wszelkiej burz i czynów grzesznych...”

Słowa od razu zaczęły tańczyć Mary przed oczami i nie była w stanie ich odczytać. Odwróciła się tyłem do gablotek, stanęła obok drabiny prowadzącej do niezliczonych półek z książkami i wytarła nos.

Otoczyły ją głosy pokreślonych wersów. Zaczerpnęła głęboko powietrza, jak wtedy, w kolejce do autobusu w Dollis Green.

Chwilę później znalazła w Londynie serce Aten. Za wielkimi szklanymi drzwiami stały marmury Elgina, skarb Partenonu.

Mary szła powoli przez ogromną salę. Młode greckie ciała i stające dęba konie wyrzeźbione w marmurze - piękne, żywe, doskonałe - pojawiały się i znikwały, a w miejscach, gdzie posiał zniszczenie jakiś szaleniec z toporem, prześwitywał ogród. Tam, gdzie oszczędzał je topór, znajdowała się roześmiana twarz... dłoń trzymająca wodze... końska głowa uniesiona w rzeniu, wciąż perfekcyjna po upływie dwudziestu dwóch stuleci. Późniejsze, szalone czasy znowu zaatakowały kamień i zostawiły jedynie żółte rumowisko.

Teraz, kiedy trochę poznaliśmy Randala, chyba wszyscy chcemy zadać pani to samo pytanie - powiedziała Jeanne do Mary. -Chcielibyśmy się dowiedzieć, dlaczego została pani z nim przez te wszystkie lata, gdy tak się rozchorował. Mary wzruszyła ramionami:

- Nie mogłabym się sama utrzymać, nie wspominając już o czwórce dzieci. Nie mam odpowiedniego wykształcenia. A poza tym w tamtych czasach rozwody były dość rzadkie i patrzono na nie krytycznie.

Na wielką kanapę padły promienie słońca i oświetliły dwie rozmawiające na niej kobiety.

- Nie mogła wrócić pani do swego rodzinnego domu? Mary pustym wzrokiem rozejrzała się po pokoju.

- Gdy wyszłam za mąż, rodzice powiedzieli mi, że z Randalem zawsze będę u nich mile widziana, ale żebym nigdy nie przychodziła tam bez niego.

- To okrutne - powiedziała Jeanne.

- Tam, gdzie mieszkałam, takie były zwyczaje. Poza tym, Randal utrzymywał rodzinę - odparła Mary, spoglądając w filiżankę z kawą, a następnie w uważne oczy Jeanne. - Przez te wszystkie lata przynosił pieniądze do domu, na nic ich nie trwoniąc. Sądzę, że nigdy nie miał kochanki. Czasami nawet tego żałowałam.

- Dlaczego?

- Gdyby pani mąż miał kochankę i mogłaby pani z nią porozmawiać, czy nie pomogłoby to pani i nie dodało otuchy?
W haremach na pewno kobiety wymieniają spostrzeżenia.

Jeanne uśmiechnęła się.

- Tam wszystkie kobiety mają jednego męża.

- Więc może przestrzegają się wzajemnie: „Uważaj, dzisiaj jest w kiepskim nastroju.” Albo mówią: „Dlaczego bez przerwy opowiada te same dowcipy?” Lub dopytują się: „Rozmawiał z tobą, czy załatwił sprawę bez słowa?”

Jeanne roześmiała się teraz.

- W haremach kobiety mają własne dzieci i całą masę opiekunek, z którymi dzielą się zarówno mężczyzną jak i swymi kłopotami.

- Nasi rodzice byli starszymi ludźmi, a Randal nigdy nie lubił wychodzić z domu. - Mary kręciła obrączką na palcu.

- Nie byłam najlepszą matką... dzieci bez przerwy się sprzeczały... Nie mogłam zostawić ich ani na chwilę. Dawałam im klapsy i wrzeszczałam na nie, gdy byłam zmęczona albo zdenerwowana... Wiem, dlaczego rodzice krzywdzą swoje własne dzieci... - głos Mary przycichł.

- Kiedy zaczęła się u niego objawiać choroba psychiczna?

- W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, kiedy urodziła się nam córka.

- Czy odpowiadała mu rola ojca?

- Nie wiem - odrzekła Mary. - Pamiętam, że wieczorem karmił nasze pierwsze dziecko, Michaela, żebym mogła położyć się spać. Ale poza tym nie pomagał wiele - nigdy nie kąpał dzieci, nie czytał im na dobranoc, nie chodził na wywiadówki, w ogóle nie spędzał z nimi zbyt dużo czasu.

- Nie miała pani piastunki do dzieci?

- Raz w tygodniu przychodziła sprzątaczką - powiedziała Mary zamyślona. - Ale zawsze powtarzałam sobie, że jeśli ktoś chce być twórcą, karmienie dzieci piersią, przewijanie, pranie i gotowanie pieluch, karmienie łyżeczką, sprzątanie wymiocin, niańczenie, cerowanie ubrań, rozstrzyganie ich sporów - to wszystko bardzo jest pouczające.

- Chciała pani tworzyć? Mary napiła się kawy.

- Zawsze o tym marzyłam, ale nie mam talentu - odpowiedziała i wzruszyła ramionami. - Zapisuję jedynie to, co dyktuje mi Randal.

- I robiła pani to wszystko, co kobiety robią od zarania wieków?

- Tak. Było to w swoim rodzaju doświadczenie organiczne. Tak samo czułam się, gdy całą rodziną jeździliśmy na biwaki z namiotem, kuchenką i lampą gazową. Stworzenie domu na gołej ziemi, tak jak wychowanie dziecka, pomaga lepiej zrozumieć świat.

Mary w milczeniu popijała kawę, wsłuchując się w odgłos przejeżdżającego za ścianą samochodu. Randal spał na górze. Odezwała się po chwili:

- Widzi pani, ten wielki, stary dom, w którym mieszkaliśmy, był naszą oazą. Dzieci wiodły tam normalne życie.

Mary zamknęła oczy i pomyślała: „Ale Randal zaczął być złośliwy w stosunku do Dona... Don płakał przez niego codziennie przy kolacji. Randal zawsze miał mu coś do zarzucenia: że zostawił zabawki przed domem, że źle umył ręce... Pozostała trójka widziała, że jest niesprawiedliwy - do nich Randal się nie przyczepiał. Bardzo szybko Michael, Beth i Jay przestali mówić o Donie w obecności Randala. Małe dzieci lubią się na siebie skarżyć, ale na Dona się nie skarżyły. Nigdy tego nie robiły.”

- Prowadziła pani normalne życie? - spytała Jeanne.

Mary przypomniała sobie, jak łyzy kapały z twarzy Dona prosto do talerza i chciała powiedzieć: „Jeśli normalnym życiem można nazwać rozłam w rodzinie. Odchodziłam od stołu wraz z dziećmi, brałam stronę Dona, kłóciłam się o niego, kłamałam i robiłam różne rzeczy za plecami Randala. Dorosły potrafi sobie z tym poradzić, ale dzieci są słabe.”

- Poniekąd normalne życie - odparła Mary, myśląc, jak bała się, że gdy Michael, Don i Jay dorosną, pobiją ojca, jeśli będzie ją źle traktował.

- Jest pani mocno związana z dziećmi?

- Tak - odpowiedziała i pomyślała sobie: „Kryjemy się wzajemnie i snujemy plany za jego plecami; to podłe i nauczyły się tego ode mnie.” - Tak - powiedziała. - Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- A więc nigdy nie myślała pani o odejściu od Randala?

„Czy nie myślałam o tym, gdy Don płakał przez niego? Gdy Randal mówił mi, że jestem leniwa i że nigdy niczego nie napiszę?” - Mary wpatrywała się w filiżankę z kawą.

- Nie znałam żadnej kobiety, która odeszłaby od męża. Dzisiaj brzmi to dziwnie, ale gdy dorastałam, tak właśnie było. I nie miałam żadnych środków utrzymania. Nie mogłabym wrócić do domu. Jedyne dom, jaki miałam, to dom z dziećmi i z Randalem.

- Jakież to okropne - powiedziała Jeanne. - Jakie trudne dla pani. ,

Mary, patrząc na Jeanne, pomyślała, że to pewnie jakaś część kuracji: okazanie „współczucia” pacjentowi.

- Wyobrażaliśmy sobie z Randalem, że będziemy mieli wspaniałe życie. Nie wiem, ile jest mojej winy w tym, że Randal zachorował. Czuję się tak, jakby mój mąż wyszedł i nigdy nie wrócił, a ja żyję z mężczyzną, który tylko podaje się za Randala.

Mary spoczęła się pod bluzką ze sztucznej tkaniny, ale nie powiedziała Jeanne, jak mu współczuje i nienawidzi go zarazem.

- Nie! - zawołał w holu doktor Boone. Słowa te skierowane były do Randala, który schodził po schodach ze szklaną popielniczką w ręce. - Nie rzucaj jej!

Randal spojrzał na Mary. Nie dał po sobie poznać, że ją zauważył, i rzucił popielniczkę na dywan w salonie.

Rob, Jeanne i Peggy usiedli wraz z Mary na krzesłach i na kanapie. Rudy seter Peggy położył się obok niej, z głową opartą na łapach.

- Usiądź, Randal - powiedział doktor Boone tonem zachęcającym do pogawędki, ale Randal nie chciał usiąść. Stał w pidżamie i w szlafroku na środku pokoju i wpatrywał się w nich bacznie.

- Powiesz nam, czym się martwisz? - spytał doktor Randala.

- Mało spałem - odpowiedział Randal. Nachmurzony chodził od jednej osoby do drugiej. - Nie mogę spać.

Poświęciłem całe życie dla pokoju, ale walczyłem na wojnie. Mój ojciec też walczył na wojnie.

Mary słuchała Randala i przypominała sobie, jaki był kiedyś przystojny; gdy był młody, kobiety oglądały się za nim.

- Zabijaliśmy ludzi. Nie jestem z tego dumny. - Randal popatrzył na nią ponuro.

Powiedział, że Mary nigdy nie była z nim szczęśliwa. Nie nadawał się na ojca. Dzieci nigdy z nim nie rozmawiały, zawsze zwracały się do Mary.

Mary ze wzrokiem wbitym w podłogę słuchała, jak Randal podniesionym głosem odkrywa ich życie - jakby łomem wyważał drzwi komnaty małżeńskiej.

- Jeśli chodzi o seks, było nieźle. To nie jej wina, że przestaliśmy, ale moja.

Gdy Mary podniosła wzrok, niektórzy patrzyli na nią, a niektórzy na Randal. Tylko pies zachowywał się taktownie i spał.

- Wrzasnąłem „na pomoc” przez otwarte drzwi - powiedział Randal.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał doktor Boone.

- Ponieważ świat wyleci w powietrze - odparł Randal. - Poczekajcie! - Pogrzebał na półce z książkami i wyciągnął poplamiony uryną zeszyt. - Zapisuj to wszystko! - rozkazał Mary. - Zapisz godzinę i minutę!

Zeszyt już wysechł, ale śmierdział. Mary otworzyła go na pustej stronie, a Jeanne dała jej długopis.

- Masz tu mój zegarek! - zawołał Randal, wręczając go Mary. Napisła „12:15” i czekała. - Napisz o wojnie - powiedział Randal. - I o naszym wspólnym życiu. Wszystko! Zapisz wszystko.

W końcu Mary miała coś do roboty, mogła podejmować jakieś decyzje. We wtorek pisała w trzeciej osobie i w czasie przeszłym, jakby to było opowiadanie. Teraz odnotowała: „Randal mówi, że źle spał i że poświęcił całe życie dla pokoju...” Decydowała, gdzie użyć mowy niezależnej, a gdzie opowiadania, dumna ze swego równego, pełnego wdzięku charakteru pisma, podczas gdy inni nie mieli nic do roboty poza siedzeniem. Nie musiała na nich patrzeć.

- Czy byłeś blisko związany z matką? - zapytał doktor Boone. „Doktor Boone zadał Randalowi pytanie: Czy byłeś blisko

związany z matką?”

- Tak. Miałem siostrę, ale zmarła, gdy miałem kilkanaście lat. Przeszedłem heinemedinę i byłem chorowitym dzieckiem. Matka zawsze sądziła, że będę sławnym pisarzem. Ojciec chciał, żebym poszedł w jego ślady, ale matka dopilnowała, żebym ukończył uniwersytet w Berkeley i zrobił doktorat.

- Czy przyjazd do Anglii przywodzi ci na myśl jakieś wspomnienia?

- Wspomnienia wspólnego pobytu tutaj z Mary i pracy nad moim doktoratem.

Krąg ludzi przyglądał się Randalowi chodzącemu tam i z powrotem.

- Mary mi pomaga, przepisuje moje powieści na maszynie. Ja piszę je za jednym zamachem, kiedy jestem wytrącony z równowagi - powiedział Randal.

Mary, notując wszystko, przypomniawszy sobie, jak została przyuczona do funkcji pomocnika, dobrej żony, która pisze pod dyktando męża i przepisuje jego prace na maszynie. Teraz, z obojętną twarzą, pisała pod dyktando na poplamionym uryną papierze, gdzieś na przedmieściach Londynu.

- Mary jest dla mnie wsparciem, podtrzymuje mnie na duchu - powiedział Randal.

Mary zapisała: „Randal powiedział, że Mary jest dla niego wsparciem” i pomyślała, że Randal nigdy nie był dla niej wsparciem, ani nie pocieszał jej, gdy odmawiano wydrukowania jej wierszy. Po tym, jak nie udało jej się wygrać Nagrody Poetyckiej Mildnera, a była już za stara, żeby próbować kolejny raz, przeżywał ją „szanowną laureatką Nagrody Mildnera”.

„Nie jesteś mi potrzebny, ty skurczybyku - powiedziała Mary do siebie, zapisując: «Podtrzymuje go na duchu». - Nauczyłam się żyć bez twojego wsparcia, bez kochania się z tobą i, dzięki Bogu, nie tylko to istnieje na tym świecie.”

- A co sądzisz o ojcu? - spytał doktor Boone.

Randal nie odpowiedział. Krążąc po pokoju, zatrzymał się przy małym stoliku. Leżała na nim nowa książka doktora Boone'a, w sztywnej oprawie. Z błyszczącej obwoluty uśmiechała się do Randala twarz doktora Boone'a. Była to książka o chorobach psychicznych.

- Kochałeś swojego ojca?

Randal milczał. Zrobił kolejną rundkę, zatrzymał się przy książce doktora, zrobił jeszcze jedno kółko. Podniósł ciężką, szklaną popielnicę i stał z nią, wpatrując się w doktora.

- Proszę, nie rzucaj jej - powiedział doktor Boone uprzejmie. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że Randal uwielbiał brzęk tłuczonego szkła. W domu Randal wyrzucił przycisk do papieru przez okno w pracowni, a w Londynie maszynkę do golenia przez okno

łazienki. Na uniwersytecie rzucił dzbankiem z wodą przez całą salę. Kiedyś wyrwał się, żeby kopnąć szklane drzwi restauracji.

Randal wpatrywał się gniewnie w doktora Boone'a. Ręka mu się trzęsła, gdy podnosił popielniczkę.

Mary poczuła, jak wszyscy wstrzymują oddech.

W końcu Randal odłożył popielniczkę.

- Czy twój ojciec był dobry dla ciebie?

Randal znów chodził w kółko po kilku metrach kwadratowych dywanu, ledwie omijając ich wyciągnięte nogi i przednie łapy setera. Patrzył teraz tylko na doktora.

„Czy twój ojciec był dobry dla ciebie?” - napisała Mary na pożółkłej stronie.

- Czy twój ojciec cię kochał?

Randal zatrzymał się przy stoliku. Stał tam w milczeniu przez chwilę. Mary dostrzegła, jak zaciska nerwowo obandażowaną dłoń; dłoń, która pieściła ją niegdyś...

Nagle Randal złapał nową książkę doktora i zaczął drzeć ją, strona za stroną. Gniótł każdą kartkę i rzucał pod nogi doktora Boone'a, który siedział spokojnie i patrzył.

Sporo czasu zabrało mu wyrwanie całej książki z okładki. Każde rozdarcie papieru było gniewne jak przekleństwo. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał.

Słychać było darcie i szelest papieru. Na podłodze rosła sterta kartek. Randal darł papier trzęsącymi się rękoma. Miał bladą twarz, a na łysinie błyszczał mu pot.

Gdy skończył niszczyć książkę, akurat wyszło słońce; złociste światło padło na dywan i na pogniecione kartki.

Na twarzy Randala pojawiły się łzy. U jego stóp leżała okładka. Uśmiechała się z niej podobizna doktora Boone'a.

Powoli, systematycznie, Randal podarł obwolutę okładki i uśmiech doktora Boone'a na drobne kawałki. Uklęknął przed nim i zaszłochał. Wszyscy siedzieli w milczeniu. W końcu Randal zaczął niezgrabnie zbierać pogniecione kartki, układając je najrówniej jak mógł. Wetknął je w okładkę. Stał z pochyloną głową, otoczony wpatrzonymi w niego ludźmi, cichy, jakby był sam na sam ze swoją winą, smutkiem i skruchą.

- Da mi pan autograf na swojej książce? - spytał doktora Boone'a.

78

- Oczywiście - odparł doktor Boone i uśmiechnął się do Randala. Wyjął długopis z kieszeni marynarki.

Strony były pomieszanane, pogniecione. Doktor złożył podpis na wewnętrznej stronie tylnej okładki.

- Proszę bardzo - powiedział.

13

„19 października Delfy, Grecja

Kochani Mamo i Tato! Dobiaja końca pierwszy dzień naszej pięciodniowej wycieczki po Grecji. Przyjechaliśmy tu około godziny trzynastej i zostaniemy do jutra rano. Mamy bardzo dobrego przewodnika, który oprowadził nas po muzeum i po tym sławnym miejscu, którego czas świetności przypada pomiędzy 800 i 200 rokiem p.n.e. i które, jak wiadomo, zostało uwiecznione przez Sofoklesa w jego dwóch dramatach."

Mary oderwała się od któryś już raz czytane listu Jaya i wyjrzała przez okno autobusu przejeżdżającego przez Chelsea. Jechała do Fairlawn. „Jak wiadomo, zostało uwiecznione przez Sofoklesa..." Jak to miło, że Jay skrupulatnie notuje wszystko na użytek nieobecnych. „Sławne miejsce, którego czas świetności przypada..." Nagle poczuła się bardzo samotna.

Ale była w Londynie. W porannym słońcu błyszcząły sklepy przy King's Road. Autobus, którym jechała Mary, zatrzymywał się co chwilę na zatłoczonej ulicy, mijał młodych ludzi z włosami sterczącymi pionowo na ćwierć metra, jakby ktoś ich wystraszył.

Mary złożyła list Jaya i wysiadła z autobusu, żeby przesiąść się do metra przy Sloane Square. Nie potrzebowała już mapy; dobrze znała drogę do tego domu, stojącego wśród innych podobnych zabudowań; do domu, w którym przebywał Randal.

Teraz bez trudu potrafiłaby przemierzyć kilometry podmiejskich dzielnic w obcym mieście i przewieźć chorego człowieka labiryntem londyńskiego metra.

Przy drzwiach Fairlawn jak zwykle stały puste, półlitrowe butelki po mleku.

- Proszę usiąść - Jeanne powitała Mary w holu. - Randal poszedł się trochę przespać. - Zajął miejsce na kanapie z wysokim oparciem i poręczami. - Jak się pani czuje?

„Jestem pełna nienawiści. Nie mogę wybaczyć Randalowi, że nie jest dobrym ojcem, że nie chce się już ze mną kochać...” - Nie mogę wybaczyć Randalowi jego postępowania, na które przecież nie ma wpływu - roześmiała się sucho.

- Oczywiście - odparła Jeanne.

- Dużo rozmyślałam o tym, jak podarł wczoraj książkę doktora Boone'a, jak podarł jego zdjęcie, jak płakał i prosił go o autograf na tej stercie makulatury.

- I do jakich wniosków pani doszła?

Mary próbowała wygładzić fałdkę na kolanie spodni.

- Doktor dopytywał się o ojca Randal, a on ciągle wracał do książki. Gdy ją schwycił i zaczął drzeć, było to jak akt gwałtu, jakby kogoś mordował.

- Rzeczywiście - zgodziła się Jeanne.

- Kiedyś Randal zaprowadził naszego drugiego syna na cmentarz i kazał mu drzeć zdjęcia swojego ojca. Potem kazał Donowi wykopać dołek i ukryć te strzępy w grobie swojej matki.

- Rozumiem.

- Randal podarł zdjęcie doktora Boone'a szczególnie dokładnie, na bardzo drobne kawałki - powiedziała Mary. -

Wyglądało to prawie jak przedstawienie, jak pantomima. A potem uklęknął, jakby prosząc o przebaczenie.

Spróbował zebrać strzępy książki i poprosił doktora o autograf. Zastanawiam się, czy doktor zauważył to samo co ja: że Randal może ma za złe ojcu, że nigdy się z nim niczym nie dzielił.

- Przypuszcza pani, że chodzi tu o ojca?

- Być może.

- A więc wreszcie wyrzucił to z siebie. Świadomość tego powinna pani ulżyć.

Do pokoju wpadła Peggy ze swoim rudym seterem. Peggy trzymała wielki ręcznik, a seter był zupełnie mokry.

- Wsadziłam go do wanny! - oświadczyła Peggy triumfalnie. - Jest czysty! - Zaczęła wycierać psa przed elektrycznym kominkiem.

- Pani sądzi, że chodzi tu o jego ojca -ciągnęła dalej Jeanne. -My też tak uważamy. Przyniosę jeszcze kawy. -Jeanne poszła do kuchni.

Mary, przyglądając się, jak Peggy wyciera setera, próbowała rozgrzać sobie dłonie, siadając na nich. Okropne wspomnienia z przeszłości spowodowały, że wstrząsały nią dreszcze.

Ale teraz, skoro to ojciec Randała nie daje mu spokoju... Mary odetchnęła głęboko.

Randal z impetem wpadł do pokoju. Był zupełnie nagi i patrzył otepiałym wzrokiem.

Peggy uciekła przerażona, stukając bosymi stopami i ciągnąc ze sobą mokrego psa. Mary musiała jak najczulej przytulić swego męża, który zachował się tak, jakby znowu był dzieckiem.

- Zaatakowałem dwie kobiety! - krzyknął, podciągając gołe, owłosione nogi pod brodę Mary.

Pulchny Rob, tym razem w okularach na nosie, wszedł spokojnie w ślad za Randalem, niosąc jego ubranie, jak sprzedawca w sklepie z męską odzieżą.

Mary, przyciśnięta przez nagiego mężczyznę, obejmowała go i jednocześnie starała się sobie wmówić, że jest bardzo daleko stąd; nie chciała, żeby ktokolwiek mógł choćby przypuszczać, że coś ją łączyło z tym człowiekiem. Ale wiedziała, że według Roba ten gruby, nagi, trzęsący się mężczyzna - Randal - należy do niej; że tylko ona się jeszcze do niego przyznaje.

Rob stanął nad Randalem i Mary.

- Ubierz się - powiedział do Randała.

Mary musiała pomóc włożyć Randalowi koszulę. Czowała pot Randała; nie kąpał się od tygodni. Nie chciał ułatwić im wsadzenia nóg w slipy.

Mary obserwowała ze swego spokojnego, odległego kąta, jak kobieta w średnim wieku i młody mężczyzna próbują przyodziać innego mężczyznę i wyrzucała sobie brak zaangażowania, chłodne spojrzenie, jakby była autorką opisującą tę scenę w książce.

Randal nie chciał im pomóc. Na wpół ubrany nagle zerwał się z kanapy, podciągając spodnie. Twarz miał bladą i nerwowo szukał zapalek w kieszeni koszuli. Zapalił jedną z nich przytrzymując spodnie i pudełko tą samą ręką.

- Randal - powiedziała Mary. Nie odpowiedział, tylko podbiegł do jednego z okien i przytrzymał zapalną przy zasłonie, aż się zajęła. Podbiegł do następnych zasłon zapalając zapalną za zapalną, czekając za każdym razem, aż pojawią się smużki dymu.

Rob spokojnie szedł za Randalem i przyduszał ogień małym dywanikiem, który leżał przed kominkiem.

- Na pomoc! - wrzasnął Randal i rzucił się, żeby otworzyć drzwi frontowe. Przechodząca obok chodnikiem kobieta popatrzyła ze zdziwieniem na mężczyznę w spodniach naciągniętych do połowy, z dzikim wzrokiem, wołającego o pomoc.

Doktor Boone wyszedł z kuchni, zamknął drzwi frontowe i zaprowadził Randala z powrotem do salonu. Randal powiedział wcześniej, że zaatakował dwie kobiety. Jeanne, gdy wróciła z Robem do pokoju, wyglądała na spokojną, nie wspominała, że została zaatakowana. Peggy, gdy wróciła z psem i z ręcznikiem, wyglądała blado jak zwykle; usadowiła się znowu przy elektrycznym kominku i wycierała rudego setera, patrząc, jak Randal gmera wolną ręką w stercie czasopism na stoliku, żeby znaleźć zeszyt, w którym Mary miała pisać.

Nikt się nie odzywał, aż w końcu Mary dostała cuchnący zeszyt, długopis i zegarek Randala. Randal usiadł na niskim stołeczku, przytrzymując spodnie.

Doktor Boone odchrząknął.

- Może opowiesz nam o swojej rodzinie? - poprosił Randala. Nie uzyskał odpowiedzi. Mary zapisała godzinę i pytanie.

- Czy twoja rodzina była szczęśliwa? - spytał doktor Boone Randala.

Mary przypomniała sobie zły wzrok D.L'a przy stole w jadalni. Dzieci były małe i leżały już w łóżku; poczęstowała D.L'a kawą i ciastem, gdy po raz kolejny odwiózł Randala do szpitala psychiatrycznego. „Właściwie to musiałem się ożenić z Gertrudą - powiedział jej teść. - W tamtych czasach wystarczyło, że zabrałeś dziewczynę na przejażdżkę powozem i już byłeś zaręczony. Gdy wróciłem z pierwszej wojny światowej, czekała na mnie. Nie powinienem był się z nią żenić.”

Mary westchnęła ze smutkiem. „Doktor Boone spytał Randala, czy jego rodzina była szczęśliwa” - zapisała w późniejszym zeszycie, żałując, że nie mogła ucałować matki Randala w chwili jej śmierci.

- Miałaś szczęśliwe dzieciństwo? - zapytał doktor Boone. „Szczęśliwe dzieciństwo?” zapisała Mary. Gertruda była idealną teściową. Nigdy nie powiedziała złego słowa o Mary, nawet wzrokiem nie dała poznać, że coś jej się nie podoba.

D.L. wykrzykiwał przy stole w jadalni, gdy Mary była tam jeszcze gościem, narzeczoną Randal. Randal też krzyczał. Ojciec i syn kłócili się o politykę, ale ich nienawiść, pogarda i strach były tak wyraźne, jak odbłask rzucony na porcelanę i srebro przez kryształowy żyrandol.

- Tak - powiedział Randal. - Moja rodzina była szczęśliwa. Mój ojciec prowadził własny interes - firmę produkującą pompy wirnikowe - bardzo dobrze mu szło i dużo zarabiał.

„Bardzo dobrze mu szło” - zapisała Mary. Gdy teściowa zmarła, Mary sortowała jej pamiątki i odkryła, że przyjaciele nazywali młodą Gertrudę „śmieszka”. Śmiech Gertrudy, którą znała Mary, brzmiał jak ochryple szczekanie psa.

- Grałem w orkiestrze szkolnej i wydawałem w szkole gazetkę - powiedział Randal. - Miałem bardzo dobre stopnie, ale musiałem długo błagać ojca, żeby pozwolił mi pójść na uniwersytet. Chciał, żebym został z nim i z matką.

Musiałem go błagać o wszystko i działać z matką za jego plecami, żeby coś „osiągnąć”.

Randal zaczął grzebać w spodniach, zapinając rozporek i pasek, przeszukując kieszenie.

„Musiałem go błagać o wszystko i działać z matką za jego plecami, żeby coś osiągnąć.” Mary przerwała pisanie, gdy Randal krzyknął:

- Nienawidziłem go! - Zerwał się i podbiegł do Mary z rękoma pełnymi czegoś, co wyglądało jak strzępy papieru. - Nienawidziłem go! Nienawidziłem go! Nigdy nic nie kupił matce! - Strzępy papieru sypały się Randalowi przez palce i Mary zauważyła, że są to kawałki banknotów. Randal krzyczał: - Mógł jej kupić samochód, nowy dom, ubrania! - Kawałki banknotów spadały Mary na ręce; spokojne oczy George'a Washingtona, pozbawione twarzy, przyglądały jej się z ukosa.

Mary zaczęła zbierać te strzępy pieniędzy: broda Hamiltona, cyfra dziesięć, oko w trójkącie, kilka filarów Białego Domu, litery, liście.

Po chwili doktor Boone odezwał się jak zwykle spokojnym głosem:

- To chyba około stu dolarów. Jeśli je pani poskleja, powinni w banku wymienić na nowe.
Sekretarka ze śmierdzącym zeszytem zrobiła kopertę z wydartej z niego kartki. Zgarnęła podarte kawałki papieru.
Randal nie chciał odpowiadać już na żadne pytania. Patrzyli, jak Mary chowa małe, zielone kawałki amerykańskich pieniędzy.

Sto dolarów! Mary spędziła ten wieczór siedząc przy kaloryferze, żeby nie trząść się z zimna, i sklejąc taśmą kawałki pieniędzy. Owinęła nogi kocem i słuchała, jak gwizdże wiatr na Kensington Church Street.

W poniedziałek rano ukazało się słońce i grzało ją, gdy szła do Notting Hill Gate.

- Mam trochę amerykańskich pieniędzy - powiedziała z uśmiechem do urzędnika w banku Barclays. - Są dość sfatygowane i nie wiem, co z nimi zrobić. - Położyła na półce przed okienkiem pofalowane, bezkształtne, poklejone taśmą dolary. - Ubiegłego wieczoru odwiedziło nas małe dziecko. Dobrało się do portfela mojego męża i zabawiało się darcie banknotów.

- Rozumiem - mężczyzna uśmiechnął się lekko. - Jak widzę, bawiło się doskonale.

- Otóż to - przytaknęła Mary. - Czy można jakoś wymienić te banknoty? Jest tutaj dziewięćdziesiąt pięć dolarów.

- Ten mały nicpoń włożył w to całe serce - powiedział mężczyzna, przyglądając się każdemu banknotowi.

- Nawet nic nie powiedziałam rodzicom, bo byli moimi gośćmi - usprawiedliwiła się Mary, przysłuchując się swoim coraz odważniej-szym, logicznym kłamstwom. Uśmiechnęła się na myśl o tym normalnym świecie psotnych dzieci i odpowiedzialnych rodziców.

- Powinni byli pilnować - powiedział mężczyzna, wciąż przyglądając się banknotom.

- Tak to już jest z dziećmi - powiedziała Mary. Patrzyła, jak układał banknoty w kupkę. - Czy będę musiała coś zapłacić za ten kłopot?

- Żaden kłopot - odparł mężczyzna, wyciągając z szuflady nowiutkie banknoty ściągnięte gumką. Odliczył dziewięćdziesiąt pięć dolarów, przeliczył je jeszcze raz i wręczył Mary. - Proszę bardzo.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Mary.

- Niech pani uważa na te małe łobuziaki - przestrzegł ją. Mary wyszła śmiejąc się z figli dziecka, które przez chwilę wydało jej się tak realne jak te nowiutkie banknoty. Uczucie ulgi minęło, gdy czekając na autobus powiedziała do siebie: „Kłamstwa, kłamstwa, same kłamstwa.”

Gdy weszła do mieszkania, dzwonił telefon.

- Nie dzwonię nigdy, jeśli nie mam dobrych wiadomości - oświadczył George Blumberg. - A tym razem mam dobre wiadomości o *Czystym zysku*. Próbujemy sprzedać go dla filmu. Jeszcze nic pewnego. Jak tam Randal?

- Zachorował - odparła Mary. - Jest na kuracji w klinice psychiatrycznej.

- Naprawdę?

- Don wrócił do Stanów. Beth i Jaya wysłałam w dalszą podróż, do Grecji i do Włoch, zgodnie z pierwotnymi planami.

- Bardzo współczuję - powiedział George i dodał ostrożnie: - Chyba nie miał czasu pisać... - zawiesił głos. - Zawsze mówi, że gdy wpada w ten „trans”...

- Nie jestem pewna - odparła Mary.

- Aha - powiedział George.

Mary uśmiechnęła się lekko na dźwięk rozczarowania w jego głosie. Traktował ją jak sekretarkę Randala. Nigdy nie pytał jej, co sądzi o przepisanych książkach. Gdy raz zuchwale wyraziła jakąś uwagę na temat drugiej książki Randala, całkiem to zignorował. Pewnie nawet nie słyszał, co powiedziała. Rozmawiał dalej z Randalem obiecując, że książka świetnie się sprzeda, że Randal będzie bogaty.

- Posłuchaj - powiedział George. - Jak poczuje się lepiej, powiedz mu, żeby pomyślał o tej nowej książce. Sprzeda się ją,

wykorzystując sukces *Czystego zysku*, i za duże pieniądze. Chcę, żeby mi dostarczył przynajmniej trzecią część książki i ogólny zarys reszty, a wystarczy mu na zapłacenie za studia dzieci, na nowy dom...

- Dobrze - odpowiedziała Mary słabym głosem, ze wzrokiem utkwionym w swoim dzienniku, który krył w sobie książkę Randała.

- Powiedz mu, że chcą zrobić film na podstawie *Czystego zysku* - poradził George. - To go wprawi w lepszy nastrój. Wolność... Samotność... Mary wykorzystywała każdą chwilę jak skarb, która przytrafia się tylko raz w życiu. Mogła teraz pisać przy świetle dnia, wypoczęta, w pełni sił. Wprowadzała poprawki, wiele poprawek. Znajdowała nowe środki wyrazu zamiast opisów i wyjaśnień.

Obok maszyny rosła sterta zapisanych. Od czasu do czasu Mary tańczyła po tym londyńskim mieszkaniu, śmiejąc się, z szeroko otwartymi oczami, dookoła stołu, na którym spoczywał rękopis.

Wreszcie skończyła przepisywanie powieści. Uniosła oburącz maszynopis. Na stronie tytułowej brakowało nazwiska autora. Po raz pierwszy na żadnej stronie nie figurowało imię Randała.

- Rozwiedź się - powiedziała głośno. - Rozwiedź się. Będziesz miała własne książki, własnego agenta, który zadzwoni z Nowego Jorku i powie: „Sprzedam ją... Zarobisz na niej majątek.” Znajdź sobie jakiś pokój do czasu, aż dostaniesz pierwszą zaliczkę. Będziesz żyła tak jak teraz, będziesz mogła pisać.

Mary usiadła przy stole, zacisnęła zęby i odezwała się do ścian londyńskiego mieszkania:

- Dla dzieci jestem tylko mamą, która prowadzi dom, jestem stenotypistką. One są dumne z Randała.

Mary położyła dłonie na maszynopisie swojej nowej, najlepszej powieści i oparła o nią głowę.

Pewnego ranka Randal obudził się i powiedział, że jest niewidomy.

- To się czasami zdarza - wytłumaczył Mary doktor Boone. - Naprawdę nic nie widzi, ponieważ jest w silnym stresie.

Powiedział

nam, że już nigdy niczego nie napisze. Że *Czysty zysk* był jego ostatnią książką. Uważa, że jeśli nie będzie pisał, straci pracę.

Randala trzeba było wszędzie prowadzić. Wzrok miał utkwiony prosto przed siebie, nie zwracał uwagi na poruszające się przed nim przedmioty.

- Niech pani zabierze go do domu - pewnego ranka zaproponował doktor Boone. - Czasami zmiana otoczenia może przywrócić wzrok. Randal mógłby spędzić z panią noc i wrócić do Fairlawn jutro na obiad.

- Od tygodni przeżywa piekło spodziewając się, że w każdej chwili może wybuchnąć wojna atomowa - powiedziała Mary. - Nigdy przedtem nie widziałam, jak bardzo cierpi. Zawsze go zamykano, leczono elektrowstrząsami, środkami uspokajającymi.

Mary zapakowała do torby rzeczy potrzebne Randalowi na noc. W taksówce, która wiozła ich na Kensington Church Street, Randal nie odezwał się ani razu.

Mary wprowadziła go do holu i zamknęła drzwi. Randal wyciągnął rękę i dotknął framugi.

- Nie pamiętam tego miejsca - powiedział.

Wyjaśniła mu, że to ich mieszkanie. Zdjęła mu płaszcz, i zaprowadziła do krzesła w salonie.

- Napijesz się kawy? - zapytała.

Randal nie odpowiedział. Siedział na skraju krzesła i patrzył przed siebie.

Siedział tak bez ruchu aż do obiadu.

- Chyba będę musiała cię nakarmić - powiedziała Mary. - Otwórz buzię. - Podała mu łyżkę spaghetti.

- Opiekujesz się mną - zauważył Randal. - Zawsze się mną opiekowałaś. Ale już nie będziesz musiała tego robić.

Część spaghetti spadła mu na brodę. Oczy Randala, mimo że skierowane na nią, ziały pustką.

- Po prostu jesteś w złej formie - powiedziała Mary. - Za kilka dni poczujesz się lepiej i pojedziemy do domu.

- A co by było, gdybym to ja się musiał opiekować tobą? - spytał Randal. - Jak byś się czuła? Zająłbym się tobą.

Chętnie bym się tobą zajął. Ale ty byś pewnie nie chciała, żeby tak było, prawda?

Mary podała mu do ust następną łyżkę spaghetti.

- Musimy opiekować się sobą nawzajem - powiedziała. W kącikach oczu miała łzy.
Randal nie miał apetytu. Aż do kolacji przesiedział bez słowa na krześle, jedynie od czasu do czasu Mary musiała prowadzić go do łazienki. Po kolacji znów siedział nieruchomo w ciemności.

- Nigdy już nie będę pisał - odezwał się wreszcie. - A kimże jestem, jeśli nie pisarzem?
Za ścianą po Kensington Church Street przewalał się ruch uliczny.

- Nagroda Pulitzera - powiedział po chwili Randal płaczliwym głosem.
Mary otoczyła go ramionami i pocałowała. Był sztywny jak wielka lalka.

- Będę nikim - powiedział po chwili. - Będę po prostu wykładowcą. Kiepskim wykładowcą. Trzymają mnie przez wzgląd na moje książki. A jeśli nie napiszę więcej książek? Jak długo będą pamiętać, jaki byłem dobry?

- Jesteś taki nieszczęśliwy - powiedziała Mary drżącym głosem. - Tyle przecierpiałeś i jesteś taki nieszczęśliwy.
Randal się nie odezwał.

Na policzkach Mary ukazały się łzy. - Jesteś moim ukochanym mężem - powiedziała. - Kocham cię. Zrobiłabym wszystko, żeby ci pomóc. Wiesz, że zrobiłabym wszystko.

Ulicy obok przechodziło kilka osób i jasne dźwięki ich ożywionej rozmowy wsączyły się do ciemnego pokoju.

- Pamiętasz, jak się po raz pierwszy spotkaliśmy? Płynęłam łódką z Gwen Joplin, a ty stałeś z Bobem Fitchem na pomoście - wspomniała Mary cicho. - Zawołaliście, że chcecie z nami popłynąć. Gwen i Bob usiedli z przodu i całowali się. My siedzieliśmy z tyłu, cytowaliśmy Frosta i jedliśmy prażoną kukurydzę, a oni myśleli, że zwariowaliśmy.

Przeszłość wydawała się Mary bardzo dziwna. Słowa odbijały się lekkim echem od ścian londyńskiego salonu, w którym siedziało naprzeciwko siebie w ciemności dwoje ludzi w średnim wieku.

Mary ogarnęły wspomnienia, wizje, dźwięki, zapachy. Tak jak Randal nie widziała tego pokoju.

- Nasz miesiąc miodowy w Europie... Pamiętasz, jak rozmawialiśmy bez końca o książce, którą chciałeś napisać? A ta różowa tapeta, którą wykleiliśmy nasze pierwsze mieszkanie? Pamiętasz,

jak wprowadziliśmy się do własnego domu? - Głos Mary załamał się i zaczęła płakać.

Randal się nie odzywał.

Mary wytarła mokre oczy i starając się zapanować nad swym głosem, powiedziała:

- Napisałeś wtedy swoją pierwszą książkę, *Dzielnice*, pamiętasz? A potem *Obca*, *Na dobre i złe* i *Czysty zysk*.

- Moje książki - powiedział Randal. - Moje książki. Już nie będę mógł pisać.

- Nieprawda! - krzyknęła Mary.

- Nie będzie już książek. Nie będzie pieniędzy.

- Nawet jeśli nie będziesz pisał, będziesz mógł uczyć. Przecież to lubisz.

- Cały wydział będzie się ze mnie śmiał. „Patrzcie, idzie ten były pisarz, co to omal nie dostał Pulitzera.”

Mary rozplakała się i wycierała dłońmi kapiące łzy.

- Widzisz, to bardzo proste - powiedział Randal zwyczajnym głosem, cicho, spokojnie. - Jeśli człowiek nie jest już z siebie dumny, to nie ma po co żyć.

- Och, kochanie, kochanie! - płakała Mary, klęcząc przed nim i obejmując go. - Nie mów tak nigdy! - Płakała, przytulona do jego udręczonej twarzy. Zaczęła go energicznie potrząsać za ramiona.

Randal pozwolił sobą trząść, jakby był manekinem.

- Masz nową książkę! - krzyczała Mary zduszonym głosem. - Nie pamiętasz? Skończyłeś nową książkę, jak już byłeś chory! Nie pamiętasz, jak ją pisałeś całymi tygodniami, nie pamiętasz tych stert notatek, które przepisywałam na maszynie?

Poderwała się, żeby zapalić światło. Ależ Randal był blady, stary. Z jego pustych oczu wyczierała rozpacz.

- Zaraz ci ją pokażę! - krzyknęła Mary i pobiegła grzebać w ich szafie w sypialni. Wróciła i drżącymi rękoma położyła przed nim na stole nowiutki, czysty maszynopis.

- *Gospodarz* - powiedziała. - Zatyłowałeś ją *Gospodarz*. Wzięła jego dłoń, żeby mógł dotknąć grubego maszynopisu.

- Moja? - zapytał. - Moja... nowa książka?

- Tak - powiedziała Mary.

- Zastanawiałem się - powiedział Randal. - Bałem się zapytać...

- O co?
- Nie pamiętałem, żebym napisał chociażby jedno słowo.
- Napisałeś - upewniła go Mary.
- I mogłaś odczytać moje notatki? - spytał Randal. - Dyktowałem ją?
- Tak, tak jak zawsze - odpowiedziała Mary. - Przyniosę kawę. Nagle Randal poderwał się z miejsca.
- Widzę! - krzyknął. - Widzę! Nie jestem ślepy! - Biegał po pokoju, dotykając ściany, blatu kuchennego, stołu. - Już nie jestem ślepy!
- Oczywiście, że nie - powiedziała Mary doganiając go i zarzucając mu ręce na szyję. - Nie jesteś ślepy. Nigdy nie byłeś. Martwiłeś się tylko o nową książkę.
Randal odsunął ją i usiadł obok maszynopisu. Wypił kawę, nawet tego nie zauważywszy. Czytał swoją nową powieść.
- *Gospodarz*. Nie pamiętam tego. Zupełnie tego nie pamiętam. Jak zwykle.
- Wydaje mi się, że jest naprawdę dobra - powiedziała Mary. - Najlepsza ze wszystkich, jakie do tej pory napisałeś.
Mary poszła do kuchni, żeby czymś się zająć - pozmywać naczynia, a może wyczyścić małą lodówkę. Nie leczono go elektrowstrząsami. Czy uwierzy, że to napisał?
Randal zaczął mazać ołówkiem po maszynopisie.
Mary udawała, że czyta jakieś czasopismo, obserwując jednocześnie, jak Randal przewraca kartki, jedna za drugą. Na pewno uwierzy, iż sam to napisał. Mary zamknęła oczy. Nie zniósłby myśli, że jest to dzieło kogoś innego.
Zawsze jest taki zaślepiony, przy każdej kolejnej książce.
Randal próbował palić fajkę, ale zgasła mu, gdy tytoń się wypalił. Mógł podrzeć maszynopis - nieraz tak robił. Mary sporządziła kopię, a poza tym miała dziennik - poprawiony, ukryty w bezpiecznym miejscu.
Mary w końcu powiedziała, że idzie spać. Randal zerwał się i przytulił ją mocno, ucałował, powiedział, że jest najcudowniejszą kobietą na świecie; jak bez niej mógłby pisać swoje książki?
- Jesteś taka wspaniała - powiedział. - Piękna... - Ominął wzrokiem jej twarz i skierował go ponownie na maszynopis leżący w złotym świetle lampy.

Mary weszła do łóżka i zapadała w lekką drzemkę. Randal w każdej chwili mógł wybiec na ulicę, zacząć coś podpalać, albo tłuc szkło.

Co jakiś czas uspokajał ją szelest papieru i jego głos, gdy mówił coś do siebie, albo gdy czytał książkę na głos. Zaśmiał się. Powiedział:

- Mhm. Tak.

Gdzieś w głębi jego umysłu, który sprawiał mu tyle kłopotu, tkwił chłodny, spostrzegawczy krytyk. Zrobiło jej się ciepło na duszy, gdy słuchała tych „mhm” i „tak”.

W jej powieści sceny miłosne były bardzo obrazowe. Po północy Randal pewnie doszedł do jednej z nich, gdyż Mary obudziła się, czując na sobie jego ciężar. Próbował zdjąć ubranie i całować ją jednocześnie. Kotłowali się na wąskim łóżku: dwa ciała, koszula nocna, podkoszulek i spodnie, majtki, skarpetki, buty, pocałunki.

Zanim stali się jedynie dwójgiem nagich ciał leżących obok siebie w łóżku, Mary przypomniała sobie przeszłość, wyobrażała przyszłość i obecną rzeczywistość londyńskiego mieszkania. Przytulała Randała mocno, całowała go i ogarniały ją dawne uczucia mocno złączonych ust i ciał, a on powtarzał w rytm kochania: „książka jest dobra, książka jest dobra”.

Gdy było już po wszystkim, Randal zerwał się i pognął do stołu w sąsiednim pokoju, do maszynopisu.

Mary pozbierała jego porzucane ubranie i buty.

- Ubierz się, przeziębisz się - powiedziała, podając mu flanelową koszulę. Była zupełnie naga, okryta jedynie długimi, srebrzys-to-czarnymi włosami. Wepchnął ręce w rękawy koszuli, wciągnął spodnie i z powrotem usiadł przy stole. Ich mały budzik podróżny wskazywał czwartą nad ranem.

Włożyła szlafrok, zrobiła mu kawy i postawiła filiżankę obok maszynopisu. Marginesy były zabazgrane ołówkiem, ale nie zaznaczał nic pomiędzy wierszami.

Mary, dygocząc cała, wróciła do łóżka. Jej książka przepadła! Jej najlepsza książka przepadła!

Ale za to ocalała jej rodzina. Ocalał Randal i jego posada. Ocalała ona sama i będzie mogła dalej ukradkiem pisać swoje książki.

I kochali się po raz pierwszy od lat. Jako młoda żona czuła się po tym pełna życia i wigoru - tak jak inne kobiety, leżące w ciemnych domach w ramionach mężczyzny po akcie miłosnym.

Za ścianą, na Kensington Church Street, zaczynały przejeżdżać samochody. Mary drżała, leżąc w swoim wąskim łóżku.

Obudziło ją poranne słońce i zapach kawy. Zerwała się przerażona, że Randal gdzieś poszedł.

- W Fairlawn każdego ranka przygotowuję kawę - oświadczył dumnie, gdy wpadła do kuchni. - Wracaj do łóżka i rozgrzej się. Przyniosę ci.

Mary wśliznęła się z powrotem pod kołdrę, a Randal przyniósł tacę. Czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mu się coś takiego zrobić? Nie poprosiła o cukier ani o śmietankę. Wypiła czarną, gorzką kawę, podczas gdy Randal rozprawiał o poprawkach w powieści.

- To wymaga jeszcze pracy - powiedział, chodząc tam i z powrotem po sypialni. Nie miał na nogach butów ani skarpetek.

- Nie zimno ci w stopy? - spytała Mary.

Randal nie słyszał jej. Mieszał cytaty z powieści z własnymi przeżyciami, fragmentami rozmów w Fairlawn, obwieszczeniami o wojnie atomowej, które przypinał lub przyklejał na ścianach w Fairlawn.

- Ta powieść wymaga jeszcze znacznej pracy - powiedział Randal dumnie. Zawsze tak mówił; nic to nie znaczyło. - Ale jest w niej moje ja, moje prawdziwe ja, wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

- Wymaga pracy? - zdziwiła się Mary, wpatrując się w fusy w filiżance. - Chyba nie chcesz popsuć tego „dziewiczego, wspaniałego, beztroskiego uniesienia”.

- Nie do wiary! - piał Randal. - W ogóle jej nie pamiętam, ale przecież jest! Co by było, gdybyś tego nie zapisała? - Popatrzył na nią i ucałował mocno, tak mocno, że rozcięła sobie zębami wargę. - Muszę ci podarować róże.

W drodze do Fairlawn Randal kupił z ulicznego wózka bukiet róż. Musiała nieść ten wielki bukiet przez całą drogę do autobusu, a on trzymał ją za rękę. Kilka osób uśmiechnęło się do pary w średnim wieku, manifestującej swoje uczucia.

- Nie, nie! - zaprotestował Randal, gdy chciała zostawić róże w Fairlawn, żeby cieszyły wzrok innych ludzi. - Są twoje! - powiedział. Mary zaniósła je do pustego mieszkania i wstawiła do słoika po ogórkach.

Randal pobazgrał maszynopis. Większości zapisków nie była w stanie odczytać, a te, które rozszyfrowała, nie miały nic wspólnego z powieścią: „bomba”, „pies Peggy”, „ślepy”. Spędziła wieczór na ścieraniu ich. Czytając powieść następnym razem, nie będzie pamiętał, że poczynił jakieś notatki.

Gdy w ciszy udała się na spoczynek i leżała, przyglądając się na suficie refleksom światła przejeżdżających samochodów, przypomniało jej się ciepłe światło dawnego londyńskiego kominka gazowego, zakurzony dywan pod dwoma nagimi ciałami i zapach gorącej czekolady.

15

Doktor Boone stwierdził, że Randal może wrócić do domu, do Stanów, w planowanym terminie. Mogli spotkać się z Jayem i z Beth w Luksemburgu i wykorzystać bilety powrotne na grudzień.

Randal przebywał w Fairlawn, a Mary ćwiczyła przejazd na lotnisko: będzie musiała pilnować bagażu i prowadzić Randala od stacji do stacji, w górę i w dół po ruchomych schodach. Jeanne powiedziała, że Randal ma skłonności samobójcze. Mary przejechała trasę tam i z powrotem, sporządzając notatki, wypatrując potencjalnych pułapek.

Rankiem, ostatniego dnia pobytu Randala w Fairlawn urządzono mu przyjęcie pożegnalne.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała Mary do Jeanne, gdy znalazła ją samą w salonie. - Bardzo mi pani pomogła. Teraz już jakoś wytrzymam.

Jeanne uścisnęła ją.

- Niech pani żyje swoim własnym życiem - poradziła jej. - Jest pani silna.

- Mam nadzieję, że wystarczająco silna - odparła Mary. - Mam nadzieję, że uda mi się go dowieźć do domu.

Rob, Jeanne, Peggy i doktor Boone stali w drzwiach i machali na pożegnanie, życząc Randalowi sukcesu z nową książką. Patrzyli, jak idzie ulicą z torbą przewieszoną przez ramię. Mary niosła jeszcze pudełko z ubraniami i z książkami.

Mary powiedziała Randalowi o telefonie od George'a Blumberga.

- Film? - Randal wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiedy śmiał się ostatnim razem?

Uścisnęła go, gdy czekali na autobus.

- Nie mówiłam ci nic, gdy byłeś w Fairlawn, bo doktor Boone natychmiast podwoiłby swoje honorarium.

Randal obejmował Mary ramieniem przez całą drogę do domu. Gdy powiedziała, że podoba jej się szklany wazonik na wystawie przy Kensington Church Street, kupił go jej natychmiast. Oznajmił, że nie może się doczekać, kiedy będzie się kochać ze swoją piękną, inteligentną żoną.

- Pójdziemy na obiad - oświadczył, gdy rozpakowała jego rzeczy. - Należy ci się obiad w dobrej restauracji.

Codziennie będziemy tam chodzić.

Na stole leżał maszynopis. Randal zatrzymał się i popatrzył na tytuł, pod którym widniało już jego imię i nazwisko.

- Chyba już ją czytałem, prawda? - zapytał.

Randal zaczął czytać. Gdy zrobiło się ciemno, Mary zabrała się do przygotowywania kolacji.

- Jest dobra! - stwierdził, przerywając na chwilę czytanie.

- Cieszę się - powiedziała Mary.

- Nie straciłem wprawy! Jest lepsza niż *Czysty zyski*

Gdy Mary zabrała maszynę, żeby nakryć stół do kolacji, przesunął maszynopis do siebie.

Mary w ciszy jadła kolację, cały czas wiedząc, co Randal czyta, znając każdy wers na każdej stronie. Śmiał się w odpowiednich momentach. Stawał się poważny, gdy do akcji wkraczał smutek. Był pierwszą osobą, która oglądała jej dzieło: dziewięć miesięcy zmagania ze słowami, które przenosiła z głowy na czyste kartki.

Od czasu do czasu, jedząc, zaznaczał coś ołówkiem na marginesie. . .

- Poprawiam troszeczkę „natchnienie Muzy” - powiedział, uśmiechając się do Mary. - Piszę lepiej, niż sądziłem.

Powiedział, że ją bardzo kocha. Zgolił brodę, bo jej się nie podobała. Powycierał naczynia. Pochwalił ją, że jest taką wspaniałą matką, gdy zobaczył, jak w pośpiechu pisze list do Beth i Jaya na ich ostatni adres American Express.

Przyglądał się, jak sprząta mieszkanie. Przyglądał się, jak pakuje bagaże.

W pewien ciemny, grudniowy poranek Mary po raz ostatni spojrzała na pokoje przy Kensington Church Street: na złotą lampę na stole, na sypialnię, w której się kochali. Pogasiła światła, zamknęła drzwi i poszła z nim ulicą, tak samo ciemną, jak wtedy, gdy Beth i Jay odjeżdżali do Grecji i Włoch.

Randał szedł obok Mary z pogodną twarzą, rozmowny. Gdy zajęli już miejsca samolocie, wyglądali na dwójkę szczęśliwych turystów w średnim wieku. Mary zapięła pasy, Randała i swój, odchyliła oparcie i zamknęła oczy.

- Zmęczona? - spytał Randał. Mary odparła, że tak. Przespała całą drogę do Luksemburga.

Mary dotarła znowu do ich luksemburskiego hotelu. Gdy stali przy kontuarze recepcji, usłyszała głosy Beth i Jaya. Przyjechali podnieceni, pełni energii. Gdy ją ściskali na powitanie, poczuła się radośnie, bezpiecznie. W trójkę dowiozą Randała do domu.

- To wspaniałe, że mają zrobić film na podstawie twojej książki! - powiedziała Beth do Randała.

Jay poklepał Randała po ramieniu.

- Będiesz sławny!

- O ile uda mi się napisać jeszcze jakąś książkę - odparł Randał.

Do ich pokoju hotelowego przyniesiono list od Dona, który pisał, że oboje z Carlą czują się świetnie i że święta już są przygotowane.

Randał znowu popadł w depresję, postarzał się.

- To mnie przeraża - zwierzył się Mary w nocy. - A jeśli nie będę mógł pisać, gdy nie jestem chory?

- Za każdym razem tak mówisz - pocieszyła go Mary. Czują, że jest bardzo zdenerwowany. - Masz nową powieść.

George będzie ją musiał sprzedać, a potem minie rok, zanim się ukáže. Masz masę czasu.

- Ale jeśli nie będę mógł pisać? - spytał Randał.

Randał zadawał to pytanie wielokrotnie, gdy spędzali długie godziny na lotniskach... przy odprawie celnej... w samolocie. Gdy

w końcu cała czwórka wylądowała w pokrytej śniegiem Nebrasce i Don z Carlą zawieźli ich do domu, Randal miał ponury wyraz twarzy. Wydawało się, że nie zauważył choinki ani nie poczuł zapachu szarlotki. Odwrócił się do nich tyłem, powiesił płaszcz i usiadł w fotelu w pracowni.

- A jeśli nie będę mógł pisać? - raz jeszcze spytał Mary, gdy już leżeli we własnym łóżku.

Padł śnieg. Z okapów domu zwisały sople. Boże Narodzenie było tuż-tuż. Mary z dziećmi piekła ciastka, częstowali nimi sąsiadów i rozmawiali o Michaelu, który nie mógł przyjechać. Randal siedział nad maszynopisem, czytając go w kółko.

- George chciał, żeby jak najszybciej przysłać mu nową książkę - przypomniała Mary pewnego popołudnia.

- Cicho bądź - odwarknął Randal. - Nie widzisz, że jeszcze nad nią pracuję? Nic ci do tego. Musi być świetna.

Gdy Randal uciął sobie drzemkę, Mary przekartkowała maszynopis. Nie zaznaczył ani jednej poprawki.

Dzieci poszły na zakupy. Usiadła przy choince. Dom był tak cichy jak londyńskie mieszkanie, gdzie marzyła o wolności, własnym miejscu do życia w ukryciu, do czasu, gdy ukaże się jej własna, najlepsza książka, *Gospodarz*, i przyniesie jej sławę, pieniądze i niezależność.

Popatrzyła na równo ułożony maszynopis. Randal nawet nie zauważył, że jego imię widniało tylko na stronie tytułowej. Przespał całe popołudnie, aż do kolacji, ale gdy Mary przystanęła w drzwiach pracowni, udając się na spoczynek, burknął do niej:

- Ty możesz iść do łóżka, ale ja muszę siedzieć po nocach. Ktoś w tym domu musi pracować. Wydajesz wszystkie pieniądze, które zarabiam, nie pracujesz. Nic dziwnego, że nie mam czasu na spanie. - Znowu zaczął dużo pić i mówił teraz przejętym głosem. -Zostaw mnie w spokoju.

W końcu nastał wieczór wigilijny, pełen rodzinnych tradycji. W wigilię Randal zjadł gulasz z ostryg i ciasto z truskawkami. Patrzył, jak otwierają prezenty przy kominku. Mary, jak zwykle, kupiła i zapakowała wszystkie prezenty dla dzieci.

- W tym roku nie daję żadnych prezentów - oznajmił Randal, gdy już wszystkie paczki zostały otwarte i siedział ze stertą nowych ubrań,- upominków i książek na kolanach. - Wasza podróż do

Europy była wystarczająco droga. - Nie pił zbyt dużo wina. Rozpalił ogień i dokładał drewno, siedząc tak w środku ich wigilijnej radości. Mary, patrząc na niego, przypominała sobie okropne poszukiwania jajka, maka przypiętego do dłoni, bombę, która miała spaść za pół godziny, o ile nie uda mu się powstrzymać światła. Teraz padało na niego światło z kominka; był bezpieczny we własnym domu.

Patrzyła, jak bez przerwy wraca do swojej nowej książki. Nigdy nie odchodził od niej zbyt daleko. Obudziła się w nocy. Wciąż lękając się o niego, zakradła się do pracowni i odkryła, że pali się w niej światło, a Randal siedzi w podłazie i czyta książkę.

- Nie zimno ci? - spytała go.

- Daj mi spokój - odpowiedział. Oczy miał mętne, a język mu się plątał od wina. - Pracuję. Wiesz, co to znaczy? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, co to znaczy napisać poważną książkę? - Wstał i popatrzył na nią z pogardą.

Przed świtem poczuła w łóżku jego zimne stopy, jak przesuwały się wzdłuż jej nogi, żeby się rozgrzać.

Lekarz powiedział, że stan zdrowia Randala pozwala mu na prowadzenie samochodu i że może w styczniu zacząć wykłady. Randal przespał poranek pierwszego dnia świąt, gdy dom pachniał indykiem piekącym się w piekarniku.

Mary zasiadła z dziećmi wokół stołu w jadalni, żeby ustalić, kto będzie miał jaką funkcję w czasie ślubu Dona i Carli, planowanego na styczeń. Beth miała być druzną panną młodą; Jay drużbą pana młodego. Wesele w gronie rodzinnym, jak określił to Don. Ale Michaela nie będzie. Rozmawiali o Michaelu podczas mieszania w garnkach, próbowania, napełniania talerzy, powtarzania tych wszystkich starych, rytualnych czynności również w tym roku.

Randal siedział w swojej pracowni i przewracał kartki nowej książki.

- Gdzie jest tata? - zapytał Jay pewnego ciemnego wieczoru przed Nowym Rokiem. Dzieci rozebrały choinkę. Na dywan leżało pełno ozdób choinkowych.

- Miał umówione spotkanie z doktorem Parkerem - odpowiedziała Mary, zawijając w papier sztuczny soplek.

Don rozciągnął sznur świecących gwiazdek.

- Mamy jakieś zapasowe żarówki?
 - Są tutaj - odpowiedziała Beth.
 - Dobrze i to, że mniej pije - odezwał się Jay.
 - A wydawało nam się, że podróż go wyleczy - powiedziała Beth.
 - Przynajmniej napisał nową książkę - rzekł Don.
 - Nie wysyła jej do agenta. Siedzi nad nią, bez końca przewraca kartki i warczy, gdy się ktoś zbliży - westchnęła Beth.
 - Powinniśmy się cieszyć, że jest jak jest - odezwała się Mary. Salon błyszczał kolorowymi lampkami. - Martwiliśmy się, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie za studia i na rozkręcenie biznesu Dona. Być może książki rozwiążą ten problem.
 - Ale czy tata zechce dać nam pieniądze? - wyraziła wątpliwości Beth. - Przecież jest taki jak jego ojciec.
 - Jeśli chodzi o szkołę, inaczej to traktuje - zaprotestował Don. Mary zaczęła zawijać bombki w poszarpaną bibułę - stare bombki z choinki rodziców Randal: złota, kropkowana, w kształcie sześcianu, brązowa... mały niebieski czajniczek - że też się nie potłukł przez te wszystkie lata.
 - A co z Donem? - spytała Beth.
 - Randal pomoże mu założyć ten sklep z odzieżą w stylu Dzikiego Zachodu - rzekła Mary. - Jakoś oswoję go z tym pomysłem.
 - Ciągłe mi mówi, że zbankrutuję - powiedział Don ze śmiechem. Inni też się uśmiechnęli ponad tekturowymi pudełkami i stertą wojłokowych skarpet, które Mary powyszywała dla dzieci -z datami ich pierwszych świąt Bożego Narodzenia, z imionami i odpowiednimi symbolami gwiazdkowymi.
- Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.
- Witraz z Madonną z Chartres wciąż jeszcze wisiał w oknie koło drzwi frontowych. Mary spojrzała przez otwór w aureoli Dzieciątka Jezus i zobaczyła coś ciemnoniebieskiego - skórę i metal. Gdy otworzyła drzwi, stali za nimi dwaj policjanci. Przedstawili się i zapytali, czy mogą wejść.
- Beth, Don i Jay wyjrżeli spoza ozdób choinkowych, zaintrygowani, i zaczęli dopytywać się, co się stało.
- Czy to pani dzieci, pani Eliot? - spytał jeden z policjantów.
 - Tak - odparła Mary. - Czy coś...

- Czy moglibyście usiąść z mamą na kanapie? - spytał policjant uprzejmym głosem. - Musimy porozmawiać. Mary uczyniła, co jej kazano. Beth i Don usunęli z kanapy pudełka i sznury błyskotek i też usiedli. Jeden z policjantów przyklęknął tak, że jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Mary.

- Wydarzył się wypadek - powiedział.

- Randal - szepnęła Mary.

- Niestety, pani Eliot. Przykro nam. Wpadł w poślizg na oblodzonej nawierzchni i zjechał z autostrady. Chyba zginął na miejscu.

- Zginął - powtórzyła Mary.

- Och, mamó - powiedziała Beth, obejmując Mary. Don uczynił to samo, a Jay przysiadł na oparciu kanapy.

- Dawno? - spytała Mary zdrętwiałymi wargami.

- Niecałą godzinę temu. Jechał sam. Nie miał zapiętych pasów.

- Gdzie jest? - spytała Mary.

- W szpitalu Crandall.

- Pojadę... - Mary chciała wstać z kanapy. Policjant zaprotestował:

- Na pani miejscu nie...

- Mamó, nie jedź - powiedziała Beth.

- Zostań z nami - poparł ją Don.

- Czy jest w tym mieście ktoś, kogo chciałaby pani powiadomić? Może krewnych, sąsiadów, księdza, rabina czy jakiegoś innego duchownego? - zapytał policjant.

- Żyje jeszcze ojciec Randal, ale ma ponad dziewięćdziesiąt lat i nie jest w najlepszej formie. Mieszka z siostrą męża, która też jest już starszą osobą i łatwo traci panowanie nad sobą - powiedziała Mary. - Naszym duchownym jest wielebny Daraley z kościoła metodystów. Obok mieszka Betty Jacobs, z którą się przyjaźnimy. Czy nie powinnam iść tam, gdzie leży Randal... czy nie powinnam być razem z nim?

- Zadzwonimy do nich - powiedział policjant, wstając. - Musicie wzajemnie sobie pomagać. - Spojrzał na zapłakaną Beth. - Moglibyście zrobić matce kawy. Jeden z nas zostanie tutaj przez jakiś czas, żeby upewnić się, czy niczego wam nie trzeba. - Jay uprzątnął ozdoby choinkowe z krzesła. Policjant usiadł, kręcąc w dłoniach czapkę. Drugi poszedł do samochodu.

Betty Jacobs przybiegła natychmiast. Przyszedł też wielebny Darnley i zaczął się modlić. Mary przypomniała sobie to wszystko później. Przypomniała sobie, że Beth płakała, Don powtarzał w kółko „tata... tata...”, a Jay dopytywał się o wypadek, jakby mogło zajść jakieś nieporozumienie i Randal wciąż żył. Przypomniała sobie kolorowe świecidełka na dywanie i choinkę przewróconą na podłogę, z wyschniętymi, gołymi gałęziami.

Nora Gilden przyszła ze swoją służącą natychmiast po telefonie od Betty Jacobs. Sprzątnęły pozostałości choinki i zdjęły plastikowy witraż Madonny z Dzieciątkiem. Posprzątały kuchnię i wysłały do Michaela list, który miał do niego dotrzeć nie prędzej niż za kilka tygodni. Wraz z szeptami i podmuchami powietrza wpadającymi przez otwarte drzwi do domu napływały wiktuały i kwiaty. Nora, Betty i inne sąsiadki porządkowały to wszystko, rozmawiając z Eliotami przyciszonymi głosami.

Mary, Beth, Jay i Don następnego wieczoru pojechali do domu pogrzebowego. Padał tak gęsty śnieg, że wycieraczki ledwie nadały go zbierać z przedniej szyby samochodu.

Drzwi domu pogrzebowego zamknęły się za nimi i otoczyło ich przyćmione światło i ściszone głosy, jakby byli z kruchej szkła i mogli się łatwo potłuc. Dywan w tym przyciemnionym pomieszczeniu miał trudny do określenia kolor. Muzyka płynąca gdzieś z głębi nie miała konkretnej melodii. Mistrz ceremonii, który ich prowadził, szeptał o jakimś bliżej nieokreślonym zmarłym, nazywając go „nieboszczykiem”.

Nieboszczyk leżał w wybranej przez Mary, błyszczącej drewnianej trumnie. Miał na sobie koszulę i krawat, które Mary wzięła z szafy Randal, i jego najlepszy granatowy garnitur. Randal skórę miał półprzezroczystą, jak wosk, podmalowaną różem.

Stali obok otwartej trumny. Byli sześciuosobową rodziną, ale jeden z jej członków znajdował się zbyt daleko, żeby móc się tu zjawić, a drugi leżał płasko na plecach w pikowanych atłasach.

Czworo z nich miało smutne miny i szeroko otwarte, nieruchome oczy. Piąty spał - tak pogrążony we śnie, jakby go w ogóle nie było. Wydawało się, że jego złożone dłonie, zaciśnięte oczy i usta chronią tajemnicę, o której wie tylko on i nikomu jej nie wyjawia, nawet gdyby zamknęli wieko skrzyni i pochowali go, co też miało wkrótce nastąpić. Mary mamrotała jakieś słowa, trzymała dzieci za ręce, czuła łzy na policzkach. Po jakimś czasie przyszło jej do głowy, że powinni odwrócić się i wyjść; czyż nie tak wyglądała dalsza część tego rytuału?

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, na wiatr i mróz, Mary pomyślała, że Randal znowu gdzie się zapodział i nie wziął udziału w ważnym wydarzeniu rodzinnym.

W dzień pogrzebu był silny wiatr i deszcz ze śniegiem. Co chwilę rozbrzmiewał dzwonek u drzwi. Przyjaciele przynosili coraz więcej wiktuałów i kwiatów.

Na mszę żałobną w kościele przyszli wykładowcy z wydziału, znajomi i wielu tych, którzy słyszeli o pisarzu Randalu Eliocie, ale na cmentarz pojechała tylko rodzina. Patrzyli, jak trumna i bukiet róż, który przekrzywił się lekko na bok, znikają w ciemnym dole.

Ojciec Randała i ciotka Viola zostali w samochodzie. Gdy odwieźli ich z powrotem do domu Violi, Mary objęła go.

- Przynajmniej spełniło się marzenie Randała o powtórnej podróży do Europy - powiedziała. - Tak nas uszczęśliwiłeś, gdy zafundowałeś nam miesiąc miodowy. Pamiętasz?

Wodnisty wzrok D.L.'a błąkał się po salonie Violi.

- I zmienił sobie nazwisko na Brogan - rzekł.

- D.L. ma na myśli jakiegoś kuzyna, któremu nie podobało się nazwisko Eliot - wyjaśniła Viola, wygładzając rękaw marynarki D.L.'a. D.L. nigdy nie wybaczył temu kuzynowi.

Gdy czwórka Eliotów wracała od Violi do domu, deszcz ze śniegiem zmienił się w śnieg. Carla pożegnała się z nimi, ucałowała wszystkich i poszła do domu. Nora Gilden i z pół tuzina innych, bliskich przyjaciół czekali w salonie wśród kwiatów, depech z kon-

dolencjami i gazet leżących na kanapie, które oznajmiały: SŁYNNY MIEJSCOWY PISARZ GINIE W WYPADKU SAMOCHODOWYM; RAND AL ELIOT ZMARŁ W WIEKU PIĘĆDZIESIĘCIU CZTERECH LAT.

- Pomyśleliśmy, że może po tym ciężkim dniu chcecie zostać sami, we czwórkę - powiedziała Nora. - W kuchni czeka na was gorąca kolacja.

Mary uściskała się z Norą, Franem, Stevem, Jean, Betty i Walterem i patrzyła, jak odchodzą w śnieżną noc.

- Przebiorę się w dzinsy - powiedziała do dzieci.

- Zjemy przy kominku? - spytała Beth.

- Rozpalę ogień - zaoferował się Don. Chłopcy pobiegli na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, przebrali się, wyczyścili ruszt kominka ze starych popiołów i rozpalili ogień, tak jak zwykł był to czynić Randal.

Mary słyszała te znajome dźwięki, ubierając się w sypialni. Gdy zeszła po kilku wąskich stopniach do kuchni, Beth już tam była. Długie jasne włosy miała związane w koński ogon.

- Chłopaki, chcecie spaghetti? - zawołała w stronę salonu, wychylając się za drzwi.

- Niech będzie - odkrzyknął Jay.

- Jest szarlotka - powiedziała Mary, przyglądając się zestawowi potraw. - I ciasto czekoladowe.

Ogień rzucał wesołą, żółtą poświatę na całą czwórkę zgromadzoną wokół stolika do kart. Byli przyzwyczajeni do jedzenia bez Randala. Z sąsiedniego pokoju zerkał na nich jego pusty fotel.

- Chyba dobrze, że zostaliśmy sami - odezwała się Beth, gdy już od jakiegoś czasu jedli w milczeniu. - Ci wszyscy ludzie, którzy przychodzili do nas, przynosili podarunki, dzwonili, ściskali dłonie na pogrzebie, byli bardzo mili, ale cieszę się, że dziś wieczorem dali nam spokój.

Uśmiechali się do siebie, dzieląc się szarlotką. Ogień podskakiwał.

- Brakowało mi Michaela - odezwała się Beth. - Brakowało mi go przez cały dzień.

- Wszystkim nam go brakowało - powiedział Don. Po chwili Mary zabrała głos.

- Chcę, dzieci, żebyście wiedziały, jak wyglądają nasze finanse. Nie musicie się martwić. I Randal, i ja sporządziliśmy kiedyś testamenty, według których zostawiamy wszystko sobie nawzajem. Dostaniemy po nim rentę z uniwersytetu i ubezpieczenie. Damy sobie radę. Michael nieźle zarabia i nie musicie zmieniać swych planów.

- Może powinniśmy z Carlą wstrzymać się ze ślubem? - zastanowił się Don.

- Ależ nie - zaprotestowała Mary. - Wszystko już jest zaplanowane.

Odprężyła się trochę przy ogniu, którego refleksy igrały na młodych twarzach i na starych meblach. Mieli dom, solidny i bezpieczny, dający schronienie przed padającym śniegiem i nasilającym się zimowym wiatrem.

Ale po chwili nieustanny, głośny szum wiatru sprowadził ponure myśli. Dla Randal'a była to pierwsza noc w grobie.

Jego trumna, ubranie i ciało traciły z godziny na godzinę resztki ciepła. Stawał się lodowaty jak zimowa ziemia.

Myśląc o tym, powinna płakać. Powinna płakać za kimś, kto nie istnieje już dla powietrza i światła, dla ciepłego ognia, dla młodych twarzy, odgłosów domu.

Dzieci również jakby wsłuchiwały się w wiatr. W końcu Don przerwał tę ciszę:

- Tak sobie myślałem... Chyba tata nie zabił się celowo?

- Nie wiem - odpowiedziała Mary. - Pewnie wszyscy o tym myśleliśmy. Nie ma jak tego sprawdzić. Jechał szybko, a droga była obludzona.

Siedzieli i patrzyli, jak wiją się płomienie.

- A co z nową książką - spytała Beth. - Wyślesz ją do agenta?

- Nie wiem - powiedziała Mary.

- Wszyscy uważali, że jest świetnym pisarzem - stwierdziła Beth. - Gdy byłam jeszcze mała, na wystawie księgarni leżała jego najnowsza książka... Mówiłam znajomym: „To książka mojego taty.”

- Niewielu ludzi potrafi napisać pięć dobrych książek - powiedział Jay, patrząc w ogień.

Wtedy łzy popłynęły Mary po policzkach. Dzieci zauważyły to i przytuliły ją.

Viola pomogła D.L.'owi położyć się w łóżku i zapaliła lampkę nocną przy drzwiach.

- Zawołaj, gdybyś mnie potrzebował - powiedziała tak, jak zwykła była mówić od lat.

- I zmienił sobie nazwisko na Brogan - powiedział D.L.

Don, Beth i Jay poszli do łóżka. Mary siedziała przy dogasającym ogniu. Gdy dom zamarł, poszła do kuchni, sięgnęła do najwyższej szafki po swoje dzienniki.

Trzy nowe powieści, częściowo napisane, i dwie, które stopniowo nabierały kształtów w jej głowie... Mary położyła dzienniki na biurku Randal'a i zapaliła światło. Dawne przyzwyczajenie i wprawa zmusiły ją do prowadzenia pióra po papierze, zatraciła się na całe godziny w świetle, który stworzyła sobie z niczego.

W końcu zauważyła, że drży. Usłyszała wycie wiatru. Podniosła się - sztywna, wyczerpana - i znalazła jakieś pudełko w szufladzie biurka Randal'a. Podniosła wieczko i ujrzała maszynopis, który przepisywała w Londynie.

Jedynie na stronie tytułowej *Gospodarza* widniało imię Randal'a.

Mary weszła do łóżka, pojękując cichutko ze zmęczenia. Wyciągnęła ręce i nogi na gładkim, czystym prześcieradle. Randal późno kładł się spać, tarł stopami o jej nogi, żeby je rozgrzać...

Teraz. Randal leżał w ziemi.

Mary poczuła, jak bije jej serce, jak krew pulsuje w żyłach. Westchnęła i zwinęła się w kłębek, słuchając wiatru.

Jej wzrok przyzwyczał się do ciemności. Wpatrywała się w rząd powieści Randal'a Eliota na narożnej półce. „Masz nową książkę! Nie pamiętasz? Podczas choroby skończyłeś swoją nową książkę! Nie pamiętasz, jak mi ją dyktowałeś przez całą noc?”

Mary długo leżała na wilgotnej poduszce nie mogąc zasnąć, wpatrując się w ciemność.

- Dałam ci swoją książkę - powiedziała, ale słyszał ją jedynie wiatr. - Dałam ci wszystkie swoje książki, żebyś tylko był szczęśliwy.

Śnieg z deszczem uderzał w okno. Na pół śpiąc zobaczyła dwóch studentów stojących nad brzegiem rzeki. „To Ran-

dal Eliot i Bob Fitch" - powiedziała do Mary Quinn jej przyjaciółka Gwen. „Czy nie miałybyście ochoty na randkę we czworo?” - zawołali mężczyźni, a one zawróciły łódkę w stronę brzegu. „Przedstawię cię” - wyszeptała Gwen do Mary. Gdy Mary wysiadała z łódki, jej dłoń znalazła się w dłoni Randal'a Eliota.

Ciągle myślę: - „Kiedy Randal wróci ze szpitala do domu?” - powiedziała Mary kilka tygodni później, wyglądając przez okno na ośnieżony park. - To jak przyzwyczajenie, jak skaza na umyśle; jak ślady rzymskiego obozu na pograniczu angielsko-szkockim, pamiętacie? Całe wieki później pola w tych miejscach są mniej zielone.

Jay zmrużył oczy przed światłem; lśniły jego kręcone włosy.

- Zawsze jakoś tak czuło się to w domu, gdy nie było taty.

- Wyczekiwaliśmy jego kroków na ganku - wspomniała Beth.

- Jak wracał, wszystko się zmieniało - powiedział Jay.

- Dobrze, że przyszedł list od Michaela - odezwała się Beth. - Wiemy, że podąża za jakimś plemieniem tam, gdzie nie ma żadnych dróg na mapie. Przynajmniej tak było, gdy pisał ten list.

Przez chwilę milczeli, wyglądając na park. Michael był gdzieś w Afryce, poza ich zasięgiem. Nie wiedział, że zmarł jego ojciec. Dla niego Randal ciągle jeszcze żył.

Zamknęli drzwi i udali się na ślub Dona i Carli, stąpając ostrożnie po oblodzonym ganku.

Śnieg skrzypiał im pod butami. Gdy w trójkę zajęli miejsca w nowym samochodzie Mary, zaparkowanym przy krawężniku, otoczył ich zapach fabrycznej nowości. Przekręcając kluczyk, Mary zmarszczyła lekko brwi i westchnęła.

- Będiesz się czuć samotna - odezwała się Beth, siedząc obok matki. - Ślub bez taty.

- Tak czują się chyba rosnące obok siebie drzewa, gdy zetnie się jedno z nich - powiedziała Mary. Nie powiedziała, jakie to uczucie. Wstydziła się do niego przyznać nawet sama przed sobą. „Teraz możesz sama cieszyć się słońcem. Nie musisz pozostawać w jego cieniu. Nie musisz go pilnować, uważać na niego, domyślać się, co myśli, ulegać mu, jeść to, na co on ma ochotę, nie spać, żeby go pilnować...”

Ośnieżone pola kukurydziane Nebraski, obrzeżone ciemnymi kreskami ściernisk, rozciągały się po obydwu stronach drogi. Prowadzili w samochodzie luźną rozmowę, jednakże nie opuszczało ich poczucie winy. Czasami się roześmiali, ale natychmiast milkli zawstydzeni.

Carla mieszkała w małym miasteczku, którego domy rozsiane były na białych polach. Po dwóch stronach głównej ulicy ciągnęły się uliczki z numerami zamiast nazw i był tylko jeden kościół. W tym budynku, z iglicą i rzędem ławek, gdzie hulał wiatr, mieścił się dawniej dom handlowy, a potem ratusz.

Jay był drużbą, a Beth pierwszą druhną. Mary ledwie mogła ich rozpoznać w odświętnych strojach, z uroczystym, oficjalnym wyrazem twarzy. Patrzyła ze łzami w oczach na młodą parę - byli jeszcze **takimi** dziećmi. Jej rodzice pewnie też widzieli ją jako pyzată, wystrojoną dziewczynkę. Kiedy się zestarzała, że zaczęła dostrzegać na własnych zdjęciach ślubnych małą dziewczynkę - Mary, z małym chłopczykiem - Randalem, kroczących wzdłuż nawy, zostawiających za sobą dzieciństwo?

Ale gdy znalazła się blisko Dona, w grupce rozmawiających osób, zauważyła, z jaką powagą odnosi się do obcych. Jako dziecko płakał co wieczór przy stole, gnębiony krzykami ojca. Teraz był młodym, przystojnym mężczyzną, do którego ludzie chętnie się garnęli, czując jego ciepło. Bała się, że kiedyś się z ojcem pobiją. Teraz ramieniem otaczał żonę. Uśmiechnęli się do Mary, a ona również odpowiedziała im uśmiechem.

Podziemia kościoła były znacznie cieplejsze niż sama świątynia. Z kuchni dochodziła para i głosy ludzi, których Carla знаła przez całe swoje życie.

- Jakie to smutne, że ojciec Dona nie może być tu z nami - mówili ludzie do Mary, obejmując ją i poklepując po ramieniu.

Nowożeńcy polecili do Kolorado, gdzie Don otwierał sklep z odzieżą w stylu Dzikiego Zachodu. Mary stała w drzwiach do jego sypialni i patrzyła na puste łóżko i miejsce, gdzie kiedyś stało łóżko Michaela.

Gdy Beth, wraz z kotem Waldo, wyjechała do Teksasu na studia, przy drzwiach jej sypialni zostało pudełko z porcelanowymi zwierzątkami i plakaty z Londynu nad łóżkiem.

Jay wyjechał ostatni; zaczynał studia w Minnesocie.

- Nasz dom jest już taki stary - odezwała się Mary do Jaya w drodze na lotnisko. - Popękane fundamenty, zawilgotniała piwnica...

- Przeprowadź się - powiedział Jay. - Kup nowy dom. Kup, co chcesz. A ten sprzedaj.

- Przeprowadzić się? Co by na to powiedzieli Mike, Don i Beth?

- Powiedzieliby, że zrobiłaś słusznie. Dom już jest stary, a ta dzielnica robi się gorsza z roku na rok. Kup sobie nowy dom. Nawet nie musisz mieszkać w Nebrasce. Wyjedź do Teksasu albo do Kolorado. Masz tam dzieci. Że już nie wspomnę o Afryce.

- Chcę zostać tutaj - powiedziała Mary.

- Wszyscy byśmy chcieli zostać tutaj. Ale gdzie znaleźć pracę? - westchnął. - Ty możesz zostać. Kup sobie nowy dom. Sprzedaj ten stary.

- Skąd wzięłabym pieniądze na pierwszą wpłatę? - zastanowiła się Mary. - Już skończyły się pieniądze z masowego wydania książki Randala, a pieniądze z uniwersytetu potrzebne są nam na życie - na opłacenie szkoły twojej i Beth, dla D.L.-a i ciotki Violi, na podatki, wydatki codzienne...

- Oboje z Beth pracujemy na pół etatu i wszystko mamy opłacone, aż do przyszłego semestru - powiedział Jay. - Do tego czasu będziesz miała pieniądze z nowej książki.

Mary omal nie powiedziała: „To są moje pieniądze, z moich własnych książek.” Pocałowała Jaya na pożegnanie, popatrzyła, jak jego samolot wzbija się w chmury, i poszła do samochodu przez wietrzny parking lotniska.

Cała czwórka dzieci wyjechała, żeby zacząć swoje własne życie.

Zapuściła silnik. Jakiż ten samochód był nowy! Jak pachniał świeżością! Deska rozdzielcza błyszczała. Silnik szumiał. Ciepłe powietrze z nawiewów delikatnie dmuchało jej na policzki.

„Kup sobie nowy dom.” Słowa Jaya ciągle rozbrzmiewały w zakamarkach jej świadomości.

Mary pojechała do domu i stanęła w ciężkim płaszczu i butach w tym miejscu, gdzie zawsze stała choinka. Poprzez salon i pracownię Randała spojrzała na okna jadalni, za którymi, wzdłuż płotu, stał rząd zaparkowanych samochodów.

Dom pachniał stęchlizną i starzyzną. W głębi uliczki leżały przewrócone pojemniki na śmieci.

Czysty zysk może zostać sfilmowany. Za pierwszą własną powieść, *Gospodarza*, pewnie dostanie wysoką zaliczkę.

- Kup sobie nowy dom - powiedziała głośno do pustych pokoi. Powtórzyła to następnego dnia i jeszcze następnego. Słowa te brzmiały tak magicznie jak „Sezamie, otwórz się”.

- Rozmawiałam z pośredniczką handlu nieruchomościami powiedziała Donowi, gdy zadzwonił pod koniec tygodnia.

- Co takiego? - zdziwił się.

- Zadzwoniłam do niej i przyjechała - odparła Mary.

- Żeby sprzedać dom? - zapytał Don zdumionym głosem.

- Żeby kupić nowy - rzekła Mary. - Powiedziałam jej, że interesuje mnie w miarę nowy dom na zadrzewionej działce i że mam pewne szczególne wymagania. Potrzebna mi jest duża pracownia, sypialnia i pokój dla każdego z czwórki moich dzieci, gdy przyjadą do mnie w odwiedziny. - Mary, mówiąc, rozglądała się wokół siebie. Na biurku Randała wciąż leżało pudełko z zabazgranymi kopertami.

- Nowy dom!

- Domy, które mi pokazała, wszystkie były jednakowe - jak z obrazków w katalogu. W ogóle nie mogłam ich rozróżnić. Salony z wysklepionym sufitem, pokoje telewizyjne z boazerią, połączone z ogrodem i wyposażone w bar salony, kuchnie, gdzie wszystko działa za naciśnięciem guzika. Nie mogłam przestać myśleć o Iwanie Iljiczu, Tołstoja - pamiętasz? Wydawało mu się, że jego nowy dom jest jedyny w swoim rodzaju, a tak naprawdę był to po prostu dom, jaki budują sobie ludzie średnio zamożni, gdy chcą się upodobnić do innych.

- Więc nic nie znalazłaś?

- Obejrzałyśmy chyba z tuzin ofert. W końcu pojechałyśmy zobaczyć dom za miastem, w Cedar Ridge: niebiesko-zielony, przy krętej drodze, z lasem naprzeciwko. Na pierwszy rzut oka wydaje

się mały i niezbyt nowy... Najstarsza część ma dwadzieścia lat. Piętrowy. Na dole jest duży salon z kominkiem, niewielka łazienka, kuchnia, nowo dobudowany pokój i garaż na dwa samochody. I jest tańszy od innych.

- Podoba ci się?

- Ma w sobie coś. Był budowany w dwóch etapach i, o dziwo, wcale nie jest taki mały. Na górze jest duża łazienka, cztery sypialnie, które były wybudowane na początku, i nowe pokoje -apartament nowożeńców. - Mary roześmiała się.

- Nowożeńców?

- Tak, gdy tu zamieszkali, dobudowali wielką sypialnię nad garażem. Jest stamtąd widok na zalesiony wąwóz, w rogu stoi kominek, jest też garderoba i łazienka z hydromasażem! - Mary zachichotała. - A naprzeciwko sypialni jest moja pracownia, moja samotnia - wielki, wspaniały, nowy pokój ze świetlikami, z dwudziestu dziewięcioma wbudowanymi szufladami, z biurkiem, z regałami od podłogi do sufitu i widokiem na drzewa i ogrody!

- Mhm - powiedział Don. - Kupiłaś go.

- Kupiłam! Kupiłam! Podpisałam papiery, wróciłam do domu i tańczyłam wykrzykując: „Mój dom! Mój własny dom!” Takiej matki chyba nie możesz sobie wyobrazić?

Don odpowiedział, że owszem, może. Mary zadzwoniła do Jaya. Jay pochwalił ją:

- Dobra robota! Beth zdziwiła się:

- Nowy dom?

- Muszę natychmiast sprzedać stary - powiedziała Mary. -Wyślę wam rzeczy, które chcecie zatrzymać. Najładniejsze rzeczy jednak zostają ze mną: serwis z epoki Jakuba I, który pamiętam od dziecka, moje łóżko firmy Jenny Lind i meble z drzewa klonowego, zestaw sypialny D.L.'a z drzewa wiśniowego i sypialnia orzechowa, które dałam do renowacji.

- Wspaniale! - zawołała Beth.

- Kiedy w tym tygodniu wynosili je z domu, poczułam, że naprawdę się wyprowadzam.

- Jakie to uczucie?

- Niesamowite. Jak skok z urwistego brzegu. Kupę nowy piec kuchenny, lodówkę, suszarkę, pralkę i zmywarke... a twój pokój

jest urządzony na niebiesko. Na dole jest ciemnozielona wykładzina. Potrzebne są zasłony! Wiesz, ile kosztują?

Sama je uszyję. Beth zaśmiała się:

- Mamo! Mamo!

- Nie mogę się do tego wszystkiego przyzwyczaić - entuzjasmowała się Mary.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem przed dom zajechała ciężarówka do przeprowadzek. Zanim zapadł zmrok, dobytek Mary umieszczony został w nowych pomieszczeniach. Meble, które znała od lat, wróciły odnowione, gładkie i błyszczące, jak nowe, prosto ze sklepu.

- A mimo to są mi bliskie - powiedziała Mary Donowi, gdy zadzwonił. - Dają mi ukojenie.

- Na pewno będzie ci się tam świetnie mieszkać - powiedział Don.

- Sześć miesięcy temu byliśmy wszyscy w Londynie! Sześć miesięcy temu myślałam jedynie o tym, żeby dowieźć Randala do domu. A teraz on nie żyje - głos Mary załamał się. - A ja stąd odchodzę.

- Dzisiaj będziesz spała w swoim nowym domu! - powiedział Don. - Nie będzie już sennych koszmarów, mamo. Przeszedł czas, żebyś była szczęśliwa.

Mary błędziła w nowym domu, zapominała, gdzie są szafy ścienne. W końcu zostawiła pozapalane światła, zamknęła drzwi i pojechała do starego domu.

Stał z ciemnymi oknami pod ośnieżonym dachem. Żaden jego pokój nie wglądał jak dawniej - nie było mebli, ze ścian zniknęły obrazy. Mary przechadzała się po opustoszałym, mrocznym domostwie. Za oknami padał śnieg, padał też na grób Randala.

- Do widzenia - szepnęła do Randala w miejscu, gdzie stało kiedyś ich łóżko. - Do widzenia, kochanie.

W szafach dzieci wciąż wisały stare ubrania.

W każdą Wielkanoc skradała się korytarzem na górze, żeby zostawić upominki i szeleszczące koszyki z łakociami za drzwiami dzieci. - „Czas wstawać!” - wołała rano tysiące razy. „Czas spać!” - wołała tysiące razy wieczorami.

Ileż to razy dała klapsy któremuś z dzieci w jednym z tych pokoi, które teraz świeciły pustką. Nie zawsze była dobra, cierpliwa

i wyrozumiała, gdy hałasowały, biły się, brudziły. Niestety, te czasy już dawno minęły.

Mary zatrzymała się na chwilę w swojej maleńkiej pracowni koło schodów. Tutaj przepisywała na maszynie wszystkie swoje powieści, na starym biurku, które odnowił ojciec. Czasami godzinami wpatrywała się w przestrzeń nad biurkiem, aż szczeliny i plamki na ścianie stały się, w jakiś dziwny sposób, jej towarzyszami, powiernikami. Schodząc na dół pomyślała sobie, że w szczelinach podłogi być może leży jeszcze kurz z tamtych lat, a na którychś drzwiach może widać dawny, lepki odcisk palca kogoś z dzieci, gdy były małe.

Salon dźwięczał jej w uszach echem okrzyków przy witaniu gości, zabaw podczas przyjęć urodzinowych, gniewnych przemówień, kolęd wigilijnych. Przeszła przez pracownię Randal'a. Czy czuć tu jeszcze zapach dymu? Stała w mroku jadalni, żegnając się ze swymi rodzicami, z matką Randal'a i z nim samym. Przychodzili na tyle obiadów rodzinnych, aż nadszedł ich kres. Nikt nie wiedział, że to ostatni obiad. Odkładali serwetki, odsuwali krzesła nie przypuszczając, że już nigdy nie spotkają się przy tym stole.

Jej kuchnia była pogrążona w ciemności, ale znała jej każdy zakamarek, skrzypienie drzwi, zapach. Kazała dzieciom co wieczór zmywać naczynia w tym zlewie. Gdy była pogrążona w pisaniu, słyszała, jak wracają ze szkoły. A czasami pragnęła, żeby w ogóle nie wracały do domu, dały jej spokój, spokój...

- Do widzenia - pożegnała się z wymarłym domem. Wyjrzała przez okrągłe okno w potężnych frontowych drzwiach. Kiedyś ukazali się w nim młodzi Mary i Randal Elioto-wie z dwuletnim Michael'em, gdy szukali swojego pierwszego domu. Gdy zamknęła drzwi i wyszła na ganek, poczuła się tak, jakby zamknęła dawnego Randal'a w pustym domu, w drugim grobie.

Nic na to nie mogła poradzić... Gdy biegła do samochodu, poczuła mroźne tchnienia wiatru. Pojechała do centrum handlowego University. Zje tam obiad i...

- Do domu! - zawołała w duchu. - Do domu!

Paul Anderson widział, jak Mary Eliot wpadła przez drzwi centrum handlowego University. Marcowy śnieg przyprószył jej płaszcz i błyszczał we włosach. Stukała obcasami butów po wypolerowanej podłodze, jakby zdążając do jakiegoś jasno określonego celu.

Paul wstał od stolika w barze i zagroził jej drogę.

- Dzień dobry - powiedział Paul.

- Czy my się znamy? - zdziwiła się Mary.

- Jestem Paul Anderson, nowy wykładowca na wydziale anglistyki. To mój pierwszy rok na uczelni.

Mary zawahała się.

- Proszę usiąść - powiedział Paul, podając jej krzesło. - Próbowałem zebrać się na odwagę, żeby do pani zadzwonić, i nagle zobaczyłem panią... - Powiedział, że jej mąż był świetnym pisarzem... czytał wszystkie książki Randalą, studiował je...

Mary uśmiechnęła się. Neony centrum handlowego oświetlały srebrzyste pasma w jej grubych warkoczach i uwięzione w nich malutkie cekiny śniegu.

- Czy mógłbym z panią porozmawiać o doktorze Eliocie? - spytał Paul. - Kiedyś, gdy będzie pani miała czas. Może przy obiedzie? Oczywiście, jeśli rozmowa o nim nie jest dla pani bolesna.

Mary zaśmiała się sucho.

- Od śmierci Randalą nie robię nic innego, jak tylko rozmawiam o nim. Wywiady. Artykuły...

- Rozumiem, rozumiem - powiedział Paul. Przeczesał dłonią swoje gęste włosy. -Domyślam się, że ma pani tego wszystkiego dosyć.

Mary siedziała przed nim w milczeniu.

- Nie chciałbym pani przeszkadzać, ani zabierać czasu. Może jednak umówimy się na obiad w weekend? Za tydzień, w sobotę wieczorem. Przyjadę po panią o siódmej, dobrze?

- Dobrze - odrzekła Mary i trochę się zdziwiła, słysząc swą odpowiedź. - A więc do zobaczenia. Ma pan mój nowy adres? Właśnie się przeprowadziłam.

Paul patrzył, jak Mary znikła za rogiem. Wyprowadziła się z domu Randal'a...

Paul poszedł na zaśnieżony parking i odnalazł swojego starego forda. Jak mogła się wyprowadzić?

Ogrzewanie w samochodzie nie działało. Paul był przemarznięty, ale skierował się do podmiejskiej dzielnicy domów z początku stulecia, z wielkimi werandami. Gdy dojechał do jednego z nich, stojącego w połowie drogi między dwiema przecznicami, zwolnił i zatrzymał się. Był to brązowo-biały dom, wysoki i rozłożysty, pod ogromnym drzewem.

Dom Randal'a Eliota.

We wszystkich oknach było ciemno. Mary Eliot się wyprowadziła - z trudem mógł w to uwierzyć. Padający śnieg przesłaniał białe filary i brązowe oszalowanie ścian. Wyprowadziła się z domu, w którym Randal Eliot czytał rodzinie swoje dzieła... pomagał dzieciom odrabiać prace domowe... kładł je spać... pisał późno w nocy w jednym z tych pokoi...

Paul patrzył, jak dom znikła we wstecznym lusterku. Stary ford wpadł w poślizg przy końcu ulicy. Paul mocno skręcił kierownicę, wprowadzając samochód z powrotem w lodowe koleiny.

Mieszkał w pobliżu terenów uniwersyteckich, wśród starych domów, gdzie w ciasnocie gnieździli się studenci.

Miejsce to znajdowało się zbyt blisko piwialni, której goście co weekend zaśmiecali okoliczne ulice pustymi puszkami. Z okien grzmiała głośna muzyka. Samochody rozjeżdżały trawniki.

Paul zaparkował w błocie, otrząsnął buty ze śniegu i wszedł tylnymi drzwiami mieszkania.

Podłoga wokół stołu kuchennego była zavalona papierosami. Przeszedł po nich, żeby rzucić płaszcz na kanapę w dusznym salonie.

Nagle zatrzymał się, włożył z powrotem płaszcz, podniósł lekko kołnierz i stanął przed lustrem w holu.

- Jestem Paul Anderson - powiedział do swojego odbicia, unosząc lekko brodę i uśmiechając się. - Nowy wykładowca na wydziale anglistyki...

Zadzwonił telefon.

- Cześć. - Jego siostra Hannah mówiła szybko, jakby przekazywała jakieś tajemnice. - Pamiętasz mnie jeszcze?

Trwało to kilka miesięcy, ale znów jestem w miasteczku. Zabiorę cię na obiad. -Wyobraził ją sobie, jak siedzi na łóżku w motelu, w pozycji kwiatu lotosu, z papierosem zwisającym z ust.

Przyjechała po niego nowym czerwonym sportowym samochodem.

- Ciężki dzień - powiedziała i wyszczerzyła duże białe zęby. -Paskudny dzień.

- U mnie też - powiedział Paul, zerkając na jej krótką spódniczkę. - Co tam słysząc w Pierwszym Oddziale w Nebrasce?

- Mówię im: „Zbudujcie fabrykę w Nebrasce” - odparła Hannah. - „Nakręćcie film w Nebrasce.” Ciągle to powtarzam. I tylko się uśmiecham, uśmiecham i uśmiecham.

- Aż tak źle?

- Nie źle, ale nudno. Jutro muszę być w Sioux-City. - Hannah jechała do ich ulubionej restauracji. Brała zakręty, trzymając kierownicę jedną ręką ze szkarłatnie pomalowanymi paznokciami.

- W końcu poznałem Mary Eliot i umówiłem się z nią na obiad, za tydzień, w sobotę wieczorem - powiedział Paul.

- Sława, sława - powiedziała Hannah, zwalniając przed jakąś grubą kobietą, nieostrożnie przechodzącą przez jezdnię.

- Jak zareagowała?

- Ma chyba dosyć tego całego szumu wokół Randal - powiedział Paul. - Krytycy nie zawsze są mu przychylni, mimo że już nie żyje. Gdy zaczynają się nagrody, pisarz powinien się kryć i Randal w pewnym sensie właśnie się ukrył.

- Jest to kobieta w średnim wieku. Widziałam ją w telewizji. Mogłaby być ładna, gdyby nosiła odpowiedni makijaż i ścięła te włosy - skomentowała Hannah. - Wyglądała na lekko przerażoną, jakby się cieszyła, że to nie ją filmują.

- Biografia Eliota - moja jedyna, wielka szansa, zanim ktokolwiek inny uzyska prawa oficjalnego biografy. -
Niezwykłe niebieskie oczy Paula lśniły. - Miałbym zapewnioną posadę na całe życie... na całe życie.
- Odziedziczyła wszystkie jego pieniądze. Bogata wdowa. Może nic nie robić, tylko pławić się w jego sławie i
wydawać forszę. Ma niezłą figurę, powinna sobie sprawić kilka modnych ciuchów. A może byś się z nią ożenił i
zdobył kapitał dla mojej firmy?

Paul postawił kołnierz płaszczu i spojrzał krzywo na siostrę.

- Ja nie mam takiego szczęścia w wynajdowaniu facetów. Bogaci nie mają polotu, bystrzy są brzydki, a przystojni są
albo głupi, albo biedni. - Westchnęła. - Ale bogata wdowa to coś w sam raz dla ciebie.

- Mary ma czterdzieści osiem lat.

Hannah zatrzymała się na czerwonym świetle i spojrzała na brata.

- Ty masz czterdzieści. - Zawahała się i ciągnęła dalej beznamiętnym głosem: - Pomagasz Sandrze, wiem, że jej
pomagasz i wiem, dlaczego to robisz - ale musisz o tym wszystkim zapomnieć, po tylu latach...

- Nie mówmy o tym - rzekł Paul.

- Zawsze tak mówisz - powiedziała Hannah suchym tonem. Zaciśnęła w grymasie wąskie wargi. - Wysłałeś ten esej
o Randalu Eliocie? Opublikują go?

- Jeszcze nie wysłałem.

Hannah spojrzała na niego zirytowana.

- Lubię prowadzić wykłady ze wstępu do literaturoznawstwa - powiedział Paul.

Hannah uderzyła w kierownicę otwartą dłonią.

- Jesteś beznadziejny! Jeśli się czegokolwiek nauczyłam przez rok pracy w dziekanacie, to tego, że w dzisiejszych
czasach nie opłaca się uczyć na uniwersytecie. Pisz się książki, eseje, albo się je ocenia, jeździ się na konferencje. I
tylko się publikuje, publikuje i publikuje. Wykłady prowadzą ci, którym się nie udało w życiu.

- Bardzo to do mnie pasuje - powiedział Paul. - W niepowodzeniach nikt mnie nie prześcignie.

- Gdybyś nie był moim bratem, to powiedziałabym, że jesteś dziwakiem. - Hannah zaparkowała samochód i
przebiegli przez sypiący gęsto śnieg.

Paul przytrzymał dla Hannah drzwi restauracji i powiedział:

- Mary przepisywała na maszynie rękopisy Eliota i żyła z nim przez dwadzieścia dziewięć lat. Pomyśl tylko, ile o nim wie. Ma jego dokumenty i notatki. Ale wyprowadziła się z domu Randała! Wyprowadziła się! Napisał tam wszystkie książki, a ona się wyprowadziła. Gdybym mógł tam mieszkać...

- Jesteś beznadziejny - powtórzyła Hannah, oddając płaszcz w szatni. - Cierpisz na nieuleczalny syndrom Randała Eliota.

Usiedli przy stole i zaczęli przeglądać karty.

- Cierpię na syndrom beznadziejności - powiedział Paul. Potarł oczy, jakby był zmęczony. - Jeśli nie dostanę tutaj dożywotniej posady, to co wtedy? Gdzie mnie przyjmą do pracy? W liceum? Czy będę sprzedawał ubezpieczenia? A może encyklopedie? „Proszę pani, pani dzieci powinny poczytać o wielkich ludziach i różnych znanych miejscach, żeby zrobić wrażenie na nauczycielach, poprawić stopnie...”

- Pieczoną rybę - powiedziała Hannah do kelnerki. -1 chablis.

- Dla mnie to samo - rzekł Paul.

- Skorzystaj z okazji. Zdobądź jakieś poufne informacje od Mary Eliot. Napisz jakieś artykuły o Randalu, opublikuj je. Będziesz to potem odczytywać na konferencjach, mając zapewnioną dożywotnią posadę. - Hannah przyjrzała mu się. - Znowu wezwał cię szef wydziału? Powiedział, że musisz coś opublikować albo wylecisz?

- Mniej więcej tak.

- Więc do roboty! Pisz! Ożeń się z wdową po słynnym pisarzu. Będziesz mógł pomagać trochę Sandrze, chodzić w eleganckim garniturze i czytać gazetę we własnym gabinecie. Będziesz miał wolne lato -bez czyszczenia silosów na ziarno i sprzątania chlewów.

- Czasami aż nie chce mi się wierzyć, do czego doszliśmy -powiedział Paul cichym głosem. - Pamiętasz, jak nie mieliśmy nic?

Siedzieli w milczeniu i patrzyli na śnieg padający za oknami restauracji.

Pług śnieżny zaczął czyścić drogi i odrzucać śnieg z parkingów przed centrami handlowymi, formując je w hałdy w najdalszych kątach.

Mary Eliot zjadła obiad, zapłaciła czekiem, pobiegła do samochodu i zaczęła skrobać szyby przy włączonym ogrzewaniu. W samochodzie było ciepło. Jadąc Golden Drive, zobaczyła swoją lampę przed domem, jak błyszczy z daleka na końcu wąskiej drogi.

Podniosły się przed nią wrota garażu. Wjechała do środka, a wrota opuściły się, odgradzając ją od zimna nocy i śniegu.

- Dom - wyszeptała Mary, wkładając klucz do zamka. - Dom - powiedziała do lśniących mebli, z którymi przeżyła całe życie. - Jestem w domu.

Zdjęła płaszcz i buty, naląła sobie kieliszek wina z nowej lodówki, włączyła gazowy kominek i usiadła przed atrapą drewna i płomieni. Pomyślała o Paulu Andersonie, któremu błyszczały oczy, gdy mówił o Randalu Eliocie.

Zadzwonił telefon.

- Mamo! - zawołała Beth. - A więc w swoim nowym domu!

- To moja pierwsza noc - powiedziała Mary. - Muszę jeszcze uszyć całą masę zasłon, a najbardziej potrzebne rzeczy są na dnie jakiegoś pudła, ale jestem w domu. Wydałam prawie wszystkie pieniądze z masowego wydania. Miejmy nadzieję, że szybko uda mi się sprzedać stary dom. I umówiłam się na randkę w sobotę.

- Któż to taki? - spytała Beth.

- Paul Anderson, profesor z wydziału anglistyki - powiedziała Mary. - Chce tylko porozmawiać o Randalu.

- Wszyscy tak mówią. Przystojny?

- Bardzo. Ma niebieskie oczy, długie, ciemne rzęsy i gęste, jasne włosy. Ale jest dużo młodszy ode mnie. Pewnie dobrze się odżywia, podnosi ciężary i prowadzi przyzwoite życie.

- Zaslugujesz na kogoś takiego.

- On chce życiorysu Randala, a nie mnie.

- Przyszły biograf? Mary westchnęła.

- Nie wiem zbyt dużo o mężczyznach.

- Byłaś mężatką przez dwadzieścia dziewięć lat.

- Wysłałam za męża, zanim zdążyłam się czegokolwiek na ten temat dowiedzieć. Moja matka zawsze mawiała: „Mary Quinn, myślisz tylko o chłopakach”, a ja w ogóle o nich nie myślałam. Myślałam o sobie. Co tu zrobić z drobnymi zmarszczkami wokół szyi? Jak układają mi się włosy z tyłu, gdzie nigdy nie mogę ich

zobaczyć? Czy szminka powinna lśnić i sprawiać wrażenie wilgotnej, co mam zrobić, jeśli ktoś zechce mnie pocałować, a ja będę miała lepkie usta od ciągłego zwilżania ich śliną? Beth śmiała się po drugiej stronie linii.

- To było bardzo trudne. Miałam być ładna, cieszyć się powodzeniem i zachować dziewictwo.

Beth parsknęła śmiechem.

- Oczywiście mogłam mieć jakieś hobby. - Mary wyciągnęła się na swojej nowej, niebieskiej kanapie w blasku kominka. - Pisałam wiersze i dostawałam nagrody. Ale moim powołaniem było zostać pomocnicą.

- I dziewicą.

- Nic nie wiedziałam. Seks był dla mnie prawdziwą niespodzianką. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy Randal sam to wymyślił.

- Och mam, mam! - śmiała się Beth.

- Mam niewielkie doświadczenie - powiedziała Mary.

Nowa sypialnia zaskakiwała Mary każdego ranka. Przez zielone rośliny przesączało się światło; pokój jaśniał odcieniami żółci i zieleni, odcinającymi się na tle jasnych ścian i beżowego dywanu.

Nie było już poobijanego zlewozmywaka. Odkręcała błyszczące złotem krany i mogła wybierać między lśniącem prysznicem lub wanną. Nowy dywan ugiął się miękko pod jej bosymi stopami, kiedy schodziła na dół, gdzie nie było nic starego, zniszczonego. Podziwiała nową lodówkę, robiła kawę na nowej, idealnie czystej kuchence. Na progu czekała na nią jej własna gazeta; świeża, nie czytana.

- Randal - spytała głośno - jak ci się podoba dom, który kupiłam za swoje własne pieniądze? Pewnie miałbyś na niego ochotę?

Zamilkła i ukryła twarz w dłoniach.

Gdy Nora Gilden przyszła na lunch, Mary poczęstowała ją kieliszkiem wina i powiedziała:

- Gdyby Randal mógł zacząć wszystko od początku w takim domu... - Wyjrzała na zaśnieżony ogród. - Jego stare *ego* zostało w starym domu...

- Jesteś samotna - zauważyła Nora. - Powinnaś pomyśleć o poznaniu jakiegoś mężczyzny.

Mary roześmiała się.

- Jestem umówiona na randkę w sobotę.
- Świetnie! - ucieszyła się Nora. - Najwyższy czas!
- Nie, to żadna randka - sprostowała Mary. - Paul Anderson z wydziału anglistyki chce porozmawiać o Randalu i zafunduje mi obiad.
- Jest samotny - oznajmiła Nora z satysfakcją - i przystojny. - Wyciągnęła wiadomości o Paulu Andersonie ze swojego katalogu pamięci, który Mary tak zawsze podziwiała. - Ma około czterdzie-cki. Jest tutaj od niedawna - przyjechał jesienią. Uczył w kilku uczelniach na wschodzie. Bardzo późno zrobił doktorat w Wisconsin. Literatura amerykańska. Rozwiedziony. Nie wiem dlaczego i z jakiego powodu. Nie ma dzieci. Ma siostrę tutaj, w Nebrasce. Na przyjęcie bożonarodzeniowe na wydziale przygotował pyszne ciasto czekoladowe. Mieszka w ruderze przy Henrick Street. Miał zająć się krytyką powieści Randalu, ale nic nie opublikował i przyszły rok nie zapowiada się dla niego zbyt różowo. Jak się domyślam, na innych posadach miał ten sam problem. Nie lubi sera topionego i Williama Styrona. - Nora zmarszczyła lekko czoło, zbierając myśli. - Ani spodni z poliestru.
- Jesteś prawdziwą encyklopedią! - wykrzyknęła Mary.
- I coś mi się zdaje, że ma chętkę na napisanie biografii Randalu.
Mary popatrzyła na nią.
- Mnie też się tak zdaje. I dzieci zobaczą na papierze całe to smutne życie ojca!
- Niekoniecznie - powiedziała Nora. Mary szła pierwsza na górę, a Nora podążała za nią, sapiąc ze zmęczenia. - Skąd ta pewność, że Paul ją napisze? Będzie o niej mówił... od lat opowiada o tym, co ma zamiar napisać. Więc możesz słuchać tego przez całe lata... i napawać się jego widokiem.
Mary nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi swojej pracowni.
- Kupiłam stolik pod maszynę do pisania, obrotowy fotel biurowy i szafkę na dokumenty.
Nora powiedziała, że Mary pewnie jeszcze ciągle ma sporo pracy z papierami Randalu - korespondencja, sprawy majątkowe...
Mary uśmiechnęła się, stojąc w swojej pracowni, gdzie mogła pisać powieści przy świetle dziennym i podpisywać je własnym imieniem.

- Sama trochę piszę - powiedziała.

- No proszę, proszę. - Nora przyglądała się certyfikatом nagród wiszącym w ramach na ścianie pracowni Mary; nagród za książki Mary, opatrzone imieniem Randała. - Był wielkim pisarzem. Nie jesteś z nich dumna?

Mary rozpostarła ręce, jakby chciała nimi ogarnąć cały świat

- Jestem! - odparła.

W połowie marca na Środkowym Zachodzie znów napadało dużo śniegu. Hannah Anderson ucieszyła się na wiadomość że musi wyjechać do Kalifornii w podróż służbową. Zadzwoiła stamtąd do Paula.

- Braciszku, jestem w L.A.! - zaszczębiotała przez telefon - Jest ciepło i słonecznie! Opowiedz mi o śnieżycach.

Opowiedz jak marznie Nebraska! Z przyjemnością posłucham!

Paul jechał nachmurzony do domu Mary Eliot, zmagając się ze śnieżnymi skibami, które pługi śnieżne pozostawiły na skrzyżowaniach. Samochód grzązł, ślizgał się, a w środku było równie zimno jak na zewnątrz. Pojeździł tam i z powrotem po Golden Drive, żeby nie zjawie się za wcześnie, po czym zaparkował swojego starego forda na podjeździe Mary Eliot, pośród ośnieżonych świerków

Gdy naciskał dzwonek, przyjrzał się mosiężnej kołatce w formie twarzy okolonej wiankiem z liści - przedstawiała mężczyznę czy kobietę?³

Mary natychmiast otworzyła drzwi. ^ - Proszę wejść i napić się wina, zanim pojedziemy - zaprosiła

- Piękne drzwi - powiedział Paul, stojąc w rozjaśnionym lustrami przedpokoju.

- Kołatka jest wiktoriańska. W ubiegłym roku znalazłam ją na rynku Portobello w Londynie.

- Zanim jeszcze zmarł pani mąż - domyślił się Paul.

Salon znajdował się kilka stopni niżej. Światło z kominka rzucało refleksy na zielony dywan, lśniło na polerowanym drewnie i drgało na głębokiej czerwieni wina w butelce. Za oknami widać było mroczny, ośnieżony ogród.

- Wina? - spytała Mary.

Paul wziął od niej kieliszek.

- Piękny dom - powiedział z przekonaniem. Usiedli. Usłyszał piękną muzykę z sąsiedniego pokoju. Przez drzwi widać było ścianę pełną półek z książkami. - Wybierze się pani jeszcze do Londynu?

- Chciałabym tam jeździć co roku, lub co dwa lata - odparła Mary. Miała na sobie sukienkę z jakiegoś błyszczącego materiału, utrzymaną w niebieskich i zielonych barwach. - Jeśli mi się uda, namówię któreś z moich dzieci, żeby pojechało ze mną.

- Trzeba je będzie ciągnąć za uszy - zażartował Paul.

- I to mocno. Często tak robię.

- Nigdy nie byłem za granicą - powiedział Paul. Mary napełniła mu ponownie kieliszek, wstając i siadając z gracją. Hannah powiedziała, że jest „w średnim wieku”. Postarzała ją korona włosów, zbyt ciężka na głowie tak drobnej i szczupłej osoby. Miała uroczy nawyk patrzenia w bok i nagłego rozszerzania oczu, gdy spotkała jego wzrok; jakby była zaskoczona.

Mieszkała z Randalem Eliotem przez niemal trzydzieści lat.

Nie chciał na razie wspominać o Randalu. Gdy jechali do restauracji, wypytywał Mary o nią samą i żałował, że nie ma samochodu, w którym działałoby ogrzewanie.

Zamówili obiad. Paul wciąż zadawał uprzejme pytania.

- Tak - odpowiadała Mary - moje dzieci wszystkie wyjechały. Michael ma dwadzieścia osiem lat, jest doktorem antropologii i wykłada w Yale, ale w tej chwili jest na stypendium w Afryce. Beth robi studia magisterskie na wydziale anglistyki w Teksasie, w Austin.

Mary mówiła o tym z dumą. Chciała już być w domu, przy własnym kominku. Kobieta w jej wieku nie powinna się stroić i paplać przez cały wieczór, tylko dlatego, że jakiś mężczyzna zaprosił ją na obiad. Miała cienkie pończochy i marzły jej nogi. Miała za ciasny stanik i nie mogła oddychać. Rozmowa była banalna i nudna. Miała już dosyć tego, że przystojny Paul Anderson wpatruje się w nią z nabożeństwem tylko dlatego, że była wdową po sławnym mężu.

- A pani pozostali synowie? - zapytał Paul. Mimo słabego oświetlenia zauważył, że Mary nie nosi obrączki.

- Don się ożenił i prowadzi swój własny sklep z odzieżą w stylu Dzikiego Zachodu w Dillon, w Kolorado - odparła Mary.

Nie nosi obrączki od Randalą Eliota... Paulowi wydawało się, że każda kobieta nosiłaby taką obrączkę do śmierci.

- A Jay zaczyna studiować zoologię w Minnesocie - poinformowała go Mary.

Gdy podano obiad, z kolei Mary zaczęła wypytywać Paula. Nie, nie jest żonaty, rozwiódł się. Nie ma dzieci.

Opowiedział jej, gdzie wykładał, przyznał się, że lubi prace w ogrodzie, dobrą muzykę i gotowanie. Z rodziny ma tylko niezamężną siostrę, która mieszka między Omaha i Lincoln.

- Jestem miłośnikiem dzieł pani zmarłego męża, jak pani się zapewne domyśla - rzekł w końcu.

- Ja również.

- Może nie chce pani jeszcze o nim rozmawiać - powiedział Paul. - Ciekaw jestem, jak pisał powieści, jaki był.

Widziałem go tylko raz z daleka. Zacząłem tu uczyć, zanim wziął bezpłatny urlop i pojechaliście za granicę.

Myślałem, że będę jeszcze miał masę czasu, żeby go poznać. Od ponad dziesięciu lat czytam w kółko jego książki, piszę o nim eseje, zbieram wycinki z recenzjami, wygłaszam o nim odczyty. Siostra mówi, że cierpię na nieuleczalny syndrom Randalą Eliota - Paul uśmiechnął się. - Jestem zafascynowany jego pierwszą powieścią, *Dzielnice*. Wydaje mi się, że dostrzegam w niej jakieś analogie z *Alicją w krainie czarów* i *Po drugiej stronie lustra*.

Mary odetchnęła głębiej, pochyliła się w jego stronę. Jej ciemne oczy rozjaśniał biały obrus, ciemne włosy przetykane miała pasmami siwizny.

- Żaden recenzent tego nie zauważył - powiedziała.

- Młoda narzeczona przyjeżdża na plantację swojego męża w taki sam sposób, jak Alicja przybyła do krainy czarów

- mówił Paul. - I wszyscy są dla niej tak dobrzy, jak dla Alicji w książkach Carrolla.

Paul dostrzegł, że twarz Mary nagle młodnieje, a oczy błyszczą podnieceniem.

- Staruszek jest Kotem z Cheshire. Mówi do narzeczonej „Wszyscy tu jesteście szaleni.”

- Bidą Królową jest Louly. Nie potrafi ubrać się jak należy. Jest beznadziejna - roześmiał się Paul.

- A Czerwoną Królową?

- Ciotka Byrd - odpowiedział Paul. - Wie, jak radzić sobie z niewolnikami. Nie trzeba ich chłostać ani zaprzęgać do kieratu. Ale należy utrzymać system niewolniczy.

- Książki Randała nigdy nie miały krytyka z prawdziwego zdarzenia, któremu nie trzeba tłumaczyć, jak są zbudowane-powiedziała Mary. - W dzisiejszych czasach recenzentom wydaje się, że wystarczy przedstawić treść książki. Jakby pisali wypracowanie szkolne.

W filiżankach przed nimi stygła kawa, ale Paul wpatrywał się w ożywioną twarz Mary, słuchał jej głosu. Mówiła o postaciach w książkach Randała Eliota, wiązała poszczególne sceny, śledziła wątki. Starał się zapamiętać każde jej słowo.

Po jakimś czasie opustoszały sąsiednie stoliki, a Paul słyszał jedynie głos Mary, który zachęcał go do powrotu do domu i pisania, pisania bez końca.

Kelnerka przyglądała się przystojnemu mężczyźnie i kobiecie w średnim wieku. Śmiali się, gestykulowali, pochylali się do siebie, mówili coś i znowu się śmiali.

Westchnęła, przestępując zmęczona z nogi na nogę. Z całą pewnością byli w sobie zakochani. Nie zauważyli, że czas już zamykać restaurację.

Mary obudziła się następnego ranka z wielkim zapałem do pracy. Pisała cały dzień, prawie nic nie jedząc. Pisała cały tydzień. W sobotę Beth zadzwoniła z Teksasu.

- Paul ma przyjść o siódmej - zakomunikowała jej Mary -Przyniesie tutaj kolację. - Nie powiedziała: „Jest pierwszym człowiekiem, który rozmawia ze mną o książkach Randal - o moich książkach. Nikogo nigdy nie obchodziło, co o nich myślę."

- Potrafi gotować? - zdziwiła się Beth. - I jest przystojny? Bierz go!

- Mam czterdzieści osiem lat! Byłam mężatką. Już mam to za sobą - powiedziała Mary. - Na tym świecie dość jest wygłodniałych wdów, ale ja do nich nie należę. Mężczyzn trzeba pieścić słuchać ich, starać się nie ranić ich uczuć, dobierać im skarpetki...

- Mamo, jesteś jeszcze młoda!

- Tylko z nim rozmawiam. Jest pierwszym człowiekiem, który wie, co Randal miał zamiar przekazać w swoich książkach. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak ważne są dla mnie takie rozmowy! Byłam taka samotna. Ale nie martw się - zapewniła ją Mary - nie ma żadnych randek przy świecach, z kwiatami.

Zaledwie Mary odłożyła słuchawkę, zadzwonił dzwonek u drzwi. Poprawiła atlasową narzutę na łóżku i pobiegła otworzyć Pierwszą rzecz, jaką zobaczyła, były kwiaty.

- Dzień dobry - przywitał ją Paul zza bukietu rozkołysanych złotych chryzantem. Gdy Mary cofnęła się troszkę, wszedł do

środka, obładowany siatkami, tchnąc chłodem zimowej nocy. Najpierw poczuła ostry zapach kwiatów, a następnie pyszny zapach jedzenia. Miała nadzieję, że Paul nie usłyszał, jak zaburczało jej w wygłodniałym żołądku.

- Obiad przyjechał. - Paul uśmiechał się nerwowo. - I przybranie na stół. - Stał na środku zielono-niebieskiego salonu Mary, z siatkami i kwiatami, a śnieg topniał mu z butów. -Zabrudzę dywan - powiedział wyciągając szyję, żeby spojrzeć pod nogi.

- To tylko śnieg - powiedziała Mary, prowadząc go do kuchni. - Nie jestem przyzwyczajona do takiego rozpieszczania!

- Żony słynnych pisarzy powinny być traktowane tak, jakby same były sławne - oznajmił Paul, kładąc ostrożnie ciężką siatkę na bufecie kuchennym. - Potrawka. I sałatka. Wino. Resztki musu czekoladowego.

Mary napłynęła ślina do ust.

- Ale jestem głodna.

- Siadaj - rozkazał Paul.

- Tak, ale...

- Powiedz tylko, gdzie są kieliszki. Potem usiądź spokojnie, zachwalaj mój wybór wina, a ja już znajdę talerze i sztućce i właściwe kurki w kuchence.

- Kieliszki są na półce nad zlewem. Ale chyba nie jestem odpowiednio ubrana na wieczór w Chez Plaza de Ritz. - Mary spojrzała na swoją bluzkę i wełnianą spódnicę i odgarnęła ciężki splot włosów z ucha.

- Ale szefowie Chez Plaza de Ritz dostrzegli, że przybyła do nich żona laureata Nagrody Książki Amerykańskiej, więc wyprosilili wszystkich innych klientów i możemy się cieszyć atmosferą Chez Plaza de Ritz *a deux*. - Paul podał jej kieliszek wina. - Kelnerzy są tak doskonale wyszkoleni, że w ogóle ich nie zauważymy.

Mary usiadła przy kominku i westchnęła.

- To bardzo miłe. - Rozprostowała obolałą szyję i napiła się wina. - Doskonałe.

- Tak też i myślałem, że ci będzie smakowało. Jest z Iowa... Amanas. - Paul pochylił się nad kuchenką mikrofalową, programując ją. Potem buszował po kuchni, otwierając szuflady, brzękając sztućkami, wyciągając filiżanki.

- Pewnie jesteś zmęczony. Miałeś dzisiaj zajęcia na uniwersytecie - powiedziała Mary, podziwiając jego sylwetkę. Był tak wysoki, że bez trudu zdjął wazon z czarnego szkła z najwyższej półki. „Kobieta i mężczyzna, sami w domu” - błysnęła myśl jak fajerwerk na święto Czwartego Lipca. Głupia, czterdziestoosmiolet-nia kobieta. Udawała, że nie odczuwa mrowienia w całym ciele.

- Miałem tylko jeden wykład - odpowiedział Paul. - I spotkanie komitetu, z którego wynikają następne spotkania komitetu i następne... Mają niewielkie znaczenie i mikroskopijne porządki obrad, ale jest ich mnóstwo. Gdzie trzymasz napoje?

- Na dole lodówki.

Paul nabrał wody do wazonu i dolał odrobinę seven-upu.

- Kwiaty to uwielbiają.

- Naprawdę?

Wstawił chryzantemy do wazonu i poprawił je kilka razy. Podszedł do Mary z kieliszkiem wina. Przyćmione światła pokoju rzucały cień na przystojną twarz Paula, ale Mary widziała, jak wpatrują się w nią jego niebieskie oczy.

- Tak dużo gadam, bo jestem zdenerwowany - powiedział. Łyknął wina. - Gdy rozmawiam z kobietą, która znała Randal Eliota i pracowała z nim, czuję się jak bełkoczący krety.

Mary roześmiała się.

- Bełkoczący i paplający? Wszystko naraz? Usiądź. Chętnie posłucham dzisiaj czegoś nowego - oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

Usłyszała, jak lekko zaskrzypiało krzesło, gdy usiadł. Ta rozmowa zmieniła ich wzajemny stosunek, zbliżyła ich do siebie. Buty mu jeszcze nie wyschły, nie dokończyła wina, a ona ciągle odczuwała to mrowienie.

- Przez cały dzień wysłuchiwałaś tego co zawsze?- spytał Paul.

- Tak. Przyjechał jakiś profesor z Yale i chciał zapisków Randal, jego dokumentów, notatek i korespondencji - jak wszyscy inni. Potencjalny biograf w poszukiwaniu informagi z pierwszej ręki. Siedział tu całe popołudnie.

- Z Yale? Dałaś mu je?

- Co miałam dać? Randal robił zapiski na starych kopertach -nikt oprócz mnie nie był w stanie tego odczytać i prawie wszystko wyrzuciliśmy. I bardzo dużo dyktował. Mam rękopisy, ale pisane moją ręką. Listów jest niewiele. Nie korespondował z innymi

pisarzami, ani nie napisał do swojego agenta nic poważniejszego niż „ile za to dostanę?” Teraz ciągle ktoś chce się ze mną zobaczyć, przylatuje skądś specjalnie, mówi, jak wielkie miałyoby to znaczenie itd.

Mary westchnęła. Paul popijał wino w milczeniu. Nie odezwał się nawet wtedy, gdy otworzyła oczy, żeby popatrzeć na światło, które połyskiwało na jego jasnych włosach. Spoglądał w kieliszek.

Miał na sobie garnitur. Nie rozpiął marynarki. Nie poluzował krawata.

- Zapewne kolacja jest już gotowa - powiedział wstając. - Siedź spokojnie. Przyniosę wszystko. - Uklęknął obok niej, żeby przyjrzeć się kominkowi.

- Przekręć na prawo małą czarną gałkę w środku - poinstruowała go Mary.

Paul otworzył drzwiczki kominka i przekręcił gałkę. Natychmiast pojawiły się płomienie udające, że palą sztuczne drwa.

- Kominek beletrysty - zauważyła Mary. - Jedyne ogień jest tu prawdziwy.

- Powiniennem to zapisać - stwierdził Paul, zatrzymując się na chwilę w drzwiach kuchni. - Ciekawie mówisz. Po naszym sobotnim obiedzie przyszło mi do głowy z pół tuzina nowych myśli na temat twórczości Randala.

- Popisuję się tylko. Nie powinnam pić wina na pusty żołądek. Paul ustawił stolik obok kominka i poszedł do kuchni po talerze i szklanki.

Duży salon Mary migotał prawdziwymi płomieniami. Wyciągnęła nogi przed sobą, ziewnęła rozkosznie i poczuła, jak wino rozjaśnia jej zmęczoną głowę.

Paul wyminął ją ostrożnie, nie brzęcząc sztućcami ani talerzami. Gdy posadził ją przy kwiatkach w blasku świec, roześmiała się przypominając to, co powiedziała Beth.

- Podoba ci się? - spytał Paul zadowolonym głosem, dolewając jej wina. - Uniwersytet cię zaniedbuje. Żony słynnych pisarzy nie powinny same pitrasić.

- Cóż za luksus - powiedziała Mary i spróbowała potrawki. - Cudowna.

- Z łososia - wyjaśnił Paul.

Potravka wspaniale pachniała. W sałatce były orzechy, pomarańcze, sałata i jakieś zioła, których nie mogła rozpoznać.

To nie ogień rozgrzewał pokój, ale wino i siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna, który potrafił gotować i przypatrywał się jej w milczeniu sądząc, że ona tego nie widzi.

Rozmawiali przy stole o *Obcej* Randalą. Rozmawiali przy kominku o *Na dobre i złe* Randalą. Rozmawiali przy stuletnim francuskim zegarze na kominku, z wahadłem w kształcie głowy lwa. Słońce nad tarczą zegara przypatrywało się ich roześmianym twarzom. Złocił się amorek. Czarne, filigranowe wskazówki przesuwały się nieubłaganie. Zegar wybił.

- Pierwsza! - krzyknął Paul.

- Pierwsza? - powtórzyła jak echo Mary.

Paul pozbierał swoje rzeczy, pożegnał się i wyszedł.

Mary znowu usiadła przy kominku, sam na sam z bukietem chryzantem i z zegarem, którego wskazówki przesuwały się teraz bardzo wolno pod wizerunkiem złocistego słońca.

Mary mogła pisać w ciągu dnia. Jej nowa książka była rozłożona w pracowni. Nikt nie spał w sąsiadujących pokojach. Nie była zmęczona całym dniem pracy. Nie musiała kryć się z tym, co robi.

Gdy brakowało jej słów, rozpakowywała kartony, wypełniając liczne szafki, które ktoś mądrze zaprojektował we wszystkich pomieszczeniach tego domu.

Zadzwoiła Beth. Chciała porozmawiać o liście, który dostała od Michaela. W końcu dowiedział się o śmierci ojca.

- Jakie to smutne - powiedziała Mary. - Ale wreszcie wydaje mi się, że rodzina jest w komplecie... czy to nie dziwne?

Chyba dlatego, że już wszyscy o tym wiemy.

Beth westchnęła i powiedziała:

- Bardzo ciężko pracuję. A ty?

- Mam mnóstwo energii! - odrzekła Mary i dodała w myślach: „Dlatego, że mogę porozmawiać o swojej pracy z kimś, kto ją podziwia! Ile mam pomysłów!”

- Nikt nie chce kupić starego domu? - spytała Beth.

- Nikt. Od miesięcy - odpowiedziała Mary.

- Czy George Blumberg pogania cię, żebyś nadesłała ostatnią książkę taty?

- Na razie dał mi spokój, ale sądzę, że niedługo zadzwoni - odparła Mary.

Beth gawędziła dalej, a Mary nie miała odwagi powiedzieć Beth, że kończą się pieniądze. Odłożywszy słuchawkę, zasiadła z po-

wrotem do maszyny do szycia. Wyobrażała sobie, jak wysyła własną książkę George'owi Blumbergowi. Przez to rozmyślanie o *Gospodarzu* autorstwa Mary Quinn zrobiła krzywy ścieg na zasłonie.

- Paul - powiedziała głośno, prując nitki. A po chwili dodała: -Pomyśl o pieniądzach. Pomyśl o zaliczce, którą dostaniesz - wiele tysięcy.

Zrobiła nowy szew, zakończyła go i wtuliła twarz w pachnący nowością materiał. - Nikt nigdy dotąd nie rozmawiał o moich książkach... nie był nimi zauroczony...

Ze śpiewem na ustach pracowała w swoim nowym domu. W sobotnie wieczory siadała na łóżku i obserwowała drogę i nagie drzewa nad urwiskiem, czekając, aż stary samochód Paula pojawi się na podjeździe.

- Proszę wejść, proszę wejść. - Doktor Butterfield wskazał Paulowi Andersonowi krzesło po drugiej stronie biurka. - Jako szef wydziału bardzo jestem ciekaw, jak się panu powodzi.

Paul usiadł.

- Jak postępuje praca nad biografią Randala Eliota? Wezwałem pana właśnie po to, żeby o tym porozmawiać - powiedział doktor Butterfield. - Nie muszę chyba dodawać, że taka książka zapewniłaby panu dożywotnią posadę.

- Mam nadzieję na współpracę z Mary Eliot... - odparł Paul.

- Aha - powiedział doktor Butterfield, przyglądając się Paulowi. - Harvard, Yale i Princeton także próbują dostać się do dokumentów Eliota. Udało się panu do niej zbliżyć? Zgodziła się, żeby został pan autoryzowanym biografem?

Dała panu dostęp...

- Wiążę z tym duże nadzieje - odparł Paul. - Oczywiście wciąż jest pogrążona w żałobie, więc nie chciałbym być intruzem.

Doktor Butterfield wciąż przyglądał się Paulowi.

- Ale z pewnością skorzystał pan coś z rozmów z Mary?

- Doszedłem do wniosku, że nie powinienem publikować mojej pracy bez przejrzania dokumentów Randala Eliota, jego rękopisów, korespondencji...

Doktor Butterfield wstał.

- Sądzę, że rozumiał pan moją radę. - Odprowadził Paula do drzwi gabinetu. - Biografia Randalu Eliota jest panu koniecznie potrzebna. Proszę ją napisać. Dobrze radzę.

Paul pojechał do domu. Rozumiał bardzo dobrze pogróżki Butterfielda: albo opublikuje swoją pracę, albo wyleci z posady. Rzucił plik prac studentów obok krzesła w kuchni. Niektóre z nich na pewno zaczynały się słowami: „Tematem tej sztuki jest...” Westchnął. Może znajdzie się kilka wartych przeczytania. Może będzie choć jedna, z której się czegoś nauczy.

Jednak nie podniósł kartek i nie zaczął sprawdzać. Stał przyglądając się stercie notatek leżących obok maszyny do pisania. Jadał obiady z Mary Eliot w każdą sobotę przez cały marzec, potem wracał do domu i zapisywał wszystko, co mówiła. To był świetny materiał: rozumiała strukturę każdej książki Eliota. Mógł teraz pisać esej za esejem.

Wyobrażał je sobie wydrukowane na gładkim papierze, w najlepszych pismach: *Kraina czarów Eliota*, *Światowe dzieci Colette na plantacji niewolniczej*, *Faulknerowskie polowanie na niedźwiedzia a Eliotowski kult kobiecości*.

Gdyby zaczął je pisać...

Paul westchnął i wyjrzał przez okno kuchenne. Sąsiedzi obok grabili liście w ciepłym, wiosennym słońcu.

Paul włożył dzinsy i bluzę, na której widniał napis *Randal Eliot* nad tytułami książek Eliota. Pojechał do Cedar Ridge wzdłuż drzew, które już zaczynały dawać cień. Zapukał do drzwi domu Mary, przyglądając się kołatce.

- Chodzę po domach i oferuję grabienie liści, proszę pani - powiedział, gdy otworzyła.

Mary również była ubrana w dzinsy. Długie włosy miała związane z tyłu chustką.

- Wejdz - powiedziała. - Skąd masz taką bluzę?

- Kazałem zrobić ten nadruk w pracowni w mieście. Chcesz taką? Może słyszałaś o Randalu Eliocie, miejscowej sławie?

- Zaraz... to ten, co pisał powieści? - zastanowiła się Mary.

- Chyba tak.

- Ale chyba masz coś lepszego do roboty, niż grabić liście?

- Nie mam - odparł Paul.

- Może piwa?

- Jak skończę grabić - odpowiedział Paul. - Gdzie zacząć?

- Od tego kawałka na wzgórzu - odrzekła Mary, prowadząc go przez kotłownię i garaż do schowka na narzędzia. Zdjęli grabie wiszące na gwoździach. - Jeszcze nie wiem, co rośnie w ogrodzie. Przyrodnik, którego mam w rodzinie, twierdzi, że należy grabić liście warstwami. - Oparła swoje grabie o drzewo i mocniej zawiązała chustkę na głowie. Pierwszą warstwę usuwa się grabiami. Drugą - rękoma. Paul zaczął od płotu, gdzie liście zatrzymały się na ogrodzeniu, tworząc półmetrową warstwę.

- Świetna metafora - powiedział przez ramię.

- Metafor jest najwięcej wiosną - powiedziała Mary.

- Zastanawiałem się nad metaforą zamykającą *Obcą* - powiedział Paul, grabiąc. - Te trzy drzewa wykorzystane przez Randal. Przypominają kobiety, i kiedy Thorne przejeżdża obok nich samochodem, zachodzące słońce „przesuwa się przed nim, jak człowiek oświetlający sobie drogę pochodnią w czasie dnia”. Randal pisze, że te drzewa „są jedno po drugim ogarniane tym światłem; potem, zapomniane, zielenią się intensywnie jeszcze przez chwilę i ciemnieją, gdy zapada noc”.

- Tak - powiedziała Mary.

- Jak Diogenes! - wykrzyknął Paul. - Thorne jest jak Diogenes, „jak człowiek oświetlający sobie drogę pochodnią w czasie dnia”! Ale drzewa są jak kobiety, światło jego pochodni nie sięga ich i „ciemnieją, gdy zapada noc”. Thorne przez całe życie szuka „kobiety” - prawdziwej kobiety, nie, jak mówi, zwykłej Amerykanki. Wychowuje Catherine tak, żeby stała się prawdziwą kobietą, ale zapomni o niej i ona o tym wie, więc ucieka i znika w mroku nocy. Mary przytaknęła; jej ciemne oczy błyszczały intensywnie.

- Większość ludzi porusza się w obrębie powierzchniowej warstwy książek Randal, jak muchy po celofanie - nie zagłębiają się w poszukiwaniu ich sedna. Randal dostał tyle listów, z pytaniem: „Dlaczego zakończył pan *Obcą* w ten sposób? Złamał mi pan serce!” Ale jak inaczej mogło to się skończyć? Catherine stała się zwykłą Amerykanką, więc w oczach Thorna byłaby ułomna. -Odwróciła się plecami i grabiła dalej.

Ostry gwizd małego ptaszka, kardynała, przeszył powietrze w ogrodzie. Gdzieś daleko odpowiedział mu drugi. - Thorne jest taki jak Gary Cooper - stwierdził Paul.

- Jak do tego doszedłeś? - wykrzyknęła Mary, prostując się, stojąc po kolana w liściach.

- Zawsze mi przychodził na myśl, gdy Randal opisywał Thor-
ne'a. .

- Nikt tego nigdy nie zauważył! - wykrzyknęła. - A wiesz, że Gary Cooper grał Białego Króla w filmie *Alicja w krainie czarów*?

Oparci o grabie rozmawiali bez końca, nie zważając na to, że zaszło słońce i zapadał zmierzch.

W końcu zrobiło się tak ciemno, że nie widzieli liści ani grabi, ale we dwojkę dokonali tak rzetelnej analizy *Obcej* Randal Eliota, że Paul aż wykrzyknął z radości i zarzucił Mary ręce na szyję. Objęli się w świetle wschodzącego księżyca, zelektryzowani dziwnym uczuciem. . .

- Chyba oszaleliśmy! - zawołała Mary, odsuwając się od niego. - Co by ludzie pomyśleli, gdyby zobaczyli takich dwóch wariatów stojących na zimnie i rozprawiających godzinami o jakiejś powieści. Chodź do domu!

Powiesili kurtki, zrzucili buty i przeszli w skarpetkach przez kuchnię do ciepłego salonu.

- Tylko nie wspominaj o powieściach, bo znowu zacznijemy! - Mary włączyła gazowy kominek.

- Mieliśmy pójść do restauracji, ale możemy w domu zrobić sałatkę i zamówić pizzę. Mam trochę wina. Zostań na kolacji. Zmarzłeś na kość przez tę moją paplaninę.

Paul zgodził się zostać pod warunkiem, że Mary pozwoli mu zapłacić za pizzę i pomóc w kuchni.

- Oddałeś już jakiś esej do druku? - spytała Mary, wyjmując z lodówki pomidory i ogórki.

- Niestety, jeszcze nie - odparł Paul. - Jednak wciąż nad tym pracuję. Śledzę użycie zwrotu „bez siatki”, który przewija się przez całą *Obcą* - powiedział, znajdując nóż i deskę do krojenia. Przepraszam - powiedział. - Nie mogę przestać mówić o powieściach Randal.

Mary zamówiła pizzę przez telefon i zaczęła płukać sałatę i pomidory.

Paul ciągnął dalej:

- Pierwszy raz używa tego wyrażenia Jack, gdy Thorne odbił mu Janet i przespał się z nią.

- Zgadza się - potwierdziła Mary.

- Potem Thorne używa tego samego zwrotu, ale tym razem mówiąc, że wychowywanie Catherine było , jak gra w tenisa bez siatki".

- Najpierw chodziło o siatkę pajęczyny, a potem o siatkę do tenisa. - Mary wrzuciła pokrojone pomidory do salaterki.

- I na końcu zdanie: „Starzec, jak akrobata tańczący na linie bez siatki zabezpieczającej."

To było silniejsze od nich. Znowu rozpoczęli wędrówkę po powieści Randała Eliota, jakby to była dżungla pełna niezwykłych okazów flory i fauny. Przywieziono pizzę i zjedli ją, nawet tego nie zauważając, zapomnieli o sałatce i siedzieli bardzo blisko siebie na kanapie, zatopieni w rozmowie, przerywając sobie, a ich dłonie stykały się czasami w żywej gestykulacji towarzyszącej potokowi słów.

O północy wreszcie przestali rozmawiać i siedzieli patrząc, jak tańczą płomienie w kominku. Paul przyglądał się, jak światło gładzi siwe pasma włosów Mary i pogłębia zmarszczki wokół ust.

- Chciałbym cię poprosić o przysługę - odezwał się Paul. Mary odwróciła się do niego. - Chodzi o twój stary dom, który stoi pusty. Czy mogłabyś mi go wynająć?

Spojrzała z powrotem w ogień, nie odzywając się ani słowem.

- Byłbym porządnym lokatorem - obiecał Paul. - Po tych wszystkich latach, gdy tak podziwiałem dzieła Randała, czułbym się szczęśliwy, mogąc tam zamieszkać. Muszę ci się przyznać, że byłem na ciebie zły, że się stamtąd wyprowadziłaś.

- Teraz mam własny dom, który kocham! - zawołała Mary. - Pierwszą nową kuchenkę, lodówkę, pralkę i suszarkę, bo dotąd zawsze kupowaliśmy z Randalem używane, stare! A na podłodze w piwnicy nie rośnie grzyb!

Paul dostrzegł radość w jej oczach.

- Teraz na strychu wiewiórki nie robią zapasów orzechów w pudłach z książkami, a dach nie przepuszcza mrozu zimą i nie przecieka na wiosnę! - Zwinęła się obok niego na kanapie, podekscytowana, obejmując kolana. - Teraz mam własny dom. Własny ogród. Gdy dzieci przyjeżdżają w odwiedziny, śpią w moich ślicznych pokojach. Gdy zechcę, mogę nie wrócić na noc, pojechać dokąd zapragnę. - Odgarnęła z rozjaśnionych szczęściem oczu pasmo posiwiałych włosów.

- Więc nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym zamieszkał w starym domu?
 - Jeśli chcesz. Nie zażądam wysokiego czynszu. - Mary zmarszczyła nagle brwi. - Ale ja też muszę się do czegoś przyznać: potrzebuję pieniędzy. Masowe wydanie *Zysku* podreperowało nam budżet, ale Randal wydał sporo przed śmiercią na naszą zagraniczną podróż i zapłaciliśmy duży podatek. Skoro mam umożliwić Beth i Jayowi skończenie studiów...
 - No to umowa stoi. Zapłacę ci tyle, ile będziesz uważała za stosowne. Oboje będziemy zadowoleni.
 - Skoro chcesz mieszkać w tej ruinie - zgodziła się Mary.
 - Nie przeszkadza mi grzyb ani wiewiórki. Chcę mieszkać w domu Randal Eliota! Pewnie uważasz mnie za jakiegoś pomy-leńca.
 - Póki podobają ci się te książki, uważam cię za mojego bardzo dobrego przyjaciela - odpowiedziała Mary. Spojrzeli na siebie i odwrócili wzrok.
 - Skoro się zwierzamy... - odezwał się po chwili Paul. Spojrzała na niego.
 - Wiesz, o co mi chodzi. Chcę być autoryzowanym biografem Randal Eliota. Wiem, że przyjeżdża do ciebie wielu ludzi w tej sprawie. Chcą, żebyś z nimi pracowała, żebyś udostępniła im jego rękopisy i korespondencję, opowiedziała im o nim...
 - Zgadza się - odparła Mary. - Wszyscy odjechali z niczym.
 - I nie mogą się nadziwić, że tyle wiesz. Rozmawiałem z kilkoma z nich, z Harvardu i z Chicago. Fairchild z Harvardu powiedział: „Ona zna każdy wers, jaki kiedykolwiek napisał.”
 - Powinam - powiedziała Mary.
 - Ale to nie jest główny powód, dla którego tu jestem. Napawasz mnie energią. Pomysłami. Napisałem już z pół tuzina esejów o twórczości Randal Eliota. Po rozmowach z tobą wracam do domu i słowa same pchają się na papier
 - to coś niesamowitego, jakbym wpadał w te słynne „transy” Randal.
- Mary wpatrywała się w ogień.
- Chcę, żeby jego dzieła zostały zanalizowane w sposób krytyczny, inteligentny, od podszewki. Mogę spróbować tego dokonać, jeśli się zgodzisz. Jeśli mi o nim opowiesz... wszystko...
- Paul dostrzegł, że Mary zamknęła się w sobie. Milczała.

Stwierdził, że powinien wracać do domu. Powiedział, że do niej zadzwoni i omówią jego przeprowadzkę do starego domu.

Gdy się pożegnał i otworzył drzwi, na świerkach w ogrodzie Mary pobłyskiwało światło księżyca. Wyjechał tyłem na ulicę. Szczupła, ciemna sylwetka Mary rysowała się tle światła w otwartych drzwiach.

Paul pojechał do domu, zaparkował samochód, zdjął płaszcz i zasiadł do maszyny do pisania. Siedział przy niej bardzo długo i nic nie napisał.

Poszedł do łóżka, mówiąc do siebie:

- W domu Randal Eliota! Będę mieszkał w domu Randal Eliota!

Próbował sobie wyobrazić ten dom, jego pomieszczenia, ale zamiast tego przed oczami pojawiła mu się kobieta stojąca w oświetlonych drzwiach.

22

Mary na pewno ma dokumenty, rękopisy... Tyle lat żyła z Randal! - powiedział Bill Rivers, siadając na krawędzi stołu w pokoju wydziału anglistyki.

- Skoro niemal codziennie jadasz z nią obiad, atak mówiał ludzie... Paul milczał, przerzucając koperty.

- Ciągłe węszyć tu ci profesorkowie z Harvardu, z Yale i z Uniwersytetu Nowojorskiego.

- Mary nie chce rozmawiać o biografii. Przynajmniej na razie. - Paul nie patrzył Billowi w oczy.

- Ale wypytywałeś o niego cały wydział, dopytywałeś się o każde wypowiedziane przez niego słowo! - powiedział

Bill. - Podobno widziałeś się z jego ojcem... z jego psychiatrą... lekarzem... księgowym...

- Przeprowadziłem trochę wstępnych badań - powiedział Paul. Otworzyły się drzwi do pokoju.

- Hej! - wykrzyknął Bill. - Wróciłeś już z zakurzonych bibliotek Hiszpanii?

- Przed chwilą - odpowiedział Hugh. - Nawet się jeszcze nie rozpakowałem.

- To Paul Anderson - przedstawił go Bill. - Hugh Bond. Paul dołączył do nas we wrześniu, po twoim wyjeździe. Paul jest specjalistą od Randal Eliota.

Hugh uścisnął Paulowi dłoń. - Ma pan zamiar napisać jego pośmiertną biografię?

- Wynająłem jego dom - powiedział Paul.
- Ho, ho - powiedział Bill. - Jest nawiedzony? - spytał Hugh.
- Jeszcze się nie wprowadziłem - zrobię to dzisiaj. - Paul wetknął korespondencję do teczki.
- Jak usłyszysz pan dźwięk tłuczonego szkła, to on - powiedział Hugh. - Uwielbiał tłuc szkło. Kopał je. Kiedyś kopnął szklane drzwi restauracji, pokaleczył się. Ciskał przedmiotami w okna.
- Wiem o tym - powiedział Paul.
- Wydaje mi się, że ci z góry teraz za bardzo nie chcą o tym mówić, bo dzięki niemu uniwersytet i miasteczko zyskały sławę. - Hugh zrobił pochmurną minę. - Ale niech pan porozmawia z jego sąsiadami - opowiedzą panu.
- Wydaje mi się, że Mary nie bardzo ma ochotę rozpowiadać o jego życiu...
- Oczywiście, że musiał być szaleńcem, żeby pisać tak dobrze - powiedział Hugh. - Czy ktoś widział kiedyś normalnego geniusza? Takiego co to chodzi na wywiadówki swoich dzieci, grabi podwórko...
Paul pożegnał się i pojechał do domu w ciepłym wiosennym słońcu. Nie musiał wkładać kurtki, gdy kursował pomiędzy swoim mieszkaniem i samochodem, załadowując pudła.
Gdy zaparkował przed domem Randal Eliota, na werandzie siedziała Mary i czekała na niego.
- Ten dom to naprawdę nic specjalnego - powiedziała. - Posprzątałam ci go, są dywany na podłogach, zasłonki w oknach, a w kuchni zostało wytarczająco dużo naczyń. - Otworzyła wielkie, wypaczone drzwi frontowe, podciągając je do góry jednym wy-trenowanym ruchem.
Paul zawahał się przez chwilę, gdy przekraczał próg. Dom Randal Eliota. - Nie chcę niczego zmieniać - powiedział stojąc w salonie. - Gdzie Randal pracował?
- W tym fotelu - powiedziała Mary wskazując mu sąsiedni pokój. - Prawie nigdy nie korzystał z biurka. - Fotel był starym meblem z odchylanym oparciem i z poręczami popękanymi tak, że gąbka wychodziła ze środka. Stał przodem do drzwi wejściowych
↑ do salonu.
- Sam środek parteru - zauważył Paul. - Sam środek domu! - Przejechał palcem po oparciu. - Nigdy nie ośmielię się w nim usiąść.

- Czuj się swobodnie - powiedziała Mary.
 - Pewnie w szóstkę nieraz przez te lata prowadziliście tu ciekawe rozmowy. - Paul spojrział na półki pokrywane jedną ścianę, a potem na wielkie okno, za którym widać było klon, dom sąsiadów i park po drugiej stronie ulicy. - Chciałbym być jedną ze stojących tutaj książek i się przysłuchiwać.
 - Lubił być sam - powiedziała Mary. - Rozmawialiśmy najczęściej w małym pokoiku na szczycie schodów.
 - Chodził tam i siadał razem z tobą i z dziećmi?
 - Nie. Miałam na myśli siebie i dzieci. To była moja pracownia. Dość mała, ale w tym pokoju na ogół pisałam na maszynie.
 - Nie tutaj na dole?
 - Nie. Moja maszyna do pisania była na górze. Paul potrząsnął głową.
 - To niesamowite, jak niewiele wiem o życiu Randała.
 - Jestem pewna, że ludzie o nim rozmawiają - stwierdziła Mary i spróbowała zamknąć drzwiczki od szafki, które ciągle się otwierały.
 - Rozmawiają o jego twórczości. Jest największym człowiekiem, jaki żył w tym mieście od niepamiętnych czasów, może nawet od zawsze.
- Mary otworzyła drzwi od jadalni i weszła do kuchni.
- Piec jest stary, ale dobrze piecze - rzekła. - Należał do mojej teściowej.
- Piec błyszczał przed Paulem.
- W czasach, gdy Randal mieszkał ze swoimi rodzicami? - spytał.
 - Tak. Miała go przez całe lata - odparła Mary.
 - Patrzył, jak matka z niego korzysta, gdy był dzieckiem - powiedział Paul, właściwie do siebie. - A potem miał go w swoim własnym domu. - Mary wyszła już z kuchni i wchodziła po małych, wąskich stopniach na drugie piętro, do pokoiku na szczycie schodów.
 - To była moja pracownia - rzekła.
- W kwadratowym pokoju o wymiarach trzy na trzy metry w jednym rogu stał wysoki kredens. Większość miejsca zajmowało staroświeckie dębowe biurko ze zniszczonymi uchwytyami szuflad i otoczone małą barierką.
- Nie ma zbyt dużo miejsca - powiedział Paul - żebyście mogli tu sobie w piątkę rozmawiać. - Odwrócił się już i szedł obejrzeć dużą sypialnię z przodu domu.

- Ale jest przytulny - rzekła Mary. - I mój własny.

Paul wszedł za Mary do pokoju na przodzie. Stało tam jedno łóżko.

- Sypialnia państwa domu?

- Tak. Pomyślałam sobie, że będziesz chciał spać w pokoju, z którego widać park - powiedziała Mary, wyjrzała przez trzy wysokie okna i zaczęła schodzić na dół.

- Pewnie ciężko jest ci tu wracać; musi ci go bardzo brakować - stwierdził Paul, schodząc za nią.

Mary nie odpowiedziała, tylko zajrzała do okopconego kominka i do pracowni Randala.

- Nie powinienem igrać z twoimi wspomnieniami - rzekł Paul. Mary otuliła twarz dużym kołnierzem kurtki, powiedziała, iż

ma nadzieję, że będzie mu tu wygodnie i pożegnała się. Patrzył, jak schodzi swym szybkim, energicznym krokiem po schodach podpartej filarami werandy. Nie obejrzała się ani razu.

Paul chodził po wszystkich pokojach domu Randala Eliota. Powietrze pachniało starością i kurzem; stare drewno, stare obicia mebli. Usiadł na krześle przy biurku w pracowni Randala Eliota, przyglądając się na wpół opustoszałym półkom i gąbce wychodzącej przez pęknięcia na fotelu.

Zaczął ustawiać swoje książki na półkach Randala Eliota, wieszać swoje ubrania w szafach Randala Eliota. Czasami łapał się na tym, że chodzi na palcach albo zatrzymuje się i nasłuchuje.

W końcu wyszedł i zamknął za sobą drzwi domu Randala Eliota. Gdy pojechał do Mary w porze kolacji, wiosenne światło wciąż zalewało jej ogród. Stała pośród poruszających się lekko mas tulipanów. Z obrzeży ścieżki zerkały żonkile. Powietrze przesączone było ciężkim zapachem hiacyntów.

- Mój nowy ogród! - zawołała do Paula, rozkładając szeroko ręce do światła, barw i wiosennego powietrza.

- Co byś powiedziała na posiłek na tarasie? - zasugerował Paul.

- „Gdyż kres już zimowych deszczów i zniszczeń” - Mary zacytowała Swinburne'a idąc wzdłuż krętej ścieżki ogrodu.

- „I pory wszelkiej burz i czynów grzesznych.”

- Tak - powiedziała Mary, minęła go z ciemnymi, szeroko otwartymi oczami i zatopiona w myślach weszła do garażu.

Paul zamknął za sobą drzwi do ogrodu; światło dnia zamieniło się w kilka jasnych pasm i rys w ciemnościach garażu, pachnącego

benzyną i torfem. - „Te dni dzielące kochanków od siebie to fiasko światła, to zwycięstwo nocy.”

- „A wspomnienie jest smutku zapomnieniem” - odezwała się Mary w ciemności, stojąc blisko niego obok drzwi kotłowni. Przez tę małą chwilę była na wyciągnięcie ręki, z zapachem hiacyntów unoszącym się nad trzymanym przez nią bukietem, tak intensywnym i świeżym jak przyjemność, którą odczuwał.

- Zapamiętujesz poezję jak ja - powiedział. Usłyszał jej cichy śmiech.

- Nie sądziłam, że jest jeszcze ktoś taki - powiedziała, wciąż stojąc w ciemności przy zamkniętych drzwiach, jakby również jej sprawiało to przyjemność. A potem weszła do środka, unosząc za sobą zapach hiacyntów.

- Zapamiętywałem całe tomy poezji przy orce czy bronowaniu - powiedział Paul, sięgając po wazon na kwiaty. - Przyczepiałem wiersz na traktorze i powtarzałem go sobie godzinami. Byłem odludkiem.

Wynieśli stolik na taras.

- W liceum nie chodziłam na randki - wspomniała Mary. - Nikt mnie nigdy nie podrywał.

- Ja byłem nieśmiały. Prosty chłopak ze wsi. Ale zawsze trzymaliśmy się blisko z siostrą. Poznasz ją, jak przyjedzie do miasta. - Wyniósł krzesło na taras.

Mary wyszła za nim, niosąc jeszcze jedno krzesło. Stała obok Paula patrząc, jak falują żółte żonkile.

- Mój tata sadił kwiaty rzędami - wspomniał Paul. - Taka farmerska moda. Traktował je jak łany zboża.

Mary powiedziała, że jej ojciec znał łacińską nazwę każdego kwiatu. Paul powiedział, że jego ojciec nie lubił powoju

- zbyt ciężko walczył z powojem na polach.

- Był niskiego wzrostu - wspominał Paul - ale głos miał potężny. Śpiewał w chlewie: „Czy nie wiesz, czy nie wiesz, co powinien zrobić chłop, gdy ma małą rodzinę, która tak na niego liczy...”

- Moja matka znała na pamięć całe poematy. Za jej czasów każde dziecko w rodzinie musiało umieć jakiś „kawalek”, którym popisywało się, gdy przyszli goście - powiedziała Mary. - Tak to kiedyś było w Ameryce.

Przynieśli na słoneczny taras obrus, talerze, sztućce i kieliszki do wina. „Rozmawiamy jak kochankowie - pomyślała Mary. - Wspólnie wspominamy przeszłość. No, nie bądź głupia.”

Paul zauważył, że Mary się uśmiecha. Gruby warkocz zsunął się jej na ucho. Przystanęła w ostatnich promieniach słońca, żeby upiąć go we właściwym miejscu. Był to pełen wdzięku gest.

Paul przyniósł butelkę wina.

- Są takie wiersze, które przypominają mi każdy szczegół z życia na farmie - powiedział. - „Gdy ogary wiosny ślady zimy tropią...” Mówię to i jestem znów na polu. Właśnie zgasilem silnik traktora i słyszę jedynie szum drutów wysokiego napięcia wzdłuż drogi... a może wiatr w wysokiej trawie... może widzę kuropatkę, która udaje, że ma złamane skrzydło i biegnie bruzdą przede mną.

Mary usiadła i patrzyła, jak Paul nalewa jej wino do kieliszka.

- Widziałam w Muzeum Brytyjskim pierwszą wersję tego wiersza, pisaną ręką Swinburne'a - powiedziała.

Paul przestał lać wino i spojrzał w jej uniesioną twarz.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić - powiedział. - Papier, pociągnięcia pióra... ten wiersz kiedyś wisiał tak pomiędzy jego piórem a czystą stronicą.

- I dotarł do ciebie na kukurydziane pola Nebraski. Paul uniósł brwi i dokończył nalewać wino.

- Byłem bardzo dziwnym dzieckiem farmerskim. Kończyłem dzień pracy z odciskami na dłoniach i z nowym wierszem w głowie.

Zapach chlewni... Hałas karmików dla świń... rozjeżdżone było za drzwiami...

- Ten świat już odszedł - powiedział Paul, nakładając Mary sałatkę na talerz. - Odszedł. Jak moi rodzice.

- Nic nie zostało?

Paul wzruszył ramionami.

- Jakiś farmer wynajmuje ziemię. Stary dom stoi pusty, zabity deskami.

- Nie byłeś szczęśliwy?

- Chodziłem do szkoły w miasteczku i byłem jednym z „wsio-ków” - powiedział Paul. - Byliśmy tam obcymi. Nie mogliśmy brać udziału w zabawach, ani być członkami drużyny futbolowej, bo po szkole czekała nas codzienna harówka i praca w weekendy.

- Obcymi... - powiedziała Mary. - A ja byłem jedną z nędza-rek, które nosiły ciągle te same ubrania, bo odkładałam na studia. Ale nigdy mi się to nie udało.

- Ja też oszczędzałem - powiedział Paul. - Oszczędzałem, jak tylko pamiętam. Oszczędzaliśmy. I w końcu moi starzy zdołali

wysłać mnie na uniwersytet do Wisconsin, a potem ja pomogłem ukończyć studia siostrze.

Słońce zaszło, gdy jedli kolację, ale rozmawiali dalej, aż zrobiło się zbyt zimno, żeby siedzieć na zewnątrz. Wnieśli meble do środka, zmyli naczynia, rozpalili ogień. Francuski zegar wybijał godziny. Zaczynali wiersze, kończyli wiersze, z wysiłkiem przypominali sobie wersy, wymieniali się wspomnieniami i refleksjami. Paul uwielbiał Emily Dickinson:

- „Jest takie ukośne światło, „W zimowe popołudnia." Dokończyli razem, siedząc w blasku ognia:

„Gdy gaśnie, jest jak obojętność „Na obliczu Śmierci."

- Na twarzy Randal'a też była taka „obojętność" - powiedziała Mary. - Gdy leżał w trumnie.

Milczeli przez chwilę, patrząc w ogień.

- Moja żona nie umarła - odezwał się Paul. - Nie mam pojęcia, jakie to uczucie. Ale mam wrażenie, że nigdy nie miałem żony.

- Nie utrzymujesz z nią kontaktu?

- Właściwie nie. Tylko co miesiąc posyłam pieniądze. Jest w domu opieki.

- Choroba?

- Uszkodzenie mózgu na skutek wypadku.

- To straszne! - Mary patrzyła na niego z przerażeniem.

- Poznaliśmy się na uniwersytecie. Miała zostać weterynarzem. Rzuciła szkołę i zaczęła pracować, kiedy robiłem doktorat.

- A potem skończyła studia?

- Miała taki zamiar... ale byliśmy tak młodzi. Młodzi zawsze wierzą, że wszystko się uda.

- Kochałeś ją?

- Tak. - Paul patrzył, jak języczki płomieni liżą sztuczne drwa. - Ale to było ciężkie życie... pracowała zawodowo i hodowała rasowe psy na sprzedaż. Aż kiedyś spadła ze schodów. Nie pamięta, jak to się stało. Nie ma z nią kontaktu...

- Co za nieszczęście! - Mary nie wiedziała, co innego powiedzieć w takiej sytuacji.

- Pomagam jej finansowo. Tyle tylko mogę zrobić - powiedział. Światło kominka oświetlało zmarszczki w kącikach jego oczu i gęste rzęsy.

Wszędzie chodzą razem - powiedziała Michele Wildner pewnego gorącego wieczoru, rzucając ukradkowe spojrzenia na Mary i Paula. Była nową wykładowczynią na wydziale Paula. Trzymała talerz na kolanach, siedząc na dziedzińcu wydziału sztuki. Paul i Mary postawili swoje talerze na stole i rozmawiali podczas jedzenia.

- Ona wygląda tak... pospolicie - powiedziała Deb Iyerson i zlizła serek śmietankowy z kawałka selera.

- Przed jej domem zawsze stoi jego samochód - zauważyła Susan Fink.

Harriet Thorman zaśmiała się:

- Może ona znowu chce się mieć kim opiekować?

- Założę się, że ma już tego dosyć. Randal szalał nawet w pracy. Ile to razy musiała go odwozić do szpitala - powiedziała Deb.

- Przyjemnie jest popatrzeć na Paula. - Michele jednym haustem wypila pół szklanki mrożonej herbaty.

- Mary ma wszystko, czego można zapragnąć - zauważyła Harriet. - Nie musi pracować... Dzieci wyjechały...

- Jest stara - stwierdziła Michele. - Spójrzcie na te jej włosy.

- Musi coś mieć interesującego - powiedziała Deb.

- Pieniądze Randal - stwierdziła Susan.

- Ma coś więcej. Paul chce napisać biografię Randal... - powiedziała Harriet. - Przyjeżdżają profesorowie ze Wschodu, z Zachodu, a ona nie chce z nimi rozmawiać.

- A więc o to mu chodzi - powiedziała Michele.
- Paul jest od niej dużo młodszy - rzekła Harriet. Patrzyły, jak Paul zostawił Mary przy stoliku i podszedł do bufetu. Jego jasne włosy w słońcu wydawały się jeszcze jaśniejsze; niebieskie oczy błyszczały intensywnie.
- Ładny - stwierdziła Michele, przyglądając się Paulowi spod zmrużonych powiek.
- Masz dopiero trzydziestkę - powiedziała Susan. - Staruszków zostaw dla nas.
- Nie jest stary - stwierdziła Michele. - Poza tym... Robiłam doktorat z Hemingwaya i piszę artykuł, w którym porównuję Randal'a Eliota z Hemingwayem.
- Od kiedy? - spytała Harriet.
- Od dzisiaj.

Harriet, Susan i Deb patrzyły, jak Michele, poruszając się z wdziękiem, podchodzi do bufetu. Paul rozmawiał z Billem Riversem, ale Harriet zauważyła, jak zerknął na zbliżającą się do niego kobietę w sukience w kolorze letniej zieleni. Gdy rozmawiała z Paulem, kołysała się na nogach, a jej brązowe włosy przesuwają się po gołych plecach. Do stolika, gdzie siedziała samotnie Mary, podeszła Nora.

- Wyglądasz na szczęśliwą.
- Jest fajnie - powiedziała Mary. Nora roześmiała się.
- Oczywiście!
- Po prostu wiele nas łączy, bo jest zafascynowany dziełami Randal'a. Zaczynamy rozmawiać o jakiejś postaci czy jakiejś scenie i zanim się obejrzymy, jest północ! - Mary miała zaróżowione policzki: Nora powiedziała jej, że ładnie wygląda. Mary patrzyła na Michele Wildner, która rozmawiała z Paulem przy bufecie.

Lato stawało się coraz bardziej gorące. Paul siedział na sek-wojowej ławce przed starym domem i patrzył na jego dach, komin i antenę telewizyjną. Mary powiedziała mu, że Randal sam zrobił tę ławkę, ułożył kamienie na patio i wyglądał na ogród z okna swojej pracowni. W starych pędach winorośli, z boku werandy, uwił sobie

gniazdo jakiś ptak. Paul słyszał, jak szeleszczą tam liście. W parku, po drugiej stronie i ulicy, dzieci bujały się na huśtawkach.

Trzasnęły drzwi. Paul zobaczył grubą kobietę znoszącą jakieś pudło z ganku sąsiedniego domu.

Patrzył, jak ładuje pudło do samochodu kombi i idzie na górę. Gdy wyszła ponownie z dwoma tekturowymi kartonami, Paul czekał na nią przy schodkach.

- Pomogę pani. Mieszkam obok. - Uśmiechnął się i wziął od niej pudełko. - Paul Anderson.

- Betty Jacobs - przedstawiła się kobieta. - Stara mieszkanka tej ulicy. - Otworzyła bagażnik, do którego Paul wstawił kartony.

- Czy coś jeszcze trzeba przenieść? - spytał Paul.

- Niestety tak - powiedziała Betty.

- Mogę pomóc - zaoferował się Paul.

- Chętnie skorzystam. Proszę wejść. - Betty przytrzymała mu drzwi. - Uprzedzam, że jest tu wielki bałagan.

Kursowali tam i z powrotem, przytrzymując sobie wzajemnie drzwi, od czasu do czasu zadając jakieś pytania. Betty powiedziała mu, że nastąpił u niej okres zmian.

- Zmieniam pracę, zmieniam męża, totalne zamieszanie - mówiła, przytrzymując Paulowi drzwi swoim potężnym zadem. Paul powiedział jej, że w jego życiu również zachodzą, właściwie już zaszły, podobne zmiany.

Wynajmowała górne piętro domu, żeby jakoś związać koniec z końcem. Paul powiedział jej, że wciąż czuje się tu jeszcze obco.

- Niech pan się napije - zaproponowała mu, gdy już załadowali samochód. Podała mu zimne piwo. - I proszę usiąść, jeśli znajdzie pan tu coś do siedzenia.

- Znała pani Eliotów? - zapytał Paul.

- Od dwudziestu lat - powiedziała Betty, dopijając piwo i zgniatając puszkę w silnej dłoni. Paul stwierdził, że wygląda na jakieś sześćdziesiąt lat. - Znałam ich bardzo dobrze. Mary przychodziła do mnie, żeby się przed nim ukryć, gdy się go bała.

- Bała się? - Paul spojrzał na Betty.

- Wrzeszczała na nią z podwórka... nie zważał, że ktoś może usłyszeć. Ciskał przedmiotami.

- Chyba wtedy, gdy miał zaburzenia psychiczne?

- Zawsze się tak zachowywał. Mary była bardzo dobrą matką... teraz dzieci zajmą się nią.

Paul wyrzwał przez okno jadalni Betty.

- Widać stąd pracownię Randala.

- Przesiadywał tam w fotelu... nic nie robił, tylko siedział. Czasami wstawał, nalewał sobie kolejną szklankę wina. Pamiętam, jak kiedyś czymś rzucił i stłukł szybę.

- Mary pisała dla niego na maszynie, podobno niekiedy całymi nocami. Czy jej dyktował?

- Siedział do późna, to fakt. Ale nigdy nie widziałam, żeby Mary pisała tam na maszynie. W ogóle rzadko do niego wchodziła. Nie chciał, żeby ktoś się tam pętał. Ale też i nikt się nie kwapił go odwiedzać.

- Mieszkam tutaj i nieraz sobie rozmyślam o Eliocie. Jest taki sławny - powiedział Paul.

- Nie żyje i to jest najważniejsze - powiedziała Betty. - Może jego książki są świetne, ale ja wiem, co było jego największym osiągnięciem.

- Co? - zainteresował się Paul.

- To, że wjechał w ten mur przy szybkości stu kilometrów na godzinę.

Tego wieczoru Paul usiadł w ciemności, w pracowni Randala. Przez pozbawione zasłon okna sąsiedniego domu widział, jak Betty chodzi po pokoju. „Mary przychodziła do mnie, żeby się schować, gdy się bała.”

Znajdował się w starym domu Randala, rozgrzanym i ciemnym, nie wyjawiającym swoich tajemnic, tak jak nie wyjawiał ich ojciec Randala, przykuty do fotela na kółkach. Czy pamiętał swojego syna, Randala? Paul zapytał o to staruszka. Ale Donald Eliot, siedząc bezwładnie w fotelu, mówił tylko o budynku Kongresu po drugiej stronie ulicy i o kimś, kto zmienił sobie nazwisko na Brogan.

Paul spacerował tam i z powrotem po domu Randala Eliota. Randal nie zainstalował klimatyzacji i trudno było wytrzymać z gorąca. W końcu Paul włączył dwa duże wentylatory: jeden w oknie sypialni z tyłu domu, drugi przed drzwiami do swojej sypialni.

Nie mógł spać. Zszedł po skrzypiących schodach, stawiając stopy bokiem na wąskich stopniach, przytrzymując się wytartej poręczy z pękniętą podpórką, którą ktoś owinał taśmą.

Księżyc rzucał wszędzie plamy światła. Paul szedł po tych księżycowych dywanach w wielkich, wysokich pokojach. Na pracownię Randal'a padł promień księżycy migoczący cieniami liści. Wszystkie drzwi na parterze były pootwierane i słychać było przez nie cykanie owadów i szum drzew.

Paul chodził tam i z powrotem. Jego maszyna stała teraz na biurku Randal'a obok stosów wywiadów z ludzimi, którzy znali Randal'a Eliota.

Próbował dotrzeć do nauczycieli dzieci Randal'a Eliota. Większość poumierła albo wyjechała, ale w mieście mieszkała panna Mildred Caldwell. Odnalazł jej dom, zapukał do drzwi i usłyszał, jak woła:

- Proszę!

Paul zastał ją w bujanym fotelu, otoczoną stertami gazet. Z jej kolan mrugał do niego wielki biały kot. Paul przedstawił się.

- Pracuję nad biografią Randal'a Eliota - powiedział. - Podobno uczyła pani w szkole podstawowej jego drugiego syna, Dona?

- Proszę spocząć - rzekła panna Caldwell. Paul usiadł na stosie gazet, gdyż nie zauważył nigdzie krzesła.

- W pierwszej klasie - powiedziała. - Śnił mi się prawie co noc.

- Randal Eliot?

Panna Caldwell spojrzała na Paula przez swoje okulary.

- Don. Był najsmutniejszym chłopcem, jakiego widziałam. Ten jego ojciec... chłopiec mówił o nim z takim smutnym spojrzeniem. Chwalił się, że jego ojciec urodził się w Nowym Jorku. Mówił o książkach swojego ojca, o tym, jaki jest sławny, a ja cały czas widziałam to jego smutne spojrzenie. Ojciec zmuszał go do najdziwniejszych, wariackich rzeczy. Don mi o tym opowiedział. - Poglaskała kota. - Inni chłopcy opowiadają, jak chodzą z tatusiami na mecze baseballowe albo na ryby.

- Do jakich rzeczy?

- Do darcia zdjęć swojego dziadka. Może pan sobie wyobrazić?

- Ojca Randal'a?

- Don powiedział, że było to w nocy. Ojciec kazał mu podrzeć zdjęcia, a potem zaprowadził go na cmentarz... w nocy! Ten mały chłopiec musiał wykopać dołek na grobie swojej babki i zakopać tam te wszystkie zdjęcia!

Siedzieli i patrzyli na kota, który zeskoczył na podłogę i ocierał się o dżinsy Paula.

- Okropne - powiedziała panna Caldwell. Kołysała się na niewielkim kawałku przestrzeni pomiędzy gazetami. - Dzięki Bogu, dzieci są odporne. Słyszałam, że Donowi się nieźle powodzi z jego interesem i że skończył studia. Odwiedził mnie kilka lat temu. A jego ojciec nie żyje. Skoro pracuje pan nad biografią Randal Eliota, to proszę napisać, iż według mnie Randal Eliot może i był pisarzem, ale ojciec to z niego był żaden. - Wzięła gazetę, rozpostarła ją zamasyście i zaczęła czytać.

- Dziękuję bardzo - powiedział Paul wstając.

- Czy może pan przynieść gazetę z ganku? - poprosiła panna Caldwell. - Ciężko mi się schylać.

Paul podniósł gazetę z wycieraczki i przyniósł ją jej.

- Dziękuję - powiedziała panna Caldwell, kładąc gazetę starannie na szczycie sterty obok fotela.

- Do widzenia - powiedział Paul.

- Był stuknięty - rzuciła panna Caldwell.

24

Jest wiaterek - powiedziała Hannah, gdy wydał się koc, który rozkładała w cieniu nad rzeką. Patrzyła, jak brat rozpakowuje koszyk. - No proszę, jakie jedzenie. Nic dziwnego, że się w tobie zakochała.

- Kto? - Paul przerwał otwieranie butelki wina.

- Mary, oczywiście. Gotować to ty potrafisz! - Uśmiechnęła się do niego. Płynące rzeką kajaki zrobiły falę, która chlupotała o brzeg. - Może ktoś powinien opowiedzieć jej, jak ciężko pracowałeś na farmie, żeby opłacić moje studia... całą tę historyjkę o ukochanej siostrzyczce? Zakochałeś się w niej. Kiedyś słyszałam tylko: „Randal, Randal, Randal.” Teraz słyszę: „Mary, Mary, Mary.”

- Jesteś zgorzkniałą romantyczką - stwierdził Paul, zmagając się nadal z korkiem.

- Cały czas na nią patrzysz - powiedziała Hannah. - A Mary, cóż... w ogóle jej nie obchodziłam. Patrzyła na ciebie nawet wtedy, gdy drapałeś się po uchu, i w ogóle nie słuchała, co mówię.

- Lubimy rozmawiać ze sobą - powiedział Paul, nie patrząc na Hannah. Udało mu się wyciągnąć korek. - Rozśmieszyła cię wczoraj. Czyż nie ma polotu? I mówi mądre rzeczy. Umysł najwyższej klasy! Po powrocie do domu zapisuję, co tylko mogę sobie przypomnieć; jest niezrównana, jeśli chodzi o twórczość Randała.

- Widzisz, co miałam na myśli? Mary, Mary, Mary! - Hannah roześmiała się i zlizwała sól spod długiego, czerwonego paznokcia.

- Randal, Randal, Randal! - powiedział Paul. - Rozmawiałem z kilku jego sąsiadami. Wypytywałem o niego pracowników wydziału.

Hannah uważnie przyglądała się bratu.

- Masz taką minę, jakby nie podobało ci się to, czego się dowiedziałeś.

- Po prostu nie miałem o tym pojęcia. Podziwiałem jego powieści. Wprowadziłem się do jego domu.

- I co, był prawdziwym skurwielem? - Hannah przyglądała się, jak Paul nalewa wino. - Jego psychiatra pewnie nie chciał powiedzieć.

- Niewiele. Powiedział, że tuż przed śmiercią Randal był w klinice psychiatrycznej w Londynie. Rozchorował się i Mary musiała go tam umieścić.

- Zajmowała się psychicznie chorym w obcym kraju. Ale miała udane wakacje - powiedziała Hannah.

- Pewnie tak. Ale Parker twierdzi, że pisał nawet w Londynie. I tu dowiedziałem się czegoś wspaniałego. Randal powiedział mi, że skończył swoją nową książkę, zatytułowaną *Gospodarz*.

- Nową książkę? - Hannah spojrzała na brata. - Gdzie ona jest?

- Nie wiem. - Paul bawił się widelcem do sałatki. - Może Mary wciąż jeszcze ją przepisuje na maszynie. Ciągle przesiaduje na górze w swojej pracowni.

- Przez cały czas? - zdziwiła się Hannah.

- Podobno zaczyna o szóstej rano i pracuje bez przerwy do kolacji - powiedział Paul, wyciągając się na kocu.

- I nie chce o nim rozmawiać?

- I nie chce o nim rozmawiać. - Paul wpatrywał się w niebo pełne obłoków, jak na obrazkach w książkach. - Ale udostępniła mi jego notatki do wykładów na uczelni.

- Domyślam się, że są świetne - rzekła Hannah.

- Nie - odpowiedział Paul krótko. - Nudne. Albo jeszcze gorzej. Wszystko przepisywał, nawet przykłady, z książki, której też używałem.

- Tak to i ja bym potrafiła!

- Każdy by potrafił - stwierdził Paul. - Ale jego studenci mówią, że był fantastyczny, widziałem ich notatki z zajęć. Coś niesamowitego... nadawał temu wszystkiemu skrzydła... był prawdziwie złotousty.

Hannah oblizwała inny paznokieć.

- Jeśli ona ma jeszcze jedną jego książkę, sporo na niej zarobi. Pewnie dlatego tak ciężko pracuje - odezwała się po chwili.

- Tak przypuszczam - Paul zmrużył oczy przed słońcem połyskującym na rzece.

- Odbicie sławy - powiedziała Hannah. - Służebnica słynnego pisarza. Widzisz, że doskonale nadaje się na żonę - uprawia ogród... rozmawia przez płot z sąsiadami... pokazała nam albumy ze zdjęciami, które zbiera dla dzieci...

Paul spojrział na Hannah z ukosa swymi niebieskimi oczami.

- Randal był dziwakiem. Ale Mary potrafi przeanalizować jego dzieła - słowo po słowie. Jest w tym doskonała. Mogłaby być profesorem. Jest wystarczająco bystra.

- Lubię ją, mimo że nawet mnie nie zauważa, gdy ty jesteś obok. - Hannah obierała mięso z kości. - Dobrze ci się mieszka w tym starym domu?

- Nie tak dobrze jak dawniej - powiedział Paul. - Wiem teraz trochę, co się w nim działo. - Usiadł i wyrywał żdźbła trawy przy brzegu koca.

- A co z innymi potencjalnymi biografami, którzy ciągle ją odwiedzają?

- Mówi im, że Randal nie zostawił żadnych dokumentów i że nie chce o nim rozmawiać.

- Ożeń się z nią! Tobie nie odmówi, będzie chciała, żebyś został sławny jak Randal. I miałbyś parę dolarów, żeby zainwestować w firmę swojej siostry - roześmiała się Hannah. - Pomyśl tylko -nie robiłabym kawy swojemu szefowi i nie musiałabym jechać do chlewni w West Farm Gate, żeby przeprowadzić wywiad z nagrodzoną w konkursie świnia.

Paul patrzył, jak płynie rzeka, rozbłyskując słońcem.

- Teraz zapraszają ją na wykłady do Nowego Jorku... Los Angeles... Bostonu. Doskonale by sobie z tym poradziła. Jest niesamowita, gdy mówi o książkach Randala. Ale nie chce jechać.

- Na pewno dlatego, że wie, iż nie jest piękna. Musi ściąć te swoje włosy, uczesać się modnie, użyć tuszu i kredki do oczu...

Paul szarpał żdźbła trawy.

Hannah wrzuciła puste pudełko do kosza.

- Porozmawiam z nią. Wyglądałaby o kilka lat młodziej. W zeszłym tygodniu widziałam ją w telewizji. Zadawali jej ciągle te same pytania o ten trans Randała. - Westchnęła, zagryzła wargę i powiedziała cicho: -Martwię się o ciebie, braciszku. Z tymi pieniędzmi to tylko takie żarty. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chcę, żebyś się ustatkował.

Paul ścisnął trawę w garści i odrzucił ją. Na dłoni pozostał zapach intensywnej zieleni.

Hannah podjęła zdecydowane działania. Miała być w mieście tylko przez tydzień. Na drugi dzień zadzwoniła do Mary i zabrała ją na obiad, a następnie do salonu fryzjerskiego.

- Potem - oznajmiła - pójdziemy do salonu od makijażu. Mary śmiała się z tego, ale poszła z Hannah. Powiedziała, że jej

córka, Beth, od dawna ją do tego namawiała.

- Będiesz piękna - powiedziała Hannah. - Jesteś znaną osobistością, występujesz w telewizji, udzielasz wywiadów, powinnaś wyglądać światowo.

- Może masz rację - powiedziała Mary, siadając na niklo-wo-różowym fotelu.

Najpierw pomocnik fryzjera opatulił Mary różową pelerynką, potem pojawił się sam mistrz. Obszedł Mary kilka razy dookoła, uniósł nożyce i zaatakował długie włosy Mary, jakby zabijał jadowitego węża. Wkrótce wąż leżał martwy na podłodze, w czar-no-srebrnych splotach.

Resztki włosów Mary najpierw zostały płasko przyczesane do głowy, następnie zakręcone, wysuszone, rozczesane gwałtownymi ruchami, wymuskane, aż w końcu mistrz oznajmił:

- Młodziejowo, na krótko, seksownie podkrecone! - i wręczył Mary lusterko.

Mary przyjrzała się sobie ze wszystkich stron i jęknęła.

- Myśli pani, że zbyt rozłożyste? - Mistrz przyklepał dłońmi głowę Mary. - Troszkę spłaszczymy. Trochę bardziej seksy.

- Niech będzie - powiedziała Mary, obserwując go w lusterku. -Tak już lepiej.

Spowiała ją chmura lakieru do włosów. Mary przeszła na drugą stronę salonu, gdzie zapłaciła rachunek i zostawiła napiwek. Czuli się półnaga i miała zaskakująco lekką głowę.

- Nosiłam te włosy przez pół życia - powiedziała do Hannah.

- Wyglądasz pięknie - stwierdziła Hannah. - Jeszcze tylko makijaż. Zaraz się tym zajmiemy.

- Ile zachodu - rzekła Mary, patrząc na długie palety z kolorami, które mieszała młoda kosmetyczka. Jej twarz wyglądała jak bardzo gładkie, białe jajko, pomalowane na Wielkanoc pastelowymi akwarelami; szczególną uwagę zwracały tęcze oczy.

- Ile czasu zabiera pani rano nałożenie tego wszystkiego na twarz? - spytała ją Mary.

- Tylko pół godziny - powiedziała kosmetyczka, niestrudzenie żując gumę i przeróżnymi pędzelkami i wacikami pracując nad twarzą Mary.

W końcu pozwolono Mary się przejrzeć. W pierwszej chwili rozpoznała jedynie swoje zdziwione oczy, spoglądające spod gęstych frędzli rzęs. Lekko różowe usta zdawały się nie mieć nic wspólnego z tymi ciemnymi, tajemniczymi oczami, ani z unoszącą się i opadającą błyszczącą czupryną.

Mary musiała zmyć makijaż i znów go nałożyć. Wymagało to pewnych umiejętności. W końcu zdała egzamin i wyszła z ekstrawagancką torbą pełną kosmetyków, które kosztowały majątek, z niedowierzaniem spoglądając w każde mijane lustro.

- Wyglądasz na osobę w moim wieku - piała z zachwytu Hannah.

- Jeśli masz czterdzieści osiem lat - zgodziła się Mary. - Gdzie ja będę trzymała zawartość tej wielkiej torby? -

Zastanowiła się przez chwilę. - Moja teściowa miała toaletkę z lustrzanym blatem i z pasującym do niej taborettem - będzie w niej pełno miejsca na te farby i pudry. Podjedźmy do Paula, poszukam jej na strychu.

Paul otworzył im drzwi.

- No i co? - spytała go Hannah. - Jak ci się podoba?

Paul się nie odezwał, ale Mary uśmiechnęła się do niego błyszczącymi, tajemniczymi oczami i spytała, czy nie miałby nic przeciwko temu, gdyby poszperała przez chwilę na strychu. Usłyszał jej szybkie kroki na wąskich schodach.

- No i co?

157

- Ładnie - odrzekł.

- Seksownie - powiedziała Hannah.

- Ale tam gorąco! - rzekła Mary, schodząc z powrotem na dół. - Znalazłam stolik i taboret, ale pod dachem jest chyba z sześćdziesiąt stopni.

- Pomożemy - zaofiarowała się Hannah. Paul poszedł przodem, wytarł stolik i taboret starym papierem i podał meble na dół, gdzie czekały dwie pary wyciągniętych rąk.

- Mogę je wsadzić do mojego samochodu, jeśli od razu chcesz je zabrać do domu - powiedział Paul.

Hannah i Mary pojechały za nim rozgrzanymi ulicami i w trójkę wnieśli stolik i taboret do korytarza na piętrze. Paul i Hannah rozejrzeli się.

- Ten dom jest większy, niż się wydaje - zauważyła Hannah. Nowe piękne oczy Mary rzucały w ich stronę wesołe błyski.

- Mam sypialnie dla każdego z moich dzieci, a dla siebie cały apartament - powiedziała. - I pracownię - dodała. Zauważyli długi pokój z zielonym bluszczem wiszącym pod świetlikami i maszyną do pisania otoczoną stosami papierów.

- Ta część domu została dobudowana później - rzekła, a jej krótkie włosy zafalowały na policzku, gdy się odwróciła w końcu korytarza. - To był apartament nowożeńców - sypialnia, garderoba, nawet wanna z hydromasażem. Weszli do garderoby, w której stała kremowo-złota umywalka, ściany zabudowane były szafami.

- O, tutaj - zawołała. - Toaletka powinna stać właśnie tutaj. - Ustawili ją tak, jak chciała. Kawałek ściany między szafami a rzędem okien był akurat wystarczająco szeroki.

Paul wsunął taboret pod toaletkę i wyjrzał przez okno. Na dole znajdował się podjazd otoczony wysokimi, wiecznie zielonymi krzewami, a za wąską drogą widać było zadrzewioną skarpe. Odwrócił się i zobaczył łóżko przykryte narzutą z ałtasu, półkę z książkami, biurko i kominek z polnych kamieni z różnych regionów kraju. Bardzo mu się podobał.

Mary też zwróciła nań szczególną uwagę, gdy oglądała dom po raz pierwszy.

Mary widziała jak Paul, stojąc obok jej łóżka, dotknął ręką ałtasowej narzuty.

Nastała pełnia gorącego lata. Mary ścięła kwiaty na półkolistym klombie przed oknami salonu i posadziła niecierpki, które wprost rosły w oczach; feerie szkarłatu, różu, bieli. Kupiła do okrągłego ogrodu w ogrodzie dwie wiktoriańskie ławki i parę kamiennych pater na wodę, w kształcie muszli, zwieńczonych małą figurą nagiej dziewczyny.

Kardynały piły z nich wodę, pod wieczór krażyły nad nimi zmierzchnice.

Na tarasie Paul ustawił do kolacji stół ze szklanym blatem. Powiedział, że pod koniec dnia ma już dosyć mówienia. Gotowanie go odprężyło, a jej oszczędzało czas.

- Ładnie to rozplanowałaś - powiedział, wyciągając się na jej kanapie w białych szortach i koszuli, uśmiechając się swoim uwodzicielskim uśmiechem.

Mary, pogrążona w świecie swojej najnowszej książki, często przychodziła na kolację z trochę nieobecny wzrokiem, tępo wpatrując się w kieliszek wina, w kwiaty, w gołe nogi Paula, gdy wchodził i wychodził z kuchni. Czując spojrzenie Paula, Mary powoli dochodziła do siebie po całym dniu zmagania się ze słowami, żeby przekazać to, co ma do przekazania, bez mówienia tego wprost, zmęczona tymi językowymi niuansami, śledzeniem niewidzialnej nici ciągnącej się przez ciemny labirynt.

Czasami Paul czytał Mary swój nowy esej o powieściach Randała.

Mary uśmiechała się, rozpoznając swoje własne analizy swoich własnych dzieł. Paul odwzajemniał uśmiech zadowolony, że podoba jej się to, co ma do przekazania, z ochotą czytając swoje wymuskane zdania w świetle świec, które skakało na tle pogrążonego w mroku ogrodu.

Mary myślała, jak łatwy jest taki rodzaj pisania - taki prosty, taki wtórny. Było to tylko pisanie o pisaniu; opierało się na twardej opoce jej słów, jej powieści, jej sztuki.

Mary siedziała przy toalecie i patrzyła w lustro na kobietę, która mogła mieć najwyżej... czterdzieści dwa lata? Odwróciła lekko głowę i w jej czarnych włosach zabłysło wyraźne srebrne pasemko. Jej oczy lśniły spod długich, ciemnych rzęs. Pisarka lat osiemdziesiątych. Głos pokolenia. Przyszła laureatka Nagrody Pulitzera. Na tyle młoda, że stworzy jeszcze wiele książek.

Zdecydowała, że włoży jasnoniebieską sukienkę i jasnoniebieski płaszcz. Spryskała się nowymi perfumami, ubrała się, spojrziała w lustrze na Mary Quinn, słynną powieściopisarkę, i pojechała do Nory Gilden.

- O Boże! - wykrzyknęła Nora, gdy otworzyła drzwi. Mary stała z uśmiechem na ustach.

- Nie wierzę. Co się stało? - dopytywała się Nora. - Wchodź i opowiadaj. Nie, wchodź i pokaż się ze wszystkich stron!

Mary okręciła się dookoła, zdjęła płaszcz i usiadła.

- Nieźle! - stwierdziła Nora.

- Podoba ci się?

- Mowę mi odebrało!

- Jakie było twoje pierwsze wrażenie? - dopytywała się Mary. Nora zmarszczyła czoło z namysłem.

- Że masz minę, jakbyś przepraszała, że jesteś szczęśliwa.

- Bo jestem - stwierdziła Mary.

Ledwie to powiedziała, do pokoju weszła mała staruszka, ciągnąca ze sobą bujany fotel.

- Prababcia! - powiedziała Nora i poszła jej pomóc. Starsza pani machnęła wysuszoną dłonią, że nie potrzebuje pomocy, ustawiła fotel koło Mary i usiadła.

- Ma pani pomalowaną twarz - odezwała się do Mary.

- Prababciu, to jest Mary Eliot - przedstawiła ją Nora. - Prababcia przyjechała w odwiedziny z Północnej Karoliny. Ale jesteś ładna. Ubyło ci z dziesięć lat.

Mary powiedziała, że miło jej poznać „Prababcię”. Prababcia uśmiechnęła się, pokazując bardzo białe, sztuczne zęby, i zakołysała się w fotelu.

- Pamiętasz siostrę Paula? - zapytała Mary Norę. - Hannah Anderson? Uznała, że muszę szalowo wylądować do telewizji.

- Ma rację! - potwierdziła Nora. - Jesteś znaną osobistością.

- I pomogła mi kupić parę nowych ciuchów.

- To ładnie z jej strony - powiedziała Nora, popatrzyła z uwagą na Mary i roześmiała się. Weszła gospoia i oznajmiła, że lunch jest gotowy. Prababcia nie ruszyła się z miejsca; chyba zasnęła.

- Prababcia jest tak stara, że sama nie pamięta, ile ma lat. Całe życie mieszkała w domu bez bieżącej wody, w górach, gdzie sama musiała rąbać drwa - powiedziała Nora, gdy odeszły na tyle daleko, że staruszka nie mogła ich usłyszeć. - Gdy byłam w Północnej Karolinie kilka miesięcy temu, zaprosiłam krewnych, żeby mnie kiedyś odwiedzili, jak to jest w zwyczaju na Południu. - Westchnęła. - Prababcia zapragnęła przyjechać, więc kupiłam jej bilet na samolot.

- Jezu! - wykrzyknęła Mary. - Skąd to masz? - Na jednej ze ścian w jadalni wisiał niebiesko-biały kilim: niebieska wełna i biała bawełna. Suta, gruba tkanina zdawała się przybliżać i oddalać, gdy się na nią patrzyło. Przed oczami wyrastały koła niebieskich pajęczyn i nagle oddaliły się, gdy wzrok pochwycił delikatne pionowe wzory, romby... kwadraty... niebieskie płaszczyzny... białe paski... owale... płatki śniegu i wszechobecne koronki i kółka.

- Ten wzór ma setki lat - powiedziała Nora. - Są to tak zwane „podwójne koła rydwanu”. Prababcia przywiozła mi ten kilim w prezencie - sama utkała.

Mary dotknęła szorstkiej tkaniny.

- Wyobrażasz sobie, jak trudno było zachować harmonię głównego wzoru i wzorów dodatkowych? - Nie mogła oderwać oczu od kilimu, nawet gdy siadała do stołu.

- No więc - powiedziała Nora, sadwiąc się na krzesło - Hannah stwierdziła, że powinnaś wyglądać szalowo. Mary uśmiechnęła się, rozkładając serwetkę na kolanach.

- Chce, żeby jej brat się ze mną ożenił. Tak mi się wydaje.

- A co on na to?

- On myśli tylko o biografii Randala. Hannah pewnie przekonuje go, że powinien się ze mną ożenić, a wtedy, jak by to określić, nabierze praw do biografii przez zasiedlenie. - Oczy Mary skryły się pod długimi rzęsami.

- A co z jego pierwszą żoną?

- Dowiedziałam się, że się pobrali, jak byli bardzo młodzi, utrzymywała go, gdy kończył studia, hodowała psy rasowe na sprzedaż. Nie cierpiał tego, że psy włóczą się po całym domu. Potem miała okropny wypadek - spadła ze schodów i doznała urazu mózgu. Nie pamięta, nie mówi... Paul umieścił ją w domu opieki koło Bostonu. Podobno była bardzo inteligentna, ładna, blondynka.

Zamilkły, myśląc o tej kalekiej młodej kobiecie, trzymanej w zamknięciu. W końcu Nora się odezwała:

- Chcesz go?

Dwadzieścia dziewięć lat spędzonych u boku Randala... słoneczna wolność jej domu... własne pieniądze w portfelu... książki z własnym nazwiskiem... asystentura na prowincjonalnym uniwersytecie...

- Nie mam na to czasu - odrzekła Mary.

- Na co?

- Żeby się zastanawiać, jaką bieliznę mam na sobie - odparła Mary, a Nora parsknęła śmiechem. - Żeby myśleć, co powiedział wczoraj wieczorem, a czego nie powiedział, czy moje włosy ładnie pachną, czy łóżko jest równo zasłane, co przygotować na śniadanie, kiedy wyjdzie, żebym mogła trochę popracować, dlaczego składa gazety w odwrotną stronę, dlaczego dziś rano jest jakiś taki nieobecny, czy muszę zaprosić dziś jego przyjaciół na obiad, czy choć raz mógłby zrobić zakupy, kto za to zapłaci, czy mogę mu powiedzieć, że jego eseje są do niczego, teraz gdy jesteśmy... Poza tym on ma zaledwie czterdzieści lat. Za młody dla mnie. Mam zmarszczki. Mam fałdy na brzuchu. Jestem gorsza pod każdym względem. Jeśli za kogoś wyjdę, to wybiorę sobie kogoś

starego i bogatego, komu będzie się wydawało, że jestem bardzo młoda; kogoś, kto przez cały dzień będzie czytał doniesienia z giełdy i będzie cieszył się moim młodocianym towarzystwem przy kolacji. - Mary przerwała, żeby złapać oddech, uśmiechnęła się do Nory.

- Wyglądasz w tej sukience jak z obrazka - powiedziała Nora.

- Jestem szczęśliwa - rzekła Mary. - A Paul jest zainteresowany wyłącznie Randalem. Nawet by na mnie nie spojrzął, gdybym nie była wdową po Randalu. Widzi we mnie tylko kobietę, która żyła z Randalem. - Pochyliła się nad stołem. - Ale mimo to jestem szczęśliwa.

- To świetnie - powiedziała Nora.

- Prawie co wieczór przygotowuje u mnie w domu wspaniałą kolację, albo wychodzimy do restauracji. Rozmawiamy bez końca. Uwielbiam to! Odnosi się do mnie z pewnym... szacunkiem. Pewnie dlatego, że jestem wdową po Randalu.

- Mhm - powiedziała Nora. - Nie spieszy się. Mądry facet. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Na ogół rzucają się na kobietę już na drugiej randce, nawet gdyby trzeszczała ze starości. Idioci. Początki są najlepsze, wierz mi. Postaraj się, żeby trwały jak najdłużej.

„Postaraj się, żeby trwały jak najdłużej.”

Mary siedziała u boku Paula na spektaklach, koncertach. Ich ramiona stykały się w ciemności, pochylał się do niej i szeptał jej do ucha.

Nie spieszy się. Mary kupiła pantofle na wysokim obcasie. Znalazła naszyjnik pasujący do głęboko wyciętego dekoltu bluzki i kolczyki do nowo przekłutych uszu. Żałowała, że nie ma pieniędzy na prawdziwie eleganckie stroje. Pieniądze. Trzeba było co miesiąc dawać pieniądze ojcu Randalu i ciotce Violi. Beth i Jay oboje pracowali, ale nauka na uniwersytecie i książki były bardzo drogie. Czynyś płacony przez Paula zaledwie wystarczał na żywność. Koniecznie musiała sprzedać stary dom, ale nikt nie był nim zainteresowany, nikt nawet nie przyszedł go obejrzeć. Poza tym Randal pozostawił długi, o których nic nie wiedziała. Teraz monity napływały do skrzynki; koperty

z plastikowymi okienkami, za którymi komputerowym drukiem było napisane „Randal Eliot”.
Gospodarz. To będzie pierwsza książka z jej nazwiskiem na okładce. Powinna ją wysłać do George'a Blumberga - jego słowa codziennie kołatały jej się po głowie: „Powiedz Randalowi, żeby jak najszybciej skończył nową książkę. Przyniesie mu majątek.”

Ale miała to być jej pierwsza książka. Najlepsza ze wszystkich napisanych do tej pory. *Gospodarz*. Pracowała więc nad nią, pracowała i pracowała, a Paul był jej coraz bliższy. Opowiedział jej o ciężkich czasach, gdy mieszkał sam na farmie po śmierci rodziców. Ona opowiedziała mu, jak jej matka zmarła na raka i jak jej ojciec nie chciał już dłużej żyć, ale częściej słuchała wspomnień Paula. Widziała, jak smutek pojawia się na jego przystojnej twarzy, gdy opisywał życie na farmie, uzależnione od pór roku i od pogody. Z braku pieniędzy bardzo późno zaczął robić doktorat.

- Żałuję, że nie byłem lepszy dla Sandry - powiedział. - Gdy wypiję, jestem porywczy. - Wzruszył ramionami. - Ale jest pod opieką. Wysyłam jej pieniądze.

- Rzadko się z nią widzisz?

- Prawie wcale - powiedział Paul.

Krok po kroku, rozmawiając przy blasku ognia, w słońcu ogrodu lub przy księżycu spokojnych nocy nad rzeką, poznawali historie swojego życia. Mary mogła mu opowiedzieć o swoim życiu, ale wiedziała, jak jest zafascynowany Randallem. Była wdową po Randalu Eliocie. Gdy ją po raz pierwszy pocałował, czuła ten szacunek w dotyku jego ust, w sposobie, w jaki ją przytulał.

Zapomniała już, jak pocałunek mężczyzny odmienił wszystko w jej życiu. Gdy połączyły się ich usta, weszła w inny świat i nie miała możliwości powrotu.

Nie powinna była się z nim całować. Wyzywała się od najgorszych, gdy została sama w domu. Gdy spotkali się ponownie, jak dawniej próbowali rozmawiać o książkach... książkach Mary... Te rozmowy tak cenne, rzadkie, pożyteczne...

Starła się nie tracić głowy. Starła się za dużo na niego nie patrzeć. Siedziała na przeciwległym krańcu kanapy.

Paul był wysoki, ciepły, silny i mówił takim spokojnym, intymnym głosem, który słyszała u niego po raz pierwszy.

Mary nagle

poczuła, jak pulsuje jej ciało, znowu budzące się do życia ciało kobiety...

- Mary Quinn - powiedziała do szerokiego, jasnego lustra w sypialni. - Pamiętaj o pieniądzach, o twoim własnym domu, o twojej własnej książce.

Ale w lustrze widziała potarganą, bezsilną kobietę, która wbiegła na górę, patrzyła na swoje gładko posłane łóżko i słuchała warkotu odjeżdżającego samochodu Paula Andersona.

„Postaraj się, żeby trwały jak najdłużej” - pomyślała do siebie Mary, nakładając makijaż przy toalecie.

- Sprzedaj swoją pierwszą książkę - powiedziała do kobiety w lustrze. - Na co czekasz?

Pędzelek do tuszu obsunął jej się i trafił w oko. Zabolało, jak brak pieniędzy.

Gdy zamrugała powiekami, tusz rozmazał jej się na rzęsach. Musiała wszystko zmyć i zacząć od początku. Trzeba zdobyć pieniądze.

Mleczko do zmywania makijażu szczypało ją w oczy; nic nie widziała. Zmrużyła oczy w stronę niewidzialnej twarzy w lustrze. Gdzie się podziała ta pisarka lat osiemdziesiątych, głos pokolenia?

- Jest tutaj - powiedziała Mary na głos, wycierając oczy. Na nowych książkach znajdzie się jej nazwisko. Paul niech sobie pisze o tych dawniejszych.

Mary podniosła głowę, spojrzała na siebie i ponownie zaczęła malować oczy.

- Skoro spodobały ci się moje książki... - powiedziała na głos, myśląc o Paulu i muskając końce rzęs pędzelkiem do tuszu - ...to pokochasz też mnie.

Jej umalowana twarz uśmiechnęła się z lustra.

Mary usłyszała, jak Paul puka do drzwi.

Zeszła na dół po pokrytych dywanem schodach, z uśmiechem przyjęła komplementy Paula i pocałowała go z zamkniętymi oczami, czując jego ciało poprzez letnie ubranie.

Przyjemnie było myśleć o mających nastąpić pocałunkach i pieszczotach, gdy przechodziła, stukając obcasami, przez drzwi restauracji.

Przyjemnie było siedzieć z Paulem w blasku świec i uśmiechać się ponad kartą do jego niebieskich oczu.

Paul nalał jej jeszcze jeden kieliszek wina, zamknął kartę, położył przed sobą na stole i powiedział:

- Później chciałbym porozmawiać o moim eseju. Zatytułuję go: *Maniakalno-depresyjne Południe w „Dzielnicach” Randal Eliota.*

Wino przytępiło u Mary wspomnienie całodziennych zmaganiań ze słowami, świadomość braku pieniędzy. Była kobietą w delikatnie różowej sukience, a gdy się poruszała, wyczuwała zapach swoich perfum. Mężczyzna po drugiej stronie stołu miał dołek na podbródku, niebieskie oczy, usta, które...

- Słucham? - drgnęła Mary, a na jej oświetlonej świecami twarzy rozbłysły szeroko otwarte, zdziwione oczy.

- *Maniakalno-depresyjne Południe w „Dzielnicach” Randal Eliota* - powtórzył Paul. - Nigdy wcześniej nie wpadłem na pomysł napisania takiego eseju.

Przyszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienia, zabrała karty i Mary nie mogła schować się za błyszczącą okładką menu.

- Rozmawiałem z ludźmi, którzy znali Randal - pełno ich dookoła - oświadczył Paul.

Mary siedziała bez słowa.

- Robiłem notatki dotyczące jego dzieł. Teraz mam wrażenie, że powinienem zająć się jego życiem.

Mary odwróciła wzrok w stronę rzeki, która płynęła za oknami restauracji. Świeczka na stole oświetlała jej różową sukienkę tak, że padał różowy odblask na twarz i szyję.

- Był geniuszem - powiedział Paul. - I był bardzo niezrównoważonym człowiekiem. - Powiedział to nieco głośniej, niż zamierzał. - Jeśli mam wykonać rzetelną pracę, muszę wiedzieć o nim wszystko. Po to, żeby móc wszystko zsumować i nie popełnić żadnych błędów.

- Wydaje mi się... - powiedziała Mary i urwała. Dłonie zacisnęła w pięści i oparła je złączone razem na obrusie przed sobą. - Potrafisz doskonale oceniać jego twórczość, o czym zdążyłam się już przekonać. Czy nie możesz pozostać tylko przy tym?

- Owszem, ale...

- Iluż to ludzi czyta biografie sławnych pisarzy, ani razu nie zaglądając do ich dzieł. Iluż ludzi dowie się, że Randal Eliot cierpiał

na depresję maniacką i utrzymywał, że pisze swoje książki w „transie”. Ich poznanie twórczości Randalą ograniczy się zaledwie do tego - powiedziała Mary bezbarwnym tonem.

- Z całą pewnością nie! - zaoponował Paul energicznie. - W ten sposób stworzę szkielet, strukturę, na której będzie można oprzeć zrozumienie twórczości Randalą.

Mary wpatrywała się w niego z poważną twarzą.

- Przez całe wieki nikomu nie przyszło do głowy, żeby dzieła pisarza wiązać z jego życiem. Ludzie pisali biografie królów, polityków, generałów, ale biografia kompozytora? Pisarza? Malarza, rzeźbiarza czy architekta? Obrazy, dzieła literackie, posagi, symfonie i budowle same mówiły za siebie.

Paul milczał.

Oczy Mary błyszczały przed nim w świetle świec.

Poszli do kina, a potem rozmawiali przy kawie. Nie wspominali o Randalu Eliocie.

Pocałowali się na dobranoc przed drzwiami Mary. Poszła na górę, otworzyła egzemplarz *Dzielnicy* i przewracała stronę po stronie, powracając do świata niewolniczej społeczności Południowej Karoliny, który kosztował ją tyle pudełek notatek, tyle nocy pracy, gdy cała rodzina była pogrążona we śnie.

Maniakalno-depresyjne Południe u Randalą Eliota.

Mary, siedząc w świetle lampy w swojej pracowni, otworzyła szufladę i spojrzała na rękopis. *Gospodarz*, powieść Mary Quinn. Obok leżała następna powieść podpisana jej nazwiskiem - *W kręgu modlitwy*.

26

Wiesz, że Randal czasami wariował. Żyłas z nim - powiedział Paul. Mary leżała w jego ramionach pod rozgwieżdżonym niebem, a wokół nich roztaczał się zapach ogrodu. Mary milczała.

- Nie chcesz mi nic powiedzieć - powiedział Paul. - Nie chcesz mi pomóc. Dlaczego nie możemy porozmawiać o chorobie Randala? Masz wspaniałą intuicję... wiesz, ile ci zawdzięczam...

- Skup się na jego twórczości - krzyknęła Mary i usiadła, wyzwalając się z objęć Paula.

- Chcesz go chronić. Rozumiem, to jest naturalne. Jesteś mu równie oddana jak ja.

- Jestem oddana jego twórczości! - krzyknęła Mary.

- Ale nie możesz udawać, że był człowiekiem bez skazy. Nie można tego pominąć, jeśli chce się zrozumieć jego twórczość!

- Nie! - Mary zerwała się, przesłaniając Paulowi gwiaździste niebo. - Prawie nic nie wiemy o życiu wielkich greckich pisarzy. Piszemy o ich twórczości! Być może matka Szekspira poślubiła jego wuja - czy to wyjaśnia *Hamleta!*

Paul również się podniósł. Na trawie pomiędzy nimi leżał koc.

- Ty znałaś Randala. Jeśli mi nie pomożesz, jakże będę mógł napisać o wszystkich aspektach jego twórczości? -

Podniósł głos rozdrażniony. - Nie masz pojęcia, jak nowoczesna krytyka wykorzystuje fakty. Muszę mieć fakty! - krzyknął gniewnie.

- Dzieła Randalu należy pozostawić samym sobie! Nieważne, kto je napisał, ważne są same książki! - Mary odwróciła się i wbiegła do domu.

Paul schwycił koc, wrzucił go do samochodu i pojechał do domu; do ciemnego domu Randalu.

Pewnego wrześnieowego popołudnia Paul stał w pracowni Randalu, w drżącej ręce trzymając list. Triumfalnym głosem rozmawiał przez telefon z Hannah.

- Pamiętasz te moje wszystkie pomysły dotyczące twórczości Randalu? Napisałem do Matrix Press, że pracuję z wdową po Randalu, a oni zawarli ze mną umowę. Dostałem dziesięć tysięcy dolarów zaliczki. Chcą, żebym napisał biografię Randalu!

- Udało ci się! Świetny początek! - zawołała Hannah. - Na jakie szaleństwa masz zamiar wydać takie pieniądze?

- Wykupię prawa emerytalne na uniwersytecie - oznajmił Paul. - Błogosławione prawa emerytalne. Gdy się je ma, nie trzeba się martwić o utrzymanie do końca życia - to na pewno znacznie lepsze niż praca na gospodarstwie. Teraz, gdy podpiszę kontrakt i zacznę pracować, Butterfield wreszcie się ode mnie odczepi.

- Biografia Randalu Eliota... Ale jak uda ci się przekonać tę wdowę, żeby ci wszystko opowiedziała?

- To wcale nie jest takie proste - odparł Paul, bawiąc się długopisami, które leżały rzędem na biurku Randalu. - Ostatnio rzadko się z nią widuję.

- Co takiego?

- Nigdzie z nią nie chodzę... już od tygodni.

- Co się stało? - zapytała zaskoczona Hannah. - Co takiego zrobiłeś? Znowu ta twoja porywczosć... Piłeś?

- Nawrzeszczałem na nią - przyznał się Paul. - Ona chce rozmawiać jedynie o twórczości Randalu! Unika najmniejszej wzmianki o jego życiu. Nie wie, co to znaczy praca krytyczna. Nie rozumie, jak trzeba się doszukiwać człowieka w jego twórczości, jak odnajduje się w powieściach zakrety i załamania życiowe autora.

- Więc się uniosłeś, wystraszyłeś ją...

- W każdej książce Randalu jak na dłoni widać depresję maniackalną! - Ton głosu Paula stał się teraz opryskliwy. - I nawet nie mogę z nią o tym porozmawiać!

- Maluje się? Dba o fryzurę?
- Skąd mam wiedzieć?
- Posłuchaj, jedź do niej! Powiedz, że nawrzeszczałeś na nią, ponieważ uwielbiasz twórczość Randal. Powiedz, że dostałeś zaliczkę za książkę! Powiedz, że to będzie biografia Randal i chyba lepiej by było, gdybyś ty ją napisał niż ktoś obcy. Ktoś ją w końcu napisze. Powiedz jej to.
Paul milczał po drugiej stronie słuchawki.
- Spójrzmy na to od innej strony - powiedziała Hannah. -Zawsze mieszkała z literatem, z człowiekiem, który pisał książki, potrzebował jej pomocy. Jeśli uda ci się przekonać ją, żeby ci pomagała, żeby była twoją muzą, twoją kobietą, czy kimś w tym rodzaju, możesz być jej nowym domowym pisarzem. W przeciwnym razie nie będzie żadnej książki, zgadza się?
- Zgadza się.
- Pomińmy fakt, że w końcu twój tytuł profesora zacznie przynosić dochody. - Hannah roześmiała się. - Teraz ty masz być jej pisarzem... daj jej to do zrozumienia. Powiedz jej, że potrzeba ci takiej żony, jaką miał Randal. I, na miłość boską, nie trać kontroli nad sobą! Wydaje ci się, że masz za rywala Randal Eliota, wielkiego pisarza. Bzdura. On umarł, a ty jesteś żywy!
- Jest niezwykłą kobietą. Myślę o...
- I masz jeszcze jedną przewagę nad Randalem Eliotem -powiedziała Hannah. - Kochasz ją.
- Ale ona nie...
- A twoją największą przewagą jest, że... - Hannah roześmiała się. - Ona kocha się w tobie.
Paul pożegnał się z Hannah i siedział długo, obserwując, jak w deszczu połyskuje jezdnia przed domem Randal. Deszcz ściekał po oknach sypialni Mary i kapał z niebiesko-zielonych świerków za domem. Mary, siedząc na łóżku, słuchała, co mówi do niej dzwoniący z Nowego Jorku George Blumberg. Jedną spoconą dłonią zwijała i rozwijała skraj narzuty. Deszcz na szybach błyszczał jak gwiazdki na oprawionej w srebro szcztocie na toaletce.

- Przeczytałem *Gospodarza*. Wszyscy go tu przeczytali - donosił George Blumberg ze swojego nowojorskiego biura.
- To wspaniała książka. - Mary się nie odzywała, mnąc kwiecistą atlasową narzutę.
- Jedyne wątpliwości, jakie mamy... - George Blumberg przerwał - ...to twój list... i twoje, a nie Randała, nazwisko na okładce.
- Mój ust jest chyba zupełnie jasny - powiedziała Mary. - Na książce widnieje moje nazwisko, ponieważ to ja ją napisałam.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. W końcu George Blumberg odezwał się:

- Przepraszam... coś mi się tu nie zgadza... Ta nowa książka Randała, bo z całą pewnością on ją napisał...
- Ja ją napisałam - powiedziała Mary. - Randal nie żyje. Chyba mogę teraz opatrzyć swoją książkę swoim własnym nazwiskiem?
- Chcesz powiedzieć...
- Że to ja napisałam *Gospodarza*. Gdyby Randal żył, na okładce widniałoby jego nazwisko, ale on nie żyje. Nie trzeba go już dłużej chronić. Tak więc od tej pory chciałabym firmować swoje książki własnym nazwiskiem i, jeśli się zgodzisz, chciałabym, żebyś został moim agentem.

George Blumberg znowu nie odezwał się przez dłuższą chwilę, po czym mruknął:

- *Gospodarz* to najprawdziwszy Randal Eliot. Od początku do końca. To najlepsza rzecz, jaką stworzył. Jego ton, jego głos, jego styl...
- Ja też uważam, że z tą książką poszło mi nieźle. Cieszę się, że podzielasz moje zdanie - odpowiedziała Mary.
- To jego głos - powtórzył George. - To jego ton. Nikt z nas ani na moment nie wątpił, że to książka Eliota.
- Randal nie żyje - powiedziała Mary.
- Przecież nie możesz podpisać książki męża swoim nazwiskiem. - George starał się ją przekonać spokojnie. - Wiem, że poświęcałaś się jego pracy, a teraz, kiedy go już nie ma... wszyscy rozumiemy, co musisz czuć. Stało się to tak nagle, tak nieoczekiwanie.
- Chyba nie rozumiesz - powiedziała Mary najspokojniej, jak tylko mogła. - Nie chcę umniejszać zasług Randała Eliota. Czwór-

ka jego dzieci jest bardzo dumna z człowieka, który, jak im się wydaje, był pisarzem. Niech cztery pierwsze książki pozostaną jego książkami... .

- Jak im się wydaje, był pisarzem? - powtórzył George Blumberg - Moja droga, widzę, że wciąż jeszcze nie doszłaś do siebie po tej tragedii. Chyba nie powinniśmy jeszcze na ten temat rozmawiać. Może za jakiś czas...

- Nie - sprzeciwiła się Mary. - Żałoba nie ma nic wspólnego z faktem że to ja napisałam *Gospodarza* i chciałabym, żebyś reprezentował mnie jako mój agent. Zajmiesz się sprzedażą *Gospodarza* a ja będę pracowała nad nową powieścią. Ta nowa książka będzie się nazywać *W kręgu modlitwy*. Randal Eliot nie napisał *Gospodarza* ani żadnej innej książki. Stale rozprawiał o pisaniu książek, ale nie napisał ani jednej. To ja napisałam *Dzielnice*, *Obcą*, *Na dobre i złe* i *Czysty zysk*. A teraz napisałam *Gospodarza*.

Po drugiej stronie słuchawki znowu zapadła cisza.

- Wiesz, jak do tego doszło. Słyszałeś, jak Randal powtarzał, że musi pisać i publikować, jeśli chce utrzymać swoją posesję - powiedziała Mary. - W jego przypadku publikacje były tym ważniejsze, że ciągle leczył się w szpitalach psychiatrycznych. Uniwersytet nie zatrudniałby wykładowcy cierpiącego na depresję maniacką, który nic nie publikuje, a i żadna inna uczelnia nie dałaby mu etatu.

George Blumberg milczał. . .

- Przez całe lata słuchałam jego wywodów na temat *Dzielnic*. W końcu miałam już tego dość i sama je napisałam, żeby udowodnić że faktycznie można coś stworzyć, nawet pisząc nocami. Ale gdy zaczęła grozić mu utrata pracy... gdy poddano go kuracji elektrowstrząsowej i nic nie pamiętał...

- Naprawdę trudno mi... .

- To jasne, że trudno ci - przerwała Mary. - To zrozumiałe. I nie oczekuję pochwał za *Dzielnice*, i trzy pozostałe książki. Ale uważam, że teraz mam prawo wydawać swoje własne książki. Sam wiesz, że bywały już pary pisarskie. Browningowie...

- Jednak nawet jeśli to prawda... - George Blumberg zawahał się - Ten styl, ten głos... wiesz, czym to się skończy. Wydawcy, krytycy recenzenci, czytelnicy... nikt nie uwierzy, że *Gospodarz* me jest dziełem Randala, chociaż bynajmniej nie sądzę, że to wszystko zmyśliłaś - dodał szybko.

- Nie jestem w stanie udowodnić, że to ja napisałam te wszystkie książki - powiedziała Mary. - Posiadam jedynie swoje rękopisy i dzienniki pisane moją ręką, nie Randal. Nie istnieją żadne wersje powieści napisane jego ręką, z wyjątkiem kilku pudełek starych kopert, zabazgranych tak, że nikt nie jest w stanie tego odczytać. - Zgniotła kwiecisty atlas narzuty. - Wiem, co ludzie mogą powiedzieć: „Dyktował jej. Zapisywała to, co kazał jej przenieść na papier.” Albo: „Zniszczyła wszystkie dokumenty i teraz twierdzi, że to jej dzieła.”

- Właśnie w tym problem - stwierdził George.

- Może nawet by powiedzieli, że to ja zwariowałam. Przez chwilę w telefonie panowała cisza.

- Rozumiesz, że nie mogłam powiedzieć Randalowi. Jakże bym mogła? Od tych powieści zależało jego szczęście... nagrody... wyróżnienia... - Łzy napłynęły Mary do oczu. - I nie chcę mu zabierać pierwszych czterech powieści - niech uchodzą za jego. Moje dzieci są z niego takie dumne. Nie mów nikomu, że to ja je napisałam.

- Więc czy nie możemy mu pozwolić na jeszcze jedną? - spytał George. - W jego głosie wyczuwało się pobłażliwość.

- Można szybko wydać *Gospodarza* i będzie z tego cała masa pieniędzy! Już wiesz, ile pochłania urząd skarbowy. Potrzebujesz sporo pieniędzy, żeby zapewnić dzieciom ukończenie szkół. *Gospodarz* się sprzeda! To najlepsza książka Randal, a poza tym on jest w modzie. Jest laureatem Nagrody Amerykańskiej Książki!

- To ja jestem laureatką Nagrody Amerykańskiej Książki - sprostowała Mary.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

- Nie wierzysz mi - powiedziała Mary.

- *Gospodarz* przyniesie pieniądze - odparł George Blumberg. - Ale przyniesie pieniądze tylko jako pośmiertna książka autora, który pisał w transie! Wszyscy wierzą w tę bajeczkę! Właśnie dzięki niej sprzedają się te książki! To „dyktowanie w transie” jest doskonałym chwytem reklamowym! - Głos Georga znowu brzmiał pewnie; poruszał się po doskonale sobie znanym gruncie finansów. - Co może być lepszego niż pieniądze? Musisz zapłacić za edukację dzieci i chcesz pomóc Donowi w prowadzeniu interesu. Jeśli nie zaprzepaścisz szansy, oboje będziemy bogaci.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli podpiszę *Gospodarza* swoim nazwiskiem, nie przyniesie zysku?

- Co powie wydawca, gdy zaniosę mu taką książkę? „Kto to jest ta Mary Quinn?” Więc mu odpowiem: „To wdowa po Randalu Eliocie.” A on na to: „Kim ona jest? Co do tej pory napisała?” „Nic. To jej pierwsza książka.” A on powie... wiesz, co powie. Pamiętasz, jaką zaliczkę Randal dostał za swoją pierwszą książkę?
- Pięć tysięcy - powiedziała Mary.
- Może udałoby się wycisnąć dziesięć.
- Dziesięć tysięcy?
- To bardzo dużo. O ile uda mi się znaleźć kogoś, kto zechce to wydać - stwierdził George. - Pierwsze książki diabelnie trudno sprzedać.
- Przecież powiedziałaś, że to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek napisałam!
- Nie. Powiedziałem, że to najlepsza książka, jaką Randal kiedykolwiek napisał. Poczekaj na recenzje. I jeśli nawet *Czysty zysk* nie zostanie sfilmowany, to ta książka na pewno. Czy nie widzisz...
- Nie - przerwała Mary. - Nie widzę. Nie widzę imienia Randala na okładce mojej książki. Już nie.
- Wyobraź sobie swoje imię na czekach, a nie na książce - rzekł George. - Pomyśl sobie, ile problemów ominie cię, jeśli nie będziesz „znaną pisarką”. Sama widziałaś, co się zaczynało dzieć wokół Randala. Utoniesz w prośbach o pisanie recenzji książek. Jeśli dowiedzą się, że to ty zdobyłaś Nagrodę Amerykańskiej Książki, każdy pisarz będzie zwracał się do ciebie o pomoc. Codziennie będziesz otrzymywała pocztą „obietujące rękopisy”. Będziesz występować w telewizji - Randal już trochę tego zaznał - umieszczana w programie między kimś, kto zamordował własną babcię, a wywiadem z gadającym psem, przy czym będziesz tam jedyną osobą, która przeczytała twoją książkę. Będą cię napastować w domu i filmować, jak przechadzasz się po lesie, po polach kukurydzy, wokół chlewni - nie wiadomo, dlaczego zawsze filmują pisarzy w plenerze. Ludzie będą do ciebie dzwonili z daleka, prosząc o epizodyczną rolę w filmowej wersji *Gospodarza*. Będą dzwonili, żeby ci powiedzieć, że podobała im się twoja książka, albo że im się nie podobała, będą chcieli porozmawiać o książce jakiegoś innego autora, będą prosili o porady pisarskie, gdyż sami usiłują tworzyć. A raz w tygodniu zadzwoni do ciebie ktoś ze wspaniałym pomysłem

na książkę, zacznij opowiadać jakąś historię, która przytrafiła się jemu samemu, albo jego wujkowi - wystarczy teraz jedynie przelać ją na papier i podzielić się zyskiem. A co z podrózkami promocyjnymi? W „London Times”, gdzie zrobią ci ze dwieście zdjęć, zadadzą mniej więcej tyle samo pytań i oznajmia ci, że jeśli powiesz, że naprawdę przeżyłaś te straszne rzeczy, które opisujesz w książce, poświęcą ci pół strony w „Timesie”, w przeciwnym wypadku... A jak ci się uśmiecha przesiadywanie godzinami w sklepie, w przeciągach, czekając aż podejdzie ktoś, żebyś mogła złożyć autograf na książkach, których akurat tego dnia nikt nie kupuje...

- Nie chodzi mi o sławę...

- Więc o co ci chodzi? - spytał George.

Mary patrzyła, jak deszcz skapuje z liści. - To są moje powieści - odezwała się w końcu. - Randal nie potrzebuje już uznania za ich autorstwo. Chcę, żeby na moich książkach widniało moje własne imię.

- A więc chcesz sławy - stwierdził George. Mary nie odpowiedziała.

- Będziesz miała pieniądze. Prowadzisz takie życie, jakie chcesz - rzekł George. - Nie zagrażają ci dziwacy, łowcy sensacji i złośliwi recenzenci. Nie musisz wynajmować sekretarki, która zajmowałaby się twoją korespondencją. Nie musisz podpisywać książek, ani objeżdżać kraju z prelekcjami. Jesteś wolna i masz wszystko. - George zaśmiał się. - Wszystko oprócz sławy.

Mary milczała.

- Powiem ci coś jeszcze - dodał George. - Jeśli chcesz być „pisarką” a nie „wdową”, całe zamieszanie związane z reklamą to dopiero początek. Gdy stajesz się „wielkim twórcą”, musisz zacząć budować swój image, swój publiczny wizerunek. Następną rzeczą, jaka czekałaby Randal, gdyby żył, to przyjęcie jakiejś pozy związanej z tworzeniem w transie. Jaką maskę mógłby przybrać Randal, żeby ludzie kupowali jego książki?

- Profesora uczelni na Środkowym Zachodzie?

- Sama widzisz - zaśmiał się z ulgą George.

- Mógłby być Mistrzem-Maniakiem - oznajmiła Mary gorzkim głosem. - Dwubiegunowym Geniuszem. Szaleńcem Depresji. - Spojrzała na siebie w lustro po drugiej stronie pokoju. - A ja kim bym była?

- Kto wie? Co masz oryginalnego?

Mary przyglądała się swemu odbiciu w deszczowym świetle popołudnia.

- Jako wdowa po Randalu Eliocie masz wszystko - powiedział George. - Wiem, że wciąż jesteś pogrążona w żałobie, ale muszę powiedzieć ci prawdę. Straciłaś go, więc dadzą ci spokój. Jeśli chcesz pisać, pisz. Tam u siebie, w ukryciu, mając czas wyłącznie do swojej dyspozycji. Jeśli jego książki przyniosą pieniądze, ty je dostaniesz. Jeśli pojawią się nieprzychylnie recenzje książek Randalu, nie będziesz się za nie wstydzić. Będziesz mogła powiedzieć: „Jakie to smutne, że nie doceniają pracy Randalu” i dalej cieszyć się życiem.

Mary patrzyła, jak wiatr siecze deszczem w okna sypialni.

- Już teraz próbują się do mnie zbliżyć ludzie, którzy chcą sporządzić biografię Randalu.

- Po prostu im odmów, zbadź ich czymkolwiek, powiedz, że zbyt bolesna jest dla ciebie rozmowa o nim, że kiedyś w przyszłości się do tego weźmiesz.

- Interpretują książki Randalu w świetle jego choroby psychicznej! Moje książki! Doszukują się wydarzeń z jego życia... jego rodziców... naszych dzieci... a potem napiszą, jaki wpływ miało jego życie na jego twórczość, na moją twórczość!

George westchnął.

- Spójrz na to od innej strony. Nie wiesz, żeby dowiedzieć się, czy byłaś zakochana w swoim ojcu, czy potajemnie nadużywałaś alkoholu, czy farbujesz sobie włosy, czy biłaś dzieci co sobotę wieczór, czy przespalałaś się z każdym facetem ze swojej ulicy...

- Nie - powiedziała Mary.

- Możesz umieścić na *Gospodarzu* swoje imię jako redaktora Randalu - rzekł George. - Bo też naprawdę nim jesteś. I słuchaj, tym razem chodzi o duże pieniądze. Na początek sześciocyfrowa liczba. Będziesz bogatą kobietą.

Mary przez chwilę się nie odezwała. Potem spytała:

- Aż tak dużo?

- Aż tak dużo. I to nie licząc wpływów z klubów książki, wydań masowych, przekładów, praw do sfilmowania.

- A co z moimi kolejnymi książkami?

189

- To proste! - Głos George'a Blumberga brzmiał ostro, profesjonalnie. - Powiemy, że Randal nadal dyktował, że dyktował jak szalony. Ciągłe wpadał w trans, może miał jakieś przecucie.

Mary odłożyła słuchawkę.

Przez długi czas wpatrywała się w błękitne świerki skąpane w deszczu.

Potem położyła się z twarzą wtuloną w atlas, na którym pobłyskiwało blade światło.

27

Mary przez wiele godzin leżała bez ruchu. Padał deszcz.

W końcu zauważyła, że nadszedł wieczór. Wstała z łóżka i posłała je starannie. Umyła twarz. Umalowała się, skropiła perfumami, włożyła przejrzystą, bawełnianą bluzkę, spodnie i sandaalki.

- Sześciocyfrowa liczba - powiedziała do kobiety w lustrze. Zeszła na dół i otworzyła drzwi lodówki. Nalała sobie szklanekę

mleka, posmarowała masłem kromkę chleba i usiadła w kącie kanapy.

- Tysiące - powiedziała głośno. - Zapewniona edukacja dzieci. Kominek, który Paul tak często rozpalał, ział teraz czernią za

szklaną przesłoną. Co wieczór jadła kolację przy kominku, obserwując światło igrające na srebrzystych włosach Paula i jego niebieskie oczy, które wpatrywały się w nią...

Oczy bolały ją od opłakiwania marzeń o własnych książkach -marzeń tak kruchych i bezsensownych, jak tamto jedno jajko niesione przez ulice Londynu. Spacerowała po ciemnym salonie. „Sława” - powiedziała sobie w duchu.

Przypomniała sobie, jak Paul unosił ramiona, gdy się śmiał. Jak patrzył, gdy oboje przez chwilę nic nie mówili...

„Jeśli chcesz pisać, pisz tam u siebie w ukryciu, mając czas wyłącznie do swojej dyspozycji.” Jakby w odpowiedzi, stary francuski zegar na kominku wybił dziewiątą.

Weszła po schodach i stanęła w drzwiach pokoju, w którym pisała. Kartki jej nowej powieści leżały porzucane na wielkim

stole i na półkach pod oknami. Zdanie na kartce wkręconej w maszynę do pisania było urwane w połowie; zostawiła je tak, gdy zadzwonił George Blumberg.

Ciepło Paula. Gdy się do niego zbliżała, czuła je. Gdy wzruszał ramionami, wciągał między nie głowę. Gdy myślał, drapał się po karku. Śmiał się tubalnym głosem, po czym sam zdawał się nieco zdziwiony swym wybuchem wesołości. A gdy się złościł, cały sztywniał i bladł.

Mary oparła się o futrynę drzwi i zamknęła oczy. „Mary Quinn, powieściopisarka. Mary Quinn, laureatka nagród, głos pokolenia, pisarka lat osiemdziesiątych.”

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Pobiegła przyczesać włosy. Spojrzała na siebie w lustrze toaletki, uchyliła okno w sypialni i zawołała:

- Kto tam?

- Paul. - Jego głos dotarł spod daszka drzwi frontowych.

- Już idę! - krzyknęła i umalowała usta. Rano wzięła kąpiel. Miała czyste włosy.

Paul wszedł do środka, bez reszty wypełniając cały dom. Pewnie zauważył go każdy pokój. Wyczuł jego obecność papier wkręcony do maszyny. Każde naczynie w kredensie musiało zdawać sobie sprawę z jego wizyty.

- Pomyślałem sobie, że trzeba zobaczyć, jak się miewasz - powiedział Paul. Wyprostował się i uśmiechnął się lekko. Miał na sobie elegancką koszulę i niebieskie spodnie, które pasowały do koloru jego oczu.

- Byłam bardzo zajęta - powiedziała Mary. - Wejdz. Siadaj. Usiadł obok niej na kanapie i wyciągnął list.

- Chciałem, żebyś go zobaczyła, zanim pokażę go komukolwiek innemu.

Mary zaczęła czytać list, który jej wręczył. Obserwując, jak jej wzrok przesuwa się po papierze, Paul pomyślał, że w świetle lampy wygląda na bladą i zmęczoną.

- Ten list to moja szansa na stałą posadę, jedyna w życiu szansa, żeby stać się członkiem wydziału, wykładowcą z pensją wystarczającą na prowadzenie dostatniego życia - powiedział Paul. - Jestem biednym chłopakiem ze wsi.

Wiesz o tym. Wiesz, co to dla mnie znaczy.

Mary usiadła obok niego i nie odzywała się.

- Wiesz, że jestem fanatykiem Randal - czciłem jego twórczość od czasu, gdy przeczytałem pierwsze napisane przez niego słowo. Wolałbym umrzeć, niż widzieć, jak zostaje zszargane jego dobre imię... - Spojrzał jej prosto w oczy. - I wiesz, że to tobie powinienem za to dziękować. Ta propozycja to efekt moich pomysłów dotyczących krytycznej oceny twórczości Randal. Pomagałaś mi przy tym.

Deszcz spływał po oknach salonu. Światło lampy zmieniło się w potok żywego srebra. Liście w przyćmionym ogrodzie były ciężkie od deszczu.

- Byłem z tobą zupełnie szczery - powiedział Paul. - Wiesz, że co najmniej od dziesięciu lat marzyłem, żeby zostać biografem Randal.

Mary milczała.

- Jesteś w melancholijnym nastroju, czy coś się stało? - spytał Paul.

- Pisałam.

- Poezję? - zapytał Paul. - To właśnie robisz w tym swoim tajemnym pokoju na górze?

- Pisałam... opowiadanie - odrzekła Mary.

- Opowiadanie? Napisałaś opowiadanie?

- Tak, żeby spróbować sił. - Twarz Mary była na wpół skryta za opadającymi krótkimi włosami. - Agent Randal uważa, że nie będzie w stanie tego sprzedać. Rozmawiałam z nim dzisiaj.

- Opowiadanie? Och, nie bądź taka nieszczęśliwa, nie smuć się! - Paul objął ją ramieniem. - To dopiero początki! Nigdy nie należy liczyć na to, że uda się sprzedać pierwszą napisaną rzecz! - Mary uśmiechnęła się nieznacznie, słysząc te słowa. - Potrzeba ci porządnego kieliszka whisky - powiedział.

- Nie piję mocnych trunków - odparła Mary, wycierając oczy. - Sam się napij. Wiesz, gdzie jest.

- Tym razem i ty się napijesz. Pomyśl o zagubionych alpinistach. Co ma w koszyku na szyi pies, który ich znalazł? Herbatę?

Mary uśmiechnęła się słabo. Paul przyniósł butelkę i dwa kieliszki.

- Agent Randal uważa, że moje opowiadanie jest „derywaty-wne”. - Głos Mary brzmiał gorzko. - Powiedział, iż wszyscy będą

sądzi, że podpisuję swoim nazwiskiem jakieś dzieła Randal Eliota.

- Mały kieliszek - powiedział Paul podając jej whisky i gasząc jasne światło.

- Dziękuję. - Głos Mary brzmiał obco, ledwo go rozpoznała. Popijali whisky w przyćmionym świetle docierającym z kuchni.

- To tylko opowiadanie - rzekła.

- Właśnie - przytaknął Paul.

- Bardzo długo nad nim pracowałam - dodała Mary. - Wiem, że jest dobre.

- Masz doskonałe wycucie fikcji literackiej.

- Jestem dobrą pisarką - powiedziała Mary, zaglądając do pustego kieliszka. Paul ponownie go napełnił.

- Jasne! Pracowałeś z Randalem. - Paul ściszył nieco głos. - On jest najwspanialszym pisarzem dwudziestego wieku - tak się

O nim powszechnie mówi.

W ciemności deszcz kapał z dachu.

- Muszę zarobić trochę pieniędzy - odezwała się w końcu Mary. - I chcę ci powiedzieć coś, o czym jeszcze nikt nie wie. - Paul wyczuł w jej głosie jakąś dziwną nutę. - Podjęłam decyzję dzisiaj, po ostatniej rozmowie z agentem Randal. Po tym, jak omówiliśmy moją... moje opowiadanie.

Paul się nie odzywał. Wydawało mu się, że Mary stacza walkę ze słowami.

- Istnieje nowa książka Randal - powiedziała Mary. - Podyktował mi ją przed śmiercią. Podyktował, jak to miał w zwyczaju, podczas bezsennych nocy...

- Nowa książka? - krzyknął Paul. - Książka Randal?

- Właśnie dzisiaj podjęłam decyzję - powiedziała Mary. - Dobrze się sprzedaje jako książka Randal. Dobrze się sprzedaje...

- Jasne, że się sprzedaje! - Paul zerwał się na równe nogi. Mary również wstała.

- Tak powiedział jego agent. Potrzebuję pieniędzy dla dzieci

1 dla siebie samej.

- Teraz rozumiem, dlaczego jesteś taka podenerwowana - powiedział Paul i objął ją. Położyła mu głowę na ramieniu, a on przytulił ją i wyszeptał: - Niczym się nie przejmuj... to będzie wspaniała książka.

- Wiem! - zawołała Mary. - Wiem! Jak mogłabym nie wiedzieć! - Drżała. Paul przytulił ją mocno. Gdy odwróciła do niego twarz, pocałował ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Po chwili uwolniła się z objęć i pobiegła na górę.

Czekał. Chodził tam i z powrotem po ciemnym salonie. Może płakała tam na górze?

Paul nasłuchiwał jeszcze przez chwilę i wszedł po pokrytych dywanem schodach. Drzwi pracowni Mary na końcu korytarza były zamknięte, ale otwarte były drzwi sypialni i dochodziło zza nich ciche szlochanie. Przez posrebrzone deszczem okna wpadało przyćmione światło latarni przed domem.

- Mary? - powiedział Paul siadając obok niej na atlasowej narzucie. - Mary? - Czuł, jak łóżko drży od jej szlochu.

Wyciągnął dłoń i zaczął masować jej szyję. - Jesteś zmęczona.

- Tak - odparła stłumionym głosem. Wyciągnęła się na brzuchu z głową ukrytą pod poduszkami, a Paul masował jej ramiona i kręgosłup. Przeszkadzała mu jej bluzka; podciągnął ją do góry i głaskał, ugniatał, zataczał kręgi.

Paul odsunął na bok poduszkę i dotknął jej policzka, odgarnął wilgotne od łez włosy i poczuł perfumy. Pochylając się nad nią w ciemnościach, wyszeptał do tych wilgotnych włosów i do policzka:

- Kocham cię. Wiesz o tym. Wiesz o tym od dawna. Wyjdź za mnie.

Odwróciła się w jego ramionach, ciepła, wilgotna od łez i pachnąca. Całował ją tam, gdzie udało mu się obnażyć kawałek jej ciała, ściągając z niej ubranie, zdejmując swoją koszulę, buty i spodnie. Pragnął trzymać jej wilgotną twarz przy swojej, jej ciało przy swoim. Jedyne twarz Mary była chłodna - niespodziewanie wytworzyła się w niej ta sama elektryzująca energia, która pojawiała się, gdy rozmawiali, dotykali się, śmiali się...

W końcu uspokoiły się ich oddechy. Uspokoilo się bicie serc. Paul chciał włączyć lampkę nocną.

- Nie! - krzyknęła Mary.

Paul zaśmiał się basowym głosem, z twarzą wtuloną w słodki zapach jej włosów.

- Ciemna damo sonetów... kobieto ciemności? Wyjdź za mnie... Mary usiadła, przesunęła dłońmi po jego owłosionej piersi

i schyliła się, żeby go pocałować.

- Nie mogę za ciebie wyjść. Jeśli ci nie powiem... - Przerwała i po chwili ciągnęła dalej. - Randal nie napisał swoich książek...

- Jasne, że nie! - powiedział Paul, zbliżając w ciemności swoje usta do jej. - Tyje wszystkie napisałaś, przelałaś na papier. Cóż on by bez ciebie zrobił? A ja cię potrzebuję tak samo jak on. Dzięki tobie utrzymam posadę i dzięki tobie będę badaczem twórczości Randalu Eliota! - Potrząsnął ją delikatnie za nagie ramiona, po czym ponownie wziął ją w swoje objęcia^

Mary leżała bez ruchu. Słyszeli, jak^deszcz spływa po ciemnych oknach. —

- Będiesz ze mnie dumna, tak jak byłaś dumna z Randalu. -Całował ją bezustannie, aż zasnęli, wsłuchując się w deszcz.

Przed świtem deszcz ustal. Rozespana Mary spostrzegła, że leży w atlasowym gniazdku z w pełni rozbudzonym mężczyzną; znów się śmiała, drażniła się z nim, mówiła, że mu nie wierzy, i kochała się z nim, jakby znów miała dwadzieścia lat...

Spali, gdy nastawał świt. Na kamiennym kominku zaczęły się pojawiać plamy brązowe, czerwone, szare, błyszczące jak kawałki miki. W przemoczonych deszczem drzewach zaczęły śpiewać pierwsze ptaki.

Mary obudziła się, powróciła do świadomości i do swego nowego, zadziwiającego ciała, które znów stało się ciałem kobiety, jak ciała innych kobiet, leżących w ciemnych domach, w ramionach mężczyzn po spełnieniu aktu miłości. Otworzyła oczy i ujrzała gęste jasne włosy Paula na zielonej poduszce. W miejscach, gdzie atlasowa pościel dotykała jego nagiego brązowego ciała, nadawała mu zielonkawy odcień.

Powoli, delikatnie wyśliznęła się z jego ramion. Stała obok i przez długą chwilę patrzyła na mężczyznę leżącego w jej łóżku. Potem wzięła prysznic, włożyła szlafrok i zeszła na dół.

Jej miękkie dywany jaśniały w porannym słońcu. W mokrym ogrodzie za oknami salonu śpiewały ptaki. Z dala od Paula śpiącego w jej łóżku Mary zdjęła szlafrok i zaczęła tańczyć po domu. Podbiegła do lustra na drzwiach szafy i obracała się w kółko, przyglądając się swemu nagiemu ciału, które jakby należało do kogoś innego.

Jej lodówka... znajdująca się w niej żywność... jej taras z chłodną podłogą pod stopami... ta cała masa pieniędzy, które niedługo

nadejdą. „Sześciocyfrowa liczba. Następny miesiąc miodowy w Europie...” Mary czekała, aż zagotuje się woda na herbatę. Ukryła twarz w dłoniach i śmiała się do siebie. Mężczyzna w jej łóżku... przez całą noc... Zadrzała, włożyła szlafrok i wzięła filiżankę gorącej herbaty na górę.

Zamknęła za sobą drzwi pracowni i ukryła swój najnowszy rękopis na dnie szufady - wszystko z wyjątkiem kartki, która znajdowała się w maszynie, gdy zadzwonił George Blumberg.

Ukrywała wszystkie swoje powieści.

Paul spał w jej łóżku po drugiej stronie korytarza.

Mary stanęła w swej cichej pracowni, patrząc na nią tak, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała. Jeśli ktoś miał grzebać w jej przeszłości, niech to będzie Paul, a nie jakiś obcy naukowiec. On przynajmniej dostrzegał istotę jej książek.

Poczuła przypływ czułości. Nie będzie pisał dużo. Nie będzie pisał szybko. Może w ogóle przestanie mu zależeć na pracy na uniwersytecie, gdy zobaczy, jakimi pieniędzmi dysponują. Nie będzie musiał nic pisać.

Mary usiadła do maszyny. Gdy zadzwonił George Blumberg, przerwała zdanie w połowie. Przez chwilę pobawiła się arytmetyką, policzyła, ile dolarów przyniosłoby każde słowo na stronie wkręconej w maszynę, gdyby było napisane przez Randalą Eliota.

Czytając po raz kolejny zdanie, przypomniała sobie resztę zaplanowanej sceny; wiedziała, co ma się dalej wydarzyć. Stukot jej maszyny do pisania nie był głośniejszy niż tykanie zegara w pokoju, gdzie w jej zmierzwionym łóżku spał Paul.

Czy można być szczęśliwszym? - Paul powtarzał to wielokrotnie podczas swojego ślubu. Mary wyglądała pięknie w kremowej sukience. Stali oboje na trawniku za jej domem. Gdy pastor pytał Paula, czy bierze Mary za swą ślubną małżonkę, na welon Mary spadł liść. Paul strząsnął jasny liść klonu z tiulu, powiedział „Tak” i uśmiechnął się do Mary w słońcu jej jesiennego ogrodu.

- Miodowy miesiąc w Nowym Jorku - powiedziała Beth na przyjęciu weselnym.

- Teatry! - powiedział Don.

- Koncerty! Muzea! Restauracje! - dorzucił Jay.

- Nie wiedziałam, że tak pięknie teraz wyglądasz! - szepnęła Beth do matki.

Hannah siedziała obok Paula. Była ubrana w sukienkę pasującą do stroju drużyny Beth. Paul rozejrzał się wokół siebie i powiedział cichym głosem do Hannah:

- Pamiętasz farmę rodziców?

- Była okropna - powiedziała Hannah. - Meble z Armii Zbawienia. Wytarte dywany.

- Gorące, zakurzone stodoły, w których trzeba było ustawiać worki z ziarnem - dodał Paul. - Ostrza pługa uderzające o kamienie.

- Rzeczy po starszym rodzeństwie - powiedziała Hannah. - Łatanie dziur. - Czytała w myślach swego brata. - Teraz masz wszystko: pieniądze za nową książkę Randala, dom, pracę, biografię...

Beth uśmiechnęła się do matki. Wyszeptała:

- Szkoda, że Mike nie może przyjechać z Afryki i zobaczyć, jaka jesteś szczęśliwa... Ta wielka zaliczka za książkę! Jesteś bogata!... I Paul...

- Chyba muszę mieć jakiegoś mężczyznę, którym bym się mogła opiekować - powiedziała Mary do ucha Beth. - Ale Paul nie ma w sobie nic z twojego ojca.

- Jest od ciebie uzależniony, prawda? - wyszeptała Beth, przyglądając się matce uważnie.

- Tak myślisz?

- Obserwuje cię. Zauważyłam to. Jesteś dla niego ważna.

- Píše biografię Randalu, aja mu w tym mogę pomóc. - Jejoczy spotkały się z oczami Beth. - Kocham go, a napisanie tej książki odmieni całe jego życie. Niczego tak w życiu nie pragnął. Gdy go poznałam, był tak... - szukała odpowiedniego słowa. - Stłamszony.

Beth rzuciła okiem na Paula siedzącego przy drugim końcu stołu.

- Żeby tylko był dla ciebie dobry.

- Jest dla mnie dobry - wyszeptała Mary i zaczerwieniła się lekko. - Od czasów młodości nikt mnie tak nie kochał i tak o mnie nie dbał. - Jej oczy błyszczały pod przetykanymi pasemkami srebra włosami. - Nie potrafiłabym go odrzucić, odmówić mu pomocy. Uważa, że jestem idealną żoną dla pisarza.

- Nie zapominaj, jak pomagałaś tacie przez te wszystkie lata - powiedziała Beth sucho.

Nowy Jork pławił się w ostatnich promieniach lata. Słońce wciąż oświetlało fasadę hotelu Plaża, gdy pan Paul Anderson wraz z małżonką stanęli w znanym Mary foyer.

Paul miał spotkanie ze swoim agentem - jaką przyjemność sprawiały Paulowi te dwa słowa: „mój agent”.

- Pójdiesz ze mną - powiedział Paul do Mary, gdy się rozpakowali w swoim apartamencie. - Zobacz, dlaczego poślubiłem wdowę po Randalu Eliocie. Jest piękna! - pocałował Mary - i nieprawdopodobnie mądra. I niezwykle szykownie ubrana.

Następnego ranka Rob Rosen z Matrix Press wprowadził ich do swojego gabinetu, traktując Mary z całym szacunkiem należnym wdowie po Randalu Eliocie i redaktorowi najnowszej jego książki;

posadził ją w wygodnym fotelu i zaproponował kawę. Potem usadowił się naprzeciwko Paula i przeszedł od razu do rzeczy - zaczął przedstawiać rozdziały w biografii Randal Eliota.

Obaj mężczyźni przestali zwracać na nią uwagę. Raz tylko mieli jakąś wątpliwość dotyczącą Randal i przypomnieli sobie, że jest tu Mary.

- Jak to wspaniale mieć natychmiastowy dostęp do głównego źródła informacji - powiedział Rob.

Główne źródło informacji popijało czarną kawę z papierowego kubka. Kawa była gorzka, ale Mary pomyślała sobie o nadchodzącej nocy, o wielkim łożu w apartamencie w Plaža. Gdzieś w hotelu Plaža znajdował się mały pokój, w którym Randal Eliot wrzeszczał: „Zapisz to! Pomyśl na następną książkę!” I chodził przez całą noc, a w łysinie odbijały mu się światła Nowego Jorku.

Rob i Paul dyskutowali nad „wczesnym życiem Randal”. Tak, zgadzali się, że jego uczucia względem ojca powinny być dokładnie przeanalizowane w biografii i powiązane z postaciami ojców w jego książkach.

- W *Dzielnicach* są to właściciele niewolników - powiedział Rob. - Thorne w *Obcej*...

Mary piła kawę.

- Maniakalno-depresyjne epizody u Randal - powiedział Rob.

- Z całą pewnością szalony mąż w *Na dobre i zle* - powiedział Paul. - Ale obrazy szaleństwa obecne są wszędzie w jego książkach - widać, jak jego własna choroba wpływała na sposób percepcji świata.

- Rozmawiał pan z nauczycielami dzieci Randal - powiedział Rob Rosen, spoglądając w swoje notatki. - Z całą pewnością jego stosunek do ojcostwa jest ciekawym przedmiotem do badań - stosunek względem ojca, stosunek względem dzieci...

- Jeden z planowanych przeze mnie rozdziałów analizuje aspekty ojcostwa w jego powieściach - powiedział Paul.

Uśmiechnął się do Mary, ale opuścił oczy, widząc, jak na niego spojrzała.

Rob Rosen również uśmiechnął się do Mary siedzącej z kubkiem zimnej kawy w ręce.

- Niesamowite, prawda? - odezwał się do niej, dopuszczając ją uprzejmie do prowadzonej przez nich rozmowy. -

Niesamowite, jak życie człowieka wpływa na jego twórczość.

- Tak - powiedziała Mary. Jedynie Paul wyczuł ironię w jej głosie. - Niesamowite.

Gdy po lunchu wrócili taksówką do Plaża, Paul zamknął drzwi sypialni, zaciągnął ciężkie zasłony i powiedział:

- A teraz trzeba się zdrzemnąć.

Mary śmiała się, gdy ją pocałował, gdy wsunął jej ręce pod bluzkę i ściągał z niej ubranie.

Potrafił sprawić, że Mary sapała, jęczała i powtarzała w ciemnym łożu zdławionym głosem jego imię - ta Mary, która nie wierzyła, że jej ciało zdolne jest do intymnych przyjemności, do zabaw dwojga ludzi dzielących się swą radością.

W końcu Paul zasnął. Zaciągnięte zasłony tłumili odgłosy nowojorskiego popołudnia, które były jedynie szmerem za oknem. Mary poszła na palcach do salonu apartamentu, ubrała się, wzięła klucz i zeszła na dół.

Zgłodniała po akcie miłości, zamówiła herbatę i ciastko czekoladowe. Przechadzając się wzdłuż wystaw sklepowych myślała

O wielkiej sali bankietowej hotelu Plaża.

Drzwi sali bankietowej na końcu szerokiego korytarza były uchylone. Sprzątaczką polerowała srebrne urny pod ścianą, za ciężkimi kotarami.

Wieczorem sprzątaczką powiedziała jednemu z portierów:

- Usłyszałam kroki. Stukanie wysokich obcasów. Patrzę, a tu wchodzi taka niska, chuda kobieta... ładnie ubrana... około czterdziestu pięciu lat... ciemne, siwiejące włosy... Nie wiedziała, że tam jestem. Podeszła prosto do głównego stołu... tego na podeście.

I stanęła przed nim.

- Po co?

- Skąd mam wiedzieć? Zaczęła głośno mówić, jakby wygłaszała przemówienie.

- Może ma tu wystąpić?

- Być może. Nic nie wzięła, niczego nie dotknęła. Tylko tak stała i mówiła, a potem wyszła.

- Co mówiła?

- Coś jakby o łosiach. Że powinna podziękować rogaczowi, który przychodzi do niej w nocy.

- Czasami niektórych mężczyzn nazywa się „rogaczami”.

- A, to pewnie o to jej chodziło - powiedziała sprzątaczką.

Nadszedł listopad z ogniskami i z liśćmi, które trzeba było grabić i palić. Nadeszło Boże Narodzenie, spędzone wspólnie z Beth i Jayem, Donem i Carlą. Mary kupiła im bilety lotnicze, żeby mogli przyjechać. Przyjechała też Hannah. Otwierali prezenty pod wielką choinką, droczyli się z nowożeńcami i podziwiali samochód Paula, który był prezentem od Mary.

Gdy odjechali, spadł śnieg. Paul pracował w wielkiej sypialni Beth od wschodniej strony. Mary zamieniła ten pokój w jego gabinet, choć często pracował w starym domu z powodu „atmosfery”.

- Wspaniała - powiedział Paul, gdy jego pracownia została już urządzona. Mary kupiła mu potężne dębowe półki na całą ścianę i dębowe biurko, tak wielkie, że mogłoby służyć prezesowi jakiejś korporacji. W miękkich skórzanych, obrotowych fotelach można było odchyłać oparcia, gdyby Paul chciał odpocząć. Ze swoich okien Paul miał taki sam widok jak Mary ze swojej pracowni: zawiane śniegiem podwórka, drogi i drzewa, czarno-biała szachownica kwartałów ulicznych - akwaforta wykonana przez zimę.

Paul uczył całą wiosnę, ale jesienią wziął rok bezpłatnego urlopu, żeby oddać się pisaniu biografii Randal'a Eliota. Wielokrotnie czytał nową książkę Randal'a, *Gospodarz*.

- To najlepsza rzecz stworzona przez Randal'a - oznajmił Mary pewnej soboty przy śniadaniu. - Ale może masz już dość tych rozmów?

- Nie - odpowiedziała Mary, przytuliwszy się do Paula w świetle ognia. - Mów o niej. Ty mnie nigdy nie znudzisz. - Pocałowała Paula w brodę. - Co byś powiedział, gdyby Randal tutaj był? Powiedziałbyś mu, co o niej sądzisz?

Paul odsunął się od Mary.

- Co? Randal? Byłbym tak onieśmielony, tak oniemiały... Siedzieli przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w ogniu.

- Przemawiam w jego imieniu - powiedział Paul cicho. - W jego imieniu spisuję historię jego życia. Jestem gotów walczyć o jego reputację! - Ogień błyszczał w oczach Paula. - Że też nigdy nie udało mi się go poznać za życia. Jego geniusz jest obezwładniający. Gdyby się teraz tutaj zjawił, prawdopodobnie zachowałbym się w idiotyczny sposób: może bym zaczął krzyknąć, może pocałowałbym go w rękę.

Mary się nie odezwała, ale jej czarne oczy rozszerzyły się nieco w świetle ognia.

Paul pocałował ją i wstał.

- Śniadanie skończone. Do pracy. - Spojrzał na nią z góry. - Czasami mam ochotę spróbować ci dyktować, tak jak to robił Randal. Może jest w tym jakaś tajemna siła? Jemu na pewno to wyszło na dobre.

- Tak - zgodziła się Mary. - Bez wątplenia.

- Gdy pomyślę sobie, że w przyszłym roku będę miał książkę podpisaną swoim własnym nazwiskiem! - Paul zatrzymał się w połowie drogi do schodów. - To dzięki tobie. - Wszedł na półpiętro i powiedział: - Ty też pewnie niedługo coś wydasz. Na pewno.

„Skąd wiesz? - pomyślała Mary patrząc, jak znika na górze. - Nigdy nie zainteresowałeś się moją twórczością, nigdy nie chciałeś jej poznać.” Poszła do kuchni, wrzuciła brudne sztućce do zlewu, a potem uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

- Dzięki Bogu.

Paul zamknął drzwi swojej pracowni, umieścił się w jednym z nowych foteli. Praca zupełnie mu nie szła. Mary już nie chciała rozmawiać o Randalu, nie rozumiała, jak ważne jest to, by zrozumieć mechanizmy działania umysłu Randala... jego choroby... jak postrzegał świat.

- Dziwka - powiedział do siebie cicho. Budził się codziennie przy ogniu, który Mary włączała w kamiennym kominku sypialni. Czasami oglądał w łóżku telewizję. Czasami leżał, drzemiąc i słuchał stukotu jej maszyny. Nienawidził tego dźwięku.

Rozparł się wygodnie w swoim nowym fotelu, poczuł zapach skóry, ziewnął i uśmiechnął się. Codziennie rano po wzięciu prysznic schodził na dół. Mary, słysząc jego kroki, schodziła również na dół, żeby podać śniadanie. Czytali razem gazetę, po czym Paul udawał się na uczelnię.

Paul wstał, usiadł przy swoim nowym biurku i wyjrzał na ośnieżone pola. Mary wkładała naczynia do zmywarki; słyszał szum wody. Czasami zmywała, czasami wychodziła na zakupy. Paul przemierzał pokoje, gadał do siebie, czytał książki, schodził na dół zrobić kawę. Zgłodniał do czasu, gdy Mary przygotowała lunch.

Czy Mary pomaga ci z biografią? - spytała Hannah, gdy Paul zadzwonił do niej w marcu ze starego domu.

- Jest bardzo dobra, jeśli chodzi o krytykę powieści. Oczywiście zna też doskonale życiorys Randal'a - począwszy od jego narodzin w Nowym Jorku, a skończywszy na tym, jak wyglądał w trumnie. -Paul wyjrzał przez okno pracowni Randal'a na nagie drzewa i biały park.

- Wiesz o co chodzi? - spytała Hannah.

- Ona jest niemożliwa! Ta sama stara śpiewka - nie pozwala mi pisać o faktach: że Randal czasami trochę wariował, że pisał w „transie”, że cierpiał na depresję maniacką, że dawał się we znaki całej rodzinie. Jak można pominąć to w biografii?

- Pewnie chce być lojalna. Nie nie uznaje publicznego prania brudów...

- Boże! Zachowuje się tak, jakby prawda mogła mi zaszkodzić. Nie chce słyszeć o biografii, wolałaby, żebym napisał zbiór esejów na temat jego twórczości.

- Czy się tym zbytnio nie denerwujesz? - spytała Hannah. -Mam nadzieję, że unikasz mocnych trunków?
Paul chrząknął.

- Nie wracaj do tego! W przyszłym roku, na początku października, wyjeżdżamy na kilka miesięcy do Europy, gdzie będziemy aż do wiosny. Może tam zechce porozmawiać o Randalu.

- Jeszcze siedem miesięcy, a potem już żadnych wykładów, podróż za granicę, kochająca żona - szczęściarz z ciebie!

- Żona to świetna rzecz - powiedział Paul wesołym tonem. - Mary oddaje rzeczy do pralni, dogląda domu, robi zakupy. - Bawił się długopisami i ołówkami leżącymi na biurku Randalu. - I mamy masę pieniędzy. Ta niesamowita zaliczka za *Gospodarza* i do tego propozycja wydania masowego.
- Pozwala ci dysponować pieniędzmi?
- Uważa, że należą do nas obojga. Mamy wspólne konta. Hannah jęknęła z niedowierzaniem.
- Powinnaś przeczytać kilka recenzji. - Paul przewracał papiery na biurku. - Posłuchaj: „*Gospodarz* Randalu Eliota przełamuje niemal wszelkie ograniczenia języka i pretenduje do Nagrody Pulitzera, która tak bardzo należy się temu twórcy.”
- Mary pewnie jest szczęśliwa.
- Chyba tak, ale nie okazuje tego.
- Nie podoba jej się rola żony? Ale przynajmniej gotujesz jej te swoje słynne potrawy...
- Nie mam czasu na gotowanie - stwierdził Paul.
- Nie masz czasu?
- Omówiliśmy to, gdy się wprowadzałem. Powiedziałem jej, że nie mogę co wieczór przygotowywać kolacji, ponieważ prowadzę zajęcia i jestem związany kontraktem. Mam wyznaczony termin. Od tej biografii zależy moja posada. Nie sprzeciwiała się. Mieszkała już z pisarzem. I jest przyzwyczajona do prac domowych - wykonywała je przez całe życie. Raz w tygodniu przychodzi sprzątaczką.
- No więc co jest nie w porządku?
- Nic.
- Posłuchaj, braciszku. Znam cię.
- Ona strasznie pragnie wydać coś własnego! Nie chce mi powiedzieć o Randalu nic, co jest naprawdę ważne. Może nawet myśli, że to ja powinienem prowadzić dom, żeby ona mogła pisać. Musiałbym najpierw postradać zmysły. Pisanie to moja praca zawodowa. Dla niej to zaledwie hobby.
- Hobby?
- Po co miałyby pisać, skoro wciąż napływają pieniądze z książek Randalu? Powinna być przyzwyczajona do życia ze słynnym pisarzem. Człowiekiem uznanej pozycji. A ja wspinam się na szczyty...
- Bądź ostrożny - powiedziała Hannah suchym głosem. - Bardzo cię kocham. Nie zrób czegoś, co...

Paul odłożył słuchawkę. Ułożył długopisy i ołówki na biurku Randal w równym rzędku. Przednie narożniki blatu biurka pełne były kolistych plam. Mary powiedziała mu, że Randal stawiał tam szklanki z winem.

Paul przechadzał się po pokojach, po których hulały przeciągi; po pokojach, w których Randal Eliot pisał swoje książki, które „przełamały niemal wszelkie ograniczenia języka”. Dom pachniał starym drewnem i kurzem.

W jego własnym domu były błyszczące dębowe drzwi z mosiężną kołatką w formie twarzy. Gdy zamknął je za sobą, poczuł aromat kolacji przygotowanej przez Mary i ciepło ognia płonącego we własnym kominku.

Śniegi się wreszcie stopiły i wypełniły wodą potoki, strumienie i rzeki. Mary pracowała w ogrodzie, a Paul czasami jej pomagał przez kilka godzin, gdy nie był zajęty wykładami czy pisaniem biografii. Gdy nadeszło lato, Mary urządziła kilka przyjęć, ze stolikami ustawionymi na trawniku wewnętrznego ogrodu.

- Proponuję wznieść toast za wspaniałe, powstające właśnie dzieło Paula: *Męczeński żywot, biografia Randal Eliota*. - Doktor Butterfield wznosił kieliszek w stronę południowego słońca i członków Wydziału Języka i Literatury Angielskiej.

Paul skłonił się uśmiechnięty.

- Paul ma wszystko - powiedziała Harriet Thomson do Michele Wildner i Susan Fink. Obserwowały tę scenkę, siedząc przy stoliku na werandzie.

- Dostał kontrakt na napisanie tej książki, a w październiku jadą do Anglii i do Europy. Spędzą tam kilka miesięcy - powiedziała Susan. - Jest fanatycznym wielbicielem Randal Eliota. Pracuje w zrujnowanym domu Randal, chociaż u siebie ma do dyspozycji wielką pracownię. Pisze listy do wszystkich recenzentów, którzy ośmielają się skrytykować Eliota! - Roześmiała się. - I co? Randal wyjdzie z grobu i mu podziękuje? Sądzę, że to Mary mogłaby coś napisać na temat „męczeńskiego żywota”.

- Już nie - rzekła Harriet. - Spójrz, jaka jest szczęśliwa. Znowu odgrywa oddaną żonę pisarza. - Mary stała samotnie pod oknami tarasu i patrzyła na Paula. Harriet i Susan spojrzwały na Michele

i roześmiały się. - Ona zdobyła pieniądze Randala, ale ja wiem, kto zdobył Paula - stwierdziła Harriet. Późną nocą, gdy skończył się już szampan i zaszedł księżyc, ostatni gość pożegnał się i pojechał do domu.

- Jestem zmęczony - powiedział Paul i poszedł spać.

Mary pozmywała naczynia, opróżniła przepelnione popielniczki, pozbierała pogniecione serwetki z trawników w ogrodzie, odniosła krzesła na miejsca, poskładała stoliki, pozbierała tace.

W końcu wolnym krokiem weszła po schodach i otworzyła drzwi wejściowe. Przypatrywała jej się mosiężna twarz kołatki w wianku z winorośli; Dionizos, grecki bóg wina, dramatu i pisarzy. Zamknęła drzwi.

Paul drzemał, gdy, jak zazwyczaj, nastawiała budzik na bardzo wczesną godzinę. Leżał nagi w atlasowej pościeli. Odwinął skraj prześcieradła, i mruknął:

- Chodź do łóżka...

- Wezmę prysznic - powiedziała Mary. Ręcznik Paula był rzucony przez wieszak w łazience, a jego spodnie i koszula leżały na podłodze. Zniosła ubranie do jego pracowni, wrzuciła ręcznik do kosza z brudną bielizną i weszła pod gorącą wodę. Silny strumień splukał jej zmęczone oczy.

- *Czas pożogi* - wyszeptała w strugach wody. - Schowany w bezpiecznej kryjówce. - Bardzo trudno było jej przebrnąć w tej nowej książce poza punkt kulminacyjny, od którego akcja zaczyna wartko toczyć się ku zakończeniu. Ale zaparła się, skupiła na tej powieści wszystkie siły w obawie, że może stracić coś z bogactwa i potęgi niezwykłego ładunku, jaki w sobie niosła. Namydliła się, próbując zmyć wodą swoje zmartwienia.

Paul chciał podróżować. Byłby taki szczęśliwy, mogąc zobaczyć Francję i Anglię. Mary wytarła włosy. Pachniała mydłem. Gdy stanęła w drzwiach do sypialni, światło[^] z korytarza padło na atlasową pościel i na Paula. Był szczupły i śniady od letniego słońca. Zgasiła światło i wśliznęła się do łóżka.

Paul poczuł dotyk jej nagiego ciała i westchnął. Odwrócił się, pocałował ją, musnął dłońmi jej miękkie, wilgotne włosy, a ona poddała się całkowicie tym rozkoszom, o których jedynie czytała przez te wszystkie lata, zanim pojawił się Paul... nawet nie marzyła...

Przez całe lato Mary raz w miesiącu jadała lunch w domu Nory Gilden, gdzie na honorowym miejscu obok stołu w jadalni wisiała prababcina narzutka.

- Chciałam poprawić jej nastrój - powiedziała Nora. - Rozebrałam ją z czarnej sukienki i ubrałam w modne spodnie i włoski sweterek; spodobały jej się, bo są¹ ciepłe.

Mary uśmiechnęła się na widok zdjęcia z modną prababcią.

- Kupiłam jej perukę, ale zakładała ją tyłem naprzód. Mary śmiała się serdecznie.

- Ponieważ jest taka płaska z przodu, że ubrania na niej nie leżą, kupiłam jej wypychany stanik - powiedziała Nora. - Ale ona na wydawanych przeze mnie przyjęciach siada w kącie, szyje i wtyka do stanika igły. Nie ulega wątpliwości, że psuje to cały efekt.

- Gdzie ona teraz jest?

- Chodź, popatrz - powiedziała Nora. - Nie uwierzysz, co robi.

Mary poszła z Norą na tylną werandę. Prababcia, ubrana w modne spodnie i sweterek oraz w fartuch z koronkami, klęczała na grządce chryzantem. Od czasu do czasu prostowała się z jękiem i dalej wywijiała motyką, rzucając przez ramię chwasty na powiększający się stos na trawniku.

- Wyrwam chwasty - powiedziała, widząc Norę i Mary.

- Ręce ci krwawią - zauważyła Nora.

- Nic takiego - uspokoiła ją prababcia. - To dlatego, że po-schodziły mi odciski. W moim wieku nie należy beczynn timer przesiadywać na pokojach, powinnam była o tym wiedzieć.

Jej czarne oczy błysnęły w stronę Mary.

- Racja - zgodziła się Mary.

- Nie mogę powstrzymać jej od pracy - powiedziała Nora bezradnie.

- Na tym świecie nie ma nic lepszego nad pracę - stwierdziła prababcia. - Stara, poczciwa, dana od Boga, kojąca umysł, dająca odciski, wyciskająca pot praca. To lepsze niż przepych salonów.

- Wejdz do domu i odpocznij trochę. Zaraz będzie lunch - powiedziała Nora i zaprowadziła Mary do jadani. Gdy rozmawiały, gosposia naląła im wina. Po jakimś czasie weszła wymyta już prababcia i usiadła wraz z nimi.

- Chcę opowiedzieć Mary o narzutach, jakie robisz - powiedziała Nora.
 - Jacyś głupcy w tym mieście chcą zapłacić za moje narzuty więcej, niż mogłabym zarobić przez całe lata pracując dla Mary Louelli i jej Williama.
 - Kto to jest Mary Louella? - zainteresowała się Nora.
 - Ma dziecko i męża darmożjada. Cienko przędą w Nuncie's Landing. Nie znasz jej.
 - Sklep Chartera jest gotów zapłacić trzysta dolarów za każdą jej kapę - ciągnęła Nora. - Ale jest to zajęcie bardzo pracochłonne.
 - Na łózkach nobliwych państwa będzie leżało dzieło moich rąk - powiedziała prababcia. - Nigdy nie robiłam bubli i jestem za stara, żeby teraz zacząć partaczyć robotę dla pieniędzy. - Zamknęła oczy.
 - Powiedz, co nowego u ciebie - zwróciła się Nora do Mary. - Wyglądasz na zmęczoną. Pracujesz z Paulem nad biografią?
- Mary zwijała i rozwijała serwetkę na kolanach.
- Niewiele pomagam Paulowi. Przynajmniej ostatnio.
 - Dlaczego? - Nora uniosła brwi ze zdziwienia.
 - On... wie, że nie podoba mi się ten pomysł - powiedziała Mary.
- Prababcia spojrzała na nie z ciekawością.
- Ma męża, który sprawia jej trochę kłopotów - wyjaśniła Nora.
 - Jeszcze nie słyszałam o innym - oświadczyła prababcia.
 - Wykorzystuje chorobę psychiczną Randała do interpretacji jego powieści - powiedziała Mary. - Więc nawet nie przejrzałam tej książki. Wścieka się, jak ją krytykuję.
 - Cóż - westchnęła Nora. - Bardzo ci współczuję.
 - Wstaję wcześnie, siedzę do późnej nocy i sama piszę - powiedziała Mary.
 - Korespondencję Randała, odpowiedzi na listy od innych pisarzy?
 - Swoje własne rzeczy - odrzekła Mary. Patrzyła na zawile wzory narzutki. - Praca - powiedziała do prababci. - Dobra, stara, dana od Boga, kojąca umysł, dająca odciski, wyciskająca pot praca!
 - To wspaniale - zawołała Nora. - Dasz mi przeczytać? Co to jest? Romanse? Science-fiction? Może kryminały? Uwielbiam kryminały.

- Tak - powiedziała Mary. - Wiem, że uwielbiasz.
- Nie śmieję się ze mnie! - krzyknęła Nora. - Wiem, że powinnam kupować nowe powieści! Wiem, że powinnam czytać klasykę - kto podtrzyma literaturę przy życiu, skoro nawet nauczyciele literatury tego nie czytają? - Roześmiała się. - Ale mówiłam ci nieraz, że wielu wykładowców z wydziału literatury po powrocie do domu czyta kryminały. Beznadziejnie napisane kryminały, pełne wyświechtanych frazesów.
- Gospośia postawiła przed Mary sałatkę z krewetek.
- Nie piszę kryminałów - powiedziała Mary. - Niestety.
- Nie szkodzi - rzekła Nora. - Co Paul sądzi o twojej twórczości?
- Nawet nie ma pojęcia, co robię w pracowni całymi godzinami.
- On tak ciężko nie pracuje? Ale chociaż jadasz dobre posiłki. Mary, nie podnosząc oczu, smarowała masłem bułkę.
- Jak je sama przygotowuję.
- Sądziłam, że jest świetnym kucharzem.
- Owszem - powiedziała Mary. - Ale stwierdził, że jest profesjonalnym pisarzem i gonią go terminy. Przynajmniej je to, co ugotuję. Z Randalem miałam jeszcze gorzej.
- Możesz wynająć gospośię.
- Nie chcę mieć w domu obcych ludzi - stwierdziła Mary. - Wolę już sama wszystko robić.
- Sądzę, że masz z tego satysfakcję - powiedziała Nora. Mary spojrzała na nią, zatrzęsła długimi, ciemnymi rzęsami i powiedziała:
 - O, tak.
- Nora odchyliła się na krześle.
- A więc wszystko gra. - Mary nawet się nie uśmiechnęła. Prababcia miała zamknięte oczy i myślały, że śpi, ale nagle się odezwała.
- W pewnych sprawach są niezli. Ale jest się na nich skazanym przez całe życie. Gdyby wędrowali, jak sezonowi żniwiarze, można by ich było wynajmować, a potem odstawić. Tak by było znacznie lepiej.

W październiku ich samolot wystartował z Chicago, zatoczył krąg nad miastem i skierował się na wschód, w stronę Paryża. Mary poczuła, jak wraz z niknącymi w dole światłami opuszcza ją poczucie krzywdy. Dwa lata temu nawet nie знаła tego mężczyzny, który siedział obok niej. Teraz, gdy ziemia zniknęła za chmurami, uśmiechnęła się do Paula i wzięli się za ręce.

- Paryż! - powiedział Paul cicho, gdy złapali taksówkę do ich wspianiałego paryskiego hotelu. Chciał, żeby Mary opowiedziała mu wszystko, co Randal robił we Francji - wszystko, od samego początku. Jak tutaj cierpiał... Jak dyktował *Gospodarza*.

Mary patrzyła na paryskie ulice przesuwające się za oknem.

- W drodze do Paryża wsiedliśmy do niewłaściwego przedziału w pociągu - wspomniała. - Randal musiał dopłacić trzydzieści dolarów i był wściekły. Od samego początku martwił się naszą podróżą. Uważał, że za dużo wydajemy, że będziemy musieli wcześniej wrócić do domu.

- Pojechaliście całą rodziną.

- Tak. - Mary pomogła Paulowi odliczyć franki na zapłatę dla taksówkarza. - Gdy spędzaliśmy tu nasz miodowy miesiąc, hotel był tani, przeciekał sufit, kochaliśmy się niemal przez całą noc, a rano pokojówka weszła bez pukania... - Taksówka zatrzymała się przy krawężniku i Mary wysiadając zaśmiała się cicho.

Tym razem nie musieli dźwigać toreb podróŜnych; tragarz wniósł ich eleganckie walizki do pokoju. Mary nie musiała nosić czarnego kombinezonu i skromnych tenisówek - dzięki nowej książce Randalu stać ją było na garsonki i płaszcze z delikatnej wełny, jedwabne bluzki, koszule nocne, figi i halki. Wykąpana i przebrana stanęła przy szerokim oknie, obserwowała ruch na ulicy w dole i słyszała głos Randalu: „Dzieci się zgubią. Mówiłem im, że mają się nas trzymać.”

- Jak Randalowi przypadł do gustu ParyŜ? - spytał Paul, podchodząc do Mary i obejmując ją. Razem obserwowali ulicę.

- Od chwili, gdy wysiedliśmy na obcej ziemi, czułem się zagubiony.

- Zagubiony?

- Przerazony. Jak małe dziecko. „Co będziemy jeść? Dzieci nie trafią z powrotem do hotelu. Czy nie zabraknie nam pieniędzy?”

- Randal przerazony?

Mary uśmiechnęła się do Paula.

- Tyle razy pisałeś o psychicznych zaburzeniach Randalu, ale nie pytałeś, jak ja to znoślam.

- O tym, oczywiście, też będę chciał napisać - rzekł Paul, głaszcząc Mary po policzku.

- Te wszystkie powieści - powiedziała Mary, odwracając się od jego pieszczotliwej dłoni - są efektem jego choroby psychicznej.

Paul otworzył usta, ale nic nie powiedział. W jadalni na dole delikatne światło padało na kwiaty, wino i wykwintne potrawy.

Po samym jedzeniu, trzymając się za ręce, poszli na spacer po paryskich ulicach. Zapadał zmierzch. Pojawiły się pierwsze światła. Mary stała w objęciach Paula w samym środku tej długiej panoramy od Luwru, przez ogrody i Plac Zgody, wzdłuż Pól Elizejskich, aż do odległego, zamglonego Łuku Triumfalnego. Wzrok Paula przesunął się po jej twarzy. Jego muskularne ciało osłaniało ją przed wieczornym wiatrem. Pocałowała go, tam, w samym sercu ParyŜa, z szeroko otwartymi oczami, żeby niczego nie przegapić.

- Randal też tutaj stał - rzekł Paul. - Dwa lata temu. Krótkie, lśniące włosy Mary powiewały wokół jej twarzy.

- Tak - powiedziała i odwróciła wzrok, żeby Paul nie zauważył jej lśniących oczu.

Luwr, Notre Dame, Pompidou, Cluny, Chartres - Paul wszystko obejrzał. Dzięki temu, że mieli dość pieniędzy, podróżowanie nie było uciążliwe dla Mary: jeździli taksówkami, a Paul płacił kierowcom. Dzień rozpoczynali od kawy ze śmietanką i rogalika podawanych do łóżka, albo od *poulet au porto* - soczystego kurczaka z grzybami, porto i śmietaną, opiekanego na ruszcie i zakrapianego koniakiem.

- Roztyję się - poskarżyła się Paulowi. - Przy tobie jestem taka szczęśliwa. - Zaczerwieniła się, bo pomyślała o nocach.

W Paryżu były tajemnicze, zniszczone deszczami twarze wykute w kamieniu, twarze Francuzów, którzy mijali ich na ulicy, i twarz Paula, blisko Mary, gdy szeptał coś do niej w ciemności. W Pompidou były obrazy - takie dzikie i niesamowite jak żądza Mary. Pragnęła Paula każdej nocy. Pragnęła również biskopka, który rozpuszczał się w śmietanie z karmelowymi migdałami i tłuczonymi orzechami... homara w sosie maślanym, posypanego serem... gęsi nadziewanej kasztanami i kiełbaską... naleśników z musem jabłkowym i z rumem...

Zostali w Paryżu na Boże Narodzenie i spacerowali po świeżym śniegu. Jadali w małych knajpkach, ulicznych kafejkach i w restauracjach lśniących kryształami i srebrem. Paul mruczał Mary do ucha takie nieprzyzwoite rzeczy, że czuła się naga mimo eleganckich strojów, jakie nosiła na sobie. „Warto było” - mówiła czasami do siebie, gdy zamykała oczy, a Paul całował jej ciało.

Ostatnia noc w Paryżu była pogodna i rozgwieżdżona. Przechadzali się po Polach Elizejskich.

Paul objął Mary ramieniem. Mijali wystawy sklepowe pełne nowych samochodów, łodzi, strojów. Wielki prześwit Łuku Triumfalnego oświetlały reflektory. Za nimi była już jedynie ciemność i styczniowy wiatr.

Raz, tej ostatniej nocy w Paryżu, Mary obejrzała się przez ramię, ale nie usłyszała za sobą szurających kroków i nie ujrzała skulonej sylwetki na tle rozświetlonego Paryża.

Angielskie szeregowe domki ciągnęły się bez końca po obydwu stronach autostrady, gdy jechali taksówką z londyńskiego lotniska do miasta. Każdy z nich miał ogródek okolony wysokim murem, małe okna, komin. Paul powtarzał w kółko:

- Londyn!

Paul nalegał, żeby zatrzymali się w mieszkaniu przy Kensington Church Street.

- Chcę mieszkać tam, gdzie Randal spędził swoją ostatnią jesień - powiedział. - To dla mnie bardzo ważne.

Gdy taksówka skręciła w Kensington Church Street, pojawił się dom ze starymi, wypchanymi zabawkami w oknie, które wciąż siedziały wtłoczone za szybę. - Pamiętaj, że cię ostrzegałam, że nie jest to komfortowe mieszkanie - powiedziała Mary.

Zobaczyła sklep, w którym Randal kupił jej szklany wazonik, i ten, gdzie kupił róże...

Sklep monopolowy.

- Zaczekaj - powiedział Paul, gdy już zapłacił taksówkarzowi i wysiedli przy cichej Haverford Gardens. Mary prawie go nie słyszała. Myślami była z Randalem, gdy wczesnym rankiem wyjeżdżali do domu i opuszczali to mieszkanie.

- Opowiedz mi dokładnie, jak to było. - Paul objął ją przy furtce z kutego żelaza. Opowiedziała mu, co jej się przypomniało.

Otworzyli drzwi mieszkania. Ukazał się znany jej, ciemnoczerwony dywan. Małe łóżko Beth stało w holu, a łóżka Jaya i Dona wciąż były wepchnięte pod półki w salonie. Za bufetem widać było kuchenkę.

„Meble w stylu wcześnie podniszczonym." Paul wnosił bagaże, a Mary w tym czasie zajrzała do malutkiej łazienki.

Było tam okno, które Randal stłukł maszynką do golenia.

- Podwójne łoże - doleciał z sypialni głos Paula.

- Wtedy były dwa łóżka, ale pewnie nadal mamy wspaniałe, przykrótkie, oślizgłe nylonowe prześcieradła i poszewki, nie ma podglówek, a poduszki są twarde jak skała - powiedziała Mary i usłyszała jęk Beth dobiegający z holu - „Nie!"

W każdym miejscu pustego mieszkania widziała trójkę dzieci i Randala. „Będziesz musiał powstrzymać się od palenia tutaj... Wolno opierać łokcie na stole." Stół był ten sam; a obok ta sama lampa.

Mary stanęła przy oknie sypialni, ale nie miała tym razem ciężkiego warkocza, który mogłaby rozplatać. Tuż za ścianą mieszkania, z wyciem i zgrzytem zmieniających biegów, przewalał się ruch uliczny na Kensington.

Pasażerowie przejeżdżającego szybko czerwonego piętrusa przyglądali się Mary.

Mary rozpakowywała się i opowiadała Paulowi, jak to wtedy wyglądało - życie w dwóch światach naraz. Randal siedział w fotelu w sypialni i palił falkę, przy stole dzieci studiowały mapy, a Paul stał przy drzwiach prowadzących na małe patio i pytał, co będzie z posiłkami.

- Nie musimy wiele gotować - powiedziała Mary. - Pełno tu restauracji, tylko wybierać.

Gdy szli do Notting Hill Gate, wiał zimny wiatr, więc postawili kołnierze.

- Patrzyłam, jak Beth i Jay odchodzą tą ulicą, gdy wybierali się do Grecji - powiedziała Mary. - Myślałam, że umrę, jeśli nie będę mogła zostawić Randala i pojechać z nimi.

Paul zadawał masę pytań; nigdy nie miał dosyć rozmów o Randalu. A Mary... co ona ukrywała? Godzinami śledził rytm jej głosu. Bez końca wsłuchiwał się, jak bezbłędnie dobiera słowa w taki sposób, że każdy tworzony przez nią wyraz obrazował całą scenę; jak mydlana bańka, w której odbija się pejzaż.

- Chcę cię zabrać we wszystkie miejsca, które mi się podobały, gdy byłam tu ostatnio: muzea, Leicester Square, teatry, londyńskie Coliseum i Covent Garden, dom Johnsona i dom Sir Johna Soane- mamy kilka miesięcy, żeby to wszystko obejrzeć. Ale pamiętaj... - Mary spojrzała Paulowi w oczy - ...Randal nie widział żadnej z tych rzeczy.

- Nie widział żadnej z tych rzeczy? - zapytał zaskoczony Paul.

- Nie.

- Więc co widział przez cały ten czas?

- Kilka bibliotek. Hyde Park Corner - Mary zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć. - Greenwich.

- Nic więcej?

- Sklep monopolowy po drugiej stronie ulicy. I dom w Dollis Green, gdzie umieścił go doktor Boone, gdy zachorował.

- Co więc robił przez prawie trzy miesiące?

- Siedział w tym mieszkaniu - powiedziała Mary rozglądając się dookoła siebie. - A potem pojechał do Fairlawn.

- Pisał tutaj?

- Tak - odpowiedziała Mary. - Zostawił sporą stertę papierów.

- Dlaczego nie pokazałaś mi ich? Mówiłaś, że nie ma żadnych papierów.

- Mam je w domu - powiedziała Mary, unikając jego wzroku. - Nie przydadzą ci się za bardzo.

Dzień po dniu Paul wysłuchiwał faktów z życia Randała Eliota. Mary prowadziła go do teatrów, klaskała w dłonie i śmiała się jak dziecko, gdy sztuka jej się podobała. Zaniemówiła i wstrzymała dech, gdy na targu Portobello Paul kupił włoski naszyjnik ze srebrnego filigranu, liczący sobie ponad sto lat, delikatny jak pajęcza nić, i zawiesił jej na szyi.

- Zamykany medalion w kształcie muszki - powiedziała Mary, dotykając palcami małego, srebrnego, perfekcyjnie wykonanego owada.

- „Jam jest jedną, a ty drugą muchą...” — Paul zacytował Donne'a.

Mary włożyła jego zdjęcie do medalionu. Kupiła mu elegancki tweedowy garnitur i płaszcz zimowy. Paul wyszukał dla niej w chińskim sklepie biały wełniany sweter, obsyty kryształowymi paciorkami w kolorze różowym, zielonym i niebieskim, które iskrzyły w świetle.

W Stratfordzie, gdy szli do swoich miejsc w pierwszym rzędzie, Mary zatrzymała się na chwilę przy balustradzie.

- Staliśmy tutaj w piątkę - powiedziała do Paula.

W Greenwich znowu przechadzała się wzdłuż szeregu figur dziobowych. „Chodzimy do Tate i do Galerii Narodowej, na koncerty do Albert Hall, na spektakle do Covent Garden i na piesze wycieczki, zwiedziliśmy Westminster Abbey... A tata tylko siedzi i bazgrze.”

Mary stała przed figurą dziobową „Żałobnego posłańca” i zerknęła na Paula, który podszedł do niej. Drewniana kobieta przyglądała się Paulowi. Kobiety często mu się przyglądały.

- Co Randal myślał o tym statku i o figurach dziobowych? - spytał Paul.

- W tym czasie był już chory - odparła Mary. - Chyba nie zwracał uwagi na to, gdzie jest.
- I musiałaś wysłać Jaya i Beth samych do Grecji i Włoch - powiedział Paul, wchodząc za Mary na pokład „Cutty Sark.” Błękitne marcowe niebo nad nimi poprzecinane było pajęczyną starego olinowania.
- Randal nawet tego nie zauważył - powiedziała Mary. - Ale ja godzinami siedziałam w mieszkaniu, walcząc ze sobą. Tak bardzo chciałam wykorzystać bilet, zostawić Randala i pojechać za dziećmi!
Paul słyszał udrękę w głosie Mary. Nie powiedziała mu, że Randal całymi nocami obserwował ruch uliczny, pewny, że spadnie bomba atomowa... że stracił pieniądze, które potrzebne były na taksówki - wrzucił je do skrzynki pocztowej... że wrzucił bilet metra do futerału na gitarę... że chodził od sklepu do sklepu w poszukiwaniu jednego jajka.

„Nie mogę mu powiedzieć, co naprawdę się działo - Mary mówiła sobie czasami w duchu. - I nie mogę sobie wmawiać, że jestem szlachetna, ponieważ bronię pamięci Randala. To nieprawda. Po prostu nie mogę znieść faktu, że moje powieści są efektem tego, że kiedyś matka Randala rzuciła się pod pociąg, że Randal uciekł mi w pociągu metra i musiałam go gonić, że nie chciał przejść przez obrotową bramkę i przypiął sobie papierowego maka do dłoni.”

Paul zapisywał, co Mary mówi.

- Żaden inny biograf nigdy nie będzie znał tylu szczegółów z ostatnich dni życia Randala Eliota - powiedział do Mary, a ona popatrzyła na niego swoimi pięknymi ciemnymi oczami i powiedziała, że ma raq'ę.

Udali się do Covent Garden na *Śpiącą Królową*. Podczas antraktu Mary, ubrana w modny strój, siedziała u boku swego przystojnego męża i odpowiadała na jego niewinne pytania na temat Randala. Paul notował z tyłu programu aż do chwili, gdy przygasły światła.

Patrzyli, jak Książę natknął się na ciemny gąszcz, który otaczał *Śpiącą Królową*, i usłyszał dźwięki muzyki spoza krzaków jeżyn. Mary lekko kręciło się w głowie od wina, które wypijała podczas przerwy. Spoglądała na Paula siedzącego obok niej i na program pokryty zapiskami; jej słowami.

Mary patrzyła, jak Księżę przedziera się przez jeżyny i wkracza do ukrytego zamku Śpiącej Królowy. Pochylił się nad Królową pogrążoną we śnie w pozłaczonym łóżu.

W teatrze było ciemno, ale Mary wzięła od Paula długopis i napisała na skraju jego programu: „Znajdziesz mnie. Wsłuchuj się we mnie poza splotami moich słów.”

Mary oddała Paulowi program i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech, oczarowany wspaniałością sceny. Później, gdy przeczytał, co napisała, wyszeptał:

- Poczekaj, dziś w nocy, w łóżku... Znajdę cię...

- Opowiedz mi o pobycie Randal'a w Fairlawn - poprosił Paul. - Chcę wiedzieć o wszystkim, co zrobił, co powiedział. Gdy jechali taksówką do Fairlawn, było zimno i mokro. Jak zwykle, przed drzwiami stały półlitrowe butelki od mleka.

Zadzwonili do drzwi i otworzyła im kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch.

- Tak, kiedyś było tutaj Fairlawn, ale już dawno się wyprowadzili. Proszę wejść do środka - powiedziała, Paul i Mary weszli do korytarza i zajrzeli do salonu. „Staramy się dać naszym pensjonariuszom swobodę.”

Wszystkie meble zostały zmienione, a jednak same ściany przywodziły wspomnienie Fairlawn - jego zapachy, wielką kanapę, na której siadała Jeanne mówiąc: „Zrobiła pani to, co kobiety robiły od zarania.” Na podłodze leżały porzrzucone kawałki podartej książki. „Czy da mi pan autograf na swojej książce?” Po tym pokoju biegał nagi mężczyzna... podpałał zasłony...

Podziękowali kobiecie i wrócili taksówką do Notting Hill Gate i Haverford Gardens. Mary podała Paulowi kilka faktów związanych z Fairlawn: jak długo Randal tam przebywał, że chodził po okolicy, że było zimno.

Gdy znaleźli się z powrotem w mieszkaniu, powiedziała:

- To wszystko już minęło. Ale ten dom istniał kiedyś naprawdę. Paul nalał wina. Mary podniosła kieliszek. Na wierzchu jej

dłoni widać było brązowe plamki i skóra nie była już gładka jak dawniej.

Mary zauważyła jego spojrzenie.

- To „plamki grobowe"! - powiedziała, patrząc na swoją dłoń. - Tak nazywają je Brytyjczycy. Brrr! - Dyskretnie spojrziała w stojące obok lustro i w kiepskim świetle dostrzegła zwiótczałą skórę na swej twarzy. Nauczyła się dobrze to ukrywać, gdy mówiła, oczy jej błyszczały i wyglądała niemal młodo. Ale gdy czytała książkę, albo słuchała koncertu...

Paul przytulił ją mocno, pocałował, powiedział jej, że jest piękna. Wiedział, że nie powiedziała mu, co się naprawdę zdarzyło. Osłaniała Randalą. Miał ochotę nią potrząsnąć, żeby wyznała całą prawdę -chory Randal, Randal o skłonnościach samobójczych, okrutny ojciec, chory psychicznie mąż. Patrzył, jak pochyla się nad lustrem toaletki, jak nakłada szminkę, nucąc radośnie. Była na zakupach na Charing Cross Road, gdzie buszowała po antykwariatach, podniecona stęchły-mi zapachami, zakurzonymi skarbami. Śmiała się w Westminster Abbey, gdzie ktoś zostawił szczotkę z piór na grobie królowej Elżbiety, a wąż od odkurzacza wił się po wydeptanych kamieniach posadzki. Na ulicach Londynu gwizdał kwietniowy wiatr. Paul i Mary siedzieli stłoczeni przy małych, lepkich stolikach w pubach i rozmawiali. Rozmawiali o powieściach Randalą Eliota. Paul do późna pracował nad swoimi notatkami, a Mary spała w ciemnej sypialni, której ściany trzęsły się od ruchu na Kensington Street.

Ostatniego wieczoru w Londynie zadzwonił z Nowego Jorku George Blumberg.

- Dzwonię wyłącznie wtedy, gdy mam dobre wieści - powiedział. - A tym razem jest to wspianiała nowina! Dostałaś ofertę z wytwórni Paramount - chcą zrobić z *Gospodarza* duży film. Co ty na to?

- Film - szepnęła Mary. Odwróciła się do Paula. - Paramount chce zrobić film według *Gospodarza*\

George zaczął mówić o pieniądzach... o wielkich pieniądzach, o ogólnokrajowej kampanii reklamowej, o nowym wydaniu masowym, ze zdjęciami aktorów na okładce...

Gdy Mary odłożyła słuchawkę, przez chwilę miała ochotę powiedzieć: „To moja książka. On mówi o mojej książce."

Paul zauważył, jak zaiskrzyły się oczy Mary, gdy usłyszała tę nowinę.

- Jesteś z niego taka dumna! - powiedział. - Jesteś taka dumna z *Gospodarza!*

- Tak. - Mary rozejrzała się po pokoju z czerwoną wykładziną na podłodze. W kuchence zajaśniała nikłym światłem szklanka, łyżka, chromowana klamka. Łóżka chłopców były wepchnięte pod półki. Kiedyś na ścianie przypięta reprodukcję *Antibes* Moneta. Kiedyś w tym pokoju skończyła *Gospodarza*. Nie musiała się już kryć z pisaniem, i kartki rękopisu leżały porozrzucane wokół niej.

Paul coś mówił, ale Mary ledwie go słyszała. W tym pokoju rozmawiała z Randalem, gdy stracił wzrok: „*Gospodarz?* Nie pamiętam, jak go pisałem.”

- Mieszkałaś sama w tym mieszkaniu - powiedział Paul. -I tutaj dyktował ci *Gospodarza*.

- Sama - powiedziała Mary i usłyszała głos Randała: „Nigdy nie będę pisał. A kimże jestem, jeśli nie pisarzem?”

Mary wstała i zapaliła lampę.

- Chcę ci powiedzieć coś ważnego - rzekła. - Lubisz niespodzianki. Zostawiłam ją na naszą ostatnią noc w Anglii. Mam jeszcze jedną książkę, którą napisał Rand al. Została zatytułowana: *W kręgu modlitwy*. Dam ci ją przeczytać, gdy wrócimy do w domu.

- Nową książkę! - wykrzyknął Paul. Wino wylało mu się z kieliszka. Wytarł spodnie chusteczką. - Jeszcze jedna powieść Randała! O Boże! Nic mi nie powiedziałaś!

- Będiesz mógł ją wykorzystać w drugiej części biografii -szepnęła Mary.

- Nic mi nie powiedziałaś! - Paul patrzył na nią z wyrzutem. -To nad nią pracowałaś? To robiłaś całymimi miesiącami w swojej pracowni?

- Chciałam ją skończyć, póki miałam wszystko świeżo w pamięci. Randal dyktował ją, gdy był tak rozstrojony nerwowo, że ledwie nadążałam za tym, co mówił...

- Nie do wiary! - Paul krążył po pokoju, nie mogąc w to uwierzyć. Pisała w domu na maszynie, a jemu nawet do głowy nie przyszło...

- Lepiej chodźmy spać - powiedziała Mary.

Spakowane walizki stały przy drzwiach. Mary wśliznęła się do podwójnego łóżka w pokoju, w którym zaznała tyle szczęścia...

w tym samym pokoju, gdzie przeplakała całą noc, aż Beth i Jay odlecieli tak daleko, że nie mogła podążyć za nimi. Paul leżał obok niej i gładził jej włosy.

- Jutro już będziemy w domu. Z pewnością chętnie opuścisz to mieszkanie, w którym spędziłaś tyle czasu w samotności.

Mary zawahała się przez chwilę. Jej tajemnicze, ciemne oczy utkwione były w Paula. Nagle zaśmiała się, jakby kpiąc z niego.

- Mylisz się - powiedziała.

- Nie przeszkadzało ci to? - Paul oparł się na łokciu, żeby na nią spojrzeć.

- Bardzo mi się to podobało! - Mary nachyliła się ku niemu. - Nigdy przedtem nie mogłam iść tam, gdzie chciałam, przebywać tam tak długo, jak chciałam, wydawać własnych pieniędzy, leżeć w łóżku do południa, albo w ogóle się nie kłaść. To był raj!

Paul wpatrywał się w nią. Mary spoważniała.

- Nie znasz mnie zbyt dobrze - powiedziała.

- Nie znam? - mruknął Paul. - Nie znam? - Przyciągnął ją do siebie i kochał się z nią, aż krzyczała, jęczała, z trudem łapiąc powietrze.

Gdy Paul zasnął, Mary patrzyła, jak migają światła przejeżdżających samochodów.

Ile książek będzie musiało się pojawić, zanim krytycy zaczną się zastanawiać: „Coś tu się nie zgadza. Martwy człowiek nie może spłodzić tylu książek.” I wtedy Paul się dowie. Dowie się, popatrzy na nią i przypomni sobie... Poza odgłosem ulicy słyhać było zewsząd przytłumiony pomruk Londynu, który poruszał się, mruczał, oddychał wokół pomieszczenia, gdzie leżała Mary, przypominając sobie tłący się węgielek i sylwetkę siedzącą w mroku.

To jest dom rodzinny Randal Eliota - powiedział Paul pewnego gorącego popołudnia, wolno i cierpliwie wymawiając słowa, jakby trzeba było dać trochę czasu Mary, aby to zrozumiała. - Jeśli go teraz nie ocalimy, to kto go urządzi tak jak należy? Pamiętasz dokładnie, jak wyglądał.

Mary rozejrzała się po starej sypialni Beth, pustej i spokojnej w świetle ostatnich dni maja.

- Przez całe dzieciństwo spałam w łóżku firmy Jenny Lind. Beth też spała w nim przez całe lata.

- Wiem, że masz słabość do mebli - powiedział Paul tym samym, cierpliwym tonem. - To zrozumiałe. Ale w tym wypadku należy myśleć perspektywicznie. Randal Eliot jest w tym miasteczku jak Szekspir, Milton czy Keats. Co się stało z domami tych pisarzy? Zostały zachowane. Wypełniono je autentycznymi sprzętami.

- Nie chcę oddać swoich mebli - powiedziała Mary.

- Odtworzymy kolor, na jaki pomalowany był dom, gdy pisał w nim swoje książki - entuzjasmował się Paul. -

Dywany się nie zmieniły, ale może powinniśmy położyć takie same tylko nowe, pomalować ściany i stolarkę wewnątrz, uszczelnić przeciekającą piwnicę. Nie rozumiesz? Jesteś właścicielką tego domu! Możemy go dokładnie odtworzyć i ofiarować go miastu! Mamy pieniądze. Nikomu tak nie zależy na zachowaniu domu Randal jak nam. Paul wpatrywał się w Mary rozdrażniony. Jej opór sprawił, że podniósł głos.

- Ludzie przyjdą zwiedzać ten dom! Kupią moją biografię, w której będzie też mowa o tobie - jak mu pomagałaś, jak go zachęcałaś, jak ci dyktował. Ten dom będzie również pomnikiem dla ciebie.

Mary się nie odezwała. Znowu sprzeciwiała się czemuś, na czym tak bardzo mu zależało. Paul nie spuszczał z niej swych niebieskich oczu.

- Od miesiący mi nie pomagasz - nie pomagałaś mi ani w Paryżu, ani w Londynie, ani tutaj! Randal był chory psychicznie! Był nieszczęśliwy! A ty mówisz mi tylko, co Randal myślał o innych pisarzach, jakie książki czytał po kilka razy - nic naprawdę ważnego! Świadomie ukrywasz to przede mną! Jak mogę napisać tę książkę, dostać dożywnię posadę na uczelni, dojść do czegoś?

Twarz Paula stała się biała. Mary ruszyła w stronę drzwi, ale Paul skoczył i zagroził jej drogę. Złapał ją za ramiona i potrząsnął, aż jej krótkie, lśniące włosy rozkołysały się w przód i w tył.

- Musisz mi pomagać! - warknął. - Usiłuję napisać książkę naukową. Żyjesz z pieniędzy Randala, jadasz obiady z jego przyjaciółmi - i nawet nie chcesz pomóc w jego sprawie!

Jego uścisk był bolesny. Mary próbowała się wyzwolić, ale on przyciągnął ją do siebie, aż jej twarz znalazła się tuż obok jego wściekłych oczu. Nie patrzyła na niego, odpychała się od jego piersi, usiłując się uwolnić.

- Randal był chory psychicznie! - wrzeszczał Paul.

- Gdy pisał, był zupełnie normalny - powiedziała cicho Mary.

- Był chory psychicznie! Miał wypaczony obraz świata! I nie możesz tego zmienić! Kiedyś myślałem, że go chronisz

- ale to nieprawda! - Puścił ją tak gwałtownie, że omal nie upadła na podłogę, po czym przycisnął ją do ściany. -

Zazdrościsz mi! O to chodzi!

Mary, patrząc na niego, zdała sobie sprawę, że miał ochotę ją uderzyć. Od razu stała się tak zimna i ostrożna jak nigdy w obecności Randala.

- Zazdrościsz mi! - warknął Paul. - Niedługo ukaże się moja książka, a tobie nic nie udaje się wydać! O to chodzi, prawda? Dlatego nie chcesz mi pomóc!

- Uważam, że powinieneś pisać o jego dziełach, a nie o nim - powiedziała Mary. Jej słowa brzmiały jak wyzwanie, ale mówiła cichym, spokojnym głosem, jakby przemawiała do psa z obnażonymi kłami.

- Przestań! - wrzasnął. - Wydaje ci się, że kim jesteś? Pisałaś tylko to, co Randal Eliot ci dyktował!

Mary odepchnęła go, wypadła na korytarz i zbiegła po schodach. Stała przed drzwiami wyjściowymi, rozcierając obolałe ramiona. Głos na górze dudnił jak echo:

- Nie masz nic do roboty! To musi być przyjemne! Ja pracuję... Piszę... Rozumiesz, co to znaczy? - Głos Paula zbliżał się wraz z tupotem jego stóp na schodach. - Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, co to znaczy napisać książkę naukową?

Mary zbiegła do samochodu po schodach, które ledwie widziała przez łzy, i pojechała do domu.

Tulipany, żonkile, narcyzy i hiacynty kołysały się na wietrze w ogrodzie Mary. Siniaki na ramionach zmieniły kolor z czerwonego na ciemnoniebieski, potem na zielony, brązowy i żółty. Paul całował je i mówił, że bardzo mu przykro. Kochała się z nim, jakby mu wierzyła, jakby ich noce były zbyt krótkie dla spróbowania wszystkich rozkoszy miłości.

- Sto lat temu wróciłaś z Anglii i nawet się nie pokazałaś! - powiedziała Nora Gilden, gdy Mary przyszła na lunch. W wielkim domu Nory było chłodno. Mary odetchnęła z ulgą, chroniąc się przed upałem, który panował na zewnątrz. - Byliście tam tak długo, że powinniście dostać obywatelstwo brytyjskie.

- Tęskniliśmy do takiej pogody - odparła Mary. - Maj i tak gorąco! Nie do wiary. - Mary miała na sobie ładną, różowo-czerwoną letnią sukienkę i uśmiechała się do Nory.

- Dobrze się bawiliście? - spytała Nora.

- Jak to w czasie miodowego miesiąca.

- Aha - powiedziała Nora. - Fajnie było?

- Dość przyjemnie - odrzekła Mary.

- Widziałam Paula na uczelni. Ale przystojny! Mówi, że praca nad książką postępuje do przodu.

- Mnie mówi to samo.

- A jak tam twoja własna twórczość?

- Moja? - Mary wzruszyła ramionami. - Nie miałam czasu. Kupowałam meble. Słyszałaś o stworzonym przez Paula muzeum Randal Eliota?

- Coś niesamowitego!
- Uparł się, żeby wstawić tam z powrotem wszystkie meble -nawet moje dziecinne łóżko z drewna klonowego, które stało w pokoju Beth. To już dziś ma się odbyć ta przeprowadzka. Muszę tam być, żeby powiedzieć, co gdzie stało, gdy Randal tam mieszkał.
- Niezbyt to miłe, prawda?
- To tak, jakbym stała jedną nogą w przeszłości - powiedziała Mary. - A te nowe meble, to już nie to samo... Są ładne, ale to po prostu... meble. Paul chce, żebyśmy wszystko ustawili tak, jak za czasów Randała; żebyśmy kupili nowe dywany, odnowili piwnicę...
- Domyślam się, że będzie pobierał opłaty za wstęp? Mary skrzywiła się.
- Wiesz, że można zwiedzać dom tylko jednej znanej pisarki? Jest zamek Sir Waltera Scotta w Abbotsford i dom Henry'ego Jamesa w Rye... dwa domy Dickensa, domy, które należały do Kiplinga, Shawa, Szekspira, Keatsa, Milona, Wordswortha, Coleridge'a... ale słynne kobiety? Można zaledwie obejrzeć stół Jane Austina. Można obejrzeć pudełko do pisania należące do sióstr Bronte.
- Nora potrząsnęła głową. Mary westchnęła spoglądając na narzutkę prababci wiszącą na ścianie.
- Powiedz, co się tu działo podczas mojej nieobecności. Zasiadły do lunchu, a Nora sięgnęła do wielkiej kartoteki nowinek, którą miała w głowie. Mary usiadła wygodnie i słuchała z przyjemnością. Czasami Nora rzucała tylko hasła. Czasami dopowiadała coś więcej. Z kilku ważnych wydarzeń zdała dokładną relację; do kilku innych dołączyła swój komentarz.
- Cudownie! - od czasu do czasu rozlegał się okrzyk Mary. -Cudownie! - Gdy jadły szarlotkę, weszła prababcia, ciągnąc za sobą bujany fotel.
- Sklep Chartera z artykułami domowymi zaproponował prababci, żeby wystąpiła w telewizji i zaprezentowała swoje narzutki. Ale ona nie chce. Jutro wyjeżdża.
- A kto by chciał? - zachnęła się prababcia. - Tylko pomyśl. Co masz takiego, do czego przywiązujesz wielką wagę?
- Nie wiem - odrzekła Nora. - Może mojego nowego buicka?
- No dobrze - powiedziała prababcia, wpatrując się bacznie w Norę swymi czarnymi oczyma. - Kiedyś zaproszą cię do telewizji, żebyś zaprezentowała swojego starego buicka - o ile dopisze ci

szczęście i jeszcze go będziesz miała. Staniesz tak, stara i śmieszna, i będziesz opowiadała im o swoim śmiesznym, starym buicku w telewizji albo w czymś, co będzie wtedy zamiast telewizji. Mam taką nadzieję, bo należysz do mojej rodziny i byłaś dla mnie strasznie miła.

Siedziały przez chwilę, ze wzrokiem skierowanym na skomplikowane biało-niebieskie wzory narzutki prababci: delikatne cienie niebieskiej wełny na białej bawełnie... i białe na niebieskim -w kształtach skrzydeł i owali, liści, krętych ścieżek, pojawiających się i znikających.

- Podwójne koła rydwanu - powiedziała Mary.

- Mam też koło czasu - powiedziała prababcia. - Znam ten ścieg od swojej prababci. Mam „szlak ślimaka” i „koronkę” i „kompas”... „sosnową poświatę”... „marsz Bonapartego”...

- I będzie pani pomagała Mary Louelli? - spytała Mary.

- Pomagała? - Oczy prababci migotały w jej starej twarzy jak małe, czarne węgielki. - Oni są ludźmi gór. Można ich tylko pogrzebać. Pozwolą sobie pomóc przy własnym pochówku.

- Gdy umrą z głodu - powiedziała Mary.

Prababcia wyciągnęła igłę z nitką, którą miała wpiętą w przód swojej włoskiej bluzki, zawiązała supełek na końcu nici i wsadziła ją z powrotem na miejsce z takim impetem, że Mary aż się skuliła.

- Nie umrą. Mają małą, słabą, starą prababcie, która się do nich wprowadzi i zajmie się nimi. I będę musiała siedzieć w domu, uczyć ich, jak się zakłada osnowę, dowiązuje nitki i tka, uczyć o nicielnicach, o jej strunach, jak się odtłuszcza i barwi wełnę. -Rzuciła okiem na narzutę wiszącą na ścianie. - Żeby mogli robić takie rzeczy, za które głupcy płacą majątek.

Mary pożegnała się z prababcią i wyszła od Nory. Pojechała na spotkanie z Paulem. W gorące majowe popołudnie ludzie ubrani w szorty, koszule i sandały wyszli do parku, a przed starym domem stała już ciężarówka do przeprowadzek. Mary zaparkowała kawałek dalej i siedziała przez chwilę w samochodzie, patrząc, jak mężczyźni wnoszą na ganek ramę jej klonowego łóżka firmy Jenny Lind. Dwa lata temu łóżko to wędrowało w przeciwnym kierunku.

Błyszczące klonowe deski zniknęły jej z oczu. Pograżyły się w przeszłości jak scena z filmu odtwarzanego od końca. Weszła do domu.

- Mary? - krzyknął Paul z piętra. - Powiedz, gdzie postawić to łóżko?

- Tam - powiedziała ostrym tonem Mary, gdy dotarła do sypialni Beth. - W rogu. Nie, trzeba je odwrócić w drugą stronę.

Beth pomalowała ten pokój na żółto. Na ścianach widać było pęknięcia, a sufit, jak starą skórę, pokrywała siatka zmarszczek. Ale łóżko i szyfonierka zostały odnowione; piękne meble w zapuszczonym pokoju. Niebieskie oczy Paula lśniły podnieceniem.

- Teraz ten pokój wygląda dokładnie tak jak wtedy, gdy mieszkał tutaj Randal!

Mary pogładziła dłonią ciepłą fakturę klonu. Ludzie od przeprowadzek zeszli na dół. Paul objął Mary i wyszeptał:

- Teraz będziemy mieli tutaj podwójne łóżko. Co ty na to? Mary przytuliła się mocno do Paula, pogłaskała jego miękkie, gęste włosy i pocałowała go.

- Teraz jadalnia! - zawołał Paul. - Tak, jak za czasów Randala!

Paul chciał powiesić w salonie te same zasłony, które Mary znalazła na strychu - wypłowiałe, zniszczone od słońca.

- Takie starocie? Podrą się - powiedziała Mary. - Spróbuję kupić taki sam materiał.

Przez tydzień myszkowała po sklepach z materiałami, po chłodnych zakamarkach magazynów. W końcu znalazła to, czego szukała.

Wsadziła belę materiału do samochodu, kupiła lemoniadę i lody i pojechała do starego domu. Paul pracował tam, „żeby czuć się bliżej Randala”.

Gdy jechała wzdłuż parku, nawiedziły ją wspomnienia z przeszłości; tak bliskie i ciężkie, jak zwisające nad ulicą gałęzie drzew pełne liści. Przypomniła sobie, jak dzieci były małe i chodziły nieporadnie przy jej boku.

Przypomniła sobie, jak krzyczały na parkowych huśtawkach, jak grabiły liście, żeby budować z nich domki, jak zjeżdżały na sankach po śniegu na wzgórzu przy Walnut Street.

Westchnęła i uśmiechnęła się myśląc tym razem o podwójnym łóżku w starym domu... w letnie popołudnie... Weszła po frontowych schodach, omijając skrzypiące deski, i bezszelestnie otworzyła drzwi.

Paul lubił niespodzianki. Niespodzianką były meble do jego biura, podróż do Europy i nowy samochód.

Pokoje były bardzo nagrzane, z zatęchłym, starym, znajomym zapachem. Panowała cisza. Paula nie było w pracowni Randała. Na podłodze wokół krzesła Randała leżały porozrzucane papiery.

Na biurku leżała nowa książka Randała, *W kręgu modlitwy*. Poprzedniego wieczoru dała Paulowi maszynopis.

- Przyniosłam ci tę książkę w Anglii, pamiętasz?

- *W kręgu modlitwy* - głos Paula był niezwykle uroczysty. - *W Kręgu modlitwy* - powtórzył tytuł, jakby naprawdę się modlił.

- Wolałabym o niej nie rozmawiać, póki nie przeczytasz - powiedziała Mary. - Jest trochę inna.

Jej książka. Mary westchnęła i wyszła z pracowni. Stół w jadalni, który wyniesiono z jej nowego domu, stał z powrotem na swoim starym miejscu i był zavalony książkami z biblioteki. Dotknęła oparcia krzesła w jadalni. Ten zestaw należał do jej rodziców. Tęskniła za starymi meblami - solidnymi, tak jej dobrze znanymi. Paul nazwał to miejsce „Domem rodzinnym Randała Eliota”.

W zlewie kuchennym leżały brudne naczynia i dwie puste butelki po whisky. „Żałuję, że nie byłem lepszy dla Sandry. Gdy piję, jestem impulsywny” - przypomniała słowa Paula, wypowiedziane w ciepłe słońca jej ogrodu.

Prawie trzy lata upłynęły od czasu, gdy nadszedł pierwszy, duży czek Randała. Stał w drzwiach tej kuchni i wrzeszczał: „Jedziemy za granicę, idiotko!”

Mary wsadziła lody do zamrażalnika w lodówce. Jej drzwiczki wciąż miały zepsuty zamek i podkładało się ten sam stary zwitek tektury.

Przeszła na palcach przez pracownię, omijając sterty papierów. Paul na pewno jest na górze... może uciał sobie drzemkę. Uśmiechnęła się na tę myśl ledwie zauważalnym, grzesznym uśmiechem i idąc przez salon zaczęła rozpinąć bluzkę.

Nagle zatrzymała się u podnóża schodów.

Na podłodze leżała damska koszulka. Na jednym stopniu - szorty, na drugim - biustonosz. Jedna z poręczy ozdobiona była koronkowymi figami bikini.

Zanim Mary zdążyła odwrócić się i odejść bezszelestnie, usłyszała śmiech Paula dochodzący z sypialni Beth i, w odpowiedzi na to, kobiecy chichot.

- W tym starym łóżu? Na podłodze jest chłodniej. Był to głos Michele Wildner.

Dzień minął bez najmniejszego powiewu wiatru. Świeże liście przesłaniały latarnie, a nad podwórkami i alejkami unosił się zapach lilii.

Na parterze dom Randal Eliota był chłodny, ale w sypialni panowała duchota.

Paul zostawił Michele leżącą na podwójnym łóżku i włączył wentylatory zamontowane w oknach na piętrze.

„Stara rudera” - pomyślała Michele, rozglądając się po pomieszczeniu, które było kiedyś zapewne pokojem dziecięcym; na ścianach wisiały plakaty z Europy, przy drzwiach stało tekturowe pudełko ze zwierzętami z porcelany...

- Ten pokój należał do jednego z dzieciaków Randal? - spytała Michele, gdy wrócił Paul. Musnęła palcami deski klonowego łóżka.

- To był pokój Beth - powiedział Paul. - Wstawiliśmy z powrotem wszystkie meble i to łóżko, które Mary miała od dziecka. Jest tak, jak wtedy, gdy Randal tutaj mieszkał. „Dom rodzinny Randal Eliota.”

- Wiesz wszystko o Randalu Eliocie - powiedziała Michele, przyciągając Paula do siebie, aż zetknęły się ich nagie ciała. - Światowy ekspert.

- Powiniennem nim być - wymamrotał Paul, przesuwając dłonie po gładkiej, młodej twarzy Michele, po jej gładkim, młodym ciele, słysząc odległe krzyki dzieci bawiących się w parku.

- Muszę iść - powiedziała Michele i pocałowała Paula.

- Przyjdiesz jutro? Około trzeciej? - spytał Paul, wyciągając się leniwie na ocienionym łóżku Beth.

- Na razie. - Michele ubierała się po drodze na dół, zatrzymując się przy drzwiach wyjściowych, żeby zawiązać tenisówki.

Nadciągała burza. Za drzewami parku błysnęło i rozległ się grzmot. Trójka dzieci w kostiumach kąpielowych przebiegła pod latarnią; wyszły z basenu miejskiego, żeby zdążyć do domu przed deszczem.

Na niebie rozległ się groźny pomruk.

Mary usłyszała go, siedząc skulona w ciemności na swej niebieskiej kanapie. Oświetliło ją ostre światło, jaśniejsze od dnia. Po jej twarzy spływały łzy.

Błyskawica oświetlała na biało drzewa na tle czarnego nieba. Michele pobiegła wśród pierwszych, ciężkich kropli, a gdy deszcz zaczął bębnić o szyby, weszła do swego mieszkania.

- Chciałbyś mnie dostać! - krzyknęła na grzmot, który przetoczył się gdzieś na górze.

- Jak tam Paul? - spytała Teresa, jedząc ser zwisający z pizzy.

- Co Paul?

- Stęsknił się za tobą?

- Cóż, był mnie pozbawiony całe dwanaście godzin - powiedziała Michele. - To jakby sto lat. - Rzuciła się na kanapę, i przymknęła oczy. - Daj mi trochę. - Teresa podała jej pudełko z pizzą. - Ale dom.

- Stary - powiedziała Teresa.

- Zaniebany. Jakieś śmieci po dzieciach. W szafach wciąż wiszą ich ubrania. Czuć stęchlizną. Boczna weranda się rozpada. Kuchenka i lodówka pochodzą z zamierzchłych czasów, a Paul jest zakochany w każdym pęknięciu sufitu, w każdej drzazdze, w każdej szczelinie, ponieważ „mieszkał tam Randal Eliot”.

- Jaka jest Mary Eliot?

- Stara. Paul mówi, że ma pięćdziesiąt lat.

- Rozpada się jak ta weranda? Też ma pęknięcia, drzazgi i szczeliny?

- Kochana, ona ma pieniądze. - Michele oblizwała palce.

- Ty nie masz.

- Pieniądze to nie wszystko, inaczej nie uganiałby się za mną. Daj mi jeszcze.

Teresa położyła pudełko na kanapie.

- Idę pod prysznic. Harley zabiera mnie na obiad.

- To dlaczego jesz pizzę?

- Tylko kawałek. Możesz zjeść resztę - odparła Teresa. - Co będzie, jeśli Mary zechce odwiedzić swoje dawne domostwo i zastanie zajęte łóżko?

- Podobno nigdy tam nie przychodzi... uwielbia swój nowy dom. Poza tym jest żoną Paula, więc jest szczęśliwa, a Paul jest biografem Randal Eliota, więc on też jest szczęśliwy. A ja się świetnie bawię! - Michele uśmiechnęła się i pochwyliła kawałek sera zwisający z pizzy. - I wszystkim jest dobrze!

Ulewny deszcz zelżał i ustał. Gdy Michele poszła, Paul zszedł na dół. Teraz był sam na sam z maszynopisem Randal. Spojrzał na niego, dotknął i zaczął krążyć po domu Randal Eliota.

W pochmurną noc wcześniej zrobiło się ciemno; dom był jak wyspa, odcięty od sąsiadów, ulicy, parku, miasta. Paul stał w pokoju na górze, w którym kiedyś sypiał Randal, i patrzył na park. W tym miejscu została napisana książka *W kręgu modlitwy*.

Paul, schodząc na dół, przejechał dłonią po poręczu; ile razy Randal dotykał tego drewna? Usiadł ciężko w zniszczonym fotelu Randal i odchylił oparcie. Maszynopis leżał na stoliku obok. Po chwili Paul wykrzyknął: - Teraz ja przemawiam za ciebie! Będziemy obydwaj sławni!

Zerwał się z fotela, żeby otworzyć w kuchni butelkę whisky. Nalał sobie drinka i stanął pośrodku pracowni Randal.

- Za twoją nową powieść! - krzyknął do Randal i wznosił szklanekę z whisky w stronę świetlnej poświaty z parku. - I za mnie!

Wypił do dna.

- I żebym był sławny - wrzasnął i wydawało mu się, że ciemny dom odpowiedział nikłym echem: „Sławny”.

Po godzinie przestał spacerować i marzyć. Był zbyt pijany, żeby czytać. Był zbyt pijany, żeby jechać do domu.

Zadzwoił do Mary i powiedział jej, że zostanie, żeby dokończyć powieść. A potem poszedł spać.

Będę bardzo powoli czytał nową książkę - oświadczył Paul, gdy zadzwonił do Mary następnego ranka. - Zostanę tutaj, w domu Randal, żeby czuć jego ducha, jego natchnienie...

- Rozumiem - powiedziała Mary bezbarwnym głosem. - Siedzisz tam i wczuwasz się w ducha Randal.

- To coś wspaniałego - zawołał Paul radośnie. Mary milczała.

- A potem będę chciał przejrzeć te notatki Randal, o których mówiłaś mi w Londynie.

- Mam je tutaj w szafie w podpisanych pudełkach - powiedziała Mary. - Nie zapomnij, że na przyszły poniedziałek zaprosiliśmy na kolację pracowników wydziału.

- Skończę do tej pory. To masa czasu. Czuję się jak w raju. Wiesz, jak jestem zakochany w każdym słowie napisanym przez Randal. Czy możesz wyobrazić sobie, jak się czuję, gdy mam jego nową książkę?

Mary odparła, że owszem, może sobie wyobrazić, i skończyła rozmowę. Skuliła się pod atłasową pościelą, a w uszach dźwięczało jej echo głosu Paula, pełnoprawnego biografa Randal, męża Mary Quinn, naukowca uniwersyteckiego.

W domu panowała cisza. Mary usłyszała, że drogą jedzie śmieciarka. Zatrzymała się, wyskoczyli z niej robotnicy i zaczęli hałasować pustymi puszkami i butelkami. Mary sama wynosiła śmieci. Paul przestał to robić dawno temu.

Poranne słońce oświetliło pokój. Skryła się przed nim, zasłoniła twarz i przypomniała sobie, jak rozmawiali o powieściach... jak leżała w ramionach Paula...

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie mogła już dłużej leżeć, musiała przygotować przyjęcie dla wydziału na poniedziałkowy wieczór. Przyjdzie Michele Wildner i będzie się uśmiechała do żony Paula Andersona, podczas gdy Paul będzie zabawiał swoich gości, tłumacząc im, że choroba psychiczna Randal'a Eliota jest kluczem do jego wspaniałej twórczości...

Mary otarła swoje mokre oczy. Znowu będzie musiała pożyczyć od Nory składane krzesła. Nie zadzwoniła jeszcze do kwiaciarni...

- Moja praca! - Mary wyszeptała do mokrej poduszki. - Moje książki. - Przez chwilę przypomniała sobie kobiece fatałaszki porzucane na schodach.

Wyskoczyła naga z łóżka i obejrzała się w lustrze.

- Jesteś Mary Quinn - powiedziała ze złością cichym głosem, a Mary Quinn w lustrze po drugiej stronie pokoju spojrzała na nią chłodnymi, zmrużonymi oczami.

Jej nowa drukarka potrafiła wydrukować całą powieść w ciągu kilku godzin. Mary przeszła naga przez korytarz i stanęła przed komputerem. Poszukała dyskietek, włożyła pierwszą z nich, przygotowała papier i patrzyła, jak przybywa zadrukowanych stron.

Hannah pojechała do Omaha, gdzie szukała klientów dla swojej nowej firmy Hannah Anderson Inc. Pracowała do późna. Była druga w nocy, gdy w końcu położyła się do łóżka i zasnęła.

Zadzwonił telefon.

- Hannah! - usłyszała głos brata.

- Jest trzecia nad ranem! Gdzie jesteś? - odezwała się Hannah zaspanym głosem.

- W domu Randal'a. Muszę z tobą porozmawiać o książce - nowej książce Randal'a...

- Dzwonisz do mnie o trzeciej nad ranem, żeby rozmawiać o książce?

- Wszystko w niej jest! - krzyknął Paul.

- Wszystko co? Poczekaj chwilę - zapalę światło i naleję sobie drinka.

- Zbiór rękopisów z Muzeum Brytyjskiego... Czytaliśmy te wszystkie listy!... Ścięcie Mary, królowej Szkocji! Teatry londyńskie, Covent Garden - to wszystko jest w tej powieści!

- Już jestem - powiedziała Hannah. - Co mówiłeś?

- Właśnie skończyłem nową książkę Randała! Mary dała mi ją w zeszły czwartek. Czytałem ją bardzo dokładnie przez kilka dni i -mój Boże - od razu widać, że to Mary przepisywała pracę Randała! Umieściła w niej rzeczy, które oglądaliśmy razem w Londynie.

- Ale Randal też był w Londynie.

- Nigdy nie był w tych miejscach, sama Mary mi to powiedziała! Z tego wynika, że dodała różne rzeczy do powieści Randała! Kto może wiedzieć, które fragmenty są jego? To właśnie pisała przez cały czas na tej swojej maszynie.

Oczywiście, że nie chciała, żebym zobaczył...

- Może robiła tak od początku? - powiedziała Hannah.

- Co?

- Pomagała mu pisać.

- Pisała to, co on dyktował... Zna każde słowo jego powieści! Ale co z tą nową książką? Jeśli się nią zabawiała...

- Jest dobra?

- Jest doskonała! Ale jak mogę pisać biografię Randała, skoro nie wiem, w jakim stopniu zmieniła jego książki?

- Spytaj ją.

- Powiedziała, że zrozumie, co zrobiła, gdy przeczytam *W kręgu modlitwy*.

- Cokolwiek zrobiła, nie zaszkodziło to powieściom.

- Kto wie?

Hannah roześmiała się.

- Może ma talent do niszczenia dobrych powieści, w efekcie czego stają się arcydziełami?

- Mogę zrobić tylko jedną rzecz - rzekł Paul. - Powiedziała mi w Londynie, że ma notatki Randała, które mi pokaże. Przyjrę im się jutro.

- To brzmi rozsądnie... Nie możesz wrócić do domu i oskarżać jej o wszystko. I pamiętaj, żebyś nie pił. Nie zaczynaj od nowa...

- Obejrzę je. Zobaczę, jak się mają w porównaniu z ostateczną wersją powieści.

- Zadzwoń do mnie. Pomyśl o swoim cudownym życiu, które wiesz u boku Mary: piękny dom, pieniądze, podróże, pisanie

własnej książki... zawsze chciałam, żebyś to osiągnął. Zadzwoń do mnie natychmiast, jak się czegoś dowiesz. Obiecujesz?

Paul obiecał, że zadzwoni, i pożegnał się. Wypił jeszcze kilka drinków i chodził po mieszkaniu. Wentylatory wtłoczyły na górę chłodniejsze, deszczowe powietrze. O świcie położył się do wilgotnej pościeli klonowego łóżka. Nad ranem zaczęło padać. Padało przez cały ranek. W południe grzmiało i błyskało, ale Paul tylko jęknął przez sen i przewrócił się na drugi bok. Gdy usiadł na łóżku przecierając oczy, była już trzecia po południu. Zszedł na dół, żeby wziąć prysznic. O piątej zachciało mu się jeść. Mary na pewno przygotowała kolację.

Wciąż padało, gdy jechał do Cedar Ridge. Zauważył, że nie ma samochodu Mary. Pewnie wybrała się na zakupy. Nic nie było przygotowane do jedzenia. Kuchnia była posprzątana, otwarta zmywarka pusta. Zjadł kawałek chleba z masłem, napił się kawy i poszedł na górę do pracowni Mary.

Jak zwykle panował tu porządek. Wspaniałe bluszcze zwieszały się ze świetlików w suficie i wyglądały jak ogromne drzewa bez pni. Na oknie wisiały zasłony, tworząc ścianę z różowych, lawendowych i niebieskich pasków. Na stoliku stała nowa drukarka - na co czekała? Na więcej „pracy” nad książkami Randała Eliota? Paul zaklął.

Na czterech pudełkach na górnej półce szafy było napisane charakterem Mary: „Notatki Randała”. Paul zdjął je, wściekły na myśl, że od ponad roku spał o kilka metrów od głównego źródła informacji.

Otworzył ostrożnie, z namaszczeniem, pierwsze pudełko. Litery pisma Randała były zaokrąglone, wyrazy pisane rozwlekle. Linijki opadały do dołu.

Pudełko pełne było zużytych kopert, co Paul natychmiast zauważył. Stały pionowo, owinięte gumkami, a na ich tyłach coś było popisane.

Pierwsza sterta, której się przyjrzał, musiała się tam znaleźć przez pomyłkę. Na każdej kopercie widniały jakieś kulfony, jakby narysowane przez kilkuletnie dziecko ostro zatemperowanym ołówkiem.

Druga sterta nie różniła się niczym od poprzedniej, oprócz tego, że w niektórych miejscach ołówek przebił się na drugą stronę, jakby ktoś dźgał nim kopertę.

Paul wyjmował paczkę za paczką, aż opróżnił całe pudełko. Przekartkował wszystkie; były takie same. Czy to jakiś żart Mary? Odsunął pudełko na bok i otworzył następne, a potem jeszcze następne. Obejrzał wszystkie powiązane zawiniątka. W ostatnim pudełku były koperty dłuższe i węższe, jakich używa się w Wielkiej Brytanii; każda z nich pokryta była bazgraniną, której linijki opadały na dół, na każdej stronie można było dojrzeć zaledwie kilka czytelnych liter lub słów: „atomowy”, „św. Dawid”, „kredki dla Peggy” - napisanych charakterem Ran-dala, rozwlekłym, lecz czytelnym.

- To jakiś żart! - wykrzyknął Paul. - To po prostu jakiś żart! Chce zrobić ze mnie głupca?

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Pewnie Mary zapomniała klucza. Podbiegł do okna i cofnął się na widok samochodu szefa swojego wydziału... Zaraz za Butterfiel-dem podjechali Bill Rivers i Hugh Bond...

O Boże!

Przyjęcie!

Poniedziałkowa kolacja dla pracowników wydziału! W kuchni nie ma nic do jedzenia... Nic nie jest przygotowane...

Nie ma samochodu Mary... Znowu zadzwonił dzwonek.

Paul usiadł na łóżku. Nie ma go tu. Też wyszedł. To pomyłka. Drzwi są zamknięte. Naciągnął sobie poduszkę na głowę i leżał zupełnie bez ruchu.

Ludzie zbierali się na podjeździe. Rozmawiali, wołali. Co chwilę dźwięczał dzwonek przy drzwiach.

Po jakimś czasie Paul usiadł na łóżku. Słyszał jedynie deszcz kapiący z dachu. Zszedł ukradkiem na dół i spojrzął przez szczelinę między zasłonkami w kotłowni: pusto przed drzwiami, pusto na podjeździe.

- Cholera! - krzyknął. - Będzie się ze mnie naśmiewał cały wydział. Nikogo nie było w domu!

Deszcz znowu bębnił po szybach.

- Dziwka! - wrzasnął w stronę pustych pokoi.

Wsiadł do samochodu i pojechał do najbliższego supermarketu, gdzie Mary robiła zakupy. Obszedł każdy jego zakamarek. Mary nie było. Nie znalazł też jej w żadnym innym miejscu.

Robiło się ciemno. Paul wrócił do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Gdy przyszło mu do głowy, żeby zobaczyć, co zabrała ze sobą, było już wpół do dziewiątej. Podbiegł do szafy z walizkami. Dwie z nich zniknęły.

Pojechał na lotnisko, gdzie na długoterminowym parkingu stało kilka tuzinów samochodów. Wśród nich był samochód Mary.

Wracał do domu klnąc, waląc pięścią w kierownicę. Gdy otwierał drzwi, zadzwonił telefon.

- Tu jesteś - usłyszał głos Mary. - Najpierw dzwoniłam do drugiego domu.

- Tak. Tu jestem. A ty gdzie jesteś? - wrzasnął Paul. - Cały wydział przyszedł na przyjęcie, którego nie było! Co oni sobie pomyślą? Dokąd pojechałaś? Zrobiłaś głupców z...

Głos Mary brzmiał spokojnie:

- Nie martw się o mnie. Wrócę, gdy odpocznę. Jutro Michael wraca do domu z Afryki. Otrzymałam list, kiedy ciebie nie było.

- Gdy odpoczniesz? - wrzasnął Paul. Usłyszał trzask. Szum. -Mary? - zawołał do głuchoj słuchawki.

Mary odłożyła słuchawkę. Zaczęła płakać.

Szlochała w swoim apartamencie w hotelu Plaża, patrząc poprzez łyzy na panoramę Nowego Jorku za oknami.

Gdy w końcu się uspokoiła, spojrzała na hotelową toaletkę. Stał na niej piękny skórzany zestaw podróżny, który dostała od Paula. Była w nim kosmetyczka z mosiężną zapinką w kształcie lwiej głowy, pasująca do niej teczuska na papeterię, stojące lustro, zegar i podwójna ramka na zdjęcia. Po jednej stronie ramki widniał portret jej uśmiechniętych dzieci, po drugiej zdjęcie Paula w szortach i w podkoszulku, na rozstawionych lekko nogach, z rakieta tenisową w ręce.

Co tydzień grał w tenisa z Michele Wildner. Do kogo Paul uśmiecha się na tym zdjęciu? Mary zawsze była pewna, że Paul patrzył prosto na nią. Ale teraz zauważyła, że na fotografii jest jeszcze trzecia osoba: fotograf ukryty za obiektywem.

Paul chodził tam i z powrotem po salonie. W końcu zadzwonił do Butterfielda i zaczął tłumaczyć się, przeproszać za to, co się stało. Mary poleciała do Teksasu, gdyż zachorowała Beth. Spieszyli się, żeby mogła zdążyć na najbliższy samolot, zapomnieli o przyjęciu...

Powtarzał to po kolei wszystkim członkom wydziału, oprócz Michele. Wtem zadzwonił telefon.

- Nie byłam na twoim przyjęciu - usłyszał głos Michele.

- Tak - mruknął Paul.

- Nie przyszedłam, bo obawiałam się, że twój lubieżny wzrok nie opuści ani na chwilę mego uległego ciała - pewnie był to cytat z jakiegoś bestsellera - i wszyscy dowiedzą się o naszej grzesznej tajemnicy. Ale Nora Gilden właśnie mi powiedziała, że nie było żadnego przyjęcia, że Mary wyjechała, bo Beth jest chora. Jak się czuje? Masz już jakieś wiadomości?

- Jeszcze nie.

- No cóż - powiedziała Michele - może powinnam przyjechać i ukoić cię w twoim nieszczęściu?

- Byłoby to wskazane - stwierdził Paul.

- Zaraz będę - odpowiedziała Michele.

Zaparkowała o przecznicę dalej i weszła ukradkiem. Była wilgotna od deszczu, ciepła i pachnąca w ramionach Paula. Michele wkrótce zasnęła, ale Paul nie mógł zamknąć oczu. Wyszedł z łóżka i usiadł w pracowni Mary. Na dywanie leżały rozrzucone pobazgrane koperty Randala. Widniało na nich nazwisko i adres Randala, a daty na stemplach pocztowych wskazywały, że liczyły sobie wiele lat.

Wrócił do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Przez całą noc padał deszcz. Nadszedł ranek i oświetlił rzeki i strumienie, które wystąpiły z brzegów.

Michele obudziła się, słysząc nieprzerwane bębnienie deszczu o dach. Paul miał otwarte oczy; pocałowała go.

- Ładnie tu - powiedziała siadając owinięta atlasową pościelą. Rozejrzała się po wielkiej sypialni. - Z całą pewnością lepsze to niż stare, podwójne łóżo, zwierzątko z porcelany i plakaty.

Paul zszedł na dół przygotować śniadanie.

- Cholera! - zaklął wściekłym głosem, wbijając jajka na patelnię. Mary od tygodnia nie zrobiła prania. Nie miał już ani jednej czystej koszuli.

Następnego popołudnia Mary pojechała taksówką do agencji Engel w Alei Ameryk.

- Byłam umówiona z Justine Engel - oznajmiła sekretarce siedzącej za ogromnym, z mosiężnymi ozdobami biurkiem. - Mary Quinn.

- Pani Quinn! - powiedziała elegancka, młoda kobieta. - Pani Engel za chwileczkę zejdzie.

Mary rozejrzała się po pokoju. Wszystko błyszczało i lśniło nowością. Uśmiechnięta Justine Engel uścisnęła rękę Mary, zaprowadziła ją na górę, uroczyście przedstawiła mocno utytułowanym osobistościom i zaprosiła do ogromnego gabinetu, gdzie podano gorącą kawę w filiżankach z chińskiej porcelany i gdzie przez okna widać było pejzaż Nowego Jorku.

Mary usiadła, ale tym razem nie czuła się jak „główne źródło mformaq'i". Była przedmiotem wielkiego zainteresowania Justine Engel.

- Pewnie zdaje pani sobie sprawę, że wszyscy tutaj przeżyliśmy szok - powiedziała Justine, a jej ładne, brązowe oczy spoczęły na eleganckiej lnianej garsonce Mary. Justine mówiła z nosowym, nowojorskim akcentem. Gdy oparła ręce na maszynopisach leżących przed nią, błysnęły pierścionki, które miała na palcach.

- Tak - odparła Mary.

- Trzy nowe powieści Randal'a Eliota? To nie do wiary. Czy ktoś jeszcze je widział?

- Nie.

- Czytaliśmy je przez ostatnie dwie noce - nie mieliśmy zbyt wiele czasu przed pani wizytą - i uważamy, że są absolutnie rewelacyjne. Najlepsze, jakie napisał! Oczywiście, że chętnie będziemy panią reprezentować, ale... - Justine machnęła nad maszynopisami ozdobioną pierścionkami dłonią i zaśmiała się cicho.

- Cztery pośmiertne powieści autora? - powiedziała Mary.

- Śmierć Randała to wielka strata - dla pani i dla wszystkich innych. Ogromny talent.

Mary spojrzała ponad dachami Nowego Jorku.

- Sądzi pani, że te trzy powieści się sprzedadzą?

- Czy się sprzedadzą? Sprzedadzą się jak żadne inne - możemy wydawać co roku jedną. Randal Eliot jest jak dobre wino. Uderzyła nas wspaniała obrazowość *W kręgu modlitwy*. A *Złodziej życia* to książka, którą się czyta za jednym zamachem. *Czas pożogi* to jakby nowy Randal Eliot. Bardzo wzruszające. - Justine zauważyła, jak sztywno Mary siedzi w swoim fotelu. - Czy jest pani zdecydowana na jakiegoś konkretnego wydawcę tych książek?

- Jak pani zapewne wie, wygasła umowa podpisana z Geo-rge'em Blumbergem - rzekła Mary. - Ale kilka lat temu powiedział mi, że za pierwszą z tych powieści powinnam otrzymać zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

- Co? - Justine patrzyła na Mary ze zdziwieniem.

- Dziesięć tysięcy.

Justine roześmiała się z niedowierzaniem.

- Chyba żartował! Dziesięć razy tyle...

- Nie - powiedziała Mary. - Miał rację. W końcu... - Popatrzyła w oczy Justine. - Randal Eliot nie żyje, ale jego powieści wciąż się będą ukazywały. To zaledwie trzy z nich. Jednakże będzie je pani musiała sprzedać z moim nazwiskiem na okładce. A więc dziesięć tysięcy, to wszystko, na co mogę liczyć jako początkująca pisarka. Chyba że okaże się pani na tyle domyślna...

Aleja Ameryk szumiała pod oknami agencji Engel. Po chwili Justine odezwała się:

- To pani jest tym Randallem Eliotem... Mary i Justine siedziały i przyglądały się sobie.

- Co mam zrobić? - spytała Mary.

- Niech mi pani wszystko opowie - poprosiła Justine. - A potem proszę mi dać dzień albo dwa. Coś wymyślimy. Tej nocy w Nowym Jorku padało. Samochody przepychały się przez tłum ludzi wychodzących z teatru. Byli wśród nich Justine i Bob Klein. Przebiegli przez deszcz, odnaleźli limuzynę Justine i wsiedli do środka. Bob mieszkał w kawalerce, ale Justine miała wielkie, pięknie urządzone mieszkanie. W kominku stojącym w salonie palił się ogień, o co już wcześniej zadbała gosposia.

Jak stare małżeństwo, powiesili przemoczone ubrania, owinęli się miękkimi kocami i położyli się na futrze przed kominkiem. Justine masowała nagie, brązowe plecy Boba, który jęczał z rozkoszy.

- No i co będzie z Mary Quinn? - spytała go Justine.

- Jej mąż ma skoki na boki? - pytał Bob.

- Tak mi się wydaje. Jest od niego osiem lat starsza.

- Więc co ją tak dziwi?

- Co? - Justine przestała masować i ugniatać jego plecy.

- Nie sądzisz, że to trochę staromodne?

Justine przyglądała mu się przez chwilę, po czym ułożyła się z powrotem na futrzanym dywanie.

- Uważasz, że to po prostu anachroniczny Środkowy Zachód?

- Nawet jeśli Randal Eliot to faktycznie ona. - Bob wzruszył ramionami.

Justine wzięła kieliszki i powiedziała:

- Chodź do łóżka. Czekam na jutro ciężki dzień.

Justine dołała wina do kieliszków i położyła się w objęciach Boba, pocierając policzkiem o miękkie włosy na jego piersi.

- Wydaje mi się, że poza łóżkiem ten jej mąż to kompletne zero - powiedziała Justine. - Chyba nigdy niczego nie napisał do czasu, gdy zaczęła mu pomagać, a i tak jeszcze nie opublikował ani jednego słowa. Wykłada na jakimś małym, prowincjonalnym uniwersytecie w Nebrasce i stracił posadę, jeśli nie wyda tej biografii Randala Eliota.

- A Randal Eliot nie istnieje - roześmiał się Bob. Justine napiła się łyk wina.

- Wobec tego napisze jej biografię i będzie bogaty, bogaty, bogaty. Jest wielbicielem jej powieści. To mu się liczy na plus.

- Więc teraz będzie ją kochał za jej książki?

- Mniej więcej. Tylko że jej już na nim nie zależy.

- Dlaczego od razu mu nie powiedziała? - Bob ziewnął, zgasił swoją lampkę nocną i naciągnął kołdrę.

- Agent Randała nie zgodził się na sprzedawanie tych książek pod jej nazwiskiem, a ona nie miała pieniędzy.

- Potajemne pisanie, miłość i pocałunki - powiedział Bob zaspanym głosem.

- Tak. Tylko że on ją oszukuje. Wpada w szał i ją bije. - Przez chwilę Justine wpatrywała się w wysoki, ozdobny sufit. - Mary mówi, że się go boi... Co ten facet robi, gdy się dowie?

Bob nie odpowiedział. Zasnął.

Lampka Justine oświetlała lśniąca sypialnię i rzucała snop żółtego światła na dalsze pokoje. Miesięczny czynsz za to mieszkanie był wyższy niż miesięczna pensja Boba.

- Niełatwo jest być kobietą ze znanym nazwiskiem - powiedziała cicho Justine do odległego odgłosu nowojorskiego ruchu i do samotnego kręgu światła na gipsowych różach na suficie. - To mało seksowne.

Zgasiła światło i przytuliła się do Boba.

- To mało zabawne.

Następnego wieczoru Justine zaprosiła Mary do restauracji. Potem rozmawiały w holu hotelu Plaża.

- Musi mi pani zaufać - powiedziała Justine zdecydowanym głosem. - Obu nam zależy na tym. Dostanę dziesięć procent zysku, a ja lubię pieniądze. - Uśmiechnęła się do Mary.

Amatorzy teatrów i bywalcy barów wracali do Plaża parami lub niewielkimi grupami. Justine spojrzała na śmiejącą się parę kochanków i powiedziała:

- Pisarka, która kłamała z miłości.

- Co? - Mary odstawiła pusty kieliszek po winie.

- Tak panią nazwiemy. Zataiła pani prawdę, kto jest autorem powieści, ale kłamała pani z miłości do Randała i do rodziny. W tym zamyka się wszystko: kłamstwa, poświęcenie, fakt, że

Randal Eliot to pani. I od razu staje się jasne, po co pani to robiła -z miłości. Któż by się z tym nie utożsamiał? I któż mógłby panią za to winić? W ten sposób książki będą się doskonale sprzedawały! Będą się sprzedawały dzięki tej historii o pani - George Blumberg przegapił kopalnię złota. Niech pani sobie tylko wyobrazi, co się będzie działo, gdy świat wydawniczy dowie się, kim naprawdę był przez te wszystkie lata Randal Eliot.

- Jeśli w to uwierzą - powiedziała Mary. - Nie mam żadnego dowodu. Randal faktycznie mógł podyktować przed śmiercią każdą z tych moich powieści.

- A komu potrzebne są dowody? Kto ma zamiar iść z tym do sądu? Pani dzieci? Odziedziczą fortunę z twórczości swojej matki. Wydawcy Randala od chwili, gdy ta historia ujrzy światło dzienne, będą zgarniali wielkie pieniądze i na pewno nie polecą do prawników. Wszyscy na tym zarobią - pani, ja, wszyscy. Ale jeśli nawet jakiś ważny osobnik w „Timesie” spróbuje podważyć wiarygodność pani historii? Nie znajdzie żadnych dowodów i będzie to dla pani tylko to reklama. I to za darmo. Żeby zareklamować się w ten sposób, trzeba by zapłacić nie wiadomo ile.

- Rozumiem - powiedziała Mary słaby głosem.

- Niedowiarki będą musiały udowodnić, że pani nie napisała tych książek. Jak to zrobią, skoro nie ma żadnych rękopisów Randala? Poza tym będą się pojawiały jego nowe powieści, każda z nich w unikatowym stylu i sposobie narracji Randala Eliota; co roku będzie się ukazywała następna. Ile książek może napisać nieboszczyk? Prędzej czy później wszyscy postawią sobie to pytanie.

- Fragmenty tych powieści napisałam już wiele lat temu. Teraz wykańczałam je pospiesznie i wkrótce będę miała więcej.

- Nie ma potrzeby zmieniać nawiska Randala na pani pierwszych pięciu książkach - stwierdziła Justine. - Wszyscy będą wiedzieli, kto je napisał; to będzie fragment pani image'u - umieściła pani na nich jego nazwisko w imię miłości.

Mary siedziała wpatrując się w swój pusty kieliszek.

- Będzie pani otrzymywała nagrody. Osiem wydanych książek! Pewnie będą to liczące się nagrody - zapewniła Justine.

- Tak - odparła Mary bezbarwnym głosem. - Autor lat osiemdziesiątych. Głos pokolenia. Przyszły laureat Nagrody Pulitzera.

Justine roześmiała się:

- Oczywiście.

- Tak mówili o Randalu - powiedziała Mary. - Tutaj, w hotelu Plaża, trzy lata temu. A Randal powiedział im w swoim przemówieniu: „Muszę też podziękować Muzie, tej płochliwej kobiecie, która nocą, potajemnie, odwiedza pisarzy. Nie wolno obrażać Muzy.”

- Oczywiście, że nie wolno - stwierdziła Justine. - Szczególnie jeśli Muza pisze powieści, gdy pisarz śpi. Justine powiedziała, że przyjdzie do Plaża nazajutrz po południu. Musi mieć czas, żeby przemyśleć pewne sprawy i zasięgnąć porady prawników i księgowych. Mary spała do późna, zjadła śniadanie w apartamencie, a lunch w restauracji.

- Wszystko załatwione - powiedziała Justine, która przysłała około godziny drugiej. - Wszyscy uważają, że obraliśmy właściwy kurs. - Patrzyła na Mary, która stała przy oknie i obserwowała leżące w dole ulice Nowego Jorku. - Mam wrażenie, że pani się czymś martwi.

- Martwię się.

- Paulem? - Justine wzruszyła ramionami. - Nie lubi kobiet, które robią karierę?

- Uważa, że pracuje nad dziełem swego życia - powiedziała Mary. - Co robi, gdy się dowie, że musi zacząć pisać o swojej żonie? - Przez chwilę siedziały w milczeniu. - Wydawało mi się, że będziemy szczęśliwi przez całe nasze dalsze, wspólne życie i że kiedyś w końcu się dowie...

- Pani go się boi.

- Może nie powinnam. - Mary kręciła pierścionkiem na palcu. - Ale tak długo mieszkałam z człowiekiem o gwałtownym usposobieniu... - głos jej uwiązł w gardle. - George Blumberg twierdził, że w ukryciu będę szczęśliwsza, że lepiej udawać, iż to Randal Eliot napisał te książki i cieszyć się dniami spędzonymi z Paulem. Bycie „pisarką” oznaczałoby przywdzianie „publicznej maski”, stworzenie koniecznego image'u.

- Ma pani swój image! - krzyknęła Justine. - Będzie pani „pisarką, która kłamała z miłości”. To o niebo lepsze niż pisanie w transie! I przyzwyczai się pani do sławy. Nie jest aż tak straszna. Daje sobie z nią radę wielu ludzi, którzy nie są tak inteligentni jak

pani. Zobaczy pani, że ta cała sprawa z „kochającą kłamczuchą” jest jak dynamit. Niech mi pani wierzy.

Mary milczała. Justine spojrzała na nią ostro i dodała:

- A jeśli chodzi o Paula... Wie pani, wcale nie jest tak źle być mężem sławnej pisarki. Pieniądze, sława. I trzeba pamiętać o jeszcze jednej rzeczy. Dla niego najważniejszej.

- Jakiej?

- Od tej pory nie będzie jedynie biografem zmarłego pisarza -będzie mężem żywej pisarki, który mieszka z nią pod jednym dachem! Na pewno będzie udawał, że przez cały czas wiedział, że to pani jest autorem tych książek.

- Być może - powiedziała Mary.

- Nie wydał jeszcze swojej książki... Naprawdę może bardzo uszczęśliwić swego wydawcę, czyniąc z tego historię tajemniczej powieściopisarki, która kłamała z miłości - historię swojej własnej żony! - Oczy Justine rozbłysły. - To się dopiero będzie sprzedawać! Może nawet zrobią z tego film. Ludzie kupują biografie. Uwielbiają biografie. Nie liczy się twórczość pisarza. Biografie to najlepsze bestsellery. - Pochyliła się do przodu, splatając długie, ozdobione pierścionkami palce. - Może Paul zechciałby, żebyśmy go reprezentowali? Niech mu pani powie, że robi majątek na takiej biografii. Kto jest jego wydawcą?

- Matrix.

Justine uśmiechnęła się.

- Są do niczego! My wywindujemy go na sam szczyt.

- Rozumiem - rzekła Mary.

- Nie musi się pani martwić o Paula - ciągnęła Justine. - Zarobione pieniądze będą cieszyły go przez lata i może spędzać czas, śledząc każdy szczegół z pani życia i porównując go z odpowiednimi fragmentami pani powieści, jeśli chce być słynnym naukowcem.

- Chce.

- Ale jeśli mogę coś zaproponować. Niech pani na jakiś czas wyjedzie za granicę - powiedziała Justine. - Do czasu, aż wszystko się uspokoi. Niech pani zabierze ze sobą Paula. Przyzwyczai się do myśli o własnej sławie i majątku. W ten sposób unikniecie rozszarpania przez rekiny.

- Mamy wyjechać od razu?

245

- Dlaczego nie? Będę musiała powiedzieć wydawcy, kim jest Randal Eliot - jeśli chce pani zaliczkę wyższą niż dziesięć tysięcy.
- Jutro przyjeżdża tutaj na weekend cała czwórka moich dzieci... Od lat nie byliśmy razem... Michael wrócił z Afryki! - Oczy Mary zabłyśły. - Potem może będę mogła wyjechać gdzieś z Paulem...
- Jedźcie do Włoch. Do willi Christa nad jeziorem Como. To wymarzone miejsce dla pisarzy i naukowców. Mogę was zarekomendować. Nie będziecie mieli z Paulem nic do roboty, oprócz jedzenia śniadań, picia herbaty w pokoju o dziesiątej, a później jedzenia lunchu. O czwartej przynoszą do pokoju kawę, o szóstej podają koktajle na tarasie, o siódmej wspinały obiad... drugi miesiąc miodowy! Będą tam pisarze i naukowcy o międzynarodowej sławie - bez przerwy odwiedzają willę. Dzięki nim Paul poczuje się ważny, nawet gdy dowie się prawdy o pani - wszyscy będą wiedzieli, że teraz jest on pani biografem. Będziecie mieli własny apartament. Balkony wychodzą na jezioro...
- Wystąpię tam już jako „Kłamczucha z Miłości”?
- Nie - powiedziała Justine. - Chodzi o to, żeby pani wyjechała, zanim ludzie się o tym dowiedzą. - Wstała i spojrzała na zegarek. - Załatwię pani wszystko... Przyjdę jutro rano... Może być o jedenastej? A na razie proszę korzystać z życia. Niech pani kupi sobie szafę nowej garderoby na miesiąc nad jeziorem Como. Mary też uważała, że powinna kupić trochę ubrań. Sądziła, że sprawi jej przyjemność chodzenie od jednego do drugiego lśniącego sklepu. Ale gdy Justine przyjechała następnego ranka i spytała, czy Mary przyjemnie spędziła czas, usiadła i westchnęła ciężko.
- Nie cieszyło to pani? - spytała Justine, patrząc na eleganckie nowe walizki, które właśnie wniesiono do apartamentu Mary.
- Są pełne - powiedziała Mary. - Wszystko spakowane na wyjazd do Włoch - nawet bielizna i rajstopy. Kosztowało to majątek.
- Zasłużyła pani na to. W czym problem?
- Problem polega na tym, że czuję się, jakbym miała dwadzieścia lat. Czuję się tak od lat. Ale kiedy poszłam do tych eleganckich sklepów i przejrzałam się w tych eleganckich lustrach, pomyślałam: „Co to za stara kobieta, na której eleganczy ekspedienci upinają fatalaszki?”

- Nie jest pani stara! - wykrzyknęła Justine.
- Ci ekspedientki, witając mnie przy drzwiach, od razu musieli zauważyć, że mam torebkę nie najlepszej jakości, że mój żakiet ma maszynowo robione dziurki, a buty są takie stare, że aż zmieniły kolor. - Jęknęła. - Zaczynam tęsknić za domem handlowym z przytulną, jednoosobową przymierzalnią z napisem: „Proszę zabierać do przymierzalni nie więcej niż sześć artykułów”, gdzie na podłodze leżą szpilki, na półkach gumki, a w sąsiedniej kabinie ktoś prowadzi intymną rozmowę.
Justine roześmiała się.
- Pamiętam jeszcze staromodny sklep, gdzie wszystko sprzedawano po dziesięć centów - powiedziała Mary. - Taka jestem stara. Nikt nigdy nie witał przy drzwiach tego sklepu, ale robiono tam poważne zakupy. W tych sklepach było wszystko, co potrzeba, aby dom stał się naprawdę domem. Dzieci dorastały szczęśliwie w towarzystwie zasłon uszytych z prześcieradeł i zszywało się razem ręczniki, żeby zrobić pokrowce na krzesła. Zamiast terrariów były szklane słoje... i bibuła karbowana, z której robiło się koszyczki... i barwniki do jaj na Wielkanoc... bandaże, żeby opatrywać skaleczenia... perfumy na Dzień Matki...
- Jak w raju - dorzuciła Justine.
- A na Gwiazdkę można tam było kupić notes w prezencie dla nauczyciela, świecidelka... a na urodziny były nie nadające się do jedzenia, zrobione z czerwonych kamyków litery do układania napisów na tortach. Siadało się przy ladzie i zamawiało ogromną porcję gęstego koktajlu mlecznego i hot dogi w błyszczących bułkach... Jeszcze czuję smak musztardy!

34

Nazajutrz po południu Mary długo przyglądała się sobie w lustrze w hotelowym pokoju. Chyba dosyć się napłakała - co może dać płacz, gdy już roztopi twardą skałę zalegającą w piersiach, gdy się już nie załamuje rąk i nie wzdycha? Była pewna, że Paul jest z Michele, ale ona jest tutaj, nazywa się Mary Quinn i po trzech latach dzisiaj zobaczy się z Michaelem.

Zaczęła nakładać makijaż. Kobieta, którą ujrzała w lustrze, miała ciemne, lśniące włosy; jej oczy błyszczały pod gęstymi rzęsami.

Gdy nakładała szminkę, wyobraźnia - ten dar, radość i nieszczęście zarazem - nagle podsunęła jej obraz kobiety w zbroi. Gdzie ją widziała?

Dawno... na początku *Snu nocy letniej*. Sztuka zaczęła się dziwną, zaciętą walką dwóch zakutych w zbroje królów. Błyskały ich ciężkie miecze, dźwięczała stal... Potem wydostali się ze swych zwieńczonych koronami przyłbic i kolczug, jak ćmy przekształcające się z poczwarek. Jeden z nich był przystojnym królem. Drugi był kobietą - piękną królową Hipolitą, ubraną na białą, z rozwianymi włosami, ze śladami zbroi na ciele.

Mary wstała i podeszła do okna, żeby popatrzeć na nowojorski ruch daleko w dole. Samochody osobowe, ciężarówki i furgonetki poruszały się jedna za drugą jak potulne owieczki, ale od czasu do czasu odbijał się w nich promień słońca, rozbłyskując kaskadą gwiazd.

Niedługo powita dzieci na lotnisku. Zawsze myślały, że ich ojciec jest tak genialny... że nie jest zwykłym wykładowcą angielskiego na uniwersytecie stanowym.

A ona przez te długie lata kłamała.

Dzieci przylatywały z Teksasu, Minnesoty i z Kolorado i rzucały się sobie na szyję. Michael przyjechał samochodem z Connecticut, ogorzały od słońca i zmieniony - jednak doskonale pamiętali te oczy i ten uśmiech. Nikt nie pytał, po co się tu wszyscy zjechali... co wydarzyło się tak ważnego, że opłaciła im podróż, żeby spędzili weekend w Nowym Jorku.

Rozpakowali się w jej apartamencie, zjedli kolację w restauracji hotelowej, opowiadali Michaelowi o pogrzebie Randała, o domu Mary, o ślubie Dona, o ślubie Mary i słuchali afrykańskich opowieści Michaela. Zdenerwowana Mary odprężyła się trochę przy dzieciach.

Don mówił o swoim kwitującym biznesie. Beth opowiadała o profesorze-kobieciarzu. Jay wspominał o tym, jak nadepnął na pustyni na grzechotnika, ale ponieważ wydarzyło się to o świcie, kiedy było jeszcze zimno, wąż nie zaatakował. Cała czwórka wpatrywała się w Mary.

Gdy wrócili do apartamentu, zasunęli zasłony i usiedli w miękkich fotelach.

Mary popatrzyła na nich, zawahała się i oznajmiła:

- Chciałam, żebyśmy się wszyscy zebrali. Chcę wam powiedzieć coś ważnego, zanim dowiecie się o tym od kogoś innego.

- Czy chodzi o Paula? - zapytała Beth, zgarniając długie, jasne włosy za ucho. - Czy nie jesteś szczęśliwa z Paulem?

- Nie jestem - powiedziała Mary - ale najważniejsza sprawa... - Czekali w świetle lampy, z utkwionym w nią wzrokiem. - Nie wiem, jak zacząć - odrzekła Mary. - Pojawi się następna powieść, *W kręgu modlitwy*, a po niej jeszcze dwie.

- Podpisane imieniem taty? - spytał Don. Miał zielone oczy, jak jego ojciec. Spojrzenie tych oczu i delikatna nuta kpiny nie pozwoliły Mary mówić dalej. Czyżby usłyszała w tym głosie naganę?

- Mamo! - powiedziała Beth z nutą zniecierpliwienia.

- Jak tylko cię zobaczyłem na lotnisku... - powiedział Joy.
 - Chyba nadszedł już czas - stwierdziła Beth. Spojrzała na braci. - Nieraz rozmawialiśmy o tym, we czwórkę.
 - Od lat - powiedział Michael.
 - O *Gospodarzu* - dodała Beth. - A także o innych książkach. Mary patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.
 - Chciałam, żebyście wierzyli... - głos jej załamał się - że wasz ojciec jest sławnym pisarzem. Wierzył mi...
 - Podoba mi się *W kręgu modlitwy* - rzekła Beth. - Jest inna niż pozostałe twoje książki.
 - A ta zamieć śnieżna na samym początku! - powiedział Don. - Po nocach mi się śniło, że burza śnieżna zastała mnie gdzieś na bezdrożach!
 - Trochę już zapomniałem treść tej książki. Czytałem ją tak dawno - rzekł Jay.
 - A ta kobieta w *Złodzieju życia!* - zauważyła Beth. - Zawsze miałam ochotę zapytać cię, czy to babcia Eliot?
- Michael parsknął śmiechem patrząc na matkę.
- Pisarza zdradzają słowa!
 - Nie masz nic do powiedzenia? - Beth podeszła i przytuliła się " do matki. Usiedli w piątkę na długiej kanapie, a w ich głosach słyhać było ulgę.
 - To ocaliło posadę ojca... To ocaliło nas wszystkich... Był taki szczęśliwy! - wykrzyknęła Mary.
 - Też doszliśmy do wniosku, że musiałś to zrobić.
 - Znaleźliśmy w kuchni twoje dzienniki - powiedział Jay.
 - To ja znalazłem - podkreślił Don.
 - Na samej górze, w tej starej szafce - dodała Beth. -Kiedy to było? W każdym razie długo przed naszą podróżą do Europy.
 - I oczywiście przeczytaliśmy je - rzekł Jay.
 - Tacy jesteście podstępni - powiedział Michael. Łzy napłynęły Mary do oczu.
 - Tak was okłamałam.
 - Musiałś, mamó - pocieszył ją Don.
 - Głos pokolenia - stwierdziła Beth.
 - Dlaczego mi nie powiedzieliście? - spytała Mary.

- Przyszły laureat Nagrody Pulitzera! - powiedział Don. - Myśleliśmy, że kiedyś sama się do tego przyznasz.
 - W *Obcej* opisałaś moje hodowle mrówek - odezwał się Jay. - Tata nic nie wiedział o mrówkach, ani o motylach o nazwie „paź królowej”.
 - Nasze szklane domki dla trzmieli w *Czystym zysku* - wykrzyknął Michael.
 - A poza tym tata zawsze zapisywał wszystko dotyczące ksiązek na odwrocie starych kopert, pamiętasz?
 - Były ich całe stosy - przypomniał Jay.
 - Czasami oglądałam je dyskretnie - rzekła Beth. - Były to jakieś bazgroły.
 - Mówiłaś, że potrafisz je odczytać - powiedział Michael.
 - Nienawidziłem taty, gdy się ciebie czepiał - zwierzył się Don. - Ukradłem więc raz całą stertę tych kopert z notatkami i schowałem je pod swoim łóżkiem. A część wyrzuciłem do śmietnika sąsiadów. Okazało się jednak, że tacie nigdy nie brakowało żadnych notatek. Tobie też nie.
 - Pomagałaś nam odrabiać prace domowe - wspominała Beth. - Szyłaś dla nas ubrania, chodziłaś na wywiadówki, kupowałaś prezenty gwiazdkowe, wysłuchiwałaś naszych problemów. Byłaś zawsze przy nas, a gdy odkryłam, że do tego piszesz książki... -Głos uwiązał jej w gardle, zabrakło jej słów i spojrzała na braci.
- Mary wstała z uczuciem, że wreszcie pozbyła się ciężkiego balastu.
- Myślałam, że nigdy nie będę musiała wam o tym mówić. Myślałam, że podaruję Randalowi pierwsze książki, a potem będę mogła zacząć pisać pod własnym nazwiskiem.
 - A nie możesz? - spytał Michael.
 - Agent Randała powiedział mi, że nie - odrzekła Mary.
 - Sądzą, że to tata je napisał - powiedział Jay.
 - Dlaczego? - wykrzyknęła Beth. - On umarł i nie mógł napisać tych nowych książek... *Gospodarza, W kręgu modlitwy, Złodzieja życia* i innych.
- Mary słuchała, jak Beth wymienia tytuły książek, jakby znała je od lat.
- Ale mama pisze tak jak on - powiedział Jay. - Ponieważ to ona zawsze pisała. Na tym polega problem.

Popatrzyli po sobie.

- Próbowałam zmienić styl, ale to mój sposób pisania - mówiła Mary. - Dwa lata temu powiedziałam George'owi Blumbergowi, że to ja napisałam te wszystkie książki. Nie uwierzył mi; pomyślał, że zwariowałam, choć mi tego nie powiedział. Stwierdził, że z powodu żalu po śmierci Randal'a nie bardzo wiem, co się wokół mnie dzieje. Potem przedstawił mi to od strony finansowej; książki Randal'a mogły przynosić zyski jeśli nawet Randal nie żył. - Mary poczuła się tak lekko, jakby pozbywała się wielkiego ładunku kamieni. - Nie był pewien, czy uda mu się sprzedać pierwszą powieść nieznanej „Mary Quinn”. A i tak dostałabym najwyżej dziesięć tysięcy dolarów zaliczki.

Tymczasem wszystkim nam potrzebne były pieniądze. „Nie wprowadzaj zamieszania w Nowym Jorku - powiedział - a oboje będziemy bogaci.”

- I co mu odpowiedziałaś?

- Co mogłam odpowiedzieć? Zrobił tak, jak chciał i ukazał się *Gospodarz*. - Mary podniosła głowę; usta miała zaciśnięte w wąską linię. - Ale coś mogłam zrobić i zrobiłam to.

- Co? - spytał Michael.

- Pisałam - odparła Mary.

- Chcesz, żeby w końcu powiedzieli: „To nie mogą być książki Randal'a Eliota. Jak mógłby napisać ich aż tyle?” - domyślił się Jay.

- Za tydzień lub dwa ruszy kampania reklamowa - powiedziała Mary. - Mam nowego agenta. Będę znana jako „pisarka, która kłamała z miłości”. Chyba faktycznie po części tak właśnie było.

Spojrzeli po sobie.

- A co z Paulem? - spytała Beth.

- Nie widzi niczego poza Randal'em. I w moich książkach dostrzega jedynie chorobę Randal'a.

- Och, mamo! - jęknęła Beth.

- Więc nie rozmawiamy. Żyjemy jak wrogowie. Nie pomogę mu zrobić z siebie głupca, a jemu nie starcza wyobraźni, żeby dojrzeć, że to nie są książki Randal'a. Dostaje szału, gdy sugeruję mu, żeby pisał o samych książkach... Przeraza mnie.

- Poczekaj, aż się dowie - rzekł Don. - Robi z tego starego domu świątynię...

- Paul też zarobi na tym pieniądze - powiedziała Mary. - Jeśli w końcu coś napisze. Będzie słynny. Jest mężem autorki tych

powieści. - Znowu poczuła się tak, jakby zdejmowała zbroję. - Jednak powinniście być dumni z Randała. Miał tyle odwagi. Utrzymywał nas przez całe życie. Trzymał się, dopóki mógł. Dzieci milczały.

- Cóż. Na dzisiaj dosyć - oznajmiła Mary. - Chodźmy spać, a jutro się dobrze zabawimy - mam bilety do teatru. Na kilka dni zapomnimy o tym wszystkim. - Patrzyli, jak idzie po grubym dywanie do drzwi swojej sypialni.

- Gdzie jest Paul? - zapytała Beth. Mary zatrzymała się i odwróciła.

- Dałam mu do czytania *W kręgu modlitwy*. Pewnie będzie myślał, że napisał to Randal, chociaż wie, że Randal nigdy nie widział takiego Londynu, jaki opisany jest w tej książce.

- Chcesz, żeby sam się domyślił? - spytał Don.

- Nie wie, że tu jesteś? - dorzucił Michael.

- Nie. Zadzwońłam do niego, powiedziałam, że chcę przez jakiś czas odpocząć, ale nie wspomniałam mu, gdzie jestem - powiedziała Mary. - W przyszłym tygodniu we dwójkę zostaniemy zaproszeni do willi nad jeziorem Como we Włoszech, prawdopodobnie jako redaktor i biograf Randała. Do wspaniałej willi, z apartamentem, ze wszystkimi luksusami.

- A więc zobaczysz Włochy! - zawołał Jay. - Nie mogłaś pojechać ze mną i z Beth, ale teraz je zobaczysz!

- Nie będzie nas w kraju, gdy zacznie się kampania reklamowa.

- A potem staniesz się sławna - powiedział Don. - A Paul będzie tylko mężem sławnej pisarki.

Pogasili światła, rozeszli się do swoich pokoi i zaczęli się przygotowywać do spania. Po chwili Beth zapukała do na pół uchylonych drzwi sypialni Mary.

- Mamo?

- Wejdz - zaprosiła ją Mary. Zmywała makijaż przy toalecie.

- Chodzi o Paula - powiedziała Beth. - Martwi się... Czy nie możesz jechać do Włoch sama?

Mary spojrzała na umazany na czerwono wacik, który trzymała w ręce.

- Wydaje mi się, że jeśli uda mi się go powstrzymać od picia... Jest na siebie strasznie wściekły, że nic nie napisał.

- Ale teraz jest bogaty i będzie jeszcze bogatszy.

Mary patrzyła na siebie w lustrze toaletki.

- Zwariował na punkcie twórczości Randała, a ponieważ jest to moja twórczość, zbliżyło to nas na samym początku... nawet bardziej niż miłość... - Mary spojrzała na czerwoną poświatę rzucaną na przejrzyste zasłony przez nowojorski neon. - Wspaniałe rozmowy... i miłość...

Mary zamilkła, wpatrując się w lustro. Beth podeszła i objęła matkę. Z twarzą przy twarzy patrzyły na swoje odbicie w lustrze.

- Nie wracaj do domu - powiedziała Beth. - Jedź prosto do Włoch.

- Muszę wrócić - rzekła Mary. - Muszę pozamykać dom i wszystko rozplanować.

- Może ktoś z nas powinien z tobą pojechać...

- Paul będzie zadowolony - stwierdziła Mary. - Zostanie zaproszony do willi Christa we Włoszech jako naukowiec-rezydent! - Uśmiechnęła się do Beth.

Beth po chwili również się uśmiechnęła, pocałowała ją i powiedziała do lustrzanego odbicia matki:

- Dobranoc, Mary Quinn!

35

Z Nowego Jorku Mary poleciała do domu. Gdy samolot lądował, była już noc; nie widziała zalanych dróg Nebraski, ani drzew nad rzeką, po tygodniowych ulewach zanurzonych po korony w bystro płynącej wodzie.

Zadzwoniła do Paula i powiedziała mu, że przyjeżdża. Otworzył drzwi, zanim zastukała mosiężną kołatką.

Spytała, jak się miewa.

Odparł, że nieźle.

Spytała, czy jadł już kolację.

Powiedział, że jeszcze nie, i wniósł jej bagaż na górę.

Było późno. Mary była zmęczona i głodna. Przebrała się, zeszła z powrotem na dół i zajrzała do lodówki. Ugotowała spaghetti z sosem i zrobiła sałatkę. Gdy Paul wszedł do kuchni, stała przy kuchence, w fartuchu włożonym na letnią, białą sukienkę.

- Kolacja prawie gotowa - powiedziała do niego. Zastąpił jej drogę pośrodku kuchni.

- Co to wszystko znaczy? - spytał ze złością. - Uciekasz, kiedy mieliśmy wydać przyjęcie dla pracowników wydziału...

- Przepraszam - powiedziała Mary. - Zapomniałam o tym.

- Zapomniałeś? - krzyknął Paul. - Zapomniałeś, że z nimi pracuję? Że nie przesiaduję w domu i nie latam Bóg wie gdzie, żeby sobie odpocząć? Ja muszę pracować. Muszę prowadzić zajęcia. Jestem naukowcem i niedługo ukaże się moja książka!

Mary się nie odzywała.

241

- Na drugi dzień musiałem zadzwonić do kilkudziesięciu osób i nakłamać im, że Beth zachorowała, a ty pojechałaś do niej w wielkim pośpiechu i nie mieliśmy czasu zawiadomić ich, iż przyjęcie zostało przełożone.

Mary nie patrzyła na niego.

- A sprawa tych pudełek z notatkami Randala? - spytał Paul. - Powiedziałaś mi, gdzie są, i odszukałem je. Czy to miał być jakiś żart?

- Nie ma w nich zbyt wiele.

- Nic w nich nie ma! Gdzie są jego notatki? - wrzasnął Paul.

- Nie miałam nigdy nic więcej, oprócz tych kopert z gryz-mołami - powiedziała Mary.

- Gryzmoły? Chcesz powiedzieć, że on ci wszystko dyktował?

- Widziałeś, jak wyglądają jego notatki - powiedziała Mary.

- Więc jaka część książki naprawdę została napisana przez niego?

- Znajdzie się na niej nazwisko Randala, a ja będę redaktorem...

- Redaktorem! W tej książce są dziesiątki szczegółów o Londynie - szczegółów, o których Randal nie miał pojęcia! Sama mi mówiłaś, że nigdy nie chodził do muzeów, teatrów, że nie widział domu Johnsona, domu Soane'a...

- Bo nie widział - potwierdziła Mary cicho. Patrzyła na niego, jakby czegoś oczekiwała.

- Więc to ty zamieściłaś je w tej książce! - wrzeszczał Paul. - Pisałaś bez przerwy na maszynie i zmieniałaś cudowne powieści Randala Eliota tak, jak ci się podobało. A on nie żyje! Nie może nawet zaprotestować!

Przez krótką chwilę Mary i Paul patrzyli na siebie gniewnym wzrokiem. Nagle dłonie Paula znalazły się na gardle Mary - gorące i twarde.

- Sama sobie jedz twój obiad! - wrzasnął.

Zamknęła oczy, czując jego oddech przesiąknięty whisky. - Sama sobie mieszka w tym eleganckim domu! Ja będę mieszkał w domu Randala Eliota! - Puścił ją i niemal upadła. - Prawdziwego Randala Eliota, a nie jakiejś sekretarki, której się wydaje, że potrafi pisać tak jak on!

Paul trzasnął drzwiami tak, że zastukała mosiężna kołatka, ruszył z piskiem opon. Pojechał do domu Randala, gdzie usiadł na sekwojowej ławce w ciemnym ogrodzie.

Dzieci huśtały się na skrzypiących parkowych huśtawkach. Co jakiś czas przejeżdżał samochód. Sąsiedni dom był pogrążony w ciemności.

- Poprawiać Randal Eliota! - powiedział Paul w stronę światła dobiegającego z parku poprzez liście klonu. - Ma czelność sądzić, że pozwolę jej tknąć jego dzieła!

W winorośli na bocznej werandzie zaszeleścił ptak. Gdy Paul spojrział w górę, na tle gwiazd ujrzał dom, w którym kiedyś mieszkał Randal Eliot: z zacienionym dachem z ciemnymi oknami.

Po deszczu pojawiły się komary; spijały z Paula krew, ale prawie nie czuł ukąszeń.

Mary pewnie była u Beth... Czy Beth zauważyła, jaka jej matka jest szalona?

Może powinien zadzwonić do Beth i do jej braci? I powiedzieć: „Śmierć waszego ojca miała na matkę większy wpływ, niż...”

Cholerne komary! Paul zabił kilka. Burczało mu w pustym żołądku.

Wszedł do domu. Zatrzymał się przy drzwiach do garażu i popatrzył na mroczne kształty kosiarki do trawy i koszy ogrodowych.

- Tylko ja! - wrzasnął w ciemność. - Tylko ja mogę ją powstrzymać!

- Cholera! Nikt inny! - jęknął Paul, wchodząc do kuchni, która odpowiedziała echem: „Cholera!”

- Co tak zebrało ci się na przeklinanie? - spytała Michele, stając w drzwiach kuchni, ubrana w kusą koszulkę i bardzo krótkie szorty. - Zobaczyłam twój samochód.

Paul westchnął:

- Jestem głodny.

- Mam nadzieję.

- Mam na myśli jedzenie - sprostował Paul i spróbował się uśmiechnąć.

- Zawsze pozostaje pizza - powiedziała Michele. Zajrzała do starej lodówki. - I lody. Możemy też napić się orzeźwiającej, mrożonej herbaty.

Paul nie zauważył, kiedy zadzwoniła po pizzę. Jadł ją bez smaku, ledwie nadażał za tym, co mówiła Michele. Kochał się z nią raz albo dwa w rozgrzebanym łóżku Beth, ale później, gdy Michele

już poszła, nic nie pamiętał z tego wieczoru, poza tym, że mrożona herbata smakowała wyśmienicie. Zszedł na parter rozgrzanego, spokojnego domu i otworzył zamrażarkę. Michele zużyła cały lód.

Potrzeba było kilku dni, żeby w starej lodówce Randal Eliota otrzymać nowe kostki lodu. Gdy Paul usiadł w pracowni Randal Eliota, jego fotel z imitacji skóry przykleił mu się do pleców. Przed nim stało biurko Randal Eliota; tanie, poharatane dębowe pudło o poplamionych rogach i zdartym fornirze w miejscach, gdzie Randal nalewał wino.

Męczeński żywot. Biografia Randal Eliota autorstwa Paula Andersona.

Paul zacisnął dłonie w pięści i walił nimi w poręczę fotela z imitacji skóry, który kiedyś należał do Randal Eliota. Poszedł z powrotem na górę.

Hannah podniosła słuchawkę, po czym odsunęła ją daleko od ucha.

- Uspokój się - powiedziała. - Paul! - Co się stało?

- Wezwał mnie Butterfield i znowu postawił mi swoje stare ultimatum - albo coś wydam, albo wynocha. „Wykłada pan na naszym uniwersytecie już od trzech lat, ale pański wykaz publikacji nie odpowiada naszym wymaganiom.” A przecież wie, że ciężko pracuję nad swoją książką! Więc odczekałem chwilę i powiedziałem mu, że zostałem zaproszony do Włoch jako naukowiec-rezydent. To zamknęło mu usta. Nikt na wydziale nie został nigdy zaszczycony takim...

- Więc z czym masz problem?

- Z Mary. Ona sama jest problemem!

- Nie może z tobą pojechać?

- W zeszłym tygodniu wyjechała sobie... Bez słowa... po prostu gdzieś sobie pojechała... Nie chce powiedzieć dokąd, ale sądzę, że była z którymś ze swoich dzieci... Zostawiła mnie tu, nic nie było przygotowane na przyjęcie, na które zaprosiłem pracowników mojego cholernego wydziału.

- Zostawiła cię? Dlaczego?

- Nie uwierzysz w to, co ci powiem. Mary wróciła wczoraj wieczorem i do reszty zwariowała! Przyznała się, że przerobiła

nową książkę Randal, którą jej podyktował- dodała do niej własne rzeczy! Skąd mam wiedzieć, co zostało napisane przez nią? A jak zaczniesz o tym rozpowiadać? Zaczyna się zastanawiać, czy to prawda i w jakim stopniu twórczość Randal jest jej dziełem.

- I wtedy nie mógłbyś wydać swojej biografii?

- Właśnie!

Hannah przez chwilę milczała, po czym odezwała się:

- Czy ona częściowo pisała jego książki?

- Co?

- Może mówi prawdę?

- Ona zwariowała! Nerwica Randal Eliota jest widoczna w każdym wersie jego powieści! Cała moja biografia opiera się na bardzo dokładnej analizie tekstowej...

- A może się mylisz?

- Mylę się? Jak mogę się mylić? Czy sądzisz, że te książki mogłaby napisać jakaś kobieta ze Środkowego Zachodu, która pochodzi ze średnio zamożnej rodziny, nie posiada wyższego wykształcenia, która wychowuje dzieci, uprawia ogródek, gawędzi z sąsiadkami i sprząta w domu? Randal był geniuszem!

- To skąd bierze nowe książki teraz, gdy Randal już nie żyje? Najpierw *Gospodarz*. Teraz czytasz *W kręgu modlitwy*.

- Nie mam pojęcia! Mówi o sobie, że jest redaktorem Randal.

- Czy ta nowa książka napisana jest w stylu Randal?

- Jest doskonała! To najlepsza jego powieść.

- A jeśli oświadczy publicznie, że jest współautorką?

- Ludzie pomyślą, że zwariowała! Ale też wyśmieją moją biografię!

- Czy nie możesz jej powstrzymać od wydania *W kręgu modlitwy*, zanim twoja biografia...

- Powiedzą «i, że skoro ona nie jest przy zdrowych zmysłach, to wszystko, co mi opowiedziała o Randalu, może być nieprawdą! Być może nawet nie będą chcieli wydać mojej książki! Wyśmiała mnie! Mam jechać nad jezioro Como, do Włoch, jako śmiechu wart biograf? Poza tym od tej książki zależy moja dożywotnia posada na uniwersytecie!

- Taak... - mruknęła Hannah.

- Moja książka, moja praca, mój dom, moje życie - stuknięta dziwka! Stuknięta...

- Paul...
 - Powinno jej się dać nauczkę!
 - Paul!
 - Zabić!
 - Paul! Posłuchaj...
 - Powinno się ją zabić!
 - Posłuchaj! Teraz ty mnie posłuchaj! Przyjadę do ciebie, jak tylko będę mogła się stąd wyrwać!
 - Zniszczyła całe moje życie! Lata pracy! A co będzie z Randa-lem? Ona chce zniszczyć Randa!
 - Wstrzymaj się. Nie podejmuj żadnych kroków!
 - Muszę coś zrobić!
 - Paul! Posłuchaj mnie! Nie rób nic, dopóki nie przyjadę! Rozumiesz? Nawet nie myśl o...
- Paul z trzaskiem odłożył słuchawkę.

36

Paul chodził tam i z powrotem po domu Randalia Eliota. Niewiele sypiał w tym tygodniu. Gdy Michele poszła, nawet nie próbował się położyć.

Wsiadł do samochodu i pojechał nad rzekę.

Poranne słońce pozłacało brązowy nurt wezbranej wody. Paul zaparkował samochód i poszedł na środek mostu na Main Street. Wezbrana rzeka przewalała się pod nim z impetem, niosąc błoto, liście i połamane gałęzie.

Wsiadł z powrotem do samochodu. Wzdłuż rzeki biegła mało uczęszczana droga. Kiedyś przyjechał tu z Mary na piknik, kochał się z nią na trawie w cichym zakątku odgrodzonym drzewami...

Przy nadrzecznej drodze stał znak z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO. Samochód Paula kołysał się i podskakiwał na koleinach, aż nagle droga się skończyła: zniknęła, pogrążyła się w rzece.

Paul siedział przez chwilę i rozglądał się wokół; obserwował zmaconą wodę, która niosła drewnianą belkę, obracając ją jak zwłoki topielca.

Belka była odarta z kory, biała, jak mocno wymoczone ciało. Resztki gałęzi sterczały z niej jak koścista ręka.

- Dziwka - powiedział Paul w stronę rzeki. I po chwili dodał: -Tylko ja.

Paul obserwował belkę, aż zniknęła mu z oczu.

Wrócił wyboistą drogą do Main Street. Słońce raziło go w oczy. Pojechał do Cedar Ridge i zapukał mosiężną kołatką - wybiegł wtedy nie zabrawszy klucza.

- Wejdz - powiedziała Mary, otworzywszy drzwi. Jej głos zabrzmiał tak oficjalnie, że przez chwilę poczuł się jak wykładowca angielskiego, który wtedy, w ten pierwszy wieczór, wszedł tu za nią, mijając schody, patrząc na zielony dywan i błyszczące meble. W pokoju z tarasem znowu grała muzyka; pokój jaśniał kwiatami, które rosły za oknem.

- Zrobię kawę - powiedziała Mary.

Paul miał na sobie nową koszulę, która pasowała do koloru jego oczu. Patrzyły na nią tak niewinnie, szczerze.

- Przyszedłem, żeby cię przeprosić. Powiedziałem ci parę nieprzyjemnych rzeczy. Zraniłem cię. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. I chcę ci przekazać wspaniałą nowinę - wspaniałą dla nas obojga.

- Nie mogę długo rozmawiać - powiedziała Mary odwracając się od niego, żeby nasypać kawy przy zlewie kuchennym. - Na jedenastą idę do Nory na lunch.

Nie dostrzegła jego zimnego wzroku. Pocałował ją w kark i powiedział:

- Wyglądasz na zmęczoną.

Usiedli przy stoliku na tarasie, nie wspominając o książkach Randal'a ani o sekretarkach, którym się wydawało, że je napisały. Rozmawiali o nowych chryzantemach na okrągłym klombie. Podziwiali zasadzone przez siebie brzoźki, które nazwali „Trzy Gracje”: wysmukłe drzewka kołysały się na skąpanym w słońcu trawniku.

Paul nalał kawę i przyniósł ją na tacy.

- Właśnie miałem telefon z Nowego Jorku i przyjechałem prosto tutaj... chciałem, żebyś dowiedziała się pierwsza.

Zaproszono mnie na miesiąc do Włoch, nad jezioro Como, pokrywają wszystkie koszty. Będę jednym z naukowców-rezydentów.

Mary spojrzała na śmietankę wirującą w filiżance.

- Nie dotyczy to pewnie żon.

- Wręcz przeciwnie. Można zabrać współmałżonka. Pojutrze wyjeżdżamy.

- W środę?

- Wczesnym rankiem. Polecimy do Londynu, a stamtąd, w czwartek rano, do Mediolanu. Wiem, że zdecydowali się na to w ostatniej chwili - pewnie wybrali mnie w zastępstwie za kogoś... może nawet w trzeciej albo w czwartej kolejności. Zapraszają tam

różnych naukowców, odbywają się konferencje. Nawiążę ważne kontakty.

- Oczywiście - powiedziała Mary.

- A to wszystko dzięki Randalowi i tobie - rzekł Paul. Mary się nie odzywała, więc ciągnął dalej: - Może jutro przyjedzie Hannah. Zadzwoiła i wprosiła się, choć mówiłem jej, że będziemy zajęci...

- Nie będzie nam przeszkadzać - powiedziała Mary.

- Ale musimy się spakować i przygotować dom na naszą nieobecność... - Paul pochylił się nad Mary i pocałował ją w policzek. - Znowu będziemy mieli miesiąc miodowy. - Mary zamknęła oczy i siedziała bez ruchu. - Zawsze chciałaś obejrzeć Włochy. - Przyciągnął ją, wziął w objęcia i pocałował. - Będziemy mieli miesiąc miodowy.

- Tak - powiedziała Mary. Wyśliznęłam się z objęć i westchnęła: - Spóźnię się na lunch z Norą. Muszę iść na górę i przebrać się.

Paul wsłuchiwał się w jej kroki na schodach i w korytarzu na górze. Walnął pięścią w stół i zaklął.

Gdy samochód Mary opuścił podjazd, Paul zamknął się w jej pracowni i przeczesał ją dokładnie; każdą półkę, każdą szafkę. W dolnych szufladach biurka, ukryte pod gazetami, znalazł ciężkie notatniki w czarnych okładkach.

Otworzył pierwszy z nich. Na pierwszej stronie, ładnym charakterem pisma Mary, było wykaligrafowane: *Dzielnice*. Drugi był podpisany: *Obca*.

Na dobre i złe. Czysty zysk. Gospodarz.

W tych kilku czarnych brulionach znajdowało się pięć pierwszych powieści - powieści Randal'a zapisanych charakterem pisma Mary. Pełno w nich było poprawek.

- Cholera! - krzyknął Paul i cisnął przez pokój ciężkim słownikiem. Słownik uderzył z hukiem w ścianę i upadł na dywan. - Cholera! - Paul patrzył z wściekłością na grube bruliony. Nigdzie nie było nazwiska Randal'a.

Sierpniowe słońce oświetlało w paski stół w jadalni Nory i pełzło po ścianie do narzutki ze wzorem „kół rydwanu”. Pulchna, zamyślona twarz Nory była podświetlona od dołu, gdy oburącz obejmowała Mary. Mary przestała płakać.

- Nie martw się - powiedziała Nora. - Będę ci pilnowała domu... przesyłała ważną korespondencję...
- Zawsze to dla mnie robiłaś. I zawsze wysłuchiwałaś moich żalów.
- Ciągłe sobie myślę: biedny Randal - powiedziała Nora. - Ale mówić to on potrafił.
- A ja potrafiłam kłamać - rzekła Mary. - Ukrywałam się i kłamałam przez całe życie. Dzieci przez całe lata wysłuchiwały tych kłamstw. To dla mnie najgorsze w tym wszystkim.
- Gdy sobie przypomnę, jakie głupstwa ci czasami mówiłam...
- Wiele się zmieniło - powiedziała Mary. - Upłynęło tak wiele lat.
- Tak - zgodziła się Nora i zamyśliła się przez chwilę. - Wciąż jesteś moją przyjaciółką, ale teraz goszczę przy stole światowej sławy Mary Quinn...
- Właśnie dlatego nie powiedziałam Paulowi.
- Woli mieć zwykłą, pospolitą żonę? - spytała Nora.
- Za każdym razem, gdy miałam mu już powiedzieć, wyobrażałam sobie, jak by to odebrał: że stałabym się dla niego konkurencją, że to ja byłabym gwiazdą. - Mary bawiła się pierścionkami na palcach. - A teraz... teraz jest Michele. To jasne, że jest Michele. Niby dlaczego nie miałby pożądać młodszej i ładniejszej kobiety?
- Tylko poczekaj, aż się dowie, że to ty jesteś pisarzem, którego czci od lat!
- Boję się go i to jest najgorsze - powiedziała Mary. - Gdy jest pijany, staje się innym człowiekiem. Myślę nieraz o jego pierwszej żonie.

Nora spoważniała.

- Więc po co zabierasz go do Włoch?
- Chcę, żeby dowiedział się, kim jestem, tam, gdzie doceni wszystkie zalety tego faktu - zaproszenia, nagrody, pieniądze, jakie dostanie za moją biografię... Gdy jest szczęśliwy, jest... - Mary spojrzała na pierścionki. - Pewnie wszyscy, nawet ty, myśleli, że wyszłam za niego, bo jest młodszy i taki przystojny? Tak, to prawda. Ale poza tym uwielbiał moją twórczość, moją pracę! Czy uwierzysz, że zauroczyło mnie najbardziej to, że zakochał się w mojej duszy, w moich książkach?

Przez chwilę siedziały w milczeniu w słonecznej jadalni.

- Ale teraz żyjesz pełną piersią - powiedziała Nora. - To dopiero początek. Będą o ciebie zabiegali bogaci, wpływowi ludzie. Będą cię zapraszać i chlubić się znajomością z tobą.

- „Już noże w mięsiwie i napitki w rogach... - Mary z błyszczącymi oczyma zacytowała słowa średniowiecznego *Mabinogio-na* - biesiada huczna we dworze Artura."

- Faktycznie biesiada! - wykrzyknęła Nora z szerokim uśmiechem. - Nad jeziorem Como!

„I wstęp ma jedynie człek szlachetnie urodzony - Mary również się uśmiechała, mrużąc oczy - lub artysta ze swym dziełem."

- To właśnie ty - powiedziała Nora. - „Artysta ze swym dziełem".

- I gdy Paul się dowie, zrozumie...

- Będzie tam pełno ludzi - powiedziała Nora. - Ale wołałabym, żebyś pojechała sama.

- Będzie tam pełno ludzi - powtórzyła Mary. Nora potrząsnęła głową.

- Wołałabym, żebyś pojechała sama.

Paul chodził po pracowni Mary, omijając czarne bruliony leżące na podłodze. W pewnej chwili kopnął jeden z nich. Otworzył się na stronie, gdzie połowa zdań była wykreślona i przepisana na nowo, a na marginesach widniały notatki dotyczące fabuły i postaci... Czy Randal to wszystko podyktował? Ułożył dzienniki w szufladach i z powrotem przykrył gazetami.

Będzie wszystkim opowiadać, że napisała jakąś część tych książek? Ćwierć? Połowę? Randal nie żył, nie mógł nic sprostować, a ona poleciała na plotki do Nory Gilden.

Chodził po pokoju. Gdyby miał gotowe do publikacji przynajmniej fragmenty analizy tekstowej, może mógłby udowodnić...

Zaklął. Mary jest chora psychicznie. Powinien umieścić ją w szpitalu psychiatrycznym, uciszyć ją.

Nie ma na to czasu. Nie ma czasu. Będzie wszystkim o tym gadać. W czwartek pojedą do Włoch i będzie wszystkim gadać...

W szufladzie pod jego zimowymi koszulami leżała fiolka tabletek nasennych. Rozgniół tuzin z nich łyżeczką, rozmieszał z kawą

rozpuszczalną i z wodą i postawił na półce kuchennej, do której Mary nie mogła dosięgnąć.

Pił prawie przez cały dzień. Gdy położył się na chwilę na łóżku, kamienny kominek, zielone rośliny i białe ściany zawirowały wokół niego. Zamknął oczy. Lubiła kawę do kolacji i on ją najczęściej przygotowywał. Mary jest lekka, łatwo ją będzie zanieść do samochodu...

Gdy tak leżał, przyrzekł sobie, że nie będzie już pił. Miał tylko jedną noc i jedną szansę - jutro przyjedzie Hannah. Ujrzał ciemną, samotną drogę prowadzącą do rzeki, na pół zatopiony samochód Mary i ją samą, obracającą się w wartkim nurcie... Wezbrana rzeka i nabrzmiałe ciało wirowały mu w głowie jak pokój, w którym się znajdował...

Gdy Mary przyjechała do domu, Paul pił kawę. Pocałował ją i poczuła zapach kawy zmieszany z whisky. Usiadł z nią w salonie, uśmiechnął się i spojrzał na ciemniejący za oknem ogród.

- Za kilka dni będziemy we Włoszech! Przygotuję kolarę, żeby to uczcić - powiedział.

- To miło z twojej strony. - Mary wyglądała na zmęczoną. Poszła na górę przebrać się i zacząć pakować walizki Paula. Co jakiś czas wychodził z kuchni i mówił, co będzie mu potrzebne na podróż.

Jedli w pokoju z tarasem. Ciemność za oknami zmieniła się dzięki światłu świec w czarne zwierciadło. Paul uśmiechnął się ponad kieliszkiem wina i spytał, czy Mary pamięta ich pierwszy wspólny posiłek przy kominku. Tego wieczoru, gdy przyniósł kwiaty i wino i został aż do pierwszej w nocy.

Mary powiedziała, że pamięta. Nie jadła zbyt wiele.

- Kawy? - spytał.

- Chyba nie powinnam pić kawy - odparła. - Muszę się wyspać.

- Bez kofeiny - zachęcał Paul.

- Dziękuję. - Mary wpatrywała się w odbicie płomieni świecy. Pomyślała o Włoszech i uśmiechnęła się.

Zadzwęczał dzwonek u drzwi. Mary poderwała się, a Paul zaklął w kuchni. Coś rozbiło się na podłodze.

Mary poszła otworzyć, omijając Paula, który zbierał kawałki potłuczonej filiżanki.

- Cześć - powiedziała Hannah na widok Mary. - Nie chciałam, żebyście wyjechali bez mojego pożegnania i prezentu na drogę! - Pod pachą trzymała dwie butelki wina. - Cześć, braciszku! - zawołała do Paula, który, zamiast jej odpowiedzieć, zmierzył ją wzrokiem i poszedł po walizkę do samochodu.
- Przygotowali dla Hannah kolację i wypili trochę przyniesionego przez nią wina. Rozmawiali o Włoszech. Rozmawiali o klientach jej firmy. Rozmawiali o zalanych ulicach miasta.
- Taka jestem zmęczona - powiedziała Mary po chwili. - Pogadajcie sobie, a ja pójde spać. Masz posłane łóżko - zwróciła się do Hannah. - Rano możesz spać, jak długo zechcesz. Wypocznij dobrze.
- Patrzyli, jak wchodzi po schodach i znika w głębi korytarza. Usłyszeli trzask zamykanych drzwi od sypialni.
- Nie podoba mi się to - powiedziała Hannah.
- Nic nie zrobiłem.
- To dobrze.
- Nigdy nie miała do mnie zaufania - syknął Paul. - Nigdy. Wiesz, co znalazłem na górze, w jej pracowni? Pięć pierwszych powieści Randal'a Eliota napisanych jej charakterem pisma... z poprawianymi słowami, przestawianymi akapitami, notatkami dotyczącymi fabuły na marginesie - czy mógł podyktować jej te wszystkie zmiany przed pójściem do szpitala? I miała te bruliony już wówczas, gdy się pobraliśmy! Nigdy mi ich nie pokazała. Nigdy mi nie ufała, bo chciałem napisać o jego chorobie psychicznej...
- Wyglądasz okropnie - rzekła Hannah. - Piłeś.
- Niewiele spałem - powiedział Paul, pocierając twarz.
- Rozmawia ze swoimi przyjaciółmi? Rozповіда im, że częściowo sama napisała te książki?
- Skąd mam wiedzieć? - Paul mówił zimnym głosem. Nie patrzył Hannah w oczy.
- Czujesz się pewnie, jakbyś siedział na bombie? Paul uderzył pięścią w kolano.
- Przez miesiąc nie będzie jej w kraju. Przynajmniej nie będzie paplała tu do ludzi jak jakaś bełkocząca kretynka.
- Chyba bełkocząca? - sprostowała Hannah.
- Wszystko jedno - powiedział Paul. - Ale będzie paplała we Włoszech.

Hannah rozejrzała się wokół siebie.

- Gdy byłam tu ostatnim razem, zachowywaliście się jak papu-żki-nierozłączki.

- Bo nagle zmieniła się w mego wroga.

- Jest jakaś inna kobieta? - spytała Hannah.

- Co? - zdziwił się Paul.

- Czy dowiedziała się, że masz inną kobietę, braciszku? Zawsze lubiłeś się trochę zabawić na boku.

Paul spojrział ostro na Hannah.

- Przyjechałam tutaj, bo byłam śmiertelnie przerażona. Ciągle zresztą jestem.

- Mam z Mary takie układy jak większość małżeństw - powiedział Paul. - Nie sądzisz?

- Nie. Chcesz coś zrobić. - Hannah wpatrywała się w Paula. Paul milczał.

- Na miłość boską - odezwała się Hannah cichym głosem. - Myślisz, że cię nie znam? Myślisz, że zapomniałam o Sandrze?

Paul wstał i odwrócił się do niej plecami.

- Jestem twoją siostrą. Wiele ci zawdzięczam, ale cię znam i jestem jedyną osobą, która może cię przestrzec. I przestrzegam cię - uważaj. Pijesz. Tracisz głowę. Nie licz na następną żonę...

- Jesteś stuknięta jak Mary - powiedział Paul nie odwracając się.

- Możesz mieć wszystko - rzekła Hannah. - Pieniądze, ten dom. I jeśli nawet nie będziesz wykładać? Jeśli nawet Mary oznajmi, że to ona po części napisała te książki? Nie musisz pracować.

Paul odwrócił się gwałtownie.

- I mam być jakimś *gigolol* Utrzymankiem stukniętej, starszej pani? Jej ozdobą?

- Kobiety często są utrzymankami i ozdobami.

- Kobiety to co innego - Paul mówił teraz cichym, zgorzkniałym głosem. - Ja jestem naukowcem. Przez całe lata badałem twórczość Randała Eliota...

- Jesteś fanatykiem. No i co masz zamiar zrobić? Paul nie odpowiedział.

- Na miłość boską - Hannah patrzyła na niego gniewnie. Miała oczy jak zimne kryształki lodu. - Pozwól Mary robić, na co ma ochotę... w zamian osiągniesz wszystko. Nie zapominaj o tym. Możesz osiągnąć wszystko.

- Wiem - powiedział Paul. - Bez przerwy to sobie powtarzam.

Paul rozstał się z Hannah przy drzwiach jej sypialni, rozebrał się w ciemności obok śpiącej Mary i wszedł do łóżka. Przytulił Mary mocno i całował, aż w końcu odwzajemniła pocałunek. Jej poduszka była mokra od łez.

Samolot krążył pod błękitnym niebem Mediolanu. „Włochy!” -powiedziała sobie w duchu Mary. Twarz jej się zarumieniła, oczy błyszczały.

Na lotnisku czekał na nich kierowca w liberii, z tabliczką „Willa Christa”. Nie mówił po angielsku. Wyglądało na to, że jedyna rzecz, jaką potrafi powiedzieć, to „Mary Ouinn”.

- Paul Anderson. Naukowiec-rezydent w willi Christa - przedstawił się Paul, ale kierowca uparcie powtarzał: „Mary Ouinn”.

- Tak, to ja - powiedziała Mary. Spojrzała na Paula i wzruszyła ramionami. Kierowca uśmiechnął się, skłonił i zaniósł ich bagaż do limuzyny.

Długo jechali przez Mediolan. W końcu miasto zniknęło za wzgórzami porośniętymi oleandrami, oliwkami i kasztanami. Pojawiły się wille zwrócone w stronę błękitnego jeziora. W tym błękicie odbijał się, błyszcząc, śnieg leżący na szczytach Alp wysoko ponad nimi.

Limuzyna pokonywała wąskie tunele i trąbiła przed ostrymi zakrętami. Paul nie odzywał się do Mary, ale oczy mu błyszczały, gdy wpatrywał się w przesuający za oknem rozległy pejzaż Lombardii. Nagle rozpostarło się przed nimi jezioro Como. Otoczone było przez góry i miało ostry cypel jak dziób łodzi. Na końcu cypla, ponad kremowymi murami miasteczka i dachami krytymi czerwoną dachówką, górowała willa Christa.

Szofer dał znak i otworzyła się brama. Jechali teraz drogą wzdłuż kamiennych murków. Wysoko nad nimi rozciągały się położone tarasowato ogrody, a w oddali widać było złotawe ściany willi.

Mary czytała o willi Christa. Była zbudowana na ziemi sownie skropionej krwią. Dwadzieścia pięć stuleci walk - Celtowie, Rzymianie, gwelfowie i gibelini, germańscy najemnicy, Sforzowie, Francuzi kolejno zdobywali i oddawali cypel. Gdy limuzyna zatrzymała się przed drzwiami, Mary spojrzała na Paula i na myśl o jeszcze jednej bitwie poczuła dreszcz strachu.

- Witamy we Włoszech! - korpulentny młody człowiek otworzył drzwi limuzyny i przedstawił się jako Hud Brewster, dyrektor willi. - Mam nadzieję, że mieli państwo przyjemny lot z Londynu.

Paul powiedział, że bardzo przyjemny.

Mary wysiadła z limuzyny i popatrzyła na liczącą sobie czterysta lat fasadę willi. Ściany o kolorze jasnego złota wieńczył czerwony dach. Równie czerwone były pilastry. Czerwień odgradzała parter od pierwszego piętra, a okna były ciepło otulone rzędami czerwonych okiennic.

- Dosyć daleko od Mediolanu - powiedział Paul, wchodząc w ślad za Mary i Hudem przez białe drzwi. - Chyba z pięćdziesiąt kilometrów.

Mary spojrzała na niego. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Siedemdziesiąt siedem - poinformował ich Hud. Od pierwszej chwili nie odrywał wzroku od Mary. Szedł teraz obok niej długim, krętym korytarzem, a Paul kroczył z tyłu.

Arrasy, marmurowe stoliki, połączane skórzane fotele, lustra i lichterze niknęły pod wysokim sklepieniem korytarza. Szerokimi schodami weszli na piętro. Znajdował się tu następny korytarz, tak samo długi i kręty. Hud otworzył drzwi i zabłysło światło słoneczne.

- To państwa apartament - powiedział. - Połączyliśmy dwa pokoje przeznaczone dla naukowców.

Obydwa wielkie pokoje były wyposażone w łazienki, biurka, maszyny do pisania, wazony z kwiatami, fotele i wielkie łóżka. W jednym pokoju otwarte były dwuskrzydłowe drzwi i Mary zachłysnęła się widokiem: najpierw zobaczyła dachy miasteczka, dalej rozległą, pomarszczoną, błękitną tafłę jeziora i w końcu zbocza gór, wznoszące się ku stromym szczytom. Gdy wyszła na balkon, zawisła nad tą niesamowitą scenerią jak ptak w locie.

Hud i Paul poszli do drugiego pokoju, ale Mary została na balkonie i patrzyła, jak daleko, daleko pod nią czarno-biały, niczym zabawka prom odpływa od nabrzeża małego miasteczka. Zostawiał za sobą rozszerzający się wachlarz zmarszczek na jedwabistym błękitcie jeziora.

„Nie odziedziczyłam tego - powiedziała sobie w duchu i poczuła, jak szczęście rośnie w niej niczym ten wachlarz na jeziorze. -Nie otrzymałam tego na mocy małżeństwa. Sama to sobie wypracowałam”.

Jakiś człowiek wniósł ich bagaże. Zaraz pojawił się drugi, z kawą, małymi ciasteczkami i bukietem róż.

- Proszę się rozgościć - powiedział Hud, wychodząc z Paulem z sąsiedniego pokoju. - Spotkamy się na lunchu. O wpół do pierwszej na tarasie podawane są drinki. - Zanim zamknął za sobą drzwi, dodał jeszcze: - Dzisiaj jest tutaj spokojnie, ale jutro ma przyjechać na konferencję pięćdziesięciu amerykańskich agentów i wydawców. Z pewnością będą chcieli porozmawiać z państwem.

- Agenci i wydawcy? - zdziwił się Paul, ale Huda już nie było.

- Chcesz kawy? - spytała Mary. Śmietankę i cukier podano w małych srebrnych miseczkach. Ciasteczka miały aromat anyżku.

Mary zabrała swoją kawę do drugiego pokoju. Stały tam na półkach walizki Paula, a na wielkim łóżku leżał jego płaszcz. Zaczęła wieszać w szafie jego ubrania, od czasu do czasu popijając kawę. W tym pokoju nie było balkonu. Przez okno ujrzała ten sam piękny widok. Zajmowali narożnik willi: na załamanej pod kątem prostym ścianie balkon sąsiedniego pokoju wisiał na żółtej fasadzie willi jak ślimak na burcie statku.

Gdy tak patrzyła, Paul wyszedł na balkon. Usłyszała, jak mówi do siebie:

- Agenci. Wydawcy. O Boże!

Paul zszedł z balkonu, usiadł w fotelu i potarł zmęczone oczy. „Ma czelność myśleć, że pozwolę jej tknąć jego dzieła... tylko ja mogę ją powstrzymać.” Chciało mu się spać. Na stoliku obok łóżka tykał zegar. Usłyszał, jak Mary otwiera jego walizkę w sąsiednim pokoju.

Podniósł się i przejrzał broszurę zatytułowaną: „Informacje dla naukowców-rezydentów”, która leżała na komódce. „Problemy zdrowotne... biblioteka... korespondencja... pranie i prasowanie...”

usługi fryzjerskie... klucze do bramy willi... przywołanie *cameriere* w przypadku gdyby gość życzył sobie kawy lub herbaty... kserokopiarka... msze..."

W broszurce były „propozycje zajęć dla współmałżonków, którzy podczas pobytu nie prowadzą badań naukowych, ani nie piszą”. Według wskazówek z broszury, Mary mogła chodzić na piesze wycieczki, na zakupy, korzystać z biblioteki, były również krótkie rejsy stakiem...

Paul zmrużył oczy, patrząc na poranny błękit jeziora. Wyszedł na balkon, wychylił się i popatrzył na kamienistą drogę wijącą się daleko w dole, za niewysokim murkiem.

Ponownie otworzył broszurę. Dołączono listę mieszkających tu obecnie naukowców-rezydentów. Próbował zapamiętać nazwiska -sami mężczyźni, wszyscy związani z poważnymi instytucjami z całego świata. Uniwersytet Berliński... Imperial College w Londynie... Yale... Chodząc po pokoju i ucząc się na pamięć nazwisk i nazw uczelni, wyszedł znowu na balkon i spojrzął na twardą drogę daleko pod nim.

Mary podeszła do drzwi balkonu i poinformowała go, że już rozpakowała jego rzeczy, po czym zajęła się swoimi walizkami. Paul usiadł na balkonie i znów zaczął studiować broszurę: po rubryce „zaplanowana praca w czasie pobytu w willi” wymienione były żony naukowców-rezydentów. Profesor Crabbe przygotowywał pracę na temat roli i przyszłości współczesnej rodziny. Jego żona miała na imię Ursula. Profesor Dorn miał pracować nad antycznymi korzeniami współczesnego dramatu francuskiego. Jego żona miała na imię Edith. Profesor Albrecht kończył powieść o Francji średniowiecznej. Jego żona miała na imię Lucie. Na liście nie było profesora Paula Andersona z żoną Mary i z biografią Randała Eliota.

- Nie ma mnie na liście naukowców-rezydentów mieszkających w willi - powiedział Paul patrząc, jak Mary strzepuje ubrania. Odgradzało ich wielkie łoże. Prawie nie patrzyli sobie w oczy, skupiając wzrok na tym łóżku, jaśniejącym światłem jeziora, gór i nieba. - Z całą pewnością wybrali mnie w ostatniej chwili -powiedział Paul.

- Możliwe - powiedziała Mary, biorąc stertę ubrań. - Poszukam prasowalni, o której wspominał Hud.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Paul znowu wyszedł na balkon i popatrzył na kamienistą drogę. Twarde kamienie.

Paul i Mary, przebrani do lunchu, zeszli po szerokich schodach i powędrowali przez salony tam, gdzie słyhać było dźwięki głosów.

Zarówno wielki salon jak i bar wyłożone były boazerią. Przy barze, obok otwartych drzwi, stała grupa osób. Podeszedł do nich z uśmiechem dostojnie wyglądający mężczyzna, z pasmami siwizny w ciemnej brodzie.

- Państwo Paul i Mary Anderson? - zapytał. - Jestem Dunne Faraday. Hud Brewster poprosił mnie, żebym przedstawił państwa pozostałym mieszkańcom.

„Dunne Faraday!” - To słynne nazwisko dźwięczało echem w głowie Paula, gdy ścisnął dłonie mężczyznom i uśmiechał się do kobiet. Dunne podał Mary kieliszek czerwonego wina, a Paulowi martini.

Faraday rozmawiał z Mary. W poszumie konwersacji Paul nie słyszał, o czym mówią - coś o rzymskich uroczystościach zaślubin. Przez chwilę stał z boku grupki, a potem wyszedł na szeroki taras i w samotności sączył drinka. Cyprysy, ogrody, jezioro i wysepki rozciągające się przed nim lśniły w gorącym słońcu, co wzmagало jeszcze tępy ból głowy. Na żwirowanych placykach stały stoliki i krzesła. Drzewa na wzgórzu poruszały się na wietrze.

Paul wszedł z powrotem do środka. Ludzie wychodzili z pokoju, więc udał się za nimi z kieliszkiem w dłoni. Głowa bolała go niemiłosiernie. Każdy mijany zegar dawał mu o sobie znać bolesnym tykaniem.

W bogato zdobionej jadalni przy każdym miejscu była ustawiona wizytówka. Paul zauważył, że Hud Brewster już ulokował Mary pomiędzy sobą i Faradayem. Rozmawiali, rozwijając serwetki.

Paul dostrzegł swoją wizytówkę i zajął miejsce.

- Witam - powiedziała kobieta w średnim wieku. - Jestem Edith Dorn. Pochyliła się w stronę kobiety siedzącej po jego drugiej ręce.

- Nie poznaliście się jeszcze. To Paul Henderson, a to Ursula Crabbe.

- Anderson - sprostował Paul.

- Jak proszę? - spytała Ursula. Miała około czterdziestu lat i była zażywną brunetką.

- Paul Anderson - rzekł Paul.

- Och, przepraszam! - powiedziała Edith.

Wszyscy już zasiedli do stołu. Mary rozmawiała z Dunnem Faradayem i z Hudem Brewsterem. Spod krótkich włosów wy-

glądała jej ładna, zaróżowiona lekko twarz. Co mówiła? Paul wyęczał słuch, ale Edith właśnie przedstawiała go zadbanej blondynce, Lucie Albrecht, która spytała:

- Jest pan z Nebraski?

Paul odpowiedział, że tak. Mary rozmawiała o polityce. Paul prawie nie zwracał uwagi na jedzenie, ani na to, co mówią kobiety siedzące obok. Po posiłku próbował złapać Mary w korytarzu willi, ale odeszła z Dunne i Faradayem.

Hud Brewster podszedł do Paula. Patrzyli, jak Mary i Dunne wchodzi po schodach.

- Nie wiedziałem, że on tutaj będzie - powiedział Paul.

- Ma przewodniczyć konferencji - wyjaśnił Hud. - Ostatnim razem był tutaj z żoną, ale zmarła krótko po tym, jak ukazała się jego ostatnia powieść i otrzymał Pulitzera.

W miarę możliwości Paul trzymał się blisko Mary i Faradaya. Posłyszał ich głosy w bibliotece na piętrze i chciał się do nich przyłączyć, ale byli bardzo zajęci dyskusją, chyba na temat najnowszej książki Dunne'a. W ogóle go nie zauważyli.

Paul zszedł z powrotem na dół.

Gdy stanął obok stolika z czerwonego marmuru, podeszła do niego Edith Dorn.

- Był pan już na szczycie wzgórza? - spytała go. - Są tam tysiącletnie ruiny twierdzy. I jaki wspaniały widok ze szczytu wznoszącego się setki metrów nad jeziorem!

Odniosła wrażenie, że Paul jest bardzo wyczerpany; odpowiedział jej tak, jakby był myślami zupełnie gdzie indziej. Patrzyła za nim, jak oddalał się drogą prowadzącą z willi pod górę pośród drzew.

Kiedy Paul wrócił z twierdzy, Mary spała. Otwarte drzwi na balkon były zasłonięte ciężką kotarą i w pokoju panował półmrok. Paul położył się na łóżku w sąsiednim pokoju.

Mary ustawiła na stoliku obok mały budzik podróżny. Słuchał, jak tyka. Dźwięk był ostry niczym dziób ptaka wydziobującego resztki czasu, jaki jeszcze pozostał Paulowi.

Nie był w stanie uleżeć spokojnie. Nie był w stanie odpoczywać. Każdy z dwóch pokoi miał drzwi na korytarz. Paul wyszedł po cichu i poszedł obejrzeć bibliotekę. Chodził po tarasowych ogrodach, obejrzał szklarnie i posłuchał, jak w skalnej grocie kapie woda przypominając tykanie zegara.

W zapadającym letnim zmierzchu zatarły się kontury gór i jeziora. Służący pozapalali światła w komnatach willi, w których stały antyczne meble. Kolor jeziora Como zmienił się z intensywnie niebieskiego na lawendowy, a później na purpurowy.

Mary obudziła się i zobaczyła, że jest sama. Wykąpała się i wyszła na balkon, żeby popatrzeć, jak zmieniają się góry wraz z nadejściem wieczoru. „Cudownie”, powiedziała do siebie. Pomyślała o nocach w Paryżu spędzonych z Paulem... o nocach w Londynie... Minęły już chyba bezpowrotnie, jak te „piękne anioły”, które tak oplakiwał mężczyzna w Chartres.

Westchnęła, chodząc po czerwono-złoty pokojach. Zatrzymała się przed swoim skórzanym zestawem podróżnym, rozłożonym na toaletce. Głowa mosiężnego lwa z kosmetyczki szczyrzyła ostre,

Isniące kły. Michael, Beth, Don i Jay uśmiechali się ze zdjęcia, ale teraz ich uśmiechy wyglądały jakoś inaczej. Przez ile lat uśmiechali się do niej wiedząc, że patrzą na powieściopisarkę, Mary Quinn? Po drugiej stronie ramki znajdowała się fotografia domu w Cedar Ridge.

Miękkie dywany. Światło zachodzącego słońca. Drogie perfumy, sukienka z czerwonego jedwabiu. Gotowa do obiadu Mary przez długą chwilę stała na balkonie, a sukienka łopotała jej na wietrze. Znajdowała się tak wysoko, że strzępy chmur szybowwały obok niej niemal w zasięgu ręki.

Wzdłuż brzegu, jak gwiazdy, rozbłysły sznury świateł. Mary zacisnęła dłonie na poręczu balkonu i odetchnęła głęboko wspaniałym powietrzem. Jej pierścionek rozbłysł, odbijając jeden z ostatnich promieni. „Przyzwyczaisz się do sławy.” Mary roześmiała się i wychyliła się z balkonu tak bardzo, że Paul, wchodzący właśnie do pokoju, wstrzymał oddech, podszedł do niej cicho i spojrzał w dół na samochody jadące kamienistą drogą.

W wykwinnych, złoto-białych komnatach willi stał fortepian, pełno było płaskorzeźb, Isniących poduszek, lamp świecących delikatnym światłem. Promienie zachodzącego słońca wpadały przez drzwi prowadzące z salonu na taras.

- Widzę, że już pani ma kieliszek wina - powiedział Faraday, podchodząc do Mary. Paul rozmawiał z Rayem Dornem.

Mary i Dunne wyszli na złotawo oświetlony taras.

- Jak długo pan tu będzie? - spytała go Mary.

- Przez dwa tygodnie - odpowiedział Dunne uśmiechając się do Lucie Albrecht, która również odpowiedziała mu uśmiechem.

Wyglądał dystyngowanie w świetnie skrojonym smokingu, z brodą przetykaną siwizną.

- To dla mnie zaszczyt poznać laureata Nagrody Pulitzera - powiedziała Mary. Uśmiechnęła się, po czym spojrzała ponad czarnymi konturami cyprysów na zamglone jezioro.

- Jestem pewien, że pani sama wkrótce ją zdobędzie - rzekł Dunne.

Mary odwróciła się gwałtownie i popatrzyła na niego.

- Powiedział mi Hud Brewster. Nikt inny nie wie - szepnął Dunne. - Jestem tutaj sam, więc nie sprawi mi kłopotu... bycie pani

aniołem stróżem. - Uśmiechnął się. - Oczywiście Hud też może się przydać. Dzwoniła pani agentka. Powiedziała, że martwi się

O panią.

Mary nagle drgnęła widząc, że na taras wszedł Paul.

- Czy masz ochotę na jeszcze jeden kieliszek wina? - Paul spytał Mary.

- Nie - podziękowała. Dunne uśmiechnął się do Paula.

- Nie wiem jeszcze, czym się pan zajmuje - powiedział.

- Wykładałam literaturę amerykańską. W przyszłym roku pojawi się moja biografia Randala Eliota.

- Ach tak. Oczywiście - odparł Dunne.

- Niestety na liście gości nie ma jeszcze mojego nazwiska - powiedział Paul.

Mary wzięła Paula pod rękę.

- Chyba podano już obiad.

Weszli we trójkę do jadalni. Długa, wąska sala była oświetlona kryształowymi żyrandolami i przesączona zapachem róż gęsto zaścielających stół. Z wizytówek wynikało, że Mary i Paul siedzą obok siebie.

Mary usiadła, rozwinęła serwetkę i patrzyła, jak kelner nalewa jej gęstą zupę jarzynową do talerza ze złotym szlaczkiem.

- To oczywiście minestrone - powiedział zza róż Hud do Mary. - Teraz jest znana na całym świecie, ale pochodzi z Lombardii.

Mary przypomniała sobie nagle zupę minestrone z puszek, kuchnię, w której tyle razy ją przygotowywała, sześć talerzy na stole, należącym niegdyś do jej rodziców, Michaela, Beth, Dona i Jaya, jak podają sobie kanapki... jak zgarniają do kosza resztki z talerzy... jak zdejmują pranie ze sznurka...

Róże odbijały się w wypolerowanym stole. Gdy Mary odłożyła łyżkę, kelner postawił przed nią talerz z rybą błyszczącą od masła.

- Teraz proszę spróbować *jiletti di pesce perisco* - zachęcił Mary Hud. - Świeżo złowione. Nasz kucharz pochodzi z Mediolanu.

- Zjeżdżają się już uczestnicy konferencji - rzekł Dunne.

- Pewnie nie wszyscy zjedzą na śniadanie - powiedział Hud. - Ale zobaczy pani większość z nich przy lunchu.

Paul prawie nic nie jadł. Powiedział, że nie jest głodny.

Po obiedzie Paul poznał Wilhema Albrechta i Waltera Crabbe. Crabbe, łysiejący i otyły, zaczął rozwodzić się nad rozkładem współczesnej rodziny. Ursula Crabbe i Lucie Albrecht siedziały obok swych mężów i uśmiechały się do Paula.

Paul widział, jak Mary w ciepłym świetle salonu rozmawia z Faradayem. Jej jedwabna sukienka odcinała się wyraźnie na tle białej ściany i złotego fotela. Kiedy Dunne na chwilę się oddalił, Paul podszedł do Mary.

- Idę spać - oświadczył. Jego niebieskie oczy były pozbawione wyrazu. Mary przyszło na myśl, że wygląda jak przystojny manekin prezentujący smoking. - Nie chciałabyś jutro rano wspiać się na szczyt wzgórza? - spytał. - Jest stamtąd nieprawdopodobny widok.

Mary zawahała się.

- Jeśli będziesz się czuł na siłach - powiedziała. - Wyglądasz na zmęczonego.

Widząc nadchodzącego Dunne'a, Paul odwrócił się i zniknął w ciemnym korytarzu.

- Paul jest bardzo zmęczony i poszedł spać - wytłumaczyła Mary Dunne'owi.

- Czy pani też jest zmęczona? - spytał ją Dunne. - A może miałyby pani ochotę na krótki spacer na dół, żeby zobaczyć miasteczko wieczorem? Moglibyśmy wstąpić na drinka do którejś z ulicznych kafejek.

- Bardzo chętnie pójdę na krótki spacer na dół - zgodziła się Mary.

Niech pani wesprze się na moim ramieniu - powiedział Dunne do Mary. - Mam latarkę, ale te schody są już ze starości miejscami zupełnie wdeptane w ziemię. - W świetle latarki pojawiły się kamienne schody, poprzedzielane niewielkimi podestami; poniżej jezioro srebrzyło się w świetle księżyca. Potem schody stały się wąskie i strome, jak tunel okolony drzewami. Mary, przytrzymując jedną ręką długą czerwoną suknię, poczuła dotyk ich liści. Dunne podał jej ramię.

Za ostatnim zakrętem schodów pojawiło się miasteczko. Nad ich głowami, pośród obrośniętych kwiatami balkonów, świeciły latarnie; ciemne drzwi sklepów spotykały się pod kątem prostym z prowadzącymi do nich schodkami. W oddali widać było jasno oświetlone kawiarnie i ludzi przechadzających się pod gwiazdami.

Gdy doszli do ulicznej kawiarenki, Dunne znalazł wolny stolik i podał Mary krzesło. Od sąsiednich stolików słychać było gwar rozmów. Delikatny wieczorny wiatr pachniał rozgrzanyymi przez słońce kamieniami i różnymi potrawami.

- Lubi pani różowe wino? - spytał Dunne. - Mają tu wyśmienity, miejscowy gatunek, Chiaretto znad jeziora Garda.

Gdy je przyniesiono, wzniesli kieliszki i uśmiechnęli się do siebie.

- Za pisarzy - powiedział Dunne.

- Za nas wszystkich - rzekła Mary; wiatr znad jeziora rozwiewał jej włosy.

- Bardzo mi się podoba zakończenie *Na dobre i złe* - powiedział Dunne. - Żona ucieka od męża i marzy o niezależności, jednak jej nowy kochanek jest pewien, że nią zawładnie. Wymyśliła to pani, czy zdarzyło się to naprawdę?

Mary westchnęła głęboko i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Głupie pytanie - zreflektował się Dunne.

- Nie - powiedziała Mary. - Ale nikt jeszcze nie zadał mi żadnego pytania na temat mojej pracy: dlaczego skończyłam swoją książkę w ten sposób.

Dunne zmieszał się.

- Ciągłe zapominam, że jest pani „nową pisarką”. Trudno sobie wyobrazić, jak to możliwe, że ludzie czytali pani książki, recenzowali je, podziwiali, a pani nie mogła powiedzieć: te książki są moje.

- Tak było przez ponad dwadzieścia lat. Oboje zamilkli na chwilę i popijali wino.

- Sama byłam zaskoczona ostatnią sceną - powiedziała Mary. - Ale wie pan, jak to jest: ciężka praca i od czasu do czasu niesłychana satysfakcja, gdy uda się nakłonić czytelnika, żeby odczuwał tylko i wyłącznie to, co chce autor.

- Udało się pani.

- Najtrudniej chyba z tym „tylko i wyłącznie” - powiedziała Mary. - Satysfakcję ma się niezależnie od tego.

Dunne roześmiał się. Rozejrzeli się po wąskich uliczkach na pół zadaszonych balkonami. Na ścianach odcinały się wyraźnie pootwierane okiennice. Gdzieś, w prześwitach między domami, pobłyskiwały gwiazdy i woda.

Minęła ich jakaś para, przyglądająca się kobiecie w długiej czerwonej sukni, popijającej wino, i towarzyszącemu jej mężczyźnie w dostojnym smokingu.

- A więc za satysfakcję - rzekł Dunne, wznosząc kieliszek.

Paul powiesił swój smoking, pospacerował po dwóch pokojach, nastawił budzik na czwartą rano i położył się spać w pokoju z balkonem.

Przez drzwi balkonowe świecił księżyc, wdzierając się w jego myśli, które błąkały się po farmie ojca, trzeszczącej od upału, i po starym domu, w którym mieszkał z Sandrą i z jej hałaśliwymi psami. Gdy sprzedała szczeniaka, starczało im na jedzenie... Odór tego domu! Czuć go było w jedzeniu i w ubraniach. Nie spał całą noc, próbując skończyć doktorat, i pił, pił, aż Sandra zaczęła zrzędzić - po raz ostatni w życiu. Gdy ją uderzył, spadła ze schodów, robiąc przy tym tak wiele hałasu, że aż cały dom się trząsał. Zastanawiał się, odtwarzając sobie tę scenę bez końca w myślach, jak taka drobna kobieta mogła narobić tyle hałasu. Potem ucichła i nigdy nie powiedziała słowa skargi; w ogóle już nic nie powiedziała. Od lat siedziała w swoim schludnym pokoju, obok innych takich samych pokoi w wielkim gmachu w pobliżu Bostonu.

Paul krzyknął i usiadł na łóżku. Księżyc wisiał teraz wysoko nad górami i jeziorem.

Wybiła północ. Paul włożył dzinsy, koszulę i tenisówki. Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem. Gdzie jest Mary? Pewnie już wszyscy śpią. Mary drzemała przez całe popołudnie... z nikim nie rozmawiała...

Paul zaklął. Miał ochotę na drinka. Tylko jednego. Nie powinien pić więcej. Zszedł do baru.

W wielkim, pustym salonie świeciło się kilka lamp. W zasięgu wzroku nie było nikogo ze służby. W końcu przez wahadłowe drzwi wszedł jakiś mężczyzna i kiedy Paul powiedział: „amerykańską whisky”, podał mu butelkę, obok niej postawił na barze szklanekę i zniknął.

Paul wyszedł na taras. Popijał w samotności, pod gwiazdami, i mówił w duchu do Randala Eliota: „Za sławę, która ci się należy. Dopilnuję, żeby ci jej nie odebrano. Przysięgam przed Bogiem, dopilnuję.” Dzięki wielkości Randala miał zapewnioną stałą posadę, mógł pisać swą książkę, widział Londyn i Paryż, a teraz znalazł się nad jeziorem Como. Paul wznosił toast za geniuszy świata i za ich przyjaciół, którzy stoją w obronie ich czci.

Dunne i Mary opuścili kawiarnię, gdy pogaszono światła, a kelnerzy zaczęli składać krzesła. Spacerowali brzegiem jeziora,

a Dunne opowiadał jej o swoich kłopotach z pierwszą powieścią pod tytułem *Canterbury*. Srebrzyste fale pluskały o burty przycumowanych łódek. Mary odpowiadała na pytania o jej książki - jej książki!

- Zanim napisałam swoją drugą książkę, miesiącami czytałam o życiu podczas drugiej wojny światowej... wykorzystyłam Faulknerowskie polowanie na niedźwiedzia...

- Wyobrażam sobie - powiedział Dunne. - Ja też tak robiłem - brałem jakąś scenę z innej książki, rozkładałem ją na czynniki pierwsze i wykorzystywałem jej sedno, jej duszę.

Oczy Mary błyszczały.

- Jak tkacze z plemienia Navaho. Gdy dostawali koce od białych, pruli je i z tych samych nici tkali swoje własne pledy.

- Otóż to. Wykorzystujemy różne nici do własnych wzorów. Miasto ucichło, gdy tak spacerowali po kamiennych uliczkach.

Mary ledwie dostrzegała światło księżyca. Po raz pierwszy od dwudziestu lat była pisarką. Dunne czytał jej książki, a ona czytała to, co on napisał.

Popatrzył na nich kot liżący w drzwiach srebrzyste łapy. Byli tak zajęci wymianą myśli, że nie odrywali od siebie wzroku. Siadali na kamiennych murkach i ławkach, przechadzali się wypytujac, porównujac, cytujac, sprzeczajac się.

Księżyc zniknął z nieba. Z jeziora, jak dym, podniosła się mgła, pnąc się z nabrzeży na ulice, na schody prowadzące do willi, do lasu, do ruin twierdzy. W końcu pogasiła blade latarnie i pokryła perłowymi kropelkami smoking Dunna i suknię Mary.

- Mgła - zauważył Dunne.

- Tak - roześmiała się Mary. - Siedzimy w niej od pół godziny.

- Nie zauważyłem - powiedział Dunne zaskoczony i zapalił latarkę, żeby spojrzeć na zegarek. - Już prawie ranek.

- Ja wczoraj tyle spałam, że nie czuję zmęczenia, ale pan na pewno tak - powiedziała Mary.

- Wrócimy do willi i możemy spać do południa - rzekł Dunne. - Proszę wywiesić na kłamce tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać” i nikt nie będzie pani niepokoił. - Zdjął marynarkę i okrył nią Mary; czarna wełna była wilgotna od mgły. - Ma pani telefon, znajduje się w pokoju z balkonem.

Mgła wspinała się wraz z nimi po schodach, wirując w wąskiej smudze światła latarki.

Strzępy mgły spowły drogę poniżej willi i zasnuły tarasy ogrodów. Jej wstęgi przedarły się przez ligustry i zroszone kroplami paprocie i zimnym oddechem zwilżyły kark Paula siedzącego przy stoliku na tarasie z głową podpartą na rękach. Gdy się obudził i otworzył oczy, miał wrażenie, że znalazł się w jakimś lepkiem, wilgotnym śnie.

Jednak pod stopami miał solidny taras. Zauważył światło zatopione we mgle i poszedł w jego stronę chwiejnym krokiem. Ktoś zostawił otwarte jedno skrzydło drzwi salonu. Wszedł do środka.

Wspaniałe komnaty, puste fotele, wysokie sklepienia - to tutaj agenci i wydawcy zapytają jutro Mary, czy będzie redagować jeszcze jakieś książki Randala. A ona odpowie...

Przez chwilę zakręciło mu się w głowie od gniewu i wypitego alkoholu.

Kilka kinkietów oświetlało drogę do schodów.

Mary na pewno śpi w pokoju z balkonem, wysoko nad twardą kamienistą drogą.

Nie usłyszy, kiedy otworzy drzwi kluczem. Minał drzwi pokoju z balkonem i cichutko wszedł do sąsiedniego pokoju.

Było tam ciemno. W sąsiednim pokoju również. Nic nie jechało drogą pod oknami, była zupełnie pusta. W ogrodach poniżej bzycały owady. Cicho, bardzo cicho, minał drzwi łączące obydwa pokoje.

Ledwo mógł dojrzeć maszynę do pisania, biurko, fotele. W łazience przylegającej do pokoju również było ciemno. Wszedł do łóżka, myśląc tylko o tym, jak trzyma ją w objęciach, małą, lekką, przewieszoną przez poręcz balkonu...

Jego dłonie, przesuając się po łóżku, natknęły się jedynie na pustą pościel, gładko podwiniętą przez pokojówki.

- Nie ma! Nie ma jej! - Zaklął przez zęby i odwrócił się - w pokoju był jakiś mężczyzna; nie, to tylko jego własne odbicie w lustrze.

W głowie kręciło mu się od whisky. Stał na chwiejnych nogach obok łóżka, jedną ręką gniołąc prześcieradło, i wsłuchiwał się w noc rozbrzmiewającą odgłosami tysięcy owadów.

Dunne i Mary dotarli do drogi prowadzącej do willi. Żwir chrzęścił im pod nogami na dziedzińcu.

- Dobranoc - wyszeptał Dunne w słabym świetle holu. - Spotkamy się na lunchu. Miłego snu.

- Dobranoc - pożegnała się Mary. Oddała mu marynarkę i odwróciła się, a on poszedł do swojego apartamentu, znajdującego się w innym skrzydle.

Mary miała zbyt wiele emocji, żeby teraz zasnąć. Wyszła znowu na dwór. Nie zauważyła, że Dunne ogląda się za siebie, znika w cieniu salonu i patrzy, jak Paul schodzi cichutko za nią po schodach wyłożonych dywanem.

Przeszła przez dziedziniec. Światło świtu zaczęło przedzierać się przez mgłę. Jej droga suknia była wilgotna i przyklejała się do ciała. Może należałoby się przebrać? Roześmiała się do siebie, przechodząc przez taras. Własne pieniądze. Własna suknia.

Własne powieści. Stała przy poręczy, gdzie ogromne drzewa, osłaniające taras, znikły w białej pustce.

Mary przeszła wzdłuż masywnych kamiennych fundamentów willi. Wydrążone w nich groty ziały zimnem. Paul na pewno śpi na górze, taki opalony i ciepły...

Była sama we mgle. Weszła do jednego z kamiennych pomieszczeń. Pod sklepieniem groty stał posązek fauna i wpatrywał się w przestrzeń ponad strumieniem wody.

Mary westchnęła i zawróciła z powrotem w stronę willi. Szła ze zwieszoną głową, mokra suknia wlokła się po kamieniach.

Nagle zatrzymała się i wytrzymała słuch: usłyszała na żwirze zbliżające się kroki. To pewnie jeden z licznych ogrodników, który bardzo wcześnie zaczyna pracę.

Ale to był Paul. Wyłonił się z mgły i stanął naprzeciwko niej. Był ubrany w koszulę i w dżinsy i wyglądał jak lunatyk.

- Paul? - powiedziała takim tonem, jakby go budziła.

- Zobaczyłem ze schodów, że wychodzisz z willi.

- Nie chce mi się spać - powiedziała Mary.

- Więc pójdziemy na spacer, o którym wczoraj wspominałem - spojrzymy z góry na fortecę.

- Tak wcześnie? - zdziwiła się Mary. Poczula zapach whisky, zawahała się i chciała zawrócić do willi.

- Chodź - powiedział Paul zniecierpliwiony. Mary uniosła nieco swoją długą suknię i poszła za nim po schodach w stronę drogi.

Otoczające ich ogrody ginęły we mgle. Gdzieś na tle ściany mgły ukazywały się szare iglice cyprysów. Nagle Paul powiedział:

285

- Rujnujesz mi życie. - Jego twarz była szara jak mgła.
- Myślałam, że mogę pisać potajemnie, pomóc ci... - powiedziała Mary.
- Pomóc mi? - krzyknął Paul.
- Pomogłam ci przy ocenie powieści. Czy nie dzięki temu zaproponowano ci napisanie książki? Pamiętasz, rozmawialiśmy godzinami. - Mary miała łzy w oczach. - Z nikim nie mogłam rozmawiać o tych powieściach...
- Wszyscy stwierdzą, że zwariowałaś! I co się wtedy stanie z moją biografią? Nie dostanę dożywotniej posady! Gdzie znajdę inną pracę? Pracowałem, żeby wyrwać się z tej farmy, żeby zdobyć stopień naukowy i pomóc Hannah...
- Kochałam cię i myślałam, że ty też mnie kochasz - szepnęła Mary.
- Nie możesz siedzieć cicho? - wrzasnął Paul. - Chcesz, żeby powiedzieli, że zbzikowałaś?
Stali naprzeciw siebie na zamglonej drodze, obok posagu psa i jelenia. Kamienny pies zatopił kły w nodze jelenia, ale obydwie posąжки zdążyły już zmienić się w nieforemne, skrzycone kształty porośnięte mchem.
Paul odwrócił się do niej plecami i ruszył przed siebie. Po obydwu stronach drogi rysowały się kontury drzew: odcinały się szarością na tle białej mgły. Mary patrzyła na pochyloną głowę Paula, na jego zaciśnięte pięści. Nagle odwrócił się do niej.
- Cała moja kariera będzie śmiechu warta! Zaprosili mnie tu, do willi, ponieważ piszę biografię Randal'a Eliota!
- Nie - powiedziała Mary. - Zaprosili cię tutaj jako mojego męża. Żyłeś ze mną kilka lat, a jednak nie doszukałeś się mnie w moich książkach.
Paul patrzył na nią osłupiały. - W twoich książkach! Mary nie odezwała się.
- W twoich książkach! Boże! Każde słowo we wszystkich tych książkach zawiera w sobie Randal'a - jego chorobę, jego geniusz, jego doskonały...
- Napisałam te powieści sama od początku do końca. Za Mary, pod przydrożną arkadą przysiadła kamienna postać. Okolona brodą twarz Pliniusza Młodsze'go była lekko przechylona i jedną ręką przytrzymał rąbek kamiennej togi, jakby miał

zamiar za chwilę wstać i wyjść z niszy, ponieważ ktoś zakłócił mu spokój.

Teraz Mary szła pierwsza. Wkrótce zamglona droga doprowadziła ich do schodów i łukowej bramy.

- Jeśli zaczniesz gadać ludziom, że jesteś współautorką książek Randala, znajdziesz się w szpitalu wariatów. Chcesz tego? Chcesz zrujnować mi karierę, ośmieszyć biografię Randala? - wrzeszczał Paul.

Gdy Mary przeszła przez bramę, znalazła się w komnacie o zdewastowanych ścianach, pełnej mgły, która tłumiała jej głos.

- Twoja biografia się nie ukáže.

- Nie ukáže się! - Twarz Paula wykrzywiła się we wściekłym grymasie. - Nie ukáže się!

- I to lepiej dla ciebie, że się nie ukáže - powiedziała Mary spokojnie. - Za kilka dni, gdy w gazetach pojawią się artykuły o mnie, twój wydawca unieważni umowę.

- O tobie? - krzyknął Paul. - O gospodyni domowej ze Środkowego Zachodu, która ma czwórkę dzieci i pięćdziesiątkę na karku, pochodzi z małego miasteczka i niczym się nie wyróżnia? Kto ci uwierzy? Jesteś pisarką? Jesteś genialna? - Paul rozłożył ręce, twarz zrobiła mu się czerwona z wściekłości i pogardy. - Jesteś po prostu stuknięta! - Mówiąc zniekształcał słowa, a gdy krzyczał, pluł jej na twarz.

W wyrwie skruszałej ściany ukazało się słabe światło zbliżającego się świtu. Mary stanęła w niej, przenosząc tren swojej sukni nad omszałym progiem.

- Być może będziesz mógł napisać moją biografię - powiedziała. - Moja agentka twierdzi, że możesz podpisać kontrakt z dużą firmą wydawniczą i zarobisz dużo pieniędzy.

- To kłamstwa! - Dziki głos Paula zahuczał echem pośród zrujnowanych ścian. - Wszystko, co im mówisz, to kłamstwa! Przecież ci nie uwierzą... czy nie wiedzą...

- Wiedzą - powiedziała Mary.

- Jestem tutaj naukowcem-rezydentem! Ukáže się moja biografia Randala!

- Nie - powiedziała Mary.

Nagle nocna mgła na szczycie wzgórza zniknęła zdmuchnięta jak lekka firanka. W blasku wczesnego słońca oczom Mary ukazały

się ziejące czernią ruiny twierdzy i niski murek. Nie patrzyła na Paula, wiedziała, że idzie za nią po trawie. Gdy wyjrzała za murek, zobaczyła litą skałę spadającą w dół, aż nad jezioro.

- Zdecydowałam, że po wyjeździe z willi jeszcze przez jakiś czas nie wrócę do domu - powiedziała Mary. - Tak będzie lepiej dla ciebie. Potem cały szum ucichnie.

- Masz zamiar jeździć i wszystkim opowiadać tę historyjkę? Czy posłuchasz mnie w końcu? Rujnujesz mi życie i nic cię to nie obchodzi?

Mary spojrzała w dół na załamujące się fale. Między skałami pojawiały się ich spienione języki, po czym odpływały z powrotem.

- Przez jakiś czas nie wrócę do Nebraski. Będiesz mógł spać, z kim tylko zechcesz, jak to zazwyczaj robisz.

Przez długą chwilę słychać było tylko poranny świergot ptaków. Potem Mary usłyszała za sobą pijany głos Paula, w którym narastał gniew.

- Więc o to ci chodzi. To dlatego chcesz zniszczyć moją książkę, moją pracę, moje życie...

- Jestem stara - głos Mary załamał się. - To moja wina. Jak w ogóle mogłeś mnie kochać?

Odwróciła się ze łzami w oczach zbyt szybko, by Paul zdążył ukryć wyraz swej twarzy.

Zauważyła go. Zauważyła, jak podnosi rękę...

Zdała sobie sprawę, jak wielka odległość dzieli ją od skał znajdujących się dziesiątki metrów niżej.

To wszystko stało się niezwykle szybko, a jednocześnie trwało tak długo. Ręce Paula unosiły się powoli. Mary patrzyła na to szeroko otwartymi oczami, z otwartymi do krzyku ustami. Instynktownie odsunęła się na bok. Wydawało jej się, że trwało to kilka minut.

Patrzyła jak Paul, na tle zielonej trawy i zrujnowanej twierdzy, powoli podnosi ręce. Miała całą wieczność, żeby dostrzec nienawiść malującą się na jego twarzy, słońce na jego gęstych, jasnych włosach, niebieskie oczy połyskujące światłem coraz bardziej przejrzystego nieba. Poczula jego przygniatające ciepło, gdy się kochali, i delikatne pocałunki. Miała dosyć czasu, żeby sobie uświadomić, jaka jest stara, a on jaki przystojny. „Jestem Paul Anderson, nowy wykładowca...”

Przypomniała sobie, jak na ich roześmianych twarzach igrały refleksy światła padającego z kominka, gdy siedzieli pod francuskim zegarem, i bardzo, bardzo powoli zaczęła odsuwać się na bok, żeby uniknąć tych podniesionych rąk. Jej sukienka zahaczyła o wyłom muru za plecami...

Paul wyszczerzył zęby, powoli odwrócił twarz i zamiast Paula ujrzała Randala. „Nie przeszkadzaj mi. Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy napisać poważną książkę?” Otworzyła najwyższą szafkę w kuchni i sięgnęła po zeszyt; otaczał ją uśpiony dom... Z gardła, bez udziału jej woli, wydobył się krzyk. Mury odpowiedziały takim samym krzykiem - samotnym, przeciągłym piskiem - a ona wyrwała się Paulowi, odpychając się mocno obcasem od kamiennych

plyt. Patrzyły na nią twarze dzieci w pokoju hotelowym w Nowym Jorku. „Teraz będziesz sławna.”

Jej powieści, jej powieści - czuła je wyraźnie, gdy upadła na bok na trawę. Ręce Paula ledwie ją musnęły. Czas ruszył znowu. Poderwała się na nogi, uniosła długą suknię, żeby jej nie zawadzała, i zaczęła uciekać, przeskakując po dwa stopnie twierdzy naraz.

Wydawało jej się, że kamienny mężczyzna w niszy uniósł się z miejsca, zwrócił się twarzą do niej i patrzył, jak biegnie. Mary nasłuchiwała kroków na żwirze, ale słyszała jedynie dźwięk lecącego wysoko samolotu i pierwsze śpiewy ptaków. Gdy się odwróciła, nikogo za nią nie było.

Błada kobieta w czerwonej sukni biegła przez mgłę, która im niżej, tym stawała się gęstsza. Kamienny ogar i kamienny jeleń połyskiwały kroplami wody.

Mary zobaczyła zarys willi. Przeszła przez trawnik, przez białe, oszklone drzwi wśliznęła się do środka.

Nikogo nie było. Z mrocznych sal i korytarza nie dochodził żaden dźwięk. Wbiegła szerokimi schodami prowadzącymi do apartamentu, wpadła do pokoju z balkonem i zamknęła - zaryglowała - jedno i drugie drzwi.

Oparła się o nie plecami i stała tak dysząc ciężko i szlochając. W lustrze na ścianie zobaczyła oszalałą, zapłakaną kobietę z włosami przyklejonymi do czoła. Mary nie poznała jej. Cały czas miała przed oczami wodę jeziora, której spienione języki wdzierały się między skały.

Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Wszystko wokół było białe jak kreda, przypominając jej o obliczu śmierci daleko w dole, o którą otarła się przed chwilą.

Gdy tak stała patrząc w nicość, czas płynął bez jej udziału. Nagle ze zdziwieniem odkryła na dywanie promień słońca. Ukradkiem wyjrzała przez oszklone drzwi, ale zakręciło jej się w głowie od stromizny za poręczą balkonu. Przestraszyła się, gdy zadzwonił telefon stojący obok łóżka.

Może to Paul? Ze strachem sięgnęła po słuchawkę, jakby sam jego głos mógł ją zabić.

- Słucham?

- Nic się pani nie stało? - To był głos Dunne'a.

- Nic. - Głos Mary zmienił się w ledwo dosłyszalny szept.

- Zamknęła pani drzwi na klucz?
- Tak... zamknęłam. Drzwi mają jeszcze zasuwki - powiedziała. Głos Dunne'a był jak cienka linia życia prowadząca do normalnego świata.
- Widziałem was w twierdzy. Szedłem za Paulem. Czy mam zaalarmować Huda?
„Widziałem was w twierdzy.” Ręka Mary, trzymająca słuchawkę, dygotała.
- Byłem za daleko. Nie mogłem... - Dunne zająknął się.
- Proszę nie niepokoić Huda - powiedziała Mary. - Nic mi nie jest.
- Możemy panią przenieść do innego pokoju. Albo możemy zakwaterować panią poza willą.
- Nie. - Mary mówiła teraz silniejszym głosem. - Zamknęłam się w pokoju, a dookoła są ludzie.
- Pewnie jest pani wyczerpana. Zaśnie pani?
- Nie... nie wiem.
- Za kilka minut przyniosą śniadanie. Paul jeszcze nie wrócił do willi. Niech pani spróbuje trochę odpocząć.
- Dziękuję - wyszeptała Mary do słuchawki.
Nie ruszyła się z miejsca, prawie nie oddychała. Po chwili usłyszała w korytarzu kroki i towarzyszące im delikatne podzwanianie srebra na porcelanie. Zapukano do drzwi.
- Śniadanie - powiedziała Mary głośno. To powszednie słowo przywróciło świat zwyczajnego głodu, zwyczajnego słońca, zwyczajnych odgłosów samochodu jadącego w dole po żużlowej drodze. W pokojach dookoła byli zwyczajni ludzie, którzy popijali poranną kawę. Wzięła tacę i ponownie zamknęła, zaryglowała drzwi. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Mogła odpocząć. Mogła wziąć gorącą kąpiel.
Zdjęła z siebie wilgotne ubranie. Jak cudownie było namydlać i polewać gorącą wodą swe ciało, któremu nie groziło już niebezpieczeństwo. Wraz z kojącym ciepłem zaczęła odczuwać odrętwienie. Mąciły jej się myśli.
Umyła włosy, wysuszyła je suszarką i ułożyła. Zasiadła do smacznego śniadania. Była głodna. Żyła.

Paul nie pobiegł za Mary. Stał przy murze, serce waliło mu w piersi i patrzył, jak przed nim ucieka, jak jej czerwona suknia znika we mgle za bramą twierdzy.

Rozejrzał się, jakby nigdy nie widział otaczających go drzew, trawy i zniszczonych murów.

Po chwili zaczął schodzić ze wzgórza w stronę miasteczka. Mgła przerzedzała się wraz z porannym słońcem.

Przechodząc obok podwórka z kurami zatrzymał się, żeby na nie popatrzeć.

Mary jest chora psychicznie. Patrząc na kury pomyślał, że Beth powinna umieścić Mary w jakimś szpitalu psychiatrycznym. Jedna z kur podeszła, dziobała oczka siatki i patrzyła na Paula, przekrzywiając głowę.

Nagle Paul pomyślał: „Ale jestem głupi! Mary opowie o tym wszystkim przy śniadaniu!” Popędził do willi.

Mary nie było w jadalni. Nikt nie patrzył na Paula dziwnym wzrokiem. Chyba nikt z nią nie rozmawiał. Spróbował sam coś zjeść, ale nic nie mógł przełknąć. Hud Brewster przystanął obok Paula.

- Jeszcze kawy? - spytał.

Paul podziękował i poszedł na górę do apartamentu. Zarówno drzwi od strony korytarza jak i drzwi łączące jego pokój z pokojem z balkonem były zamknięte na klucz.

Siedziała w środku. Zamknęła się na klucz. Paul położył się w drugim pokoju, zakrył twarz dłońmi i ujrzał, jak Mary spada, jak roztrzaskuje się o skały; smuga czerwonej sukni, ciemne włosy... „Boże!” - jęknął w duchu. Jego szalony umysł pracował dalej bez jego woli, ukazując mu, jak stoi w drzwiach willi z zasmuconą twarzą i mówi do zebranych ludzi: „Była zniechęcona. Nie mogła znaleźć wydawcy, który wydałby to, co napisała... była kobietą o światłym umyśle... oddaną Randalowi...”

Nic jej nie zrobił. Wstał i nasłuchiwał pod drzwiami Mary. Nagle zaczął wrzucać swoje ubrania do walizki.

- Mary? - odezwał się w stronę łączących pokoje drzwi, gdy już był spakowany. Nie było odpowiedzi. - Mary?

Wyjrzał przez otwarte okno i zobaczył ją stojącą w białej koszuli przy poręczy balkonu, odwróconą w drugą stronę.

- Mary! - powiedział ostro.

Nie ruszyła się, ale musiała go usłyszeć, bo cała zeszywniała.

- Nic ci nie jest? - spytał Paul. - Nie zdawałem sobie sprawy, co robię. To było jak zły sen. Za dużo wypilem. Mary się nie odezwała.

- Nic ci nie jest - stwierdził Paul. - To najważniejsze. Ale nie możemy tu zostać. Pójdę porozmawiać z Hudem. Wrócimy do Stanów, odpoczniemy, zobaczymy, co dalej. Możemy odwiedzić Beth. Nie chciałem ci nic zrobić - przecież wiesz - za dużo wypilem. Byliśmy bardzo zdenerwowani i to moja wina. Wiem. Przysięgam... . .

- Na twoim miejscu nie rozmawiałabym z Hudem - powiedziała Mary. - Jestem zmęczona. Będę spała aż do kolacji.

- Nie odwracając się do niego, zniknęła.

Paul patrzył na pusty balkon, na rozległe stoki pokryte ogrodami i cyprysami, na błękitne jezioro.

Aż do kolacji" - powtórzył w myślach. Miał trochę czasu, żeby coś wymyślić. Zszedł do biura i zapytał o Huda.

Sekretarka poinformowała go, że pan Brewster wyszedł, ale wróci na lunch. Może ona mogłaby pomóc?

Paul zapytał, czy jakiś samochód mógłby zawieźć ich na lotnisko. Chyba będą musieli wrócić do domu. Spytał, czy ma rozkład lotów. Wysłuchał jej objaśnień i zapisał informacje, mówiąc najspokojniej jak mógł.

Ale gdy znalazł się w swoim pokoju, z jękiem rzucił się na łóżko. Do jutra nie mogą stąd wyjechać. Chyba że ukryłby Mary na noc w hotelu w miasteczku... ale ona nigdzie z nim nie pójdzie.

Zaklął. Leżał i patrzył w sufit, ale widział oczy Mary, jak odwraca się gwałtownie, stojąc przy murze, jak robi przed nim unik... Jęknął i zamknął oczy. Zmęczenie spłynęło na niego jak fale obmywające skały.

Zanim podano lunch, agenci i wydawcy z gazetami w dłoniach zgromadzili się na tarasie.

- Pewnie przeżyjemy tu najazd dziennikarzy? - zapytał jeden z nich Huda Brewstera.

- Dziennikarze nie mają wstępu do willi - oznajmił Hud. - Jest to prawdziwa twierdza. - Uśmiechnął się szeroko. - Przez ostatnich tysiąc lat nieczęsto udawało się ją zdobyć.

- Czy Mary Quinn przyjechała wczoraj? - spytał przedstawiciel wydawnictwa Gerard.

- Tak, przyjechała wraz z mężem - odparł Hud. - Odpoczywają. Pewnie będą wieczorem na kolacji.

Wydawcy i agenci stali na tarasie z kieliszkami w dłoniach, rozmawiając o Mary Quinn i czytając gazety z nagłówkami o „Kłamstwach z miłości”. Zjedli lunch rozprawiając o powieściach Randa Eliota, i próbując zgadnąć, jaką zaliczkę otrzymała Mary Quinn za swoją najnowszą książkę.

Popołudniowe słońce rzucało długi cień ruin twierdzy. Posąg Pliniusza Młodsze przyglądał się, jak kontury lasu rozmywają się w mgiełce zmierzchu. Pszczoły wciąż krążyły nad tarasowymi grządkami, ale odgłosy motyk i łopat ogrodników już ucichły.

- Jakież wspaniałe miejsce! - powiedział jakiś wydawca do agenta, gdy zebrali się na tarasie, żeby wypić drinka przed kolacją. - Jak w raju.

Wszyscy podziwiali ogrody, cyprysy, miasteczko, jezioro i góry.

Mary nie patrzyła na jezioro ani na góry. Przebrała się na wieczór i stanęła przed lustrem. Za drzwiami usłyszała kroki i głosy. Willa była pełna ludzi. Ktoś śmiał się na końcu korytarza. Długo stała przy drzwiach, nasłuchując. Gdy w końcu wyszła do korytarza i przekreśliła klucz w zamku, podszedł do niej jakiś starszy mężczyzna.

- Czy mogłaby mi pani wskazać drogę do biblioteki? - spytał ją.

Mary poszła z nim długim korytarzem.

- Dopiero przyjechałem - powiedział. - William Lazaro, z Filipin. - Zatrzymali się przy otwartych drzwiach biblioteki. - Pani mąż jest naukowcem-rezydentem?

Kobieta o ciemnych, zamyślonych oczach zawahała się przez chwilę.

- Ja jestem naukowcem-rezydentem. Mary Quinn. Zaskoczony patrzył za odchodzącą kobietą.

- Dziękuję bardzo - zawołał.

Mary zeszła po schodach w swojej długiej, gładkiej białej sukni. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

Wyglądała na lekko

znudzoną, jakby myślała jedynie o drinku na tarasie albo o wieczornym posiłku.

W holu na dole stali ludzie - to była pierwsza rzecz, na jaką Mary zwróciła uwagę. Wtem uświadomiła sobie, że wszyscy ją zauważyli i tłumnie ruszyli w jej stronę.

Hud Brewster powstrzymał ich rozpostartymi ramionami. Podeszedł do Mary sam i powiedział:

- We wszystkich gazetach pojawiły się już rewelacje o pani. Nie chciałem pani przeszkadzać, wiedziałem, że jest pani zmęczona.

Mary odwróciła w jego stronę swą zobojętniałą twarz.

- Rewelacje?

- Że to pani jest autorką książek Randalą Eliota - powiedział Hud. -Aha, jeszcze jedna sprawa, przyszedł telegram do pani męża...

- Mary Quinn! - zawołał jakiś korpulentny mężczyzna. - Jaki to dla mnie zaszczyt! - Cały jaśniał. - Czy mógłbym zapytać panią o...

Rozmowy na temat Randalą Eliota, nowych powieści i Mary Quinn wypełniły hol, wdarły się do dyskretnie oświetlonych komnat i stłumionym dźwiękiem rozlegały się w salonie.

Lucie Albrecht oparła się o bar, otoczona mężczyznami w smokingach, którzy chcieli porozmawiać o Mary Quinn. Gdy dostrzegła Mary ponad ich głowami, oznajmiła:

- A oto i ona.

Mary stała w drzwiach salonu. Wyglądała tak, jakby się jeszcze nie obudziła z drzemki poobiedniej. Otoczył ją tłum ludzi. Słuchała ich, wodząc wzrokiem po przejętych twarzach.

Tom Hocker nie zadawał żadnych pytań. Stał na skraju grupy otaczającej Mary Quinn i przyglądał się czterystuletniemu pałacowi, w którym bywali książęta, kardynałowie i cesarze.

Mary mignęła Tomowi przez chwilę ponad ramionami otaczającego ją tłumu. Była niska i bardzo blada. Pomyślał, że wygląda, jakby była w transie lunatycznym. Patrzyła na wszystkich wielkimi, czarnymi oczami. Może to ona pisała w transie, skoro - jak wszyscy stwierdzili - jest prawdziwym Randalą Eliotem. To była wielka afera prasowa.

Tom poszedł po jeszcze jednego drinka, a potem przedarł się bliżej Mary Quinn. Wyglądała na zadbaną pięćdziesięciolatkę. Czasami mrugała oczyma, jakby razito ją światło. Coś połyskiwało w dekolcie jej długiej białej sukni, a gdy spletała dłonie, błyszcząły pierścionki.

Gospodyni domowa, jak pisały gazety. Nigdy nie pracowała, tylko wychowywała dzieci. Z małego miasteczka w Nebrasce. Co za historia! Co za nikczemny pomysł, jeśli to nie była prawda. Mary miała obojętny wyraz twarzy. Tom przyglądał jej się dokładnie, ale ani razu nie dostrzegł ruchu ust. Pomyślał, że nikt nie pyta o męża Mary Quinn - według tego, co podawały gazety, wykładowcę angielskiego. Jedna z gazet zamieściła zdjęcie ich obojga. Był przystojnym człowiekiem z bujną, jasną czupryną. Tom rozejrzał się, szukając go. Biografia napisana przez męża Mary Quinn miałaby ogromne wzięcie. „Życie kobiety, która kłamała z miłości.” Ale gdzie się podział ten jej mąż? Natychmiast zorientował się, kto spośród obecnych jest rezydentem willi - nie tłoczyli się wokół Mary. Tom podszedł do kilku z nich stojących przy barze.

- Jestem Tom Hocker z wydawnictwa Doubletree - odezwał się do łysego mężczyzny ze szklanką w dłoni. - Zapewne jest pan rezydentem-naukowcem? Chciałbym porozmawiać z mężem Mary Quinn. Czy mógłby mi go pan wskazać?

- Walter Crabbe - przedstawił się Walter, ściskając dłoń Toma. - Nie widzę tu Paula. Nie było go na lunchu. Może wybrał się gdzieś na wycieczkę?

Tom podziękował mu i odszedł.

- Kto to był? - spytała Waltera Edith Dorn.

- Wydawca z Doubletree. Chciał rozmawiać z Paulem.

- Wczoraj przy kolacji Paul nie wyglądał dobrze - powiedziała Edith. - Wszyscy to zauważyliśmy.

- Mary też jest taka blada - dodała Ursula.

- Wiecie, co Paul mi powiedział wczoraj przy lunchu? - odezwała się Lucie. - Powiedział, że pisze biografię Randala Eliota.

- Co takiego? - Edith otworzyła usta ze zdziwienia.

- Tak powiedział - potwierdziła Lucie.

Edith i Lucie przez chwilę patrzyły na siebie. Po chwili Edith odezwała się:

- Może próbował ją chronić. Do czasu, aż wszystko się wyda.
- A może... - Lucie przyglądała się Mary stojącej pośród grupy wydawców i agentów. - Może on nie wiedział? Widzieli, jak Dunne Faraday pospieszył Mary na odsiecz i wyprowadził ją na taras.
- Mam wrażenie, że jest pani największą sensacją miesiąca - powiedział Dunne do Mary.
- Tak - odparła Mary słabym, cichym głosem.
- Zachowują się nawet dość przyzwoicie - powiedział. - Gdy wróci pani do domu... - potrząsnął głową. Napotkał wzrok Mary.
- Powinna pani tu zostać przez jakiś czas - doradził Dunne. - Gdyby zechciała pani przyłączyć się do nas... Płyniemy z przyjaciółmi jachtem na wyspy greckie...
- Przerwał im Hud Brewster, który położył Dunne'owi dłoń na ramieniu.
- Bardzo panią za to przepraszam - zwrócił się Hud do Mary. - Obawiam się, że stała się pani głównym obiektem zainteresowania podczas tej konferencji. Gdybyśmy zaplanowali konferencję na temat „Kursy walut w teorii i w praktyce”, symposium naukowe na temat trądu, albo zaprosili fachowców do omówienia mechanizmów wytwarzania azotu w protoplazmie drobnoustrojów żyjących w drzewach, pewnie daliby pani spokój. - Wzruszył ramionami x o dszcclł
- Ludzie stali grupkami na tarasie. Żywe kolory sukien pań wpływały na Mary kojąco, podobnie jak prowadzone wokół banalne rozmowy. Niejasno zdawała sobie sprawę, że wszyscy bezustannie zerkają w jej stronę. Słyszała powtarzane swoje imię.
- To nie będzie dla pani łatwe. To jakby się urodzić, będąc już dorosłym: słynna pisarka, nowa tożsamość - powiedział Dunne.
- Mam nadzieję, że dobrze pani spała.
- Mary podniosła na niego ciemne, niemal pozbawione wyrazu oczy.
- Dobrze - odparła. - Ale pan pewnie nie.
- Gdy wiedziałem już, że nic pani nie grozi, również zasnąłem.
- Nie wiem, jak panu dziękować. Świadomość, że pan tam był...
- Byłem zaniepokojony - rzekł Dunne. - Widziałem, jak poszedł za panią, gdy się pożegnaliśmy, więc ruszyłem za nim, ale...

wzruszył ramionami. - Byłem za daleko... nie sądziłem, że będzie próbował... Dzięki Bogu, udało się pani uniknąć...
- Uciekłam.

- Obydwoje minęliście mnie schodząc w dół. Stałem w ukryciu. Delikatny wiatr przywiał ku riim zapach ogrodów willi.

- Nie mogę tu zostać - powiedziała Mary. - Jestem bezpieczna, dopóki mam drzwi zamknięte na klucz i wkoło jest dużo ludzi, ale... - zadrżała lekko.

- Rada jest prosta - rzekł Dunne. - Niech pani jedzie do Grecji.

41

Paul obudził się godzinę przed kolacją, przełknął ślinę, zamrugnął powiekami, po czym wstał z łóżka i zaczął wpatrywać się w ścianę. Tykał zegar.

Trochę odpoczął. Przejrzał się w lustrze i zaklął. Wziął prysznic.

Wyciągnął z walizki smoking, ubrał się starannie i przez chwilę przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Uniósł podbródek i powiedział cicho, ze współczuciem:

- Tak mi jej żal. Rozpacza nadal po śmierci Randala i nie zdaje sobie sprawy, co mówi...

Gdy usłyszał, że Mary otwiera i zamyka drzwi, odczekał chwilę i zszedł za nią po szerokich schodach.

Gdy był już na dole, podszedł do niego jakiś mężczyzna.

- Czy Paul Anderson? Jestem Tom Hocker, dyrektor wydawnictwa Doubletree.

- Miło mi pana poznać - rzekł Paul, ściskając mu dłoń.

- Cieszę się, że się tu znalazłem, gdy tyle się dzieje - powiedział Tom, uśmiechając się do Paula. - Pewnie pana to również cieszy; ci wszyscy dziennikarze, którzy zjechali do miasteczka - rozgłos nie zaszkodził jeszcze żadnej książce.

- Z całą pewnością nie - zgodził się Paul.

- Właśnie o tym chciałbym z panem porozmawiać. Jesteśmy niezwykle zainteresowani pańską biografią. Wiem, że podpisał pan umowę wstępną z Matrix Press, ale to nie powinno być przeszkodą. - Tom uśmiechnął się.

- Doubletree cieszy się doskonałą opinią - zauważył Paul.

- I nie ulega wątpliwości, że ukazałoby się również wydanie masowe. Sądzę, że mógłby pan oczekiwać... sześciocyfrowego honorarium.

- Co najmniej.

- To wstępne szacunki. Chyba będziemy jeszcze mogli porozmawiać przy kolacji?

- Oczywiście - powiedział Paul. Sześciocyfrowe honorarium. Tysiące dolarów... Ujrzał swoje odbicie w jednym z luster: Paul Anderson, biograf Randala Eliota, w willi Christa, u boku wydawcy Doubletree.

Nagle zobaczył Mary. Stała ubrana na biało z Dunnem Faradayem, otoczona mężczyznami w smokingach. O czym rozmawiali? Nie uśmiechała się. Słuchała, co mówili. Paul wiedział, że go dostrzegła - obojętnie rzuciła na niego okiem.

Tyle pieniędzy. Gdy wchodził z Tomem Hockerem do jadalni, „sześciocyfrowe honorarium” w myślach Paula przybrało postać sterty tysiącdolarowych banknotów.

- Mam nadzieję, że zechce pan usiąść dzisiaj z nami - powiedział Tom Hocker do Paula, prowadząc go do stołu agentów i wydawców.

Mary z Faradayem zajęli miejsca przy głównym stole.

Paul obserwował ją. Pewnie opowiedziała tę swoją idiotyczną bajeczkę. To dlatego tak ją otoczyli. Pewnie już wiedzą, jaki kłopot ma Paul Anderson. Być może Tom Hocker też już wie. Na tę myśl Paul zwrócił się w jego stronę.

- Tutaj zawsze jest doskonale jedzenie - zauważył Tom. Nie patrzył na Paula ze współczuciem. Przyglądał się, jak kelner nalewa mu na talerz zupę ze srebrnej wazy. Przedstawił Paula pozostałym osobom przy stole: Paul starał się zapamiętać nazwy ich agencji, firm wydawniczych, nazwiska.

- Pan i pańska żona stanowicie parę mądrych ludzi - odezwał się do Paula wydawca Kline and Bowditch. Paul uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Tom przyciszonym głosem wyjaśnił Paulowi, że jego książka byłaby tłumaczona na języki obce. -1 pewnie zrobiono by według niej film.

Paul kiwał głową i uśmiechał się. Od czasu do czasu spoglądał na otaczających go ludzi. Zdawał sobie sprawę, że mu się przy-

glądają. Podczas deseru Tom Hocker podjął temat podpisania umowy - może Paul mógłby wziąć pod uwagę Doubletree, jako ewentualnego wydawcę swej biografii?

- Jak najbardziej - zgodził się Paul. - Jestem niezmiernie zainteresowany tą ofertą. To rozumie się samo przez się. Od lat badam te książki, od lat jestem wielbicielem Randała Eliota!

Na dźwięk słów Paula ucichły rozmowy przy stole, a jeden z agentów wybuchnął śmiechem:

- Ogromnym wielbicielem, panie Quinn! Nawet się pan z nim ożenił!

Teraz już wszyscy się roześmieli. Siedzący przy innych stołach patrzyli w ich stronę zdziwieni. Nagle ktoś przy głównym stole zastukał łyżeczką w kieliszek. W sali zapanowała cisza.

Podniósł się starszy pan i uśmiechnął się ponad kieliszkami do wina i filiżankami do kawy.

- Jako że pełnię funkcję przewodniczącego tej konferencji, mam zaszczyt przedstawić państwu „nowego” twórcę, obecnego tu dzisiaj. - Uśmiechnął się do siedzącej obok Mary, która patrzyła na Paula.

- Chyba nie ma tutaj osoby, która czytając dzisiejszą poranną prasę nie zadałaby pytania: „Jak to możliwe?” - ciągnął dalej starszy pan. - „A więc ten cudowny głos, o którym sądziliśmy, że należy do mężczyzny... ten pisarz, o którym wiedzieliśmy, że zamilkł na zawsze z powodu smutnej, przedwczesnej śmierci... jest wśród nas?”

Ludzie wypełniający salę potakiwali z aprobatą. W oczach Paula wyglądali jak kukły; nakręcone kukły, bezmyślnie potrząsające głowami.

- Z radością stwierdzam, że nie ma tu dziś kamer telewizyjnych ani dziennikarzy - kontynuował mężczyzna. - Wkrótce się pojawią. Ale dzisiaj jesteśmy tu my, wszyscy w jakiś sposób związani z powstawaniem książek. Możemy oddać honory pisarzowi, który wydawał się dla nas stracony na zawsze, twórcy książek: *Dzielnice*, *Obca*, *Na dobre i złe*, *Czysty zysk*, *Gospodarz*, *W kręgu modlitwy*, *Złodziej życia* i *Czas pożogi* - Mary Quinn!

Oślupiały Paul rozglądał się wokół siebie. W głowie dźwięczały mu tytuły książek... oklaski... Mary podniosła się z miejsca.

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem. Miała bladą twarz, szeroko otwarte, ciemne oczy. Nagle uśmiechnęła się. - Muszę też podziękować Muzie, tej płochliwej kobiecie, która nocą potajemnie odwiedza pisarzy. Nie wolno obrażać Muzy.

Znow brawa wypełniły salę.

- Teraz - zabrał głos przewodniczący - chciałbym przedstawić męża Mary Quinn, jej biografa, człowieka stojącego u boku wspaniałej pisarki, której dzisiaj oddajemy honor!

Paul i stanął naprzeciwko Mary, ściskając w ręku serwetkę. Na sali rozległy się brawa. Usta Paula poruszały się, ale nikt nie słyszał, co mówi.

Hud Brewster poklepał Paula po plecach, gdy wszedł on do salonu w towarzystwie Toma Hockera. Na tarasie zebrał się wokół Mary tłum agentów i wydawców; Paul widział ich przez oszklone drzwi.

- Przepraszam - powiedział Hud. - Nie chciałem przerywać panu i panu Hockerowi, ale całe popołudnie noszę telegram dla pana. - Wręczył Paulowi kopertę. - I chciałbym pana poinformować - ciągnął poufnym głosem, stukając palcem w gazetę leżącą na stoliku obok - że oczywiście byliśmy przygotowani na ukazanie się tej sensacyjnej informacji. Nie będą was tutaj ścigali dziennikarze. Macie zapewniony całkowity spokój. Wszystkie telefony przechodzą przez sekretarkę - a dzwonią bez przerwy! - Skłonił się i odszedł.

- Tutaj możemy usiąść - rzekł Tom, wskazując na kanapę. Paul usiadł ze wzrokiem utkwionym w gazetę. Było to wydanie

międzynarodowe, po angielsku. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Mary, podpisane: „Kobieta, która kłamała z miłości”. Tom Hocker spojrzał na nie.

- Dobry slogan reklamowy - powiedział. - Może nadawałby się na tytuł pańskiej biografii?

- Czy mógłbym panom na chwilę przerwać... - podszedł do nich jakiś młody mężczyzna. - Co za wspaniała historia! Powrót z zaświatów! Gratuluję! - ucisnął Paulowi dłoń.

- A więc... - zaczął Tom, gdy znowu znaleźli się sami. - Może moglibyśmy od razu, na miejscu, dojść do porozumienia, i wydać tę

biografię, póki o Mary jest głośno. Czy praca nad nią jest mocno zaawansowana?

- Dosyć - odparł Paul.

- To taka zasłona dymna do czasu pojawienia się tej historii w prasie, prawda? Matrix Press już teraz nie wyda tej książki. A jeśli chodzi o nową książkę, jesteśmy w stanie przebić ich ofertę. - Uśmiechnął się. - Ile czasu będzie pan potrzebował, żeby ją ukończyć?

- Ukończyć? - spytał Paul nie swoim głosem.

- Zdaję sobie sprawę, że skupił pan uwagę na Randalu Eliocie.

- Skupiłem... - Paul zawahał się. - Tak, oczywiście.

- Interpretował pan powieści w oparciu o fakty z jego życia... nawroty choroby psychicznej... pisanie w transie... dyktowanie wszystkiego Mary... - Tom uśmiechnął się. - To nas nie interesuje.

Paul spojrział na zdjęcie Mary w gazecie.

- Ale to, co pan napisał do tej pory, z pewnością analizuje twórczość Mary. Mnie na przykład zaskoczyło wykorzystanie przez Mary wzorców z *Alicji w krainie czarów* - z pewnością zwrócił pan na to uwagę. W różnych miejscach w *Dzielnicach* i w jej drugiej powieści, w *Obcej*...

Paul przypomniał sobie, jak Mary rozpromieniła się, tłumacząc mu: Starzec to Kot z Chesire. Mówi pannie młodej: „My tu wszyscy jesteśmy szaleni”.

- Tego nam właśnie potrzeba w nowej biografii - stwierdził Tom.

- W nowej biografii - powtórzył Paul.

- W tej chwili Mary Quinn jest największą sensacją w świecie literackim i jeśli we właściwy sposób wejdziemy na rynek, wszyscy będą czytać pana książkę. Kobieta, która ocaliła swojego męża i jego posiadłość! Matka, która wykształciła dzieci, zapewniła im dach nad głową i stworzyła sławę swego męża! Wychodzą jej trzy nowe powieści! Przyszła laureatka wszystkich nagród, jakie sobie można wyobrazić! I... - poklepał Paula po plecach - któż zna ją lepiej niż pan?

- Tak - zgodził się Paul. - Teraz jednak proszę mi wybaczyć, jestem bardzo zmęczony. Możemy do tego wrócić jutro.

- Jutro będę w Rzymie - powiedział Tom. - Czy możemy umówić się pojutrze przy śniadaniu?

- Doskonale - powiedział Paul. Uściskał Tomowi dłoń i zabrał ze sobą gazetę. Będąc już przy drzwiach odwrócił się i zobaczył, że Mary siedzi na kanapie pośród grupy mężczyzn. „My tu wszyscy jesteśmy szaleni.”

Nikt go nie zatrzymywał, gdy szedł do swojego pokoju. Skulony w fotelu przeczytał w gazecie artykuł o życiu Mary w miasteczku na Środkowym Zachodzie, o jej dzieciach, o powieściach pisanych, żeby utrzymać uniwersytecką posadę męża, Randa Eliota, który nigdy nie był w stanie niczego stworzyć...

Paul nie zdawał sobie sprawy, jak długo tam siedział. W willi zapanował spokój. W końcu usłyszał, jak Mary otwiera, zamyka i rygluje drzwi.

Ukradkiem zszedł na dół. Wszyscy udali się już na spoczynek. Przechodził z jednej słabo oświetlonej sali do drugiej, na stolikach i kanapach znajdując gazety. Niektóre z nich były amerykańskie, inne napisane w obcych językach, ale na wszystkich widniało zdjęcie Mary. Było to zdjęcie zrobione przez niego: Mary na tle ściany swojego domu. Gazety wykadrowały jej głowę i ramiona; nie widać było, że ma brudne kolana, a w ręce trzyma łopatę.

Gdy oparł się o stolik, w kieszeni zaszeleścił mu papier. Był to telegram z Matrix Press: „Chcemy zawrzeć umowę na biografię Mary Quinn. List w drodze.”

Paul poszedł z powrotem na górę, nie czując absolutnie nic poza tym, że uwiera go kołnierzyk i ciąży smoking.

Wyjrzał przez okno.

Wschodził księżyc. Jego zimne światło zalewało balkon, na którym stała kobieta w białej sukni. Polyskiwały jej kolczyki, naszyjnik i podarowane przez niego pierścionki, które miała na palcach. Wiatr rozwiewał jej suknię i targał włosy. Była tak blisko. Jej profil rysował się wyraźnie na tle odległych gór, a suknia łopotała nad miasteczkiem leżącym w dole.

Paul wycofał się z balkonu, usiadł na łóżku i utkwiał wzrok w ścianie oświetlonej przez księżyc. Tak długo wpatrywał się w Mary, że jego oczy zapamiętały jej białą od stóp do głów postać na tle czarnej nocy. Nagle, przez sekundę, ujrzał jak gdyby negatyw tego obrazu: ciemny kształt kobiety na jasnym tle.

289

Poszedł znowu popatrzeć na Mary. Jedną, polyskującą dłonią przyglądała włosy i przypomniał sobie ten gest: gdy widział ją po raz pierwszy, miała warkocze oplecione wokół głowy, przyprószone płatkami śniegu. Teraz, nieświadomie, szukała dłońmi swojskiego ciężaru, którego już nie było.

Mary obudziły ptasie trele i pukanie do drzwi.

- Kto tam? - spytała i usłyszała obcy głos. Odebrała tacę od kelnera w korytarzu, zamknęła i ponownie zaryglowała drzwi, a potem zadzwoniła do biura z pytaniem, czy lunch również mogliby jej podać do pokoju.

Słyszała ruch w pokoju Paula. Gdy zapukał cicho w drzwi łączące obydwie pomieszczenia, nie odzywała się, popijając kawę. Usłyszała, jak zamyka za sobą drzwi na korytarz i przekręca klucz.

Mary położyła na biurku rękopis swojej nowej książki. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi prowadzących na korytarz. Nie ruszyła się z miejsca.

Z balkonu dochodził delikatny wiew wiatru. Zbierając w sobie całą siłę woli, wyszła na balkon z kawą, usiadła i spojrzała na rozległy pejzaż. Nie chciała myśleć o wodzie pieniającej się pośród skał. Na dole jaśniały w słońcu drzewa, ogrody, dachy domów, jezioro i góry. Widać było stąd zamknięte okno pokoju Paula, świecące w słońcu pustką.

Gdy Paul wrócił do swojego pokoju, usłyszał stukanie jej maszyny do pisania. Mary zjadła śniadanie, nie zauważając nawet jego smaku. Gdy przyniesiono tacę z lunchem, postawiła ją obok siebie i jadła, nie przerywając pisania.

Mijały godziny, a ona nie była ani Mary Eliot, ani Mary Anderson, ani Mary Quinn, nie była żoną ani matką, młodą ani starą kobietą. Cała była wyobraźnią zgłębiającą szczegóły, o któ-

rych, mogłoby się wydawać, nie miała żadnego pojęcia. Gdzież się skrywały te istotne detale, ostre i wyraźne jak błysk zdejmowanej przez królową zbroi?

Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, rozejrzała się wokół i przypomniała sobie wodę pieniającą się na skałach, oczy Paula pełne nienawiści i to, że będzie musiała zejść na kolację.

- Czy Mary dobrze się czuje? - spytała Paula Edith. Stali w holu, trzymając w dłoniach aperitify.

- Ciężko znosi ten rozgłos - odparł Paul. - Usiłuje go unikać. - Przyglądał się Dunne Faradayowi, który stał koło schodów.

Wtem pojawiła się Mary, w obcisłej sukni w różyczki. Uśmiechnęła się na widok Dunne'a i razem podeszli do Paula i Edith. Mary zaszczyciła Paula zaledwie krótkim spojrzeniem.

- Przyniosę ci drinka, Mary. Może być czerwone wino? -zapytał Dunne.

- Bardzo proszę - odparła Mary.

Zanim Dunne wrócił z kieliszkiem, Mary i Paul stali się centrum rosnącego tłumu.

- To pan jest tym mężem? - spytał ktoś Paula.

- Paul Anderson - przedstawił się Paul, odwracając się do szczupłego mężczyzny o przenikliwych oczach.

- Mąż Mary? - uparcie dopytywał się mężczyzna.

- Pisze jej biografię - powiedział ktoś inny, jakby Paula w ogóle tam nie było.

Mary uśmiechnęła się, stojąc obok Paula i biorąc od Dunne'a kieliszek.

- Jestem gospodynią domową z małego miasteczka na Środkowym Zachodzie, w średnim wieku, z czwórką dzieci.

Kto chciałby pisać o mnie?

- Ale właściwie to jest niezwykle! Wielka artystka w przebraniu! Ktoś inny zajrzał do gazety.

- Jak widzę, każdą książkę pisała pani przez kilka lat. Teraz Justine Engel będzie panią poganiała, żeby wydawać jedną książkę na rok.

- Będzie zmuszona poczekać - odparła Mary sucho. - Jestem za stara, żeby z powodu pieniędzy zmieniać swoje zwyczaje.

- Panie Ouinn? - zwrócił się do Paula tęgi, jowialny mężczyzna.

- Anderson. Paul Anderson.

- Bardzo pana przepraszam - jestem Anthony Brampton, wydawnictwo World One. Widziałem w gazetach pana zdjęcie obok zdjęcia żony, ale nie pisali o... miło mi pana poznać. - Podał Paulowi rękę. - Zgotowaliście nam niezłą niespodziankę... cudowną niespodziankę. Jak udało się wam tak długo utrzymać to w tajemnicy?

- To nie było proste - powiedział Paul.

Lucie Albrecht i Edith Dorn wyglądały na taras, patrząc na zgromadzonych tam ludzi. Lucie przyglądała się Paulowi.

- To nie takie proste - odezwała się do Edith Dorn.

- Ciągłe chodzi sam. Po lunchu widziałam go w twierdzy - rzekła Edith. - Lubię tam chodzić czytać, ale nie chciałam mu przeszkadzać. Bardzo długo stał przy murze i patrzył w dół, na wodę.

- Wyobraź sobie sytuację, kiedy to na ciebie zaczęto by zwracać uwagę, zamiast na Raya.

Edith na chwilę zwróciła oczy do nieba, po czym spojrzała w stronę Mary i Paula. Światło zachodzącego słońca padało na urodziwą parę otoczoną przez gromadę ludzi: on jasnowłosey, ona ciemna.

Paul usiadł przy kolacji obok Mary, pośród naukowców-rezy-dentów. Po jego lewej stronie siedział Walter Crabbe z połyskującą łysiną, w jednej ręce trzymając nóż, w drugiej widelec.

- Wykłada pan? - zapytał Paula.

- Angielski - odpowiedział Paul.

- Mary też wykłada? - spytał Crabbe patrząc na kelnera, który nakładał mu na talerz pieczoną rybę.

- Nie ma stopnia naukowego - wyjaśnił Paul. Walter chrząknął.

Paul odwrócił się do siedzącej obok Mary i powiedział:

- Chciałbym z tobą porozmawiać po kolacji.

Nic nie odparła. Patrzył na jej dłonie, jak biorą nóż i odkrawają na talerzu plaster ryby. Te małe dłonie przyozdobione pierścionkami podarowanymi przez niego. Nieraz widział, jak pracują w kuchni lub w ogrodzie. Pieściły go w ciemnościach... pisały...

Nagle spojrzała na niego i zobaczyła, że przygląda się jej dłoniom. Położyła je na kolanach i zaczęła szarpać palec. Wrzuciła mu coś do kieszeni smokingu. Nikt nie zauważył tego dyskretnego gestu. Zajęła się ponownie krojeniem ryby. Na lewej ręce nie miała już pierścionków.

Ursula Crabbe wychyliła się zza męża i uśmiechnęła się do Paula.

- Czy w przyszłym roku również będzie pan wykładał?

Paul odpowiedział, że tak. Wsunął rękę do kieszeni i wyczuł pierścionki.

Odwrócił się do Mary.

- Chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała - rzekł cichym głosem. - Byłem pijany. Wiesz przecież.

- Już ci wszystko opowiedziałam - odparła Mary, równie cicho.

- Pozwól mi przeczytać to, co teraz napisałaś - wyszeptał Paul. Mary milczała. Od czasu do czasu jej ramię stykało się

z ramieniem Paula. Od czasu do czasu rzucał jej dyskretne spojrzenie.

Lucie obserwowała Paula. Odezwała się do Edith Dorn:

- Czuje się pewnie tak, jakby wszyscy wokół mówili w obcym języku. - Drobiła na kawałki rybę na talerzu. - To jak fotografia, na której wszyscy są przedstawieni w barwach i tylko jedna postać jest czarno-biała.

- Sądzisz, że on naprawdę nie wiedział, że to ona pisała te książki? - spytała Edith. - Nic z tego nie rozumiem.

Lucie stwierdziła:

- To niesamowite.

Kelner postawił przed Paulem stek, który wciąż jeszcze parował i lśnił różowym sosem.

Paul poczuł, że Mary patrzy na niego. Odwrócił się w jej stronę.

- Idę dzisiaj na spacer - powiedziała Mary.

- Zapraszasz mnie? - spytał Paul.

- Nie - odparła Mary patrząc, jak kelner stawia przed nią stek. Paul wyszeptał, zanim zdążyła się odwrócić: - Będę na ciebie czekał.

Mary siedziała tak blisko niego, że widział każdy siwy włos na jej skroni i drżenie jej rzęs. Nie spojrzała na niego już więcej.

Trzymając widelec ogołoconą z pierścionków dłonią, odkrawała tłuszcz ze steku.

Paul uciekł przed rozmowami toczonymi po kolacji i poszedł na spacer krętą drogą w stronę fortecy. Szedł przy niskim kamiennym murku. Dziesiątki metrów niżej spieniona woda przelewała się przez skały i wycofywała się.

Zapadła ciemność. Po chwili Paul mógł dojrzeć już tylko przemierzający się wzdłuż brzegu odbłask wody.

W kieszeni miał pierścionki Mary. Wyjął je i założył na mały palec. Brylant migotał światłem gwiazd.

Była już noc, gdy przysiadł na kamiennej ławce. Z lasu w dole doleciał do niego krzyk ptaka lub jakiegoś zwierzęcia.

W końcu, po omacku, odnalazł bramę fortecy i poszedł z powrotem wzdłuż porośniętego chwastami murku. Wschodzący księżyc oświetlił mu schodki i mroczną drogę. Na kolanach kamiennego mężczyzny w niszy zawisło srebrne światło. Kamienny pies i jeleń walczyli zaciekle w ciemnym gaju.

Z sal willi dolatywały głosy, ale Paul, nie zauważony przez nikogo, udał się na górę i zamknął za sobą drzwi. Pokojówki posłały łóżko, a na poduszkach leżał maszynopis.

Paul złapał go chciwie. Nowa książka! Było tego około stu stron, dwie trzecie wydrukowane na drukarce Mary - znał ten druk, a ostatni rozdział napisany na maszynie.

Tutaj, w willi? Gdzie jeszcze mogła używać maszyny do pisania? Przez cały dzień słyszał ten dźwięk.

Paul zapalił lampę, usiadł i zatracił się natychmiast w prozie Randala Eliota. Ta narracja była tak samoistna, jak mocno rozgałęzione drzewo pełne żyjących na nim stworzeń.

W miarę czytania słyszał głosy przy kominku, w ogrodzie... czułe słówka szeptane w ciemności. „Wsluchaj się we mnie poza splotem moich słów.”

„Boże!” - mrucał Paul od czasu do czasu. Kiwał się lekko, siedząc na brzegu łóżka, ale zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy, podobnie jak i ze słów, które mrucał, czytając w skupieniu.

43

W bibliotece willi Christa świeciło się tylko kilka lamp. Ich światło pieściło rzeźbione w zawile wzory belki na suficie.

Ze swojego miejsca przy stole w bibliotece Paul widział gwiazdy. Nie przebrał się; wciąż był w smokingu. Patrzył na drzwi i na gwiazdy.

Księżyc stał już wysoko na niebie. Od chwili, gdy skończył czytać książkę Mary, siedział ukryty w bibliotece i czekał na nią. Gdy weszła na górę, przez sekundę zatrzymał wzrok na jej krótkich ciemnych włosach i sukni w róże.

Bez szmeru skradał się za nią po grubym dywanie.

- Mary - powiedział i złapał ją za ramię. Krzyknęła, próbując mu się wyrwać. - Przestań - szepnął - przestań. - Założył sobie na szyję jej ręce i przytulił ją do zmiętej koszuli. - Wejź na chwilę do biblioteki. - Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. - Chcę z tobą porozmawiać.

Przeszli obok półek, na których długimi rzędami stały wielokolorowe, drogie książki.

- Przeczytałem twoją nową powieść - powiedział. Usiadła przy stoliku, na którym stało renesansowe popiersie kobiety, patrzącej na bibliotekę spokojnymi oczami. Paul stanął naprzeciwko niej; światło lampy podkreślało załamania jego koszuli, czarną tkaninę smokingu, jasne włosy.

„Twoją nową powieść.” Mary poczuła, jak słowa te zawisły w powietrzu. Na stole pomiędzy nimi leżała jej nowa książka.

- Pracuję nad nią od niedawna - rzekła.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, gdy się pobraliśmy? Gdy chciałem pisać biografię Randal Eliota.

Randala Eliota. Mary podniosła wzrok na dźwięk tego nazwiska, słysząc ton, jakim go Paul wypowiedział. Ten ton i słowa świadczyły, że Randal Eliot przestał istnieć, że leży w grobie.

- Nie uwierzyłbyś mi - stwierdziła Mary. - Gdy kilka razy próbowałam ci powiedzieć, ty... - Mary drżała. Przesuwała dłonią bez pierścionków po gołym ramieniu.

- Byłem pijany - odparł Paul cichym, pełnym skruchy głosem. - Byłem tak zdenerwowany, że nie wiedziałem, co robię. Myślałem, że chcesz mi złamać życie, że...

- Powiedziałam ci prawdę.

- Prawdę? Jak mam odróżnić, co tu jest prawdą, a co nie? Oczy Mary zabłyszczały, jakby pojawiły się w nich łzy.

- Wiem, zdradzałem cię, oszukiwałem cię, ale to nie byłeś ty. Myślałem, że jesteś kimś innym. Okłamywałaś mnie. Okłamywałaś przez kilka lat. Nawet nie wiem, z kim się ożeniłem. Kim jesteś?

Mary milczała.

Paul podniósł leżący przed nim maszynopis.

- Napisałaś to częściowo tutaj, w willi - powiedział beznamiętnym głosem, po prostu stwierdzając fakt. - Na każdej stronie znać rękę Randal, jego styl.

- Nikt mi nie wierzył. Musiałam pomóc Randalowi, ale gdy zmarł i próbowałam sprzedać swoje własne książki...

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - powtórzył pytanie Paul.

- Tobie? - Ton głosu Mary zdziwił go; był cichy, gorzki i zawierał podsumowanie ich wspólnie spędzonych lat. Te lata rozwinęły się przed Paulem, jak rolka długiego filmu. - Kochałeś Randal. Jak powiedziałaś, nie ze mną się ożeniłeś.

Paul wyszedł zza stołu. Mary poderwała się natychmiast, zwróciła się w stronę drzwi.

- W każdej z tych książek widziałeś jedynie Randal. To z nim się ożeniłeś - roześmiała się cicho. - I nie dochowałeś mu wierności.

Odwróciła się, żeby odejść, ale Paul ją dogonił, przyciągnął do siebie.

- Tak - powiedział. - Ożeniłem się z Randallem, chociaż o tym nie wiedziałem. Chciałem być jak najbliżej niego. Mary, przyciśnięta do pogniecionej koszuli Paula, stała ze zwieszoną głową.

- I udało mi się - powiedział Paul, szepcząc jej we włosy. - Udało mi się, na Boga! Nie kłamałem mówiąc, że czczę twórcę tych książek.

Doskonale zdawał sobie sprawę z efektu tych słów: Włochy zniknęły, oboje przenieśli się przed kominek, gdzie rozmawiali

O Randalu, Randalu i tylko Randalu...

Mary westchnęła, po czym zaśmiała się cicho.

- Zapytałem cię kiedyś, co byś zrobił, gdyby Randal był tutaj? Paul przez chwilę trzymał Mary w ramionach, po czym puścił ją i spytał cichym głosem:

- I co ci odpowiedziałem? Chyba to, że byłbym onieśmielony. Mary poruszyła się nieznacznie, ale on ciągnął dalej:

- Chyba powiedziałem, że w jego imieniu spisałbym historię jego życia i że walczyłbym - w obronie jego reputacji.

Mary stała zupełnie nieruchomo i patrzyła na niego swoimi ciemnymi oczami.

- Chyba powiedziałem, że jego geniusz jest czymś obezwładniającym. - Paul podszedł do Mary, chwycił jej dłonie i przycisnął je do swojej twarzy. Poczwała na nich ciepło jego ust. - Powiedziałem, że gdyby dane było mi go spotkać, byłbym zupełnie zniewolony.

Pocałował ją. Był to bardzo długi pocałunek. Zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, wyzwoliła się z jego objęć, schwyciła maszynopis leżący na stole i wybiegła z biblioteki.

Paul pobiegł za nią do schodów i zatrzymał się. Na dole, w holu, pełno było ludzi. Stali patrząc, jak Mary Ouinn schodzi teraz do nich.

Paul wrócił do biblioteki. Wydawało mu się, że unosi się tam wciąż zapach jej ulubionych perfum. Uśmiechnął się nieznacznie na wspomnienie pocałunku. „Kocha mnie.”

Chodził tam i z powrotem mruczając: - Randal... Randal.

To imię przywołało wspomnienie domu Randała. Paul ujrzał pokiereszowane biurko, sfatygowany, odchylany fotel...

Zatrzymał się i usłyszał słowa Mary: „To była moja pracownia...”, przypomniał sobie, jak stała w drzwiach małego pokoju na górze, którego od lat używał jako składziku, gdzie przechowywał pudła i torby na śmieci. „Była taka przytulna - powiedziała wtedy Mary - i należała tylko do mnie.”

Paul usiadł przy stoliku. To jasne! Teraz trzeba będzie zachować „obydwa” domy, jako domy pisarki! „Kocham swój dom!” Tak powiedziała kiedyś Mary. Przez kilka lat wysłuchiwał przytłumionego stukotu maszyny do pisania Mary po drugiej stronie korytarza. Milknął i rozbrzmiewał znowu, podczas gdy on drzemał w wielkim łożu...

Paul uśmiechnął się na wspomnienie tego łóżka. Oczywiście, była na niego zła, ale czekało na nią to łóżko, z atlasową pościelą, z odpowiednim nastrojem przy zgaszonych światłach, gdyż uwielbiała ciemność. Niech pisze jedną książkę za drugą, a potem pójdą do łóżka...

Paul znów zaczął krążyć po bibliotece. Będzie wielka kampania reklamowa. Będzie musiał odpowiedzieć na szereg pytań: „Kiedy odkrył pan, że pana żona to Randal Eliot?” „Czy kochanek w jej ostatniej książce to pan?” - Paul zatrzymał się przed szklanymi drzwiami szafki na książki, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu, i poprawił krawat. Sam zajmie się domem i korespondencją: będą napływały prośby o recenzje książek, występy w telewizji, programy dokumentalne. I ile dostaną pieniędzy!

Oczy Paula błyszczały *e szczęścia.

- Czy mógłbym być szczęśliwszy? - mruknął do siebie i zszedł na dół, żeby odszukać Mary.

Nie było jej w żadnej sali ani na oświetlonym tarasie. Mijając grupki ludzi, zauważył, że mu się przyglądają Nic dziwnego, wszystkich oczywiście interesował mąż Mary Quinn, jej biograf.

Gdy znalazł się znowu w holu, dostrzegł Toma Hockera, schodzącego po schodach. - Wrócił pan z Rzymu? - zapytał Paul.

- A, Paul - powiedział Tom Hocker. - Cieszę się, że spotkałem pana przed wyjazdem.

- Wyjeżdża pan? - zdziwił się Paul.

- Muszę wracać do Nowego Jorku - odparł Tom. Paul patrzył na niego wyczekująco.

- Jeśli ma pan ochotę porozmawiać na temat umowy...

- Może lepiej załatwimy to później, drogą korespondencyjną - powiedział Tom, jakby mu się gdzieś spieszyło. - Słyszałem, że właściwie nic pan nie napisał. Czy to prawda? Poza tym, dużym problemem jest brak autoryzacji pańskiej biografii. Jeśli Mary Quinn zezwoli panu na wgląd w swoje dokumenty...

Paul wpatrywał się w Toma osłupiały. - Ona jest moją żoną.

- Zgadza się - powiedział Tom, spoglądając na solidne drzwi wejściowe. - Musi pan to wszystko z nią omówić. Rozumiem, że mogą być trudności. - Przepraszam, chcę złapać Huda, zanim wyjdzie...

Ludzie przyglądali się Paulowi, który siłą woli przybrał obojętny wyraz twarzy i poszedł do baru w salonie.

Tłumaczył sobie, że jeśli nie zostanie sfinalizowana umowa z wydawnictwem Doubletree, będzie tym zainteresowanych wiele innych wydawnictw.

Jak na zawołanie przysiadł się do niego Anthony Brampton z wydawnictwa World One i powiedział:

- Więc będzie pan biografem Mary Quinn?

Na stolik na tarasie, przy którym Paul siedział pierwszej nocy, pił whisky i wznosił toasty za Randała Eliota, padała żółta poświata z salonu.

- Zgadza się - odparł Paul.

Przyłączył się do nich wydawca z Kline and Bodwitch, podchodzili również inni agenci i wydawcy. Paul pił i śmiał się, jego postać rysowała się wyraźnie na tle drzew zasłaniających twierdzą na górze - Mieszkałem w obydwu domach, w których Mary Quinn pisała swe książki - powiedział. Wypił jednego drinka i zaczął następnego. - Mam doskonałe wyczucie jej tematów, od lat o nich dyskutujemy. Oczywiście, Mary ma bardzo złożoną osobowość. W biografii opisuję lata, które spędziła z Eliotem, jej dzieci... mam mnóstwo notatek. Mieszkaliśmy w Londynie w mieszkaniu, w którym była niegdyś skazana na samotność, gdy oddała Randała do kliniki psychiatrycznej... Tyle przeszła... nikt nie ma o tym pojęcia...

Z tarasu roztaczał się cudowny widok. Paul pił i mówił, a panowie w smokingach słuchali go w tę letnią noc nad jeziorem Como.

- Oczywiście od lat wiedziałem, że to ona pisze te książki - oznajmił Paul. Był tak wylewny pod wpływem alkoholu i rozpierającej go radości, że mógłby tu chyba siedzieć do rana. - Była

jednak lojalna wobec pamięci o Eliocie, więc czekaliśmy aż do chwili obecnej.

Paul zatracił poczucie czasu. Wydawało mu się, że mówi niezwykle błyskotliwie. Poza tym Mary go przytulała, całowała się z nim... patrzył na nią przez cały wieczór.

W końcu na tarasie i w oświetlonych salach zostało już tylko kilka osób.

Paul poszedł na górę. Kręciło mu się w głowie od wypitej whisky. Odszukał w kieszeni, pobrzękując pierścionkami Mary, klucze od swojego pokoju.

- Mary - powiedział cicho, wchodząc do środka. Spróbował otworzyć swoim kluczem drzwi łączące oba pokoje. Udało się.

Nie zamknęła drzwi na zasuwkę.

Paul odetchnął. Wszystko wróciło do normy. Roześmiał się cicho. Porozmawia z nią o biografii... porozmawia z nią... Kręciło mu się w głowie, ale wziął prysznic i wsadził sobie pierścionki Mary na palec. Będzie musiał wrócić do domu i pisać. Tak właśnie będzie musiał zrobić... nie zamknęła drzwi na zasuwkę...

Zgasił światło w swoim pokoju i, nagi, przeszedł do jej ciemnej sypialni. Wciąż kręciło mu się w głowie. Balkon był otwarty, ale księżyc nie świecił i ledwo mógł dojrzeć łóżko Mary. Szedł do niego po omacku, wyczuł jego ramię, wyczuł narzutę. Oprócz gładkiego, chłodnego materiału rrie wyczuł już nic więcej.

Sięgnął w stronę lampy, przewrócił ją, ustawił z powrotem, zapalił i stał tak, nagi, przy pustym łóżku, czując się bardzo głupio.

Wyszła gdzieś wieczorem, jeszcze nie wróciła.

Paul zaklął w duchu. Pomyślał sobie, że na nią poczeka, wszedł do łóżka i zgasił światło.

Nie zamknęła drzwi na zasuwkę. Paul uśmiechnął się, wyczuwając w pościeli delikatny zapach perfum Mary - taki nierealny, gdyż nie było jej tam, w ciemności.

Pijany i śpiący powiedział głośno:

- Pieniądze! Fura pieniędzy!

Pełna profesura, dożywotnia - chyba że zrezygnuje z wykładania. W ogóle nie będzie musiał pracować... ale te twarze kolegów świadomych, że Randal Eliot żyje, a on jest jej biografem!

- Mary - zamruczał. Wydawało mu się, że znowu leży w atlasowej pościeli w ich domowym łóżku i że słyszy przed świtem stukot jej maszyny do pisania - cichy, jednostajny dźwięk dobiegający z korytarza.

Zapał w półsen. Śnił, że przytula Mary, że słyszy jej głos...

Paula zbudziło pukanie do drzwi. Przez oszklone drzwi balkonu wpadało do pokoju światło księżyca. Wstał z łóżka i z trudem doszedł do drzwi prowadzących na korytarz. Wtedy zorientował się, że pukano do drzwi w innym pokoju.

Gdy poszedł tam, usłyszał tylko szelest papieru i kroki oddalające się szybko w głąb korytarza.

Szumiało mu w głowie. Po omacku zapalił światło. Z palca zsunęły mu się pierścionki Mary i potoczyły się po podłodze. Szukał ich, pełzając po dywanie.

Pod drzwi wetknięta była koperta. Rozerwał ją. Pismo Mary... Z wysiłkiem skupił wzrok na literach, dojrzał słowo „do widzenia”, przeczytał, że Mary wyjeżdża na kilka miesięcy... nie da mu autoryzacji swojej biografii, ani nie udzieli żadnych wywiadów... wnosi sprawę o rozwód...

Te słowa były zbyt jasne, zbyt wymowne, żeby mógł to być sen.

W liście napisane było, że gdyby żądał pieniędzy, utrudniał rozwód lub prześladował ją - ręce, w których trzymał list, miał mokre od potu - Dunne Faraday zezna w sądzie, co widział pewnego ranka w twierdzy.

Ostatni akapit tak latał mu przed oczami, że ledwo mógł go odczytać:

„Zmienione zostały zamki w moim domu.

Zadzwoń do Nory Gilden i innych osób. Dopilnują, żebyś przeniósł się do domu Randala. Sądzę, że nie pomieszkasz tam długo, ponieważ będziesz musiał zacząć szukać innej pracy jako wykładowca.

Życzę ci powodzenia na nowej drodze życia.

Mary Quinn”.

Paul stał nagi przy drzwiach, a list dygotał mu w dłoni. Potem wbiegł do pokoju Mary... zapalił światła...

Nie było jej rzeczy. Tylko z pomiętej pościeli unosił się jej ledwo wyczuwalny zapach.
Otworzył z rozmachem drzwi jej szafy. W środku było pusto. W łazience też nic nie było. Absolutnie nic.
Był to po prostu jeden z wielu apartamentów w willi Christa -pusty i cichy.
Gdzieś w oddali widoczna z balkonu łódka odpływała w świetle księżyca od brzegu, zostawiając na czarnej wodzie jeziora jasną smugę.